

ÉRIC
FOUASSIER

BIURO
DO SPRAW
TAJEMNYCH

Mroczny Paryż Valentina Verne'a

KIEDY NAUKA INSPIRUJE
ZBRODNIĘ

ÉRIC
FOUASSIER

BIURO
DO SPRAW
TAJEMNYCH

Mroczny Paryż Valentina Verné'a

Tłumaczenie Lukasz Müller

znak
koncept

Kraków 2024

Dla Pascale, mojej pierwszej czytelniczki, zawsze gotowej na nowe przygody

Zdradzę wam tajemnicę tajemnic. Lustra są drzwiami,
przez które przychodzi i odchodzi śmierć.

Jean Cocteau, *Orphée*

Teraz się boję, że w lustrze jest zawarte
Rzeczywiste oblicze mojej duszy
Zranione przez cienie i przez winy...

Jorge Luis Borges, *Lustro*

(tłum. A. Sobol-Jurczykowski)

PROLOG

Zapanować nad strachem.

Gdy dzieciak rozciął płótno namiotu szkłem z rozbitej butelki, myślał, że znalazł bezpieczne schronienie. Nie mógł się spodziewać, co go czeka w środku. Eskalacja strachu. Wszystkie te rozgorączkowane spojrzenia, wszystkie te wystraszone twarze odzwierciedlające jego własne przerażenie... Teraz leży tam, drżąc na całym ciele, skulony w lepkiem półmroku. Nieliczne rozstawione wewnątrz świece nie mają za zadanie rozproszyć ciemności, lecz stworzyć wyszukaną grę światła i cienia. Zdają się unosić w powietrzu, niczym płomieniste motyle. Od ich niepokojącego blasku chłopiec wolałby niedawny atramentowy tunel ulicy. Czerni, nicość. Wszystko, tylko nie te trwożące wizje, które nachodzą go pod wilgotną tkaniną. Ale już nie śmie się poruszyć. Jedynie zamyka oczy. Jakby kurtyna powiek stanowiła skuteczną zaporę. Wystarczającą, żeby zniknęło to, czego nie sposób znieść.

Jak długo trwa w takim stanie, niczym skamieniały? Minutę, godzinę, wiek? Nie ma najmniejszego pojęcia. Zapanować nad strachem... Przygotował się na to w swojej głowie. Sądził, że jest wystarczająco silny, żeby wyrwać się z pułapki. Ale teraz sam już nie wie. Nie potrafi już wyłowić choćby najdrobniejszej spójnej myśli z chaosu panującego pod jego czaszką. Owładnął go lodowaty chłód. Taki, który przenika do szpiku kości.

Z bardzo daleka dobiegają go, jakby stłumione, echa zabawy. Muzyka, śmiechy, nawoływania. Tam, na zewnątrz, w odległości zaledwie kilku metrów, kłębi się cały ten beztroski tłum. Ludzie, którzy się bawią, którzy się odurzają. Równie dobrze mogliby jednak być wiele mil dalej. Dla tego dziecka już się nie

liczą. Nie może oczekiwać z ich strony żadnej pomocy. W każdym razie dopóki wciąż jest więźniem własnego koszmaru.

A jeszcze przed chwilą chłopiec myślał, że znajdzie ocalenie w tym radosnym tłumie. Biegł bosy przez noc. Chłopot jego kroków w rynsztoku pod gołym niebem współgrał z biciem serca. Tym szaleńczym bębnieniem w klatce piersiowej. Biegł na oślep, bez konkretnego celu, zbyt ciemnymi, zbyt wąskimi zaułkami. I tylko ta oto krótka modlitwa skłaniała go do dalszego wysiłku: „Mój Boże! Nie pozwól, żeby mnie dogonił! Lepiej umrzeć, niż ponownie wpaść w jego ręce!”. Znajdował się – chociaż wtedy o tym nie wiedział – na przedmieściu graniczącym z rogatką de Montreuil, niedaleko osady Petit-Charonne. Pośród ruder, zdewastowanych chałup, niezagospodarowanych terenów i ogrodów warzywnych.

Z płonąca piersią i pulsującymi skrońmi, usiłował trzymać się w cieniu fasad, starannie unikając otwartych przestrzeni. Od czasu do czasu odwracał się, żeby złapać oddech, i przeszukiwał mrok niespokojnym spojrzeniem. Nikogo za nim nie było. Wiedział jednak, że Wikary depcze mu po piętach. Czaił się gdzieś w ciemności. Uciekinier mógł być pewien, że Inny będzie go ścigał całą noc, jeśli zajdzie potrzeba. Nie miał wyboru, musiał biec dalej, zużywając na to resztkę sił.

Minęła cała wieczność, zanim chłopiec dotarł w końcu do wyłomu w murze otaczającym wielkie miasto. Prześlizgnął się przezeń i ponownie ruszył biegiem przez ten zaniedbany Paryż, aż do avenue des Ormes. Był tam szerszy prześwit, w którym tu i ówdzie, w połowie wysokości, pojawiała się migoczące światło latarni. Na drugim końcu alei usłyszał tak bliskie i tak odległe zarazem odgłosy zabawy, hałaśliwe przyśpiewki i cały ten radosny harmider. Nie tracił czasu na rozmyślanie. Polegał bardziej na instynkcie niż na rozsądku. Kierowała nim żądza życia. Odkąd postanowił wyrwać się ze szponów Wikarego, to właśnie ona dyktowała mu, co ma robić. Pobudzała go do biegu, do ukrywania się, do czekania lub ucieczki.

Skręcił w długą arterię i pozwolił się unieść fali coraz liczniejszych gapiów w pobliżu place du Trône. Przeszedł niepostrzeżenie od ciemności do światła, od śmierci do życia. Za dużo światła, za dużo życia za jednym zamachem. Poczuł, że

się chwieje, że za chwilę braknie mu sił. Jarmark go wessał, pochłonął. Istna karuzela dźwięków, zapachów, kolorów. Popisy akrobatów, suche trzaski dochodzące ze strzelnicy, krystaliczne dzwonki drewnianych koników. Melodie, krzyki, śmiechy...

Oszołomiony chłopiec błąkał się między kramami, namiotami i scenami jarmarcznych teatrzyków. Zdezorientowany i niezdecydowany, nie potrafił rozróżnić choćby jednej twarzy w tej ludzkiej masie, która zdawała się tworzyć zwarty blok. Pragnął, żeby wyciągnięto jakąś uczynną dłoń, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Nikt nie dostrzegał jego przestraszonej buzi i ubłoconych rąk. Miał ochotę wzywać pomocy, lecz uniemożliwiał mu to panujący na jarmarku zgiełk, który wciągał go w oszalamiający dźwiękowy wir. Gdyby chociaż ten przekłety bęben w jego piersi wreszcie zechciał zamilknąć!

Szedł dalej chwiejnym krokiem wśród obojętnych hulaków, kiedy nagle falowanie tłumu zniosło go gwałtownie na bok. Utknął w wąskiej, cuchnącej moczem ślepej uliczce, pomiędzy dwoma płóciennymi namiotami teatrów. Był niczym wrak wyrzucony przez morze. Nawet nie to. Raczej strzęp nienamacalnej piany.

Wycieńczony i zniechęcony, osunął się na chodnik pokryty nieczystościami. I właśnie wtedy go zobaczył.

Kawałek szkła z rozbitej butelki leżący pośród odpadków. Długi i cienki.

Od razu uznał to za znak od losu. Musiał dać sobie chwilę wytchnienia. Skulić się w bezpiecznym miejscu, w jakiejś kryjówce, żeby pomyśleć, co dalej. Żeby podjąć właściwą decyzję. Oderwał kawałek rękawa i owinął tkaninę wokół odłamka szkła, tworząc prowizoryczny uchwyt. Potem rozciął płótno najbliższego namiotu. Powstało dyskretne rozdarcie, otwór akurat w sam raz, żeby się przezeń prześlizgnąć. Zostawić za sobą radosne okrzyki, oklaski i wulgarne żarty, całą tę bezładną uciechę, od której chciało mu się wymiotować.

Jak mógłby się domyślić?

Jak mógł sobie wyobrazić, że w środku czeka go niepojęta zgroza? Że będzie musiał stawić czoła stugłowej hydrze, zwielokrotnionym odbiciom własnej trwogi?

Wytchnienie trwało tylko na tyle długo, żeby jego oczy przywykły do wilgotnego półmroku. A wtedy wychynęły z nicości koszarne gęby i rzuciły się na niego. Rysy wyrzeźbione płomieniami świec wykrzywił niepokój, ale natychmiast je rozpoznał. To była jego własna twarz, splamiona potem i łzami, która atakowała go ze wszystkich stron. Jego twarz odbijająca się bez końca w jakimś monstrualnym kalejdoskopie.

Zapanować nad strachem... Wiedział, że jest do tego zdolny, ale zapanowanie nad tysiącem strachów, tysiącem przerażonych spojrzeń, tysiącem ust wrzeszczących mu nieustannie do uszu było ponad jego siły. Istnieją granice udręki, jaką może znieść dwunastoletni chłopak. Zamknął oczy, przycisnął obie pięści do powiek i skulił się na ziemi w pozycji płodowej. Żeby nic już nie widzieć, o niczym już nie myśleć. Wtopić się w otoczenie. To było zaledwie sto lat temu. Godzinę temu, minutę...

Niestosowny chichot zmusza go nagle do powrotu do rzeczywistości. Śmiech kobiety. Całkiem blisko. Dzieciak unosi głowę. Nie jest już sam w półmroku. Słyszy szelest, szepty i wciąż ten krystaliczny szczebiot. To nie kobieta tak parska śmiechem, lecz raczej całkiem młoda dziewczyna. Chłopiec zbiera się na odwagę i otwiera oczy. Ponownie pojawiają się niezliczone kopie jego twarzy, ale jej wyraz jest już inny. Jakieś wyczekiwanie zastąpiło strach w głębi niezliczonych oczodołów.

Wykonując niezdarne ruchy, chłopak wstaje z trudem. Znowu czuje, że serce tłucze mu się o żebra. Nagle coś się wokół niego zmienia. Coś prawie niedostrzegalnego. Lekki podmuch powietrza, a może nawet nie to. Nieznaczna modyfikacja w oświetleniu. Płomień świecy, który opada i znowu się prostuje.

Niespodziewanie pojawia się ta dziewczyna!

Materializuje się kilka kroków od niego. Wyraźnie widać jej brązowe loki, figlarną buzię i wełniany szal, który okrywa jej ramiona. Nie jest sama. Przyciska

ją do siebie jakiś łobuz, noszący robotniczy lub rzemieślniczy fartuch i skórzaną czapkę z daszkiem nasuniętą na czoło. Jego błędzące dłonie przylegają do bioder pannicy, która parska śmiechem, wijąc się, żeby się uwolnić. Znow ją łapie, a ona ponownie mu ucieka, kierując się wprost w stronę dzieciaka, którego ani ona, ani jej partner najwyraźniej nie zauważyli.

Nie rozumie, jak tych dwoje może nadal ignorować jego obecność. Dziewczyna stoi teraz niecały metr od niego. Wyciąga palec wskazujący w jego kierunku.

– Spójrz na tamtego, Gustave! Cały pokrzywiony. Przy nim wyglądasz na przystojniaka! To chyba karzeł z Cyrku Olimpijskiego!

Ale jej towarzysz już ją odciąga do tyłu, obłapia. Chwilę później znikają... i znow się pojawiają niemal równocześnie za plecami chłopca, a potem prześlizgują się po obu jego bokach i w końcu wracają do mrocznej otchłani, z której się wyłonili.

– Zaczekajcie! Proszę was, wróćcie!

Wymknął mu się ten okrzyk. Biegnie za nimi... i zderza się gwałtownie z niewidzialną ścianą. Wstrząs, tyleż brutalny, co niespodziewany, powoduje, że staje jak wryty. Oszołomiony, wyciąga ręce i maca wszystko wokół siebie. Wszędzie ta sama twarda, gładka powierzchnia.

Coś zaskakuje w jego mózgu.

Lustra!

Jest przez nie dosłownie osaczony. Są wszędzie, z przodu, z tyłu, po bokach, a nawet wiszą nad nim. Lustra, które odsyłają do siebie nawzajem iluzoryczną rzeczywistość, fragmentaryczną i zniekształconą. Fantasmagoria odbić.

Chłopiec wydaje długie westchnienie. Teraz, kiedy wyjaśnił tajemnicę tego dziwnego miejsca, oddycha swobodniej. Nie zamierza jednak w nim długo zabawić. Jest zbyt nieprzewidywalne, zbyt przytłaczające. Pomimo zagrożenia ze strony Wikarego, o czym nie zapomniał – jakżeby mógł? – spieszo mu znaleźć się ponownie na świeżym powietrzu. Ostrożnie wraca, skąd przyszedł. Po omacku usiłuje dotrzeć do otworu, który wyciął w płóciennym ścianie namiotu, lecz nie

potrafi. Bez przerwy zderza się ze szklanymi ścianami, na których drżą płomienie świec i z których spogląda na niego tysiąc jego twarzy, nękanych teraz przez śmiertelny niepokój.

Po kilku bezowocnych próbach w końcu uświadamia sobie oczywistą prawdę...
Jest więźniem labiryntu luster!

ROZDZIAŁ 1

Wszystko, co dobre...

Po gorączkowych dniach lipca 1830 roku, które doprowadziły do wygnania Karola X, dzięki czemu na tron wstąpił Ludwik Filip, król Francuzów z Bożej łaski i woli narodu, w Paryżu nieprędko przywrócono pozory porządku. Na uwolnionych od barykad ulicach raz za razem odbywały się wszelkiego rodzaju pochody, manifestacje i defilady. Od tygodni widywano ów niesłychany spektakl, kiedy to lud codziennie wdzierał się do Palais-Royal, rezydencji nowego władcy. Wchodzono tam jak do młyna. Zabiegając o popularność, Ludwik Filip uznał, że musi niemal bez przerwy przyjmować delegacje z różnych dzielnic stolicy albo z miast prowincjonalnych. Przez cały dzień rozdawał uściski dłoni gościom, których kilka miesięcy wcześniej nawet nie zaszczyliłby spojrzeniem. Kiedy nadchodził wieczór, w ogrodach i przed bramą tłoczyły się tłumy, domagając się jego obecności na balkonie, i odchodziły dopiero wtedy, gdy wysłuchały, jak nuci *Marsylianę* lub *Paryżankę*. Przez całą drugą połowę lata miasto zachowywało się zatem niczym narowisty koń, który nie chce wrócić do stajni i z rozwianą na wietrze grzywą upaja się raz po raz krótkim, nerwowym galopem.

Potem, stopniowo, rewolucyjny entuzjazm opadł. Nastąpił wówczas zwodniczy spokój. Paryscy robotnicy i rzemieślnicy mieli kaca. Gdy minęła euforia wywołana zwycięstwem, które w znacznej mierze im odebrano, wrócili do swojej miernej egzystencji naznaczonej obniżką płac i pogorszeniem warunków pracy. Na tronie zasiadał teraz ktoś inny, lecz była to właściwie jedyna znacząca zmiana. Niejeden

zdał sobie z tego sprawę, nie bez rozgoryczenia. Pod żarem wciąż tlił się ogień i nie musiało się być wielkim intelektualistą, aby odgadnąć, że najdrobniejszy incydent, najmniejszy pretekst może wystarczyć, by ponownie wzniecić pożar.

Jednakże tamtego wieczoru pod koniec października łagodne temperatury sprzyjały raczej odprężeniu i radości życia. Szczególnie wśród garstki uprzywilejowanych, którzy dzielili między siebie względy nowej władzy. Przedmieście Saint-Honoré wygrzewało się w miłym jesiennym słońcu i szumiało gwarem kilku przyjęć. Wraz z dzielnicą Chaussée-d'Antin stanowiło jeden z bastionów tej wielkiej burżuazji, która zagarniała dla siebie zaszczyty i lukratywne posady. Powietrze było tam lżejsze i krążyło swobodniej niż w ciemnych zaułkach w centrum, a niebo wydawało się czystsze. Za wysokimi murami bogato zdobione fasady pozwalały dostrzec przez duże okna feerię świateł rzucanych przez świece i żyrandole. Nic nie wskazywało na nieuchronność dramatu. A jednak...

Odkąd wybiła ósma, dom numer 12 przy rue de Surène, dwa kroki od królewskiego kościoła de la Madeleine, znalazł się w samym centrum nieustannej parady berlinek i kolasek. Powozy podjeżdżały pod imponujący, porośnięty bluszczem portyk i zostawiały na kwadratowym dziedzińcu ozdobionym fontanną śmietankę finansjery i przemysłu. Tego wieczoru Charles-Marie Dauvergne czynił honory domu w niedawno odnowionej rezydencji, witając swych stronników politycznych i najważniejszych partnerów biznesowych. Spodziewano się, skromnie licząc, setki gości.

Właściciel posiadłości dorobił się fortuny na hurtowym handlu przyprawami oraz wyrobami farmaceutycznymi. Niedawno zainwestował prawie milion w usytuowaną nad brzegiem rzeki Oise fabrykę, której maszyny były napędzane energią hydrauliczną. Z powodzeniem wykorzystywał tam jedyną w swoim rodzaju metodę prażenia ziaren kakao, co w zasadzie zapewniało mu monopol wśród producentów leczniczych czekoladek.

Dauvergne miał powody do dumy ze swojego sukcesu. Jego dobrobyt był dobrze osadzony, a on sam właśnie wszedł do Izby Deputowanych w wyniku

wyborów uzupełniających, rozpisanych po unieważnieniu mandatów posłów, którzy odmówili złożenia przysięgi nowemu reżimowi. Z natury był dość konserwatywny, więc to, że znalazł się wśród beneficjentów ostatnich wstrząsów politycznych, zawdzięczał raczej oportunizmowi niż prawdziwym przekonaniom. 29 lipca po południu, kiedy triumf powstania nie pozostawiał już żadnych wątpliwości, wykazał się przytomnością umysłu i otworzył buntownikom podwoje swojego paryskiego magazynu, pozwalając założyć tam szpital polowy. Dzięki temu jednemu aktowi odwagi, w sumie skromnemu, ale bardzo umiejętnie wykorzystanemu, zajął miejsce u boku bardziej zagorzałych obrońców swobód publicznych. Udało mu się wślizgnąć w ostatniej chwili do niewielkiej koterii skupionej wokół bankierów Laffitte'a i Casimira Periera. To właśnie była ta grupka zdecydowanych ludzi, którzy poparli wstąpienie na tron młodszej gałęzi Burbonów¹ i w ten sposób zdołali oszczędzić krajowi powrotu rewolucyjnej anarchii. W ślad za nimi Dauvergne wspinał się do samych kuluarów władzy. Zaczął czerpać z tego pierwsze konkretne profity, zdobywając ważne zamówienia publiczne tuż pod nosem swoich głównych konkurentów.

Na razie Charles-Marie Dauvergne, z żoną u boku, w pełni delektował się sukcesem. Przyjmował gości w przedsionku i kierował ich w stronę amfilady salonów przeładowanych marmurami i złoceniami, gdzie kwartet smyczkowy grał muzykę kameralną. Czekał tam na nich wystawny bufet skomponowany przez Cheveta, wytwornego kucharza z Palais-Royal. Wokół stołów gromadzono się zgodnie z upodobaniami. Kobiety wspominały o zbliżającym się początku sezonu² oraz o nowych strojach, które zamówiły w oczekiwaniu na nadchodzące bale i przechadzki. Wymieniały się też, cichszym głosem, najnowszymi plotkami o trwających związkach i o tworzących się parach, które widziano niedawno w Lasku Bulońskim lub w operze. Mężczyźni natomiast komentowali bieżące wydarzenia. Niektórzy dyskutowali o szansach przegłosowanego przez Izbę trzydziestomilionowego kredytu na ożywienie gospodarki dzięki rozległemu zastosowaniu subwencji. Inni oburzali się atakami kierowanymi przez legitymistów pod adresem rodziny królewskiej, którą oskarżano o zlecenie zamordowania

ostatniego księcia de Condé, żeby podstępnie zagarnąć jego dziedzictwo. Jeszcze inni przewidywali proces dawnych ministrów Karola X i oceniali, że mają oni nikłe szanse na uratowanie głowy.

Na szczycie okazałych schodów prowadzących do prywatnych pomieszczeń stał niedbale oparty łokciami o balustradę blady młody człowiek o eleganckim wyglądzie, aczkolwiek naznaczonym pewną delikatnością właściwą zazwyczaj rekonwalescentom lub gruźlikom, i kontemlował z posępną miną wytworny obraz ukazujący się jego oczom. Gdyby to zależało od niego, zrezygnowałby z pokazania się publicznie tego wieczoru, lecz jego ojciec nalegał tonem nieznoszącym sprzeciwu. Dauvergne istotnie miał pewien ambitny projekt dla swojego jedyne syna i liczył na jego pełną i całkowitą współpracę. To wystawne przyjęcie miało mu umożliwić sformalizowanie tego czegoś z całą pompą, jakiej wymagała jego nowa pozycja.

Rzeczony projekt liczył siedemnaście wiosen, reagował na słodkie imię Juliette, a przede wszystkim miał wagę około czterystu tysięcy złotych franków w posagu. Mowa o najmłodszej córce bogatego przemysłowca z Normandii, który był właścicielem co najmniej trzech przędzalni między Rouen a Elbeuf oraz wyjątkowo grubego portfela akcji. Zapowiadał się zatem niezmiernie owocny związek, i to nie tylko ze względu na nadzieje przedłużenia wspaniałego rodu Dauvergne. Świeżo upieczony deputowany nie pozostawił swojemu potomkowi cienia wątpliwości, że w jego najlepszym interesie leży zrobienie dobrego wrażenia.

Perspektywa konieczności nadskakiwania przez cały wieczór jakiejś naiwnej gąsce, prawdopodobnie ubranej bez gustu jak prowincjuszka i pozbawionej umiejętności konwersacji, bynajmniej nie zachwycała Luciena Dauvergne'a. W wieku dwudziestu pięciu lat miał on wszelkie cechy rozpieszczonego dziecka i prowadził życie szykownego dandysa z bohemy. Ta lekkomyślność oburzała pana Dauvergne'a ojca. Zaraz po wyborach dał Lucienowi do zrozumienia, że najwyższy czas się ustatkować. W ustach patriarchy oznaczało to dwie rzeczy: zawrzeć korzystne małżeństwo i zacząć się interesować cenami kakao oraz sprawnym funkcjonowaniem jakiejś fabryki. Żaden z tych dwóch celów nie pociągał Luciena,

ale ponieważ ojciec zagroził, że przestanie łożyć na jego utrzymanie, jeśli okaże się nieposłuszny, musiał się podporządkować.

Mimo to mógł liczyć na doskonałą sojuszniczkę w osobie swojej matki.

Pani Dauvergne okazywała synowi pobłażliwość, na jaką ojciec zwykle nie może sobie pozwolić. Ku wielkiemu niezadowoleniu męża zawsze popierała ciągoty Luciena do pisania. Młody człowiek rzeczywiście chełpił się swym talentem literackim. Najpierw bez większego powodzenia próbował sił w poezji, a ostatnimi czasy postanowił urzec swoim piórem publiczność największych paryskich scen. Zachwycał się teatrem, a ponieważ poprzedniej zimy był świadkiem triumfu pierwszych przedstawień dramatu *Hernani*, jego bohaterem został Victor Hugo. Sprytna matka Luciena doprowadziła podstępem do zaproszenia pisarza na przyjęcie, wraz z garstką gderliwych szacownych członków Akademii Francuskiej dla niepoznaki.

Jeśli Lucien w końcu zdecydował się pójść na salony, gdzie kłębił się tłum gości, zrobił to z mocnym postanowieniem, żeby czym prędzej zostawić na lodzie swoją pannę, a nadszkakiwać autorowi *Poezji wschodnich* i *Ostatniego dnia skazańca*. Wydarzenia potoczyły się jednak niezupełnie zgodnie z przewidywaniami. Przede wszystkim spotkała go niemiła niespodzianka, gdy dowiedział się, że pan Hugo odwołał w ostatniej chwili udział w przyjęciu. Pisarz padł ofiarą przykrego przeziębienia, które zmusiło go do pozostania przez kilka dni w domu. Urażony młody Lucien pogodził się już z tym, że spędzi najgorszy wieczór w swoim krótkim życiu, kiedy przedstawiono mu słynną Juliette. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu stwierdził, że jego ojciec spekulant wcale nie wybrał tak źle. Panience nie brakowało wdzięku. Była brunetką o aksamitnym spojrzeniu i wesołym głosem, która zdradzała wyraźne upodobanie do poezji romantycznej. Bardzo szybko, pod czułym spojrzeniem jednych i drugich rodziców, młodzi zaczęli się wymieniać wierszami Lamartine'a i Alfreda de Musseta. Ulegając urokowi ślicznotki, Lucien niemal zapomniał o czterystu tysiącach franków, które były jedyną stawką w tym zaaranżowanym spotkaniu.

Chwile, które poprzedziły dramat, mogły zostać zrekonstruowane dopiero po fakcie na podstawie różnych zeznań. Z informacji zebranych przez inspektorów Sûreté³ wynikało, że w trakcie wieczoru Lucien Dauvergne poszedł na górę, żeby poszukać w swoim pokoju ułożonych przez siebie sonetów. Juliette, której ostatecznie się zwierzył, że sam pisze wiersze, uparła się, że chce mieć przywilej przeczytania kilku z nich. Reszta była o wiele bardziej zagmatwana. Otóż jeden ze służących powiedział, że tuż przed dziesiątą natknął się na młodzieńca w korytarzu na drugim piętrze. By zrobić miejsce w salonach, wniesiono tam różne meble, między innymi imponujące weneckie lustro z pozłacaną ramą, które po prostu postawiono na podłodze i oparto o ścianę. Lucien, z jednym kolaniem na dywanie i dziwnie nieruchomym spojrzeniem, zdawał się zatracać we własnym odbiciu. „Panicz był do tego stopnia zaabsorbowany, że sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał, gdy zapytałem, czy czegoś potrzebuje”, wyjaśnił później kamerdyner policjantom, którzy przyszli dokonać wstępnych ustaleń.

Juliette, konstatując, że jej czarujący partner nie wraca, w końcu wyraziła zdziwienie i wspomniała o tym pani domu. *Madame* Dauvergne, obawiając się jakiegoś nowego kaprysu swojej niepoprawnej latorośli, chciała mieć spokojne serce i rozwiązać problem, zanim mąż zauważy nieobecność Luciena. Kiedy dotarła do przedsionka, spotkała schodzącego na dół kamerdynera i go przepytowała. Zgodnie z jego wskazówkami weszła na podest na drugim piętrze i zobaczyła syna w pozycji, którą chwilę wcześniej jej opisano. Nie poruszył się ani o cal.

Zawołała go, ogarnięta złym przeczuciem.

Na dźwięk tego jakże drogiego głosu młody Lucien wstał. Odwrócił się w stronę przeciwnego końca korytarza niż ten, przy którym stała matka, i krótko pomachał ręką na wysokości głowy, jakby wykonywał nieznaczny gest będący czymś w rodzaju pożegnania. Następnie ruszył zdecydowanym, aczkolwiek nieco chwiejnym krokiem w stronę najbliższego okna, otworzył jedno skrzydło... i spokojnie rzucił się głową naprzód w pustkę.

Pani Dauvergne pobiegła przed siebie z okrzykiem przerażenia. Kiedy dotarła do tego nieszczęsnego okna, zobaczyła już tylko martwe ciało syna leżące pięć

metrów niżej na dziedzińcu, z klatką piersiową przebitą trójzębem boga Neptuna zdobiącego fontannę. Kartki pokryte wersami unosiły się ospale w powietrzu niczym opadające zeschnięte liście.

¹ Ludwik Filip, głowa rodu Orleanów, był kuzynem trzech władców, którzy poprzedzili go na tronie: Ludwika XVI, Ludwika XVIII i Karola X (jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od autora).

² Dla śmietanki towarzyskiej paryski sezon trwał od grudnia do Wielkanocy. Począwszy od maja, najzamożniejsi wyjeżdżali na wieś i wracali do stolicy dopiero późną jesienią.

³ Brygada Bezpieczeństwa (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 2

Grand-Jésus

Było ich około dziesięciu i huśtały się na sznurkach. Grube i wychudzone. Szare i prawie czarne. Kołysały się i wirowały w powietrzu, ocierając się o siebie w makabrycznym, obscenicznym tańcu.

Szczury...

Duże wypchane szczury, zwisające z końca żerdzi, którą mężczyzna trzymał na ramieniu w charakterze szyldu. Osobnik ten, najprawdopodobniej sprzedawca pułapek na myszy i trutek na szczury, szedł powoli w górę rue Saint-Fiacre, posuwając się wzdłuż muru pałacu Uzès. Kiedy go minął, dostrzegł pierwsze wejście do budynku na tej ulicy i skierował się tam chwiejnym krokiem, który zdradzał zmęczenie narastające przez cały dzień.

Już miał spróbować szczęścia, pukając do bramy wjazdowej, gdy jakaś czatująca tam dotąd postać wyłoniła się z cienia tuż przed jego nosem. Biedak drgnął i omal nie upuścił swojej kolekcji gryzoni.

– Ruszaj w swoją drogę, cudaku!

Głos miał w sobie coś młodzieńczego, ale dowodził nieodpartą pewnością siebie. Szczurołap bezwiednie cofnął się o krok.

– Cóż to za maniery?! – zaprotestował skamłującym głosem. – Jestem spokojnym człowiekiem pracy. Sprzedaję packi i wszelkiego rodzaju pułapki.

Nieznajomy, który tak niegrzecznie go zaczepił, był młodym, dwudziestotrzyletnim mężczyzną w szarym surducie, pasiastych spodniach ze

strzemiączkami, w cylindrze nasuniętym na oczy i z elegancką laską w dłoni. Miał szczupłe biodra i kwadratowe ramiona. Jego ponure, lecz bystre spojrzenie przypominało palący płomień. Szlachetne, delikatne rysy o osobliwym, niemal bolesnym wdzięku mogły przywodzić na myśl jakąś niebiańską istotę, która zbłądziła na tym padole. W każdym razie na pierwszy rzut oka, bo uważniejsze oględziny ujawniały pod tą eteryczną powierzchownością nieugiętość, determinację ostrą niczym brzeszczot. Uświadamiano sobie wtedy, że ów anioł jest z tych, które noszą miecz, i że niewzruszone napięcie dostrzegalne w całej jego osobie ma coś wspólnego z drapieżnikiem na czatach.

Ten młody człowiek, którego zdecydowana postawa mogłaby zrobić wrażenie na najokrutniejszych łajdakach, nazywał się Valentin Verne i pełnił funkcję inspektora w Drugim Biurze Pierwszego Wydziału Prefektury Policji. W obyczajówce.

– Wynoś się stąd, mówię ci! Przez ciebie zostanę w końcu zauważony!

– Dobra, dobra – mruknął wędrowny sprzedawca, wycofując się. – Nie ma co się złościć. Jeśli nie można nawet zrobić obchodu i uczciwie zapracować na życie...

Oddalił się pospiesznie, rzucając za siebie bojaźliwe spojrzenia. Dopiero gdy uznał, że jest już bezpieczny, splunął na ziemię i warknął pod nosem:

– Cholerny glina! Zawsze się czepiają biednych ludzi!

Potem wznowił wędrówkę, potrząsając swoją kolekcją trupów niczym grzechotką.

Valentin Verne wzruszył ramionami, upewnił się, że nikt nie zwrócił uwagi na tę scenę, i z powrotem zaszył się w półmroku sieni.

Już od ponad godziny ukrywał się w tym samym miejscu, śledząc dyskretne transakcje między korwetami⁴ i ich klientelą. Rue Saint-Fiacre, wraz z nabrzeżami na odcinku od Luwru po pont Royal oraz bulwarem między rue Neuve-de-Luxembourg a rue Duphot, rzeczywiście stanowiła jedno z ulubionych miejsc spotkań homoseksualistów. Męskie prostytutki wcale się nie ukrywały, lecz baczyły

na to, żeby składać propozycje dopiero po wymianie znaków rozpoznawczych. Sztuczki były zawsze takie same. Korweta udawała, że czyta gazetę pod latarnią, lub powoli przechadzała się ulicą w jednym kierunku, potem w drugim, a jakiś samotny osobnik, najczęściej dobrze ubrany, zwalniał kroku na jej wysokości. Następowala wymiana spojrzeń. Jeżeli sprawa wchodziła w grę, spóźniony spacerowicz chwycił prawą ręką klapę swojego fraka lub surduta, unosił ją na wysokość brody i nieznacznie pochyłał tułów. Rozpoznawali się. Ciąg dalszy przybierał postać krótkich, prowadzonych po cichu negocjacji. Zazwyczaj obaj mężczyźni dochodzili do porozumienia i znikali w jednym z obskurnych domów czynszowych przy ulicy.

Odkąd inspektor Verne prowadził obserwację, był już świadkiem pół tuzina tego rodzaju schadzek. Jedna z par zdążyła nawet sfinalizować swój mały interes. Klient, gdy tylko zszedł na dół, czmychnął w kierunku boulevard Poissonnière, ocierając się o kryjówkę policjanta. Drogi płaszcz, dobrej jakości trzewiki, znaczna tusza, pomarszczona twarz i posiwiałe bokobrody. Chłopak, którego względy właśnie kupił i który wznowił oczekiwanie nieco dalej na ulicy, nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat.

Tylną część gardła Valentina Verne'a opanował jakiś gorzki smak. Próbując uspokoić wzburzenie, wyciągnął z kieszeni kamizelki zegarek i musiał się skupić, żeby rozszyfrować godzinę w półmroku gęstniejącym wraz z zapadającym wieczorem. Minęło wpół do siódmej. Jeśli informacje jego szpicla okazałyby się ścisłe, człowiek, na którego czatował, powinien się niebawem pokazać.

Cierpliwość rzeczywiście została wkrótce nagrodzona. Niecałe dziesięć minut później wiedział, że jego cel się zbliża. Poczuł to, jeszcze zanim uzyskał wizualne potwierdzenie. Jakby atmosferę na ulicy nagle naładowano elektrycznością, taką jaką poprzedza burzę. Korwety, nie zmieniając niczego w swoim zachowaniu, wydawały się jednak bardziej nerwowe. Coraz częściej wymieniały między sobą niespokojne spojrzenia, przeczesywały dłońmi włosy albo gorączkowo poprawiały kołnierze surdutów. Potem od fasad odbiło się echo ciężkich kroków.

Inspektor Verne pochylił się do przodu, pozwalając, by połowa jego twarzy wyłoniła się ze sklepionej bramy, w której się kulił. Przybysz, ubrany w obszerny płaszcz z potrójnym kołnierzem, pojawił się właśnie od strony rue des Jeûneurs i powoli zmierzał ulicą w kierunku bulwaru. Był to krótkonogi, krępy osobnik, niemal tak szeroki jak wysoki. Beczka na dwóch nogach. Bez pośpiechu podchodził do każdej męskiej prostytutki. Zanim się oddalił, za każdym razem wyciągał wielkie łapsko, a jego rozmówca wsuwał mu coś w dłoń. Poruszając się w tym majestatycznym tempie, potrzebował prawie kwadransa, żeby zagadnąć wszystkie korwety i pokonać odległość dzielącą go od sieni, w której czaił się policjant.

– Wygląda, że interes się kręci – szepnął tamten, gdy chodząca baryłka znalazła się na jego wysokości. – Niezłe zyski tu osiągasz, Grand-Jésus!

Jeśli sutener był zaskoczony, że tak się go nagabuje na jego terenie, nie dał tego po sobie poznać. Małe, zwężone oczy zadowolily się przeczesaniem półmroku pod bramą wjazdową.

Valentin Verne zrobił krok do przodu, żeby się ujawnić.

– Na pewno zgodzisz się na krótką rozmowę z funkcjonariuszem na służbie. Będę się streszczał. Zdaję sobie sprawę, że twój czas jest cenny.

Grubas tym razem okazał zakłopotanie. Jego głowa obróciła się gwałtownie w kierunku obu końców ulicy. Rzec by można, że próbował się upewnić, iż jego owieczki nie zwracają na nich uwagi lub, co bardziej prawdopodobne, że nikt inny nie kryje się w pobliżu. Bez wątpienia uspokojony co do tej ostatniej kwestii, pozwolił, by nieznaczny uśmiech rozjaśnił jego puciołowatą twarz.

– Funkcjonariusz, hę? – wyszeptał przymilnym głosem, a jego tłuste wargi nieodparcie skojarzyły się Verne'owi z dwoma oślizgłymi ślimakami. – Rue de Jérusalem⁵, jak sądzę. Obyczajówka czy Sûreté?

– Policja obyczajowa, inspektor Verne. Miałbym do ciebie kilka pytań.

Mężczyzna, do którego młody policjant zwrócił się, używając przydomka Grand-Jésus, zmarszczył podejrzliwie powieki. Był pozornie dobrodusznym

osobnikiem, czasem krzykliwym, czasem nieufnym, a zawsze podłym i okrutnym.

– Verne, powiada pan? Nie znam! Wygląda pan bardzo młodo. Niewątpliwie jest pan nowy w wydziale, ale pański szef, komisarz Grondin, musiał panu powiedzieć, że mamy swoje własne układziki.

– Układziki, a to dopiero...

– Nigdy nie odmawiam współpracy z władzami. Jeśli chodzi o sprawy porządku, można zaufać Grand-Jésusowi. Otóż jestem człowiekiem z zasadami!

Wbijając ostre spojrzenie w kanałię, Valentin Verne sięgnął za siebie i pchnął ciężkie skrzydło bramy. Wychodziła na sklepione przejście i podwórko, które służyło pałacowi Uzès za wozownię. Policjant rozejrzał się tam po przybyciu na miejsce. Było opustoszałe i doskonale nadawało się do poufnej rozmowy.

– Wejźmy na chwilę – nakazał tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Będzie nam wygodniej gawędzić z dala od wścibskich uszu.

Alfons przestał się uśmiechać. Zmarszczył czoło, ale w końcu się podporządkował, nie mając odwagi choćby słabo zaprotestować. Zadaszone przejście cuchnęło moczem i końskim łajnem, a jedyne światło, skąpe i szarawe, pochodziło z małego podwórka, gdzie wygłodniały kot siedział na szczycie kupy gnoju. Czmychnął bezzwłocznie, gdy tylko usłyszał kroki dwóch mężczyzn.

– Dobra, o co chodzi? – warknął Grand-Jésus. – Mam sprawy, którymi muszę się zająć. Czego właściwie pan ode mnie chce?

Policjant przełożył laskę pod lewą pachę, starannie założył rękawiczki z cienkiej koziej skóry i odpowiedział uprzejmym głosem:

– Mówiłem ci: najwyżej kilku informacji. Na przykład z tego, co zrozumiałem, twoje cioty nie tylko szlifują bruki. Podobno zdarza ci się organizować dostawę do domu. Zgadza się?

W oczach sutenera zapłonął podejrzliwy błysk. Zebrał się w sobie niczym jarmarczny zapaśnik, który szykuje się do odparcia ataku lub, przeciwnie, gromadzi siły, żeby rzucić się na rywala.

– Możliwe – mruknął niechętnie. – Każdy dobry kupiec musi umieć się dostosować do popytu. Ale nie rozumiem, do czego pan zmierza. Jak już mówiłem, inspektor Grondin jest dobrze poinformowany. Wie, że mnie można zaufać.

Valentin Verne przerwał mu zdecydowanym ruchem ręki. Nadal jednak mówił tonem typowym dla spokojnej wymiany zdań między ludźmi z tego samego środowiska.

– Zapomnijmy na chwilę o drogim komisarzu. Bądź co bądź jesteśmy tu sam na sam. Otóż powiedziano mi, że wyspecjalizowałeś się w delikatnych ciałach. Smarkaczach, których zapewniasz sobie za pośrednictwem Szpitala Dzieci Znalezionych i dostarczasz do eleganckich dzielnic. To prawda?

– Ludzie zawsze za dużo gadają – westchnął Grand-Jésus. – Trudno się przejmować wszystkimi plotkami! Mogę pana zapewnić, że...

Nie zdążył dokończyć, bo młody inspektor niespodziewanie wymierzył mu siarczasty policzek. Gruby alfons się zachwiał, bardziej wstrząśnięty z powodu zaskoczenia niż bólu.

– Pan oszalał! – zaprotestował, unosząc dłoń do płonącego policzka. – Przecież mówię, że mam układy z pańskim szefem! Jestem pod jego ochroną.

– Układy komisarza Grondina dotyczą wyłącznie jego – odpowiedział niedbale inspektor, poprawiając fular zawiązany wokół kołnierzyka koszuli. – Dla mnie jesteś tylko obrzydliwym śmieciem i stanowczo ci radzę nie uchylać się dłużej od odpowiedzi na moje pytania.

– Nie ma pan prawa! To jest nadużycie władzy. Poskarżę się do...

– „Wikary”, coś ci to mówi? – przerwał mu oschle policjant.

Grand-Jésus nieco się zawahał. Przewrócił oczami i machnął przecząco głową.

– Jak pan mówi? Wi... Wikary? Nigdy nie słyszałem tego przydomka! W każdym razie ani ja, ani moja łepetyna, a to już dwoje!

– Zła odpowiedź! Przecież cię ostrzegałem.

Tym razem Valentin Verne wymierzył mu gwałtowny cios pięścią na wysokości wątroby. Tamten zgiął się wpół, kwicząc jak świnia. Młodzieniec wyprostował go

hakiem w czubek brody. Grand-Jésus zatoczył się do tyłu i uderzył głową w kamienną ścianę. Ktoś inny zostałby ogłuszony na dobre, ale pod zwałami tłuszczu alfons był obdarzony solidną posturą i nie brakowało mu siły. Wydał z siebie ryk wściekłości i wyciągnął nóż spod ubrania o długich baskinkach.

– Ty mała mendo – warknął, kierując ostrze poziomo. – Zapłacisz mi za to, nędzny glino! Zaraz wypruję ci bebechy!

Z zadziwiającą zwinnością jak na człowieka jego tuszy rzucił się na inspektora. Ten zaś, nie okazując ani cienia strachu, uniknął napaści, obracając się elegancko wokół własnej osi. W trakcie tego samego ruchu zadał błyskawiczny cios laską w przedramię przeciwnika, zmuszając go do upuszczenia broni. Następnie, gdy grubas mijał go niesiony siłą rozpędu, wymierzył mu drugi cios na odlew, tym razem w kark.

Grand-Jésus zwałił się jak długi na brukowane podwórko. Nie dając mu szansy na odzyskanie przytomności, inspektor przewrócił go na plecy. Upadając, złoczyńca rozciął sobie dolną wargę, a krew zmieszana ze śliną poplamiała mu podbródek. Z wybałuszonymi oczami i szeroko otwartymi ustami próbującymi zaczerpnąć powietrza, wił się z bólu i wyglądał jak jakiś wielki karp wyciągany z wody.

Nie tracąc nic z ewidentnego spokoju, Valentin Verne zaczął metodycznie tłuc leżącego, wymierzał mu kopniaki i ciosy laską po całym ciele. Działał z lodowatą obojętnością, a jego przystojna twarz pozostała beznamietna, jakby nie odczuwał najmniejszych emocji.

Alfons bardzo szybko przestał się szamotać. Z jego popękanych ust wydobywał się już tylko słaby jęk zwierzęcego cierpienia, niewyraźny i płaczliwy, wyrażający błaganie o litość. Młody policjant jeszcze przez kilka minut kontynuował przykładne bicie, a następnie przyklęknął obok swojej ofiary. Ujął zakrwawioną twarz w dłonie w rękawiczkach i przejechał palcem wskazującym wzdłuż nosa, z którego wydostawały się smarki i fragmenty chrząstki. Potem nachylił się jeszcze bardziej, a do ucha Grand-Jésusa popłynął jego łagodny, głęboki głos:

– Któregoś dnia, jutro, za tydzień, za miesiąc lub rok – to bez znaczenia! – może się zdarzyć, że człowiek, który każe się nazywać Wikarym, zechce skorzystać z twoich usług. Tego dnia, uwierz mi na słowo, będzie dla ciebie najlepiej, jeśli natychmiast przyjdiesz mnie o tym poinformować. Inspektor Verne, Valentin Verne. Przede wszystkim dobrze zapamiętaj to nazwisko!

⁴ Młode męskie prostytutki.

⁵ Dawna ulica na Île de la Cité, gdzie mieściła się wówczas siedziba prefektury policji.

ROZDZIAŁ 3

Beczka prochu

Tego ranka Valentin Verne wcześniej opuścił kamienicę pod numerem 21 przy rue du Cherche-Midi. Zajmował tam duże mieszkanie na trzecim piętrze. Było to zdecydowanie zbyt luksusowe lokum jak na dwudziestotrzyletniego młodzieńca, który dysponował jedynie skromnym uposażeniem inspektora. Gdyby jego koledzy wiedzieli, jakiego rodzaju życie prowadzi, pewnie by mu zazdrościli, ale Valentin nie był osobą, która łatwo nawiązuje kontakty. W ciągu roku, odkąd wstąpił do Wydziału Obyczajowego Prefektury Policji, żaden członek brygady nie zbliżył się do niego na tyle, by zaowocowało to choćby odrobiną zażyłości. W najlepszym razie go ignorowano, w najgorszym mu nie ufano, ale mimo młodego wieku jego nietowarzyska osobowość nie przysporzyła mu jak dotąd oznak bardziej otwartej niechęci.

O tej porze roku i o tej porannej godzinie wilgotna mgła spowijała Paryż watowanym kokonem. Młody inspektor zadrżał i podniósł kołnierz surduta. Potem przyspieszył kroku, wymachując laską z dezynwolturą, która bynajmniej nie odzwierciedlała jego nastroju. Poprzedniego dnia wieczorem, w chwili gdy opuszczał prefekturę policji, został zaskoczony co najmniej niespodziewanym wezwaniem, które mu doręczono. Nazajutrz z samego rana pragnął się z nim spotkać komisarz Jules Flanchard, szef Sûreté.

Valentin znał z widzenia tego policjanta o nieposzlakowanej opinii, ale jeszcze nigdy nie miał okazji z nim rozmawiać. Przed wszystkim jednak nie miał

wcześniej nic wspólnego ze sprawami, którymi zajmowała się Brygada Bezpieczeństwa. Została utworzona w czasach Cesarstwa przez byłego skazańca Vidocq'a, żeby tropić pospolitych przestępców i zwalczać paryski półświatek. Od 1827 roku, po zmianie na stanowisku jej szefa, była w trakcie restrukturyzacji i w korytarzach prefektury szeptano, że przekształca się w tajną policję odpowiedzialną za inwigilowanie i tropienie przeciwników politycznych nowego reżimu. Pod jakim względem tego typu działalność mogła dotyczyć Valentina?

Ponieważ ciągle się nad tym zastanawiał, przyszło mu do głowy coś zupełnie innego – czy to nagłe wezwanie może wynikać z jego zachowania wobec Grand-Jésusa. Ich gwałtowna konfrontacja miała miejsce dwa dni wcześniej, więc jeśli sutener rzeczywiście korzystał z ochrony, miał mnóstwo czasu, żeby ją uruchomić. To wyjaśnienie nie było jednak w pełni satysfakcjonujące. Gdyby szefostwo zamierzało zganić Valentina za brutalność, powinien zostać zbesztany przez swojego bezpośredniego przełożonego w obyczajówce, komisarza Grondina. Dlaczego wykroczenia agenta tej służby miałyby interesować Sûreté?

Młody człowiek gubił się zatem w próżnych domysłach i niemalże spieszo mu było stanąć twarzą w twarz z Flanchardem, żeby pozbyć się w końcu wątpliwości. Mimo to na skrzyżowaniu Croix-Rouge znalazł czas, by swoim zwyczajem zjeść po drodze szybkie śniadanie. Przy kawiarnianym stoisku na świeżym powietrzu przełknął dużą filiżankę napoju, któremu cykoria nadała gorzki smak, i zagryzł tostem z miodem. Z pełnym żołądkiem ruszył dalej i idąc rue des Saints-Pères, dotarł do quai Malaquais.

Słońce dopiero zaczynało się przebijać przez grubą warstwę chmur. Na przeciwległym brzegu rzeki, poniżej pałacu Tuileries i Luwru, widać było port Saint-Nicolas skąpany w bladawym świetle. Miejsce to już tętniło życiem. Nie zatrzymując się, Valentin śledził wzrokiem krzątanicę marynarzy i tragarzy, którzy uwijali się na błotnistym brzegu, a także pierwszych pasażerów wchodzących na pokład tramwaju wodnego obsługującego dzielnice Chaillot, Auteuil i Javel. Ta wędrówka po nabrzeżach w kierunku Île de la Cité pobudziła krążenie krwi

młodego inspektora i dobrze mu zrobiła. Wezwanie zeszło w jego myślach na drugi plan.

Zarysował się przed nim Pont-Neuf, zatłoczony ulicznymi handlarzami. Wszedł nań, torując sobie drogę między groteskowo ubranymi sprzedawcami, którzy oferowali nielicznym o tej porze przechodniom rozmaite tandetne artykuły, ciasta i kosmetyki dobre na wszystko, lecz nienadające się do niczego. Przeszedłszy jeszcze kilkadziesiąt metrów, skręcił w rue de Jérusalem. Prefektura policji mieściła się w dawnej rezydencji przewodniczących parlamentu paryskiego. Na drugim piętrze wszedł do biura Sûreté, gdzie niechlujny odźwierny poprosił go, żeby zaczekał w ciemnym korytarzu. Stał tam cierpliwie dobre dwadzieścia minut, wystarczająco długo, by być świadkiem defilady kapusiów, zamaskowanych osobników i postaci godnych parady karnawałowej.

Kiedy wreszcie wprowadzono go do gabinetu z wyblakłymi malowidłami, zobaczył dobrze zbudowanego mężczyznę, który był do niego zwrócony plecami i przypatrywał się rzece przez okno. Ponieważ użytkownik pomieszczenia zdawał się nie zauważać jego obecności, Valentin celowo odchrząknął. Tamten nie od razu zareagował i trwał bez ruchu jeszcze przez co najmniej minutę, zanim raczył się obrócić na pięcie.

Komisarz Flanchard, człowiek pełen kontrastów, emanował swego rodzaju dobroduszną energią, która mogła zbijać z tropu jego rozmówców. Miał lwią grzywę, gęste bokobrody i posturę zapaśnika, a także nieco prymitywne rysy, które były przyjemnie łagodzone przez jasne spojrzenie, ironiczną zmarszczkę w kąciку ust i powściągliwe gesty. Zajął miejsce za biurkiem z czarnej laki, otworzył cienką teczkę na akta i szybko przejrzał kilka stron.

– Inspektor Valentin Verne – powiedział w końcu monotonnym głosem, podnosząc wzrok na swojego gościa. – Jeśli mam wierzyć tej notatce, rozpoczął pan służbę w Drugim Biurze Pierwszego Wydziału niespełna trzynaście miesięcy temu. Czy tak?

– Zgadza się, panie komisarzu.

– I podoba się panu w obyczajówce?

– Cóż – odparł Valentin, nieco zakłopotany tym wstępem – sam podjąłem starania, żeby powołano mnie do tej służby. Byłoby zatem niewłaściwe, gdybym się dziś na to skarżył.

Flanchard skinął głową i zmrużył oczy, jakby chciał się uważniej przyjrzeć swojemu rozmówcy. Potem wskazał niedbałym gestem krzesło i poprosił go, żeby usiadł.

– Nie chcę urazić swojego kolegi Grondina – kontynuował niemal swobodnym tonem – muszę jednak przyznać, że jego brygada nie ma zbyt dobrej prasy. Krytykuje się jego ludzi za brak dyscypliny i pokątne układy z kuplerkami⁶, a niektórzy posuwają się nawet do oskarżania ich o haniebne aresztowania uczciwych kobiet, podczas gdy rzekomo pozwala się działać... w zamian za jakie korzyści?... ladacznicom, które pracują na ulicy wbrew najbardziej elementarnym zasadom sanitarnym. Przyznaję, że nie brakuje oszczerców i nie należy przywiązywać zbyt dużej wagi do plotek, zna pan jednak powiedzenie: nie ma dymu...

Valentin nieznacznie zeszywniał. Zastanawiał się, czy takie słowa, zaskakujące w ustach oficera policji, są sposobem na przejście do kwestii jego napaści na Grand-Jésusa, czy też chodzi o to, że Flanchard go testuje. Wobec tych wątpliwości postanowił nie mówić niczego, co mogłoby zakrawać na zakwestionowanie lub potwierdzenie tych uwag, ale porywczy temperament skłonił go do uszczypliwości.

– Odniosłem wrażenie, że Brygadzie Bezpieczeństwa też nie oszczędzono ataków. Mówi się po cichu, że można w niej spotkać wielu łobuzów, i to nie tylko wśród aresztowanych.

– Strzał w dziesiątkę! – wykrzyknął komisarz, przywierając plecami do oparcia fotela i splatając palce na brzuchu. – Aczkolwiek sytuacja się zmienia. Czas pana Vidocqa i jego zbirów już minął. Niewątpliwie da się wykonywać dobrą robotę policyjną z ludźmi o nieposzlakowanej uczciwości.

Valentin nie zadał sobie trudu, żeby przytaknąć.

– Otóż jeśli odwołać się do dokumentów, które mi przekazano – mówił dalej Flanchard, stukając w jego akta – okazuje się, że jest pan jednym z tych właśnie ludzi. Ojciec rentier, zmarły cztery lata temu, który zostawił panu dość pokaźny spadek. Bardzo dobre wykształcenie. Studia prawnicze ukończone z wyróżnieniem. Napisano tu również, że uczęszczał pan do Szkoły Farmacji przy rue de l'Arbalète.

– Tak, ale nieregularnie. Lubiłem przede wszystkim wycieczki botaniczne i pokazy doświadczeń chemicznych. Mój ojciec Hyacinthe Verne przyjaźnił się z kilkoma nauczycielami z tej szkoły. Pozwoliło mi to na dość swobodne pobieranie niektórych lekcji.

– I tego panu gratuluję. Prawo, nauki przyrodnicze... Głowa nie tylko na karku, ale i dobrze wypełniona. Byłoby z wielką szkodą dla policji, gdyby takie talenty nie zostały wystarczająco wykorzystane.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

Komisarz uniósł palec wskazujący pionowo nad głową.

– Pańskie zalety zostały zauważone na wysokim szczeblu i wczoraj otrzymałem zawiadomienie o oddelegowaniu pana.

– Oddelegowaniu?

– Zostaje pan tymczasowo oddany pod moje rozkazy i włączony do Brygady Bezpieczeństwa. Mam na głowie dość delikatną sprawę i chcemy powierzyć śledztwo inspektorowi zarówno godnemu zaufania, jak i dyskretnemu, który nie może być podejrzewany o jakąkolwiek stronnicość polityczną. Wydaje się, że pasuje pan do tego opisu. A co pan sam o tym sądzi?

Valentin absolutnie się nie spodziewał, że rozmowa przybierze taki obrót. Perspektywa przeniesienia, nawet na krótko, bynajmniej go nie cieszyła. W obyczajówce miał wystarczająco dużo czasu na ściganie Wikarego, a nie był pewien, czy będzie mógł się cieszyć taką samą swobodą w przyszłości. Jeśli jednak decyzja o zmianie wydziału została już podjęta, okazywanie niezadowolenia nie miało najmniejszego sensu. Lepiej było udawać, że chętnie akceptuje tę sytuację.

– Czy mogę się dowiedzieć czegoś więcej o tej delikatnej sprawie, o której pan przed chwilą wspomniał?

– Oczywiście! Przed wyjściem stąd i tak otrzyma pan raport sporządzony na podstawie wstępnych ustaleń i zeznań zebranych na miejscu. Krótko mówiąc, chodzi o gwałtowną śmierć syna wybitnego człowieka, Charles’a-Marie Dauvergne’a, nowego członka Izby. Wszystko prowadzi do wniosku, że było to samobójstwo, ale okoliczności są nieco niepokojące i sama rodzina domaga się przeprowadzenia dokładnego śledztwa.

– Podejrzewa się morderstwo?

Flanchard gwałtownie machnął ręką. Rzec by można, że chciał wymazać ostatnie słowo wypowiedziane przez Valentina.

– Nie, nie. Nie posunąłbym się tak daleko. Powiedzmy tylko, że ta śmierć wymyka się zdrowemu rozsądkowi i że na miejscu było wystarczająco dużo ludzi, by krążyły najbardziej niepoważne wersje. Otóż ze względu na pozycję polityczną ojca byłoby niezręcznie, gdyby niektórzy pozwalali sobie na rozdmuchiwanie tej sprawy. Stąd potrzeba szybkiego ustalenia prawdy i uniknięcia w ten sposób podgrzewania nastrojów. Nie muszę chyba panu przypominać, do jakich niepokojów doprowadził tego lata tajemniczy zgon księcia de Condé.

Nawet jeśli Valentin prowadził egzystencję raczej na marginesie społeczeństwa, nie znaczyło to, że nie dotarły do niego echa tego niedawnego skandalu. Starego księcia królewskiej krwi znaleziono powieszzonego na zasuwicy okna jego sypialni w zamku Saint-Leu. Ponieważ w testamencie wyznaczył jako jedyne spadkobiercę księcia Aumale, syna Ludwika Filipa, zwolennicy Karola X czym prędzej oskarżyli nowego króla o zlecenie zabójstwa w celu zagarnięcia ogromnej fortuny. Śledztwo uzupełniające nadal było w toku, a w oczekiwaniu na jego wyniki teorie samobójstwa oraz zawołowanej zbrodni cieszyły się taką samą przychylnością opinii publicznej⁷.

– Mówi się, że legitymiści są gotowi na wszystko, żeby zdyskredytować nową władzę – zauważył Valentin. – Starsza gałąź Burbonów nie mogła znieść, że została

wyrugowana przez swoich orleańskich kuzynów.

Komisarz Flanchard obszedł biurko, ponownie stanął przed oknem i je uchylił. Skrzyżował ręce za plecami i oddychał głęboko, tak jakby wyłącznie wciągając powietrze, chciał uchwycić paryską atmosferę w całej jej złożoności, z jej namiętnościami, napięciami i skrytymi walkami. Po chwili odwrócił się i westchnął przeciągle.

– Gdybyśmy musieli się martwić tylko karlistami⁸ – rzucił – utrzymanie porządku byłoby łatwe, ale władza nadal jest bardzo krucha, a republikanie wciąż nie pogodzili się z wynikiem wydarzeń lipcowych. Wiemy, że niektórzy z nich zorganizowali się w tajne stowarzyszenia i czyhają na najmniejszą okazję, żeby zachwiać tronem. Widzieliśmy ich znowu w akcji jakieś dziesięć dni temu.

– Domyślam się, że robi pan aluzję do marszu wichrzycieli na Vincennes.

– Do licha! Ci szaleńcy koniecznie pragną doprowadzić do śmierci uwięzionych ministrów. Są przekonani, że pociągnie to za sobą zerwanie z poplecznikami Karola X i z mocarstwami europejskimi. To, czego chcą, oznacza ucieczkę do przodu, powrót rewolucyjnego terroru. Kosztem podpalenia całego królestwa i pogrążenia go w przegranej z góry wojnie przeciwko sprzymierzonej Europie!

Po rewolucji lipcowej czterech ministrów Karola X, w tym księżę de Polignac, były przewodniczący Rady Ministrów, zostało aresztowanych podczas próby ucieczki za granicę. Ich proces o zdradę stanu miał się rozpocząć w grudniu przed Izbą Parów. Jego wynik stał się odtąd kwestią największej wagi dla różnych frakcji politycznych w kraju. Na początku października Izba Deputowanych, dążąc do uspokojenia sytuacji, uchwaliła adres⁹, w którym domagała się od króla przedstawienia projektu zniesienia kary śmierci w sprawach politycznych. To wystarczyło, żeby wywołać falę oburzenia w szeregach republikanów. Najbardziej radykalni z nich wtargnęli do Palais-Royal, a następnie dotarli do fortu w Vincennes, zamierzając wyciągnąć ministrów z lochu i natychmiast ich

rozstrzelać. Tylko zdecydowana interwencja Gwardii Narodowej pozwoliła położyć kres rozruchom.

– Obawia się pan zatem, żeby śmierć syna Dauvergne’a nie posłużyła za pretekst do nowych niepokojów? – zapytał Valentin.

– Powiedzmy, że wydaje się to co najmniej wyobrażalne. Dopóki nie odbędzie się proces ministrów, Paryż jest istną beczką prochu. Oczekuje się od nas... – Flanchard uśmiechnął się nieznacznie i wskazał palcem na swojego rozmówcę, a potem się poprawił: – Oczekuję, że wyrwie pan z niej ten ewentualny lont. No a teraz proszę pokazać, że jest pan godny mojego zaufania!

⁶ Właścicielki domów publicznych (przyp. tłum.).

⁷ Historycy skłonni są dziś postrzegać tę niezwykłą śmierć raczej jako fatalną konsekwencję nieudanej gry erotycznej.

⁸ Termin używany przez ówczesne władze na określenie zwolenników Karola X, zwanych również legitymistami.

⁹ Pisemna prośba, którą ukonstytuowane organy (np. Izba Deputowanych, Izba Parów) mogły wystosować do króla.

ROZDZIAŁ 4

Pamiętnik Damiena

Jaki sens ma przelewanie tego wszystkiego na papier? Czego mogę oczekiwać, skrzypiąc gęsim piórem w ciszy swojego pokoju? Dokąd mogą mnie zaprowadzić ścieżki atramentu przecinające biel kartki? Czy to jest wyjście, którego szukam? Droga z mroku do światła? Z nicości do życia?

Urojenia!

Czasami wydaje mi się, że nigdy nie wyszedłem z tej piwnicy, z całej tej czerni. Bo ta paszcza mroku schwytała mnie i połknęła. Bo ciemność jest nie tylko wokół mnie, lecz teraz także we mnie. Wszędzie. Przez cały czas i na zawsze. Stała się drugą częścią mnie. Najgłębszą. Tą, która pozostaje w ukryciu. Tą, do której muszę się zbliżyć po omacku nawet w pełnym słońcu, na podobieństwo ślepcy błądzącego w swojej wiecznej nocy.

Nigdy nie czytam ponownie tego, co piszę. Po co? Pozwalam działać dłoni, by zdania pełzły po kartce, kręte niczym węże wijące się na śniegu. Zachowuję dystans. Zadowolam się obserwowaniem z daleka tych splotów ciemnych gadów. Być może dzięki cierpliwości doprowadzą mnie do owej twarzy, którą spodziewam się zobaczyć, uciekającej przede mną od tak dawna, odkąd sięgam pamięcią... Twarzy tej, która była moją matką.

Czasami, w meandrach snu, wydaje mi się, że jestem w stanie ją uchwycić. Są tam wszystkie te małe odłamki szkła, ostre, tnące, rozrzucone dookoła mnie. Setki fragmentów, najpierw rozproszonych, a potem skupiających się pod

wpływem jakiejś niewidzialnej siły niczym namagnesowane opiłki żelaza. Stopniowo tworzy się obraz. Dostrzegam idealny owal, długie włosy, które delikatnie falują i przywodzą mi na myśl omdlewające algi pod powierzchnią wody. Rysy układają się na swoim miejscu, ale na koniec zawsze brakuje jednego kawałka pośrodku zrekonstruowanego lustra. Ryzykując, że się skaleczę, przeciągam dłońmi po ziemi w poszukiwaniu zagubionego fragmentu. Daremny trud! A kiedy doprowadzony do rozpaczy wstaję, by spróbować nałożyć własne odbicie na wciąż nieuchwytną twarz rodzicielki, wypolerowana powierzchnia znów pęka. Deszcz szklanych drzazg kaleczy moje ciało tysiącem cięć, które krwawią w ciemności.

Nie znałem swoich rodziców. Wiem o nich bardzo niewiele, a i tego dowiedziałem się znacznie później, już jako dorosły. Kilka wskazówek pozwala mi sądzić, że mój ojciec był majątnym kupcem lub paryskim rentierem, prawdopodobnie żonatym z inną kobietą. Moja matka pracowała jako pracznica na przedmieściu Saint-Antoine. Porzuciła mnie, gdy byłem jeszcze oseskiem, w oknie życia jakiegoś paryskiego przytułku. Do pieluszki wsunięto mi świadectwo chrztu, z moim imieniem i nazwiskiem. Siostry miłosierdzia po miesiącu oddały mnie do wykarmienia leśnikom z masywu Morvan, zadowolając się zakomunikowaniem im tylko mojego imienia: Damien. Sześć liter jako jedyny wiatyk. To bardzo mało, żeby utorować sobie drogę przez życie.

Niedola!

Małżeństwo, które mnie przygarnęło, nie miało innych dzieci. Dwa miesiące przed moim przybyciem urodziła im się córeczka, ale rozwiązanie było trudne. Niemowlę przeżyło tylko kilka dni, a kobieta nie mogła już zająć w ciążę. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że wzięli mnie do siebie w odruchu przetrwania, trochę jak człowiek, który wpadł do wody i rzuca się na pierwszy pływający przedmiot w zasięgu ręki, by uniknąć utonięcia. Poczuli potrzebę przeciwstawienia się zrządzeniu losu, zapełnienia straszliwej pustki w swoim ognisku domowym, mrocznej otchłani, która groziła, że ich pochłonie. Po latach uświadomiłem sobie, że może żywili do mnie gwałtowne i sprzeczne uczucia.

Przecież byłem tym, który zajmował miejsce ich prawdziwego dziecka. Ale tak długo, jak pozostawałem u ich boku, nigdy nie wyczułem u nich jakiegokolwiek rozgoryczenia. Opiekowali się mną najlepiej, jak umieli, ja zaś zawdzięczam im to, że przetrwałem zmienne koleje wczesnego dzieciństwa.

Zachowałem bardzo mało prawdziwych wspomnień z pierwszych ośmiu lat życia. To raczej reminiscencje, utworzone głównie z doznań, które się we mnie wtopiły. Czasami mam wrażenie, że są jak igły wbite w moje ciało. Wynika to z nadmiernej wrażliwości. Wystarczy cokolwiek, byle muśnięcie, by wyszły na powierzchnię. Mieszkaliśmy w osadzie na skraju lasu. Dom, zimny w zimie, duszny w lecie, pachniał wiórami drewna i mokrą sierścią zwierząt. Kiedy próbuję sobie przypomnieć ten okres, odnajduję światło słoneczne rozproszone przez liście, woń mchu i grzybów, ostry smak koziego mleka, kontrast między miękkością ciepłej dłoni na moim policzku a wypukłością odcisków powstałych od posługiwania się siekierą. Wracają też do mnie urywki kołysanki, której słowa uleciały na zawsze, ale melodia, nucona czułym głosem, wciąż mnie nawiedza, fragmentaryczna, nierealna, jak uporczywe tchnienie czułości.

Myślę, że nie byłem nieszczęśliwym dzieckiem, ale małą samotną istotą, bez wątpienia trochę zbyt płochliwą. Inne chłopaki z osady zrezygnowały z oswojenia mnie i nie dopuszczały do swoich zabaw, a ja nie podejmowałem żadnych prób, żeby się do nich zbliżyć. Wolałem towarzystwo zwierząt. Domowych lub dzikich. Znacznie później, gdy brak miłości ścisnął mnie za gardło i odwoływałem się do pamięci, żeby pokonać nadmiar cierpień, ukojenie przychodziło na wspomnienie tych stworzeń jeszcze bardziej bezbronnych niż ja. Pisklęcia, które wypadło z gniazda, miotu kociąt, koźlątko, które dopiero co wyszło z łona matki. Tak, długo byłem przywiązany do tych małych, drżących i drogich rzeczy: puchu piór, kulek sierści, wilgotnych języczków.

Iluzje!

Kiedy piszę, że nie zachowałem żadnego wyraźnego wspomnienia z dzieciństwa, nie jest to do końca prawda. Pamiętam doskonale pewien letni wieczór. Skończyłem właśnie siedem lat i od trzech miesięcy byłem jedynym

mężczyzną w domu, bo leśniczy, który przyjął mnie pod swój dach, zniknął pewnego pięknego poranka. Był gruboskórnym, milczącym chłopem, który potrafił jednak, na swój sposób, okazać mi jeśli nie miłość, to przynajmniej dobroć. Ani on, ani jego żona nie uznali za stosowne wyjaśnić mi przyczyn jego odejścia, ale wystarczyło, żebym zobaczył łzy w oczach kobiety, którą uznawałem wtedy za matkę, by zrozumieć, że w nasze życie wtargnęło nieszczęście. Ta nieobecność naznaczona pieczęcią milczenia zdawała się potwierdzać najwyższe prawo losu: osoby, które kochamy, prędzej czy później odchodzą z naszego życia. Tak to już jest. Nikt nie może uniknąć tego przekleństwa.

I znów dopiero znacznie później dowiedziałem się, co się stało. Był lipiec 1815 roku. Miesiąc co do dnia po klęsce pod Waterloo. Kierując się tym ślepy entuzjazmem, który nastąpił w wyniku lotu orła¹⁰, mój przybrany ojciec wyjechał, żeby dołączyć do wielkiej cesarskiej armii i walczyć w Belgii. Jego zwłoki pozostały tam, na rozległej równinie smaganej przez deszcze i wiatr klęski. Wdowa po nim napisała do sióstr, by wyjaśnić, że nie może już dłużej łożyć na moje utrzymanie. Zresztą osiągnąłem wiek, gdy porzucone dzieci są zazwyczaj zabierane od rodzin zastępczych i umieszczane u opiekuna, którego działalność wymaga małych rączek do pomocy. Władze nakazywały wówczas zdjęcie obroży, którą nosiliśmy przytwierdzoną do szyi, z medalionem zawierającym informację o naszej rejestracji w ewidencji opieki społecznej, rok, w którym nas pozostawiono, oraz nazwę pierwotnego przytułku.

Oczywiście wtedy nie miałem o tym wszystkim pojęcia. Nie zapomniałem jednak niczego z owego wieczoru w lipcu 1815 roku i tego, w jaki sposób On wszedł w moje życie. Był to bardzo gorący dzień. Powietrze przypominało lepka melasę, a oszalałe owady brzęczały, krążąc wokół naszych głów, spragnione wysysania krwi. Schroniłem się w szopie z obłuzowanymi deskami, w której kurz tańczył w promieniach gasnącego słońca. Jeszcze dzisiaj wystarczy, że zamknę oczy i wrócę myślami do owego wieczoru, a odnajduję zapach siana i zwiędłych jabłek, który roznosił się w tamtej komórce. Bawiłem się dużym żukiem o niebieskawym połysku i cieszyło mnie skłanianie go do przechodzenia z jednego

słoika do drugiego. Nagle rozległo się wołanie, głos, który nie od razu rozpoznałem, ale który wykrzykiwał moje imię. Wszedłem z szopy, starannie zamykając za sobą drzwi i nie podejrzewając, że uwięziłem w tym pomieszczeniu, pachnącym słomą i jabłkami, coś nieskończenie cennego. Coś, co musiałem zaraz porzucić i co można by nazwać niewinnością, gdyby nie to, że każdy człowiek, poczynając od pierwszych kroków na tej ziemi, zamyka w głębi duszy pewną część nieuniknionej winy.

W jedynej izbie mieszkalnej tamtego domu kobieta, którą wciąż nazywałem matką, czekała na mnie w towarzystwie jakiegoś nieznajomego. Był to wysoki mężczyzna, z wyłysiałą czaszką, pociągłą twarzą, odziany cały na czarno, w coś w rodzaju podróźnej sutanny. Gdy tylko wszedłem, wlepił we mnie błyszczące oczka i już nie spuszczał ze mnie wzroku. Największe wrażenie zrobiły na mnie jednak Jego ręce. Długie białe dłonie, smukłe i kościste, ze skomplikowaną siatką niebieskich żył na grzbiecie, przypominających wodne węże zwinięte pod skórą. Natychmiast poczułem, jak serce zamiera mi w piersi. Były to przerażające ręce, zdolne zaciągnąć was tam, gdzie nie chcielibyście iść, albo robić z wami rzeczy, których nie moglibyście znieść. Najstraszniejsze było niejasne poczucie, że ten posępny człowiek ma odtąd nade mną władzę, że zamierza mnie zabrać, a ja posłusznie za Nim pójdę, nawet jeśli miałbym nigdy nie wrócić z tej okropnej podróży u Jego boku.

Widząc, że przechodzę przez drzwi, kobieta, która nie była już moją matką – która *nigdy* nią nie była! – odwróciła się z bladym uśmiechem w stronę nieznajomego, żeby mi Go wskazać.

– Wejź, Damienie – powiedziała zduszonym głosem, który bez wątpienia brzmiał dziwnie w moich uszach. – Zbliź się, mój chłopcze. Przedstawiam ci ojca... Wybaczcie, ojcze, nie dosłyszałam waszego imienia.

Mężczyzna w czerni również się uśmiechnął, odsłaniając żółte nierówne zęby. I po raz pierwszy usłyszałem ten głos, który od tamtej pory nie przestaje prześladować mnie nocami.

– Ze względu na dziecko zostańmy po prostu przy „panu Wikarym”. Tak będzie dobrze.

¹⁰ Tak określa się we Francji „sto dni Napoleona” – ostatni okres jego rządów, od powrotu z Elby 1 marca 1815 roku do powtórnej abdykacji 22 czerwca 1815 roku (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 5

Nieboszczyk zadowolony ze swojego losu

Po pożegnaniu się z Flanchardem Valentin odebrał akta Dauvergne'a i poświęcił dwie godziny na ich dokładne przestudiowanie. Jak mu powiedział komisarz, sprawa przedstawiała się w niepokojącym świetle. Zgodnie z zeznaniami, które udało się zebrać wieczorem w dniu tragedii na rue de Surène, syn gospodarzy rzucił się rozmyślnie z okna ojcowskiej rezydencji. Poniósł śmierć na miejscu. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że samobójstwo nie ulega wątpliwości, było to jednak o tyle niecodzienne, że Lucien Dauvergne odebrał sobie życie w obecności matki, która poszła po niego na górę, zaniepokojona jego przedłużającą się nieobecnością. Ponadto krewni denata i niektórzy z gości zgodnie stwierdzili, że w trakcie wieczoru nic nie wskazywało na to, iż może dojść do tak nieszczęsnego zdarzenia. Wręcz przeciwnie, wszyscy mieli wrażenie, że młody człowiek jest w radosnym nastroju. Przez cały czas gawędził z dziewczyną, którą wybrała dla niego rodzina. Zresztą przyjęcie miało się zakończyć uroczystym ogłoszeniem zaręczyn młodych ludzi.

Czytając te wszystkie zeznania, miało się nieprzyjemne wrażenie, że chęć popełnienia samobójstwa opanowała ofiarę niespodziewanie, jak jakaś nagląca naturalna potrzeba. Ta straszna śmierć w trakcie przyjęcia podziałała na wszystkich niczym uderzenie pioruna w piękny letni dzień pod idealnie czystym niebem.

Uwagę Valentina przykuła inna kwestia. W raporcie sporządzonym nazajutrz po śmierci znalazła się wzmianka, że zwłoki syna Dauvergne'ów przetransportowano

do kostnicy w celu przeprowadzenia autopsji. Bynajmniej nie dziwiło, że lekarz bada ciało, próbując ustalić dokładne przyczyny zgonu. Chodziło o normalną procedurę w przypadku gwałtownej śmierci, a tu było tym bardziej uzasadnione, że do tragedii doszło w okolicznościach jeśli nie podejrzanych, to przynajmniej nietypowych. Nie, młodego inspektora zaskoczyło raczej to, że Charles-Marie Dauvergne pozwolił zabrać ciało syna w tak odrażające miejsce.

Obecna paryska kostnica nie miała oczywiście nic wspólnego z paskudnym więzieniem w zamku Grand Châtelet, w którym się mieściła za czasów wcześniejszych królów. U zarania Cesarstwa została przeniesiona do na wpół zrujnowanego budynku dawnej rzeźni przy quai du Marché-Neuf, na Île de la Cité. Mimo wszystko miejsce to nie straciło niczego ze swojego przeznaczenia, czyli pełniło funkcję oficjalnej trupiarni stolicy. Wystawiano tam anonimowe zwłoki topielców wyłowione z Sekwany i nieszczęśników zbieranych każdego ranka z ohydnych zaułków starego Paryża. Przybytek miał fatalną reputację z powodu niedbalstwa i niechlujstwa. Twierdzono, że truposze piętrzyły się tam w tak opłakanych warunkach, że szczury obgryzały im kończyny. Jeśli chodzi o pracowników, zmuszonych spać nieomalże obok swoich lokatorów, wykonywali swe obowiązki w niezwykle szkodliwej atmosferze, więc bardzo nielicznym udawało się wytrzymać tam dłużej niż rok. Zarząd musiał regularnie szukać dla nich zastępstwa.

Ze względu na majątek i wysoką pozycję społeczną deputowanego Dauvergne'a można było raczej oczekiwać, że zwłoki jego jedyne go syna zostaną złożone w jakiejś klinice i poddane badaniu przez kogoś z Wydziału Medycyny, lekarza o znanym nazwisku. Wybranie kostnicy oznaczało przedłożenie dyskrecji nad ujmę dla swojej rangi. Ale nawet jeśli samobójstwo stanowiło plamę na honorze szanowanej rodziny, instynkt psa gończego podpowiadał Valentinowi, że za tą decyzją niewątpliwie kryje się coś jeszcze. Chociaż przyjął zapowiedź oddelegowania do Sûreté z pewnym niezadowoleniem, poczuł ukłucie ciekawości. Złapał się na tym, że chce rozwiać mgłę otaczającą tę zdecydowanie niezwykłą śmierć.

Po opuszczeniu prefektury policji ruszył wzdłuż quai des Orfèvres w stronę pont Saint-Michel i przeszedł przez ulicę, żeby dotrzeć do posępnego gmachu kostnicy. Ta przylegała do balustrady nad małą odnogą Sekwany i górowała nad masą ruder i obskurnych kamienic. Przed wejściem znajdowały się schody prowadzące bezpośrednio na brzeg i ułatwiające rozładunek topielców przywożonych każdego ranka statkiem.

Valentin uderzył w okazały dzwon i czekał chwilę, aż ktoś raczy mu otworzyć. Wysoki, chudy osobnik, który w końcu zareagował na jego wezwanie, przypominał ptaka brodzącego. Jego obszerny, sięgający do kostek skórzany fartuch był zabrudzony brązowymi plamami, o których pochodzeniu młody inspektor wolał nic nie wiedzieć. Kiedy Valentin już podał swoją tożsamość oraz funkcję i zażądał pokazania ciała Luciena Dauvergne'a, pracownik kostnicy obdarzył go sarkastycznym uśmiechem.

– No dobra! – warknął krzykliwym głosem. – Można powiedzieć, że to odmiana w porównaniu z naszymi zwykłymi klientami. Tak to jest, kiedy kwateruje się ludzi z wyższych sfer. Nawet gdy wyciągną nogi, muszą przyjmować gości, jakby nadal byli w swoich pięknych salonach.

– Co chcecie przez to powiedzieć?

– Nie pan jeden odwiedza nas dziś rano. Ktoś już jest przy zwłokach. Lekarz rodzinny, wysłany, że tak powiem, by połatać ciało po sekcji.

Jeden za drugim, obaj mężczyźni pogrążyli się w półmroku. Przeszli przez długi szereg korytarzy, gdzie panował paskudny odór. Po obu stronach znajdowały się wejścia do ponurych pomieszczeń, w których widać było, już od progu, ściany pokryte saletrą i przesiąknięte wilgocią. Cały budynek rozbrzmiewał bzyczeniem dużych much w irytujący sposób krążących dookoła ich głów. Inne stworzenia, tym razem niewidoczne, czmychały, gdy się zbliżali, ale bardzo wyraźnie było słychać ich ciche dreptanie i niespokojne piski.

– Cholerne szczury! – mruknął przewodnik Valentine'a, wymierzając kopniaka w ścianę. – Naprawdę myślą, że są tu u siebie!

Młody policjant odsunął na bok chusteczkę, którą przyłożył do nosa, by chronić się przed odorem rozkładu.

– Nie próbowaliście się ich pozbyć?

– Daremny trud. To niemożliwe! Nauczyły się unikać pułapek i rozpoznawać zatrute przynęty. Oczywiście usiłowaliśmy je zmusić, żeby się wyniosły, napuszczając na nie parę kocurów. Nic z tego! Dwie lub trzy noce później to koty dały się pożreć!

Pracownik kostnicy zatrzymał się w końcu przed drewnianymi drzwiami zaopatrzonymi w wielki zardzewiały zamek.

Gdyby nie te drzwi, które wystarczyło po prostu pchnąć, właściwie można by uznać, że to wejście do więziennej celi. Przypominający czaplę mężczyzna odsunął się, żeby przepuścić inspektora.

Valentin wszedł do pomieszczenia wyłożonego do połowy wysokości białymi fajansowymi płytkami, słabo oświetlonego przez dwa piwniczne okna, z których sączyło się szare światło dzienne. W powietrzu utrzymywała się woń fenolu. Stojący pośrodku długi marmurowy stół był w całości przykryty nieskazitelnym prześcieradłem. Pod tkaniną rysował się kształt leżącego sztywnego ciała.

Mężczyzna, który mył ręce nad miednicą w rogu, odwrócił się, gdy inspektor wszedł do środka. Dystyngowany pięćdziesięciolatek miał na sobie jedwabną kamizelkę z perłowymi guzikami, a w poprzek jego brzucha biegł złoty łańcuszek od zegarka. Podwinięte rękawy nie przeszkadzały dostrzec finezji i nienagannego kroju ubrania. Włosy i krótka, starannie przycięta broda były w kolorze jasnopopielatym, wpadającym w siwy. Wszystko w nim wyrażało rezerwę i powagę: surowa twarz, koścista budowa ciała, sylwetka naznaczona pewną sztywnością. Tylko zadziwiająco intensywne i przenikliwe spojrzenie kontrastowało z tym wyglądem kojarzącym się z wyniosłą obojętnością.

– Inspektor Verne, z Brygady Bezpieczeństwa – oznajmił Valentin, zdejmując cylinder. – Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci młodego Dauvergne’a. Z kim mam zaszczyt?

Lekarz bardzo nieznacznie pochylił tors, by się odkłonić nowo przybyłemu. Potem starannie wytarł ręce i odwinął rękawy koszuli do nadgarstków, a gdy niespiesznie włożył frak, w końcu wyciągnął do policjanta lodowatą dłoń.

– Doktor Edmond Tusseau – przedstawił się. – Jestem zarówno stałym lekarzem Dauvergne'ów, jak i przyjacielem rodziny. Co za straszna tragedia!

– Powiedziano mi, że jest pan tutaj, żeby przeprowadzić... powiedzmy, toaletę zmarłego.

– Autopsja została zakończona bardzo późno wczoraj wieczorem. Charles-Marie Dauvergne nalegał, żebym zajął się tym osobiście, zanim ciało zostanie zwrócone rodzinie w celu zorganizowania pogrzebu. Moi koledzy, którzy przeprowadzają badania pośmiertne na rzecz prefektury, mają tendencję do zaniedbywania tego aspektu, a lepiej nie polegać zanadto na personelu kostnicy.

– Czy przypadkiem poznał pan wnioski z protokołu autopsji?

– Nie. Ale to, co mogłem stwierdzić naocznie dziś rano, nie pozostawia żadnych wątpliwości, jeśli chodzi o przyczynę śmierci.

– A jaka ona jest?

– Ewidentne złamanie kręgów szyjnych. Na ciele są liczne stłuczenia, szczególnie w okolicy twarzy, a także otarcia na ramionach i dłoniach spowodowane przez żwir z dziedzińca. Widoczna jest również dość wyraźna rana na klatce piersiowej. Zanim Lucien znalazł się na ziemi, pierś przebił mu trójząb posągu, ale nieszczęśnik zabił się właśnie w wyniku złamania karku na koniec upadku.

– No, no – powiedział Valentin, który nagle zdawał się słuchać ze wzmożoną uwagą. – Rana na piersi, powiada pan? Czy można by sobie wyobrazić, że młody Lucien został zaatakowany, zanim spadł? Na przykład uderzony lub zasztyletowany?

Doktor Tusseau wzdrygnął się bezwiednie. Jego rysy wyrażały zarówno pełne irytacji zaskoczenie, jak i naganę.

– Zasztyletowany? Cóż za dziwna supozycja! Nie ma żadnych wątpliwości co do samobójstwa Luciena, może mi pan wierzyć. Rzucił się w dół na oczach własnej matki. Dodam, że obrażenia klatki piersiowej są dość powierzchowne i bez cienia wątpliwości odpowiadają trzem ostrzom tego nieszczęsnego trójzębu.

– Pytałem tak na wszelki wypadek – wyjaśnił pospiesznie Valentin. – To po prostu skrzywienie zawodowe. W mojej pracy widzi się tyle dziwnych rzeczy!

– Wierzę panu na słowo – stwierdził lekarz z niezadowoloną miną. – Jeśli mam być z panem szczery, to zresztą z tego właśnie powodu odradziłem deputowanemu Dauvergne’owi domagania się dokładnego śledztwa. Policja ma skłonność do podejrzewania prawie wszędzie dramatu lub tajemnicy. Proszę zauważyć, że to nie jest zarzut: każdy zawód ma swojego konika. Samobójstwo Luciena nie budzi jednak niestety najmniejszych wątpliwości.

– Czy zwrócił pan uwagę na czas powstania wybroczyn? Czy stłuczeniom towarzyszyło podbiegnięcie krwawe w tkance komórkowej pod spodem?

W płonących źrenicach doktora Tusseau pojawił się błysk zaciekawienia. Zdawał się postrzegać teraz swojego młodego rozmówcę w nowym świetle.

– Jeśli to pana uspokoi, odpowiem, że zbadałem wszystkie obrażenia i żadne z nich nie wydało mi się wcześniejsze od upadku, ale proszę pozwolić, że wyrażę pewne zdziwienie. Jak na zwykłego inspektora wykazuje się pan dość zdumiewającą wiedzą z zakresu medycyny sądowej.

– Zawsze miałem wyraźne upodobanie do studiowania i wydaje mi się, że śledczy, który zasługuje na to miano, nie może lekceważyć pewnych postępów naukowych. Dwa lata temu miałem szczęście uczestniczyć w kilku wykładach z dziedziny toksykologii wygłoszonych przez profesora Orfilę¹¹. Szczególne wrażenie zrobiła na mnie lektura jego *Lekcji medycyny sądowej*. Ten traktat znacznie przewyższył prace jego najbardziej szanowanych poprzedników, lekarzy tak przecież wybitnych jak Fodéré czy Belloc.

Nie przestając mówić, Valentin przesunął się jakby nigdy nic w stronę środka sali. Dotarłszy na wysokość stołu do autopsji, uniósł róg żałobnego prześcieradła,

żeby odsłonić głowę i tułów leżącej postaci.

– Coś takiego! – wykrzyknął. – Ależ to doprawdy niezwykle.

– Co znowu?

– Czy zauważył pan wyraz jego twarzy?

– *Rigor mortis*, stężenie pośmiertne – rzucił doktor Tusseau, wzruszając ramionami z widoczną obojętnością. – Podobnie jak inne tkanki mięśnie twarzy zeszywniały. To normalny proces. Jeśli czytał pan Orfilę, nie ma tu nic takiego, co mogłoby pana zaintrygować.

Valentin nie odpowiedział od razu. Nie mógł oderwać wzroku od rysów Luciena Dauvergne'a. Otóż trup się uśmiechał!

Leżąc w tym ohydny pomieszczeniu, pogrążony w wiecznym śnie nieboszczyk prezentował niepojętą maskę promiennej błogości.

¹¹ Mathieu Orfila – profesor medycyny sądowej na Wydziale Medycyny w Paryżu. Jego *Traité de médecine légale* [Traktat medycyny sądowej] był wielokrotnie publikowany i tłumaczony w okresie monarchii lipcowej, stając się dziełem podręcznikowym w tej dziedzinie.

ROZDZIAŁ 6

W którym w ostatniej chwili uzyskuje się interesujące zwierzenia

Po opuszczeniu kostnicy Valentin udał się do szpitala Hôtel-Dieu. To tam praktykował chirurg, który przeprowadził sekcję zwłok Luciena Dauvergne'a. Wizyta nie przyniosła jednak żadnych nowych informacji. Lekarz sądowy potwierdził wnioski doktora Tusseau: śmiertelny upadek skutkujący złamaniem karku. Jego zdaniem zgon nastąpił natychmiast lub prawie natychmiast. Gdy policjant koniecznie chciał poznać opinię eksperta na temat dziwnego uśmiechu zmarłego, lekarz był dość zakłopotany. Stwierdził, że ów szczegół od razu rzucił mu się w oczy, i chętnie przyznał, że nigdy nie widział takiego wyrazu twarzy u samobójcy. Smutek, cierpienie, strach, owszem. Czasem nawet złość, ale nigdy podobnego ekstatycznego zachwytu. A jego wiedza nie była w stanie dostarczyć choćby częściowego wyjaśnienia.

Kiedy w porze obiadowej młody inspektor znalazł się ponownie na gwarnej ulicy, poczuł głęboką ulgę. Pod względem sanitarnym stary paryski szpital był niewiele lepszy od kostnicy. Wszystko tam było zdewastowane, a pacjenci tłoczyli się w opłakanych warunkach. Większość z nich stanowili nędzarze niemający rodzin, którzy wychodzili stamtąd tylko nogami do przodu. W międzyczasie marnieli lub gnili w tym miejscu, w staroświeckich salach przygnębiającego przybytku, który bardziej przypominał umieralnię niż zakład opieki z prawdziwego zdarzenia. Dlatego też, pomimo woni spalonego tłuszczu dochodzącej z licznych

garkuchni i ze straganów pod gołym niebem, Valentin cieszył się, że znów jest na świeżym powietrzu i nie wdycha już smrodu gnijących ciał, siarki i alkoholu metylowego. Pilno mu jednak było dostać się na prawy brzeg i opuścić ciasnotę Île de la Cité z jej zaułkami pamiętającymi czasy średniowiecza. Wydłużył zatem krok i skierował się w stronę zupełnie nowego pont Arcole.

Idąc, rozmyślał o tej dziwnej sprawie, którą wbrew sobie właśnie dostał w spadku. Śmierć Luciena Dauvergne'a może i była samobójstwem, ale nabrał teraz przekonania, że kryje się za nią jakaś tajemnica. Ponieważ był z natury ciekawski, zamierzał szybko ją odkryć.

W każdym razie nie miał innego wyboru. Zamknięcie dochodzenia, żeby usatysfakcjonować tym inspektora Flancharda, stanowiło najpewniejszy sposób, by móc czym prędzej wznowić tropienie Wikarego. Co do jednego nie miał bowiem wątpliwości. Był jedyną osobą w całym Paryżu mogącą przyjść z pomocą Damienowi, tej bezbronnej sierocie, która wpadła w ręce potwora. Bo też jako jedyny o nim nie zapomniał.

Pogrążony w myślach, długimi krokami torował sobie drogę wśród przechodniów. Na ulicy tłoczył się pstry tłum robotników, rzemieślników, szwaczek i praczek, a wszyscy korzystali z krótkiej przerwy w pracy, żeby udać się do jednego z licznych w tej dzielnicy szynków. W owej ciżbie skromnych ludzi Valentin nie pozostawał niezauważony. Jego eleganckie ubranie, zgrabna sylwetka, szerokie jasne czoło i faliste włosy na karku, jasnokasztanowe, wpadające w blond, przydawały całej jego osobie uwodzicielskiej szlachetności, którą ledwie tonował wyraz twarzy naznaczony powagą. Przede wszystkim spojrzenie młodzieńca trwale zapadało w pamięć wszystkim, którzy mieli kontakt z jego ognistymi źrenicami. W zależności od nastroju lub sytuacji rzeczywiście miał oczy na przemian szare, żeby wpłynąć na swoich rozmówców, albo zielone, gdy chodziło o to, by ich oczarować. Niejedna gryzетка przerywała rozmowę lub się odwracała, żeby popatrzeć, jak przechodzi, lecz on nie zwracał na to uwagi. W przeciwieństwie do wszystkich młodych mężczyzn w jego wieku nie dbał o to, żeby podobać się kobietom. Nie był też świadomy uroku, który emanował z jego niespokojnej

osobowości, ani wrażenia, jakie jego anielska uroda wywierała na większości przedstawicielek płci pięknej. Dla niego liczyła się wyłącznie misja wybawcy, którą sobie wyznaczył, i nawet nie musiał się dyscyplinować, gdyż spontanicznie odwracał się od wszystkiego, co mogłoby go od niej odciągnąć.

Kiedy już dotarł na prawy brzeg, zostawił za sobą ratusz i skręcił w rue de la Verrerie, a następnie w rue Saint-Honoré. Nad stolicą zgęstniała wilgoć wczesnego przedpołudnia i choć deszcz jeszcze nie padał, wystarczyło spojrzeć w górę, by zrozumieć, wobec nagromadzenia gęstych czarnych chmur na zachodzie, że zanoszą się na ulewę. Rozpętała się w chwili, gdy Valentin dochodził do arkad Palais-Royal. Nagle zaczęło lać jak z cebra.

W zatłoczonych kawiarniach wszystkie rozmowy obracały się wokół przyszłego procesu ministrów lub napięć politycznych za granicą. Rewolucja lipcowa dała innym narodom wyobrażenie o emancypacji, co nieznacznie wcześniej austriacki minister Metternich skomentował sławnym powiedzeniem: „Kiedy Paryż kicha, Europa dostaje kataru”. Klienci przy stolikach komentowali niepokoje, które właśnie wybuchły w czterech państwach niemieckich i w kilku szwajcarskich kantonach, a także ostatnie wstrząsy w związku ze sprawą belgijską¹². Niektórzy wspominali o możliwości wcielenia Belgii do Francji. Inni wykrzykiwali, że nie dopuszczą do tego mocarstwa, które sprzymierzyły się w 1815 roku, i że każda tego rodzaju inicjatywa nieuchronnie doprowadzi do wojny. Wszyscy zdawali się mieć własny pogląd na to, jak rząd powinien manewrować wśród raf, i każdy uważał się za małego Talleyranda.

Valentin również schronił się w jednym z tych lokali, żeby uniknąć ulewy. Korzystając z okazji, postanowił zaspokoić głód, więc zamówił omlet z borowikami, a do tego dzbanuszek wina z regionu Brie. Danie przyniósł mu blady dzieciak w wieku około ośmiu lat. Biedak miał tylko skórę i kości, więc ślinił się, zerkając zazdrośnie na zawartość talerza. Wyglądał jak wygłodniały kot czatujący na mysz, która jest poza jego zasięgiem.

– Wydajesz się piekielnie głodny – zauważył Valentin. – Kusi cię ten omlet?

Chłopiec wiercił się w miejscu, a jego wzrok wędrował teraz tam i z powrotem od talerza do twarzy policjanta, z czego można było wyczytać udręki bolesnego dylematu. Wzruszyło to Valentina. Chociaż z natury był raczej małomówny i zawsze odczuwał pewną niechęć do nawiązywania kontaktów z bliźnimi, bynajmniej nie żywił tych samych uprzedzeń do dzieci. Nie tylko spontanicznie wiedział, jak z nimi rozmawiać, lecz także zawsze potrafił zdobyć ich sympatię.

– No dobrze! – powiedział uprzejmie. – Wobec tego usiądź, skoro masz na niego tak wielką chętkę!

Nie poprzestając na słowach, odsunął róg stołu, zapraszając dzieciaka, żeby przysiadł się do niego na ławce. Ten był skłonny to zrobić, ale coś go jeszcze powstrzymywało.

– Chyba się mnie nie boisz?

Urażony do żywego malec wyprostował się na całą wysokość i wypiął chuderlawą pierś.

– Nie, psze pana! Nigdy w życiu!

Ale wbrew temu pyszałkowatemu tonowi jego zaniepokojone spojrzenie natychmiast zwróciło się w kierunku kontuaru, za którym stał właściciel kawiarni.

– Widzę, w czym rzecz – powiedział Valentin, klepiąc ławkę obok siebie. – Usiądź tu i napełnij kałdun w spokoju. Ja zajmę się resztą.

Kiedy chłopak w końcu zdecydował się usiąść, inspektor machnął ręką w powietrzu, żeby zwrócić uwagę właściciela. Mężczyzna, sangwinik z kalafiorowatymi uszami i płaskim nosem, opatrzenie zrozumiał jego gest i dostrzegając kulącego się na ławce dzieciaka, rzucił się wściekle naprzód, żeby uwolnić swojego eleganckiego gościa od natręta.

– Słuchaj no, łobuziaku, co w ciebie wstąpiło, że naprzykrzasz się naszym klientom?! No już, precz! Zabieraj stąd swój tyłek albo spuszczę ci takie lanie, że nieprędko znów usiądziesz!

Zanim zdążył wprowadzić pogroźkę w czyn, Valentin zagroził mu drogą laską. Na jego twarzy malował się uśmiech, który zadawał kłam nagłemu napięciu mięśni

szczęki.

– Obawiam się, że zaszła pomyłka, dobry człowieku. To dziecko jest moim gościem.

Karczmarz otworzył szeroko oczy.

– Ślimak pańskim... pańskim gościem?

– Oczywiście! Tak się składa, że nie znoszę jeść sam. Chłopiec dotrzyma mi towarzystwa.

– Coś takiego! – wykrzyknął czerwony na twarzy dryblas, drapiąc się z zakłopotaniem po głowie. – Problem w tym, że ten leń jest na służbie. Cóż robić?! Trzeba przecież dbać o innych klientów!

– No dobrze, powiedzmy, że wynajmę jego usługi na wyłączność na następne pół godziny. Proszę bardzo! Odbierzcie sobie należność! Myślę, że to powinno wystarczyć, żebyście przynieśli mi dodatkowy omlet.

Wyjął z kieszeni dwie monety pięciofrankowe i rzucił z brzękiem na stół. Właściciel chwycił je czym prędzej i zapewnił go, że za tę cenę jest gotów obejść się bez pomocnika do wieczora. Ledwie odwrócił się na pięcie, gdy jego młody pracownik rzucił się na omlet, jakby nic nie jadł od poprzedniego dnia.

Widząc, jak żarłocznie pochłania pierwsze kęsy, Valentin się odprężył i ogarnęło go radosne wzruszenie. Odchylony z rozkoszą do tyłu, oparł się o ścianę z dłońmi splecionymi na karku.

– Lepiej uważaj, żebyś się nie zakrztusił, karzełku! – powiedział, uśmiechając się z rozbawieniem. – Nie chciałbym mieć twojej śmierci na sumieniu!

Kiedy chwilę później opuścił lokal, ulewa już ustała. Wrócił na rue Saint-Honoré i podążał nią aż do monumentalnego kościoła de la Madeleine. Niedokończony jeszcze gmach pozwalał dostrzec przez rusztowania imponującą koryncką kolumnadę bocznych fasad. Całość trochę przypominała słynne termy Dioklecjana i kojarzyła się z daremną próbą wskrzeszenia starożytnego Rzymu w sercu Paryża. Valentin nie mógł się oprzeć myśli, że sumy roztrwonione na budowę zostałyby z większym pożytkiem wydane na uzdrowienie ubogich dzielnic w śródmieściu,

gdzie tłoczyli się najubożsi i gdzie odrażający drapieżcy mogli przebierać w niewinnych ofiarach, które obierali za cel.

Z kolei piękne rezydencje przy rue Saint-Honoré charakteryzowały się w większości dyskretną elegancją wskazującą na solidnie ugruntowaną burżuazyjną pewność siebie. Wyjątek stanowiło tylko kilka domów. Ich tandetny przepych zdradzał nieco zbyt ostentacyjną chęć pokazania się, co zwykle jest oznaką niedawno zdobytej fortuny. Rezydencja Dauvergne'ów, z jej monumentalnym portykiem, fryzami i maszkaronami na fasadzie oraz przesadnie barokową fontanną z Neptunem, należała do tej drugiej kategorii.

Valentina zmuszono do zaczekania w salonie, w którym duszne ciepło podtrzymywał kaloryfer z niewidocznymi otworami. Okna przystrojone zasłonami z adamaszku wychodziły na rozległy ogród ozdobiony eleganckimi szpalerami grabów. Ściany były obite jedwabiem w kolorze fiołkowym, a parkiet przykryty grubymi tureckimi dywanami. Marmur kominka i posągów odbijał się w szlachetnym drewnie zachwycających kredensów Boulle, a okazałych rozmiarów zegar z pozłacanego brązu zajmował poczesne miejsce na konsoli. Cały ten luksus tworzył pretensjonalną i poniekąd obrzydliwą atmosferę. W tym świecie zaprojektowanym na pokaz wtargnięcie tragedii musiało wywołać taki efekt jak nagła salwa artyleryjska.

Deputowany Charles-Marie Dauvergne nosił żałobę dokładnie tak, by pasowała do wyszukanej elegancji. Jego szarawa cera i worki pod oczami zdradzały brak snu. Przywitał gościa krótkim skinieniem głowy.

– Girod de l'Ain, prefekt policji, który należy do moich bliskich znajomych, zapewnił mnie, że dopilnuje, aby śledztwo w sprawie śmierci Luciena zostało powierzone jednemu z jego najlepszych ludzi. Proszę absolutnie nie mieć mi za złe mojej uwagi, ale wydaje mi się pan bardzo młody.

– Należy uznać, że moich przełożonych nie powstrzymała ta okoliczność – odparł Valentin, zdejmując kapelusz, żeby się odkłonić. – Proszę mi jednak przede wszystkim pozwolić, panie pośle, przekazać wyrazy współczucia z powodu

wielkiego nieszczęścia, które tak boleśnie dotknęło jedną z najbardziej szanowanych rodzin.

Dauvergne najwyraźniej docenił ten wstęp, bo zachowywał się odtąd uprzejmie.

– Nie wątpię, że wybór dokonany przez pańskich zwierzchników jest całkowicie uzasadniony – powiedział, wskazując Valentinowi fotel, i sam zajął miejsce na sofie w stylu Ludwika XVI. – Być może uznano, nie bez kozery, że śledczy w wieku mojego syna lepiej zdoła pojąć powody... powiedzmy, jego straszego kroku.

– A czy pan sam ma jakieś podejrzenie, co mogło go pchnąć do targnięcia się na swoje życie?

Tragiczny grymas wykrzywił zmęczone rysy bogatego mieszczanina.

– Absolutnie żadnego! – wykrzyknął głosem, który przeszedł w wysokie tony. – Zresztą właśnie po to, żeby spróbować zrozumieć, jak mógł się posunąć do takiej skrajności, nalegałem, by policja przeprowadziła, bardzo dyskretnie, co się rozumie samo przez się, dochodzenie w tej sprawie. Lucien był moim jedynym synem, miał przejąć po mnie interesy. Muszę poznać powody, które skłoniły go do popełnienia takiego szaleństwa.

– Dziś rano poszedłem do kostnicy i spotkałem się z lekarzem, który badał ciało pańskiego dziecka. Z jego ustaleń wynika, że samobójstwo wydaje się bezsporne.

– Nigdy w to przecież nie wątpiłem! Nie w tym rzecz! Chcę, żeby pan odkrył, co mogło skłonić zdolnego, zdrowego chłopca z przyszłością do odebrania sobie życia.

– Istnieją najróżniejsze motywy, które syn wolałby ukryć przed ojcem.

– Co ma pan na myśli?

– Zawód miłosny, dług hazardowy... Czy ja wiem?

– Bardzo by mnie to zdziwiło. Lucien był poważnym młodym człowiekiem, którego zaręczyny mieliśmy ogłosić właśnie tamtego wieczoru, kiedy odszedł.

W każdym razie oczekuję, że nie zlekceważy pan żadnego tropu. Chcę wiedzieć, czy ktoś jest odpowiedzialny za jego śmierć. Jeśli tak, ten ktoś, czy to mężczyzna, czy kobieta, kto doprowadził mojego syna do rozpacz, będzie musiał za to zapłacić.

Valentin sposepniał. Nie podobał mu się władczy ton, który przyjął teraz jego rozmówca. Dauvergne mówił do niego tak, jakby był on zwyczajnym pracownikiem na jego zawołanie, ale najbardziej oburzyło go to, że parlamentarzysta najwyraźniej ani przez chwilę nie brał pod uwagę, iż takie podejście może mu się nie spodobać. Wydawanie poleceń przedstawicielowi sił porządkowych uważał za najbardziej naturalną rzecz na świecie.

– Niestety, w tego rodzaju sytuacjach – przypominał mu Valentin ze złośliwą satysfakcją – ludzka sprawiedliwość okazuje się bezsilna.

Deputowany wstał, dając w ten sposób do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Kiedy odezwał się ponownie, tym razem w jego głosie pobrzmiwała nieprzyjemna mieszanka arogancji i gniewu.

– Istnieje wiele sposobów wymierzania sprawiedliwości na tej ziemi. Proszę mi wierzyć, śmierć Luciena nie pozostanie bezkarna!

Gdy obaj mężczyźni wrócili do przedsionka, znów zaczął gwałtownie padać deszcz. Bębnił w okna z ogłuszającym hałasem przypominającym szum wodospadu. Valentin pomyślał, nie bez odrobiny irytacji, że jeśli nie zachowa ostrożności, zniszczy swój wykwintny ubiór. Właśnie wtedy zauważył przy jednym z okien młodą dziewczynę, w wieku szesnastu lub siedemnastu lat, która była pochłonięta kontemplowaniem ulewy. Miała pulchną sylwetkę i delikatną, melancholijną twarz.

– Moja córka Félicienne, jedyne dziecko, które mi pozostało – przedstawił ją Dauvergne, dając dziewczynie znak, żeby podeszła bliżej. – Co ty tu robisz, kochanie?

– Słyszałam od Gustave’a, że odwiedził was policjant, ojciec. Pomyślałam, że przy tej ulewie może będzie potrzebował czegoś do ochrony przed deszczem.

Odwracając się w ich stronę, pokazała duży czarny parasol, który przyciskała do piersi. Dauvergne obdarzył ją czułym uśmiechem.

– Cóż za zachwycająca uprzejmość! Może pan sobie wyobrazić, mój drogi panie, jaką troską jestem szczęśliwie otoczony w tej strasznej chwili. Ale co z tobą, moje dziecko? Podejdz wreszcie! Pan inspektor nie założy ci przecież kajdanek na kciuki!¹³

Nastolatka właśnie się zawahała po zrobieniu kilku kroków w ich kierunku. Słyszac uwagę ojca, poczerwieniała zawstydzona, dołączyła do nich pospiesznie i ze skromnie spuszczoneymi powiekami podała Valentinowi parasol.

W chwili gdy ich palce otarły się o siebie na trzonku, inspektor zadrżał i musiał się odwołać do całej swojej zimnej krwi, żeby nie zdradzić zaskoczenia. Otóż Félicienne wsunęła mu w dłoń starannie złożony liścik.

¹² 25 sierpnia 1830 roku Belgowie zbuntowali się przeciwko holenderskim rządóm i 4 października jednostronnie proklamowali niepodległość.

¹³ Ten metalowy przedmiot, poprzednik kajdanek, pozwalał spiąć razem oba kciuki złoczyńcy.

ROZDZIAŁ 7

Bażanty w Koronach

Proszę nie słuchać tego, co Panu powiedzą. Oni nie mają pojęcia, kim w rzeczywistości był Lucien. Ja byłam jego jedyną prawdziwą powiernicą. Jeszcze niedawno tak dobrze się rozumieliśmy! Ale ostatnio bardzo się zmienił. Zaczął się zadawać z całą koterią młodych ludzi, którzy spotykają się w gospodzie pod szyldem Bażanty w Koronach. Jeśli szuka Pan odpowiedzialnego za jego śmierć, to właśnie tam go Pan znajdzie.

Félicienne Dauvergne

Valentin opuścił rękę z wiadomością, którą przeczytał właśnie po raz enty. Fasada szynku po drugiej stronie ulicy wydała mu się wyjątkowo obskurna. Pod lampą olejową znajdował się paskudny blaszany szyld, na którym nasmarowano dwa ptaki trudnego do określenia gatunku, z głowami zwieńczonymi śmiesznie pretensjonalnymi koronami. Ściany wykonane z gliny z dodatkiem sieczki były odrapane i poplamione błotem oraz sadzą. Dostrzegł niskie drzwi i dwa szerokie okna szprosowe, w których szyby w kolorze butelkowym nie pozwalały dojrzeć niczego wewnątrz.

Lokal wznosił się u stóp wzgórza Sainte-Geneviève, przy skrzyżowaniu rue d'Arras i rue Traversine. W okolicy śmierdziało kapustą i końskim nawozem. Można się było tam natknąć na studentów w niedbałym ubiorze oraz ulicznych handlarzy: szlifierza, zieleniarkę, nosiwodę. Valentin dotarł w to miejsce krótko po otwarciu szynku. Stanął na czatach w drzwiach, mniej więcej trzydzieści metrów

od swojego celu, dzięki czemu mógł dyskretnie obserwować wchodzących i wychodzących, nie ryzykując, że zostanie zauważony.

Gospoda przyjęła pierwszych klientów po dziesiątej. Większość stanowili rzemieślnicy robiący sobie przerwę w środku przedpołudniowej pracy. Na pierwszy rzut oka nie działo się właściwie nic ciekawego, ale młody inspektor postanowił zorientować się w sytuacji, zanim podejdzie pod drzwi lokalu. Musiał ustalić, jaka klientela odwiedza to miejsce i czy w środku może mu grozić jakieś niebezpieczeństwo.

Poprzedniego wieczoru długo rozmyślał o wydarzeniach tamtego dnia, targany różnymi sprzecznymi uczuciami. Nie mógł zaprzeczyć, że szczególne okoliczności związane ze zgonem syna Dauvergne'a, a także enigmatyczny uśmiech trupa oraz sekreciki siostry zmarłego podsyciły jego ciekawość. Tkwiła w tym jakaś tajemnica, swoiste wyzwanie dla jego inteligencji, które z przyjemnością podjąłby w innej sytuacji, ale rozmowa z Charles'em-Marie Dauvergne'em nieco ostudziła jego zapał. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że deputowany zażądał policyjnego śledztwa wyłącznie w celu zaspokojenia własnej chęci zemsty, a Valentinowi nie podobał się ten sposób postępowania. Irytował go w najwyższym stopniu. Gdy kładł się spać, był zdecydowany dać za wygraną. Nazajutrz pójdzie z samego rana do komisarza Flancharda i poprosi o ponowne przeniesienie do obyczajówki. Kaprysy bogatego parweniusza nie zasługiwały na to, żeby poświęcił dla nich poszukiwania Wikarego. Jeśli chciał przyjść z pomocą Damienowi, nie miał innego wyjścia, jak tylko wypłoszyć tę ohydłą bestię.

Doszedł do tego punktu w swoich postanowieniach, lecz kiedy był już całkiem bliski pogrążenia się we śnie, w jego głowie pojawił się pewien obraz i wystarczył, żeby skłonić go do zmiany zdania. Po prostu w myślach zobaczył ponownie twarz Félicienne Dauvergne. W chwili, gdy nastolatka ukradkiem wsunęła mu do ręki liścik, wydało mu się, że wyczytał w jej oczach niepojęte strapienie, któremu towarzyszyło przeraźliwe błaganie. I tylko po to, by odpowiedzieć na to nieme wezwanie, po przebudzeniu poszedł do gospody Bażanty w Koronach.

Zbliżała się teraz pora obiadu i przechodniów przybywało. Nieopodal progu, za którym czatował Valentin, swój stragan rozstawiła handlarka smażeńią. W zasięgu jej lewej ręki piętrzył się stos kawałków chleba, a po prawej stronie, na kuchence zwieńczonej patelnią, skwierczała apetyczna mieszanka kiełbasek, kiszek, kotletów wieprzowych i plastrów boczku. Za dwa lub trzy sou pospółstwo z dzielnicy mogło sobie kupić coś do zjedzenia naprędce. Przez zbiegowisko, które tam powstało, Valentin nie mógł już skutecznie obserwować wchodzących i wychodzących klientów gospody. To właśnie skłoniło go do przekroczenia progu lokalu. Zresztą była godzina szczytu i ze względu na ścisk w środku nikt nie zwróciłby na niego uwagi.

Zajął miejsce przy jednym z nielicznych wolnych jeszcze stolików, wybrawszy taki, który pozwoliłby mu objąć wzrokiem całą salę. Dość uprzejma i nieco natarczywa kelnerka przysłała przyjąć zamówienie. Zamknięty w sobie młodzieniec musiał jej się spodobać, bo przynosząc mu danie, puściła do niego figlarnie oko, lecz on bardzo się pilnował, żeby na to nie zareagować. Rozczarowana, bezwstydną dziewczyna zrobiła nadąsaną minę i odwróciła się, ostentacyjnie wzruszając ramionami. Valentin udał wówczas, że jest pogrążony w lekturze numeru „Revue des Deux Mondes”, i zaczął jeść, nie tracąc jednak z oczu niczego, co się wokół niego działo.

Mniej wprawne niż jego oko niewątpliwie nie zauważyłoby niczego dziwnego. Bądź co bądź w pierwszej chwili gospoda Bazanty w Koronach przypominała wiele innych paryskich lokali tego typu. Stali klienci, przeciętne, ale obfite jedzenie, korowód dzbanków z winem i wesołe połajanki. Valentin miał jednak coś w rodzaju szóstego zmysłu, który natychmiast go ostrzegał, że coś niezwykłego dzieje się w jego najbliższym otoczeniu lub że gdzieś czyha na niego niebezpieczeństwo. Odkąd wstąpił do policji, ten dar pozwolił mu wybrnąć z wielu trudnych sytuacji, a zawodowy instynkt nigdy go nie zawiódł. Szybko zatem spostrzegł osobliwe sztuczki z udziałem właściciela lokalu.

Ów mężczyzna, nie spuszczać z oka swojego personelu, kołysał się ospale na krześle przy wejściu do kuchni, skąd dochodziły zapachy potrawy i brzęk rondli.

Szerokim uśmiechem witał każdego nowo przybyłego, ale pozwalał swoim pracownikom, żeby się o niego zatroszczyli. Valentin zauważył jednak, że niektórzy klienci wchodzący pojedynczo do gospody albo czasami we dwóch, lecz nigdy w większej grupie, wodzą ostrożnie wzrokiem dookoła, potem zaś kierują się prosto w stronę szynkarza. Mężczyźni wymieniali szybki uścisk ręki, a wtedy właściciel zerkał na wewnętrzną część swojej dłoni i kiwał głową z zadowoloną miną. Wstawał z krzesła i prowadził swojego towarzysza lub towarzyszy do zaryglowanych drzwi, które prawdopodobnie wiodły do drugiej sali na tyłach lokalu. Potem usuwał się na bok, żeby ich wpuścić, ponownie zamykał drzwi na klucz, spokojnie wracał na krzesło i znów się kołysał, jak gdyby nigdy nic.

W ciągu niecałej godziny Valentin pięć razy był świadkiem takiej samej sceny, a przez tajemnicze drzwi przeszło siedem osób. Wszyscy, sądząc po ubiorze, byli albo mieszczanami, albo studentami. Ostatni z nich, bardzo młody mężczyzna, który bez wątpienia nie skończył jeszcze dwudziestu lat, wydał się inspektorowi mgliście znajomy. Policjant był prawie pewien, że gdzieś już widział tę wątłą, nerwową sylwetkę, to szerokie, inteligentne czoło i rozgorączkowane oczy. Poszperał w pamięci, ale przypomniał sobie nazwisko, dopiero gdy skończył posiłek, a gospoda stopniowo pustoszała. Galois. Évariste Galois. Egzaltowany chłopak, wybitnie utalentowany matematycznie. Poprzedniej wiosny opublikował w wydawanym przez barona de Férussaca czasopiśmie „Bulletin général et universel des annonces et des nouvelles scientifiques” pracę poświęconą równaniom modularnym. Artykuł był nieco chaotyczny, ale pełen błyskotliwych pomysłów. Niedługo później Valentin poznał jego autora podczas posiedzenia Akademii Nauk, na którym Galois omal nie przyznano głównej nagrody matematycznej. Dwaj młodzi mężczyźni zamienili wtedy zaledwie kilka słów przy wyjściu z amfiteatru, ale Valentin uznał, że ma okazję nawiązać rozmowę i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co się knuje w Bazantach w Koronach. Teraz jednak, gdy kończono obsługiwać gości, nie mógł zostać na miejscu, nie ryzykując, że zwróci na siebie uwagę. Zdecydował zatem, że rozsądniej będzie opuścić lokal i poczekać na ulicy, aż Galois wyjdzie.

Nie musiał długo czekać. Po około dwudziestu minutach młody matematyk pojawił się ponownie w drzwiach gospody. Sam, tak jak przyszedł. Widząc to, Valentin odetchnął z ulgą. Przez chwilę obawiał się, że Galois wyjdzie w towarzystwie, co pokrzyżowałoby mu plany. Ponieważ jego cel oddalił się już o mniej więcej dwadzieścia kroków, pobiegł za nim i zawołał:

– Przepraszam!... Pan Galois?! Évariste Galois?! Czy to rzeczywiście pan?! Nie mylę się?!

Tamten się odwrócił i zmierzył Valentina wzrokiem.

– Czy my się znamy, szanowny panie? Proszę mi wybaczyć, ale nie przypominam sobie pana.

Jego ton był przyjazny, bez najmniejszego śladu nieufności.

– Moje nazwisko nic panu nie powie. Poznaliśmy się w Akademii Nauk. Wyraziłem wtedy podziw dla pańskich prac poświęconych algebraicznemu rozwiązywaniu równań.

– Naprawdę? – odparł wyraźnie zadowolony młody matematyk, chociaż jego zakłopotanie rzucało się w oczy. – Rzeczywiście wydaje mi się, że pamiętam... Akademia Nauk, powiada pan... Czy byłby pan łaskaw przypomnieć mi swoje nazwisko?

– Verne. Valentin Verne. Sam bardziej pasjonuję się chemią i mineralogią, ale fascynuje mnie wszystko, co ma związek z naukami podstawowymi.

– Ależ oczywiście! Valentin Verne! – wykrzyknął Évariste Galois, pukając się w czoło. – Gdzie ja mam głowę?! Miło mi znów pana widzieć!

Inspektor powstrzymał uśmiech. W rzeczywistości podał matematykowi swoje nazwisko po raz pierwszy. Ten niewątpliwie nie zachował w pamięci najdrobniejszego wspomnienia z ich krótkiego spotkania, ale nie śmiał tego przyznać z obawy, że obrazi swojego rozmówcę.

– Proszę mi wybaczyć, że pozwoliłem sobie zaczepić pana w ten sposób na środku ulicy, ale zauważyłem, że wychodzi pan z Bażantów w Koronach. Myślałem, że spotkam tam swojego przyjaciela Luciena Dauvergne'a i zjem z nim

obiad, ale go nie widziałem i zastanawiam się, czy może jakimś niebywałym zbiegiem okoliczności pan go zna.

– Luciena? Ależ naturalnie! – Galois ucieszył się, zadowolony, że ich rozmowa zmierza w innym kierunku. – Jesteśmy małą grupą przyjaciół, do której należy też Lucien Dauvergne. Bywamy regularnie w tej gospodzie, ale muszę powiedzieć, że już od dobrych dwóch tygodni nie widzieliśmy go na naszych spotkaniach.

– Czy jest ku temu jakiś konkretny powód?

– Głupstwa! Wie pan, jak zachowują się mężczyźni, gdy zaczynają dyskutować o polityce. Emocje łatwo się rozpalają. Jedno słowo prowadzi do kolejnego. Podnosimy głos i przekraczamy granice. Te nieporozumienia nie trwają długo.

W tym momencie ulicą przeszedł nosiwoda, podzwaniając kubkami o okucia wiader. Valentin chwycił stojącego naprzeciwko rozmówcę za ramię i przyciągnął go do siebie, żeby oszczędzić mu potrącenia lub ochlapania.

– Chce pan przez to powiedzieć, że Lucien pokłócił się z jednym z was? – zapytał, otrzepując rękaw młodzieńca.

– „Pokłócił” to zbyt duże słowo. Powiedzmy raczej, że się posprzeczał z Fauvetem-Dumesnilem, dziennikarzem z „La Tribune”. Ten człowiek lubi prowokować i nie waha się rozstrzygać sporów na ubitej ziemi. Jest groźnym pojedyńkowiczem. Co do Luciena, to jeden z tych przeczulonych umysłów, które reagują nieco zbyt pochopnie.

– Czego dotyczyła różnica zdań między nimi?

– Głupstwa, mówiłem panu. Chodziło o kwestię belgijską. Dauvergne popierał belgijskich patriotów, którzy opowiadają się za przyłączeniem ich kraju do Francji. Według niego stanowi to dla naszego narodu okazję, żeby potwierdził swoją odzyskaną wielkość i wziął odwet za 1815 rok. Fauvet-Dumesnil natomiast uważa taką opcję za niepoważną i nierozsądną. Jego zdaniem aneksja oznaczałaby zamieszki w całej Europie i cofnęłaby nas o piętnaście lat.

– Nie można mu całkowicie odmówić racji. Według najnowszych wieści car Mikołaj zmobilizowałby armię na granicy Polski, żeby być gotowym na każdą

ewentualność.

Évariste Galois wzruszył ramionami.

– Muszę przyznać, że niewiele rozumiem z tych dyplomatycznych niuansów. Moim skromnym zdaniem nie powinniśmy się wtrącać w sprawy sąsiadów. Wciąż mamy zbyt wiele do zrobienia, żeby na naszej własnej ziemi zatriumfował duch lipca. – Uniósł czubki palców do czoła, by pozdrowić Valentina w niewymuszony sposób. – A teraz, mój drogi panie Verne, zechce mi pan wybaczyć, bo będę musiał pana opuścić. Jeśli w ciągu pół godziny nie dotrę do Collège du Plessis, ryzykuję wydalenie z École normale.

– Słuchając tego, można by sądzić, że chadza pan na wagary.

Młody matematyk mrugnął figlarnie do Valentina.

– Nie uwierzy pan, ile w tym racji – powiedział z nutką prowokacji w głosie. – Nikczemny Guigniaut¹⁴, nie zadowolając się tym, że powstrzymał swoich uczniów przed dołączeniem do powstańców podczas trzech dni chwały¹⁵, odmawia im jakiegokolwiek głosu w dyskusji na temat przyszłego regulaminu szkoły. Zgodzi się pan, że to działanie despoty, sprzeczne z biegiem historii. Za powiedzenie tego trochę zbyt głośno zostałem całkiem po prostu skazany przez tego poplecznika starego reżimu na areszt domowy. Nieważne! Doszedłem do perfekcji w sztuce przesadzania murów. Nie mogę jednak przegapić popołudniowego apelu.

Po tych słowach oddalił się w podskokach niczym chochlik.

Valentin śledził go wzrokiem, dopóki nie zobaczył, że znika za rogiem rue d'Arras. Dopiero wtedy otworzył prawą dłoń i przyjrzał się przedmiotowi, który właśnie wyjął ukradkiem z kieszeni młodego matematyka. Było to wydrukowane menu, z ręcznie złożone tak, żeby służyło za znak rozpoznawczy. Inspektor pomyślał o słynnych asygnatach¹⁶, które w 1793 roku wandejczycy¹⁷ zaginali w taki sposób, by ukazały się słowa „śmierć Republiki”. W tym wypadku przesłanie było krótsze, ale równie dobitne. Nagłówek z nazwą gospody został istotnie tak przecięty, że można było po prostu przeczytać: „antykورونا”.

Rzeczywiście coś w rodzaju wyznania wiary, jakiego można się było spodziewać u osoby podejrzewanej o republikańską konspirację.

Sprawa Dauvergne'a zapowiadała się na zdecydowanie bardziej skomplikowaną, niż można było przypuszczać, i Valentin zaczynał się zastanawiać, nie bez pewnych obaw, dokąd mogą go zaprowadzić jej mroczne meandry.

¹⁴ Joseph-Daniel Guigniaut – pierwszy dyrektor École normale, która uzyskała autonomię po rewolucji lipcowej. Podczas zamieszek kazał zamknąć drzwi szkoły, żeby uniemożliwić uczniom dołączenie do studentów politechniki na barykadach, ale wykazał się oportunistą, deklarując potem lojalność wobec nowego reżimu.

¹⁵ Fr. *Les Trois Glorieuses* – rewolucja lipcowa, która rzeczywiście trwała zaledwie trzy dni (od 27 do 29 lipca 1830 roku) (przyp. tłum.).

¹⁶ Rodzaj papierowego pieniądza używanego w czasach rewolucji francuskiej (przyp. tłum.).

¹⁷ Uczestnicy tzw. wojen wandejskich – powstania rojalistycznego, które wybuchło w marcu 1793 roku w departamencie Wandea w zachodniej Francji (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 8

Laboratorium Pelletiera

Rozstawszy się z Évaristem Galois, Valentin obszedł Dzielnicę Łacińską, żeby porozmawiać ze swoimi informatorami. Chciał ich uprzedzić, że w następnych dniach będzie rzadziej obecny w terenie, ale nadal mogą się z nim kontaktować w prefekturze policji, jeśli kiedyś dowiedzą się czegokolwiek o Wikarym.

Gdy skończył obchód, ruszył do swojego mieszkania i szedł rue Jacob w kierunku Hôpital de la Charité, gdy na dzwonnicy kościoła Saint-Germain-des-Prés wybiła szósta. Zapadał już zmrok. Wyświetlone na jezdni dwie plamy w jaskrawych barwach wskazywały klientom lokalizację apteki Pelletiera.

Kiedy policjant znalazł się na jej wysokości, przyjrzał się w zadumie dwóm okazałym szklanym słojom w kształcie gruszki, wypełnionym kolorowym płynem, które stały na honorowym miejscu w witrynie. Jakąż cudowną nauką jest chemia! Dichromian potasu pozwalał uzyskać jaskrawą czerwień, a siarczan niklu intensywną zieleń, ale można było również użyć siarczanu miedzi z dodatkiem amoniaku, co dawało niebiański błękit, lub chromianu sodu, żeby otrzymać ciepłą żółć. Łącząc możliwości swojej sztuki z oświetleniem gazowym sklepów, farmaceuci wynaleźli podświetlany szyld. Niewiele osób jednak wiedziało, że umieszczenie tych słoików w witrynie sklepowej miało też inny, jeszcze subtelniejszy cel handlowy. Ich ustawienie zależało w istocie od kierunku otwierania drzwi. Gdy klient wchodził do apteki, odbicie jego twarzy nakładało się na słoik w zimnym kolorze, co przydawało jej trupiego wyglądu. Kiedy natomiast

zamierzał wyjść ze sklepu, było zabarwione ciepłą barwą, więc ów człowiek zdawał się tryskać zdrowiem. Dobroczynny wpływ na psychikę klienta gwarantowany!

Valentin przeszedł niepewnym krokiem przez ulicę i pchnął drzwi apteki. Dzwonek zadźwięczał serią krystalicznych tonów. Słodkawy zapach suszonych ziół, nalewki z żywicy benzoesowej oraz maści z arniki miło połechtał nozdrza młodego mężczyzny i przeniósł go kilka lat wstecz do czasów, gdy jako nastolatek spędzał w tym miejscu większość dni, zapoznając się z botaniką i przeprowadzając swoje pierwsze eksperymenty chemiczne. Poczł powiew nostalgii. Jego wzrok błędził po półkach, gdzie stojące w szeregach fiolki z lekami i szklane słoje prezentowały łacińskie napisy tak tajemnicze dla laika. Przystanął przy królującej na górze dużej wazie do przechowywania teriaku. Jej bogata dekoracja kwiatowa była typowa dla warsztatów z Lunéville. Podziwiał również płaskorzeźbę zdobiącą kontuar do wydawania leków. Przedstawiała Higieję, boginię zdrowia, wylewającą oliwę na płomień życia i wskrzeszającą zwiędłe drzewo granatu, wokół którego owinał się wąż Eskulapa. Ta jakże znajoma sceneria, zabarwiona wyszukaną symboliką, sprawiała, że przeżywał od nowa beztroskie dni, kiedy jeszcze opiekował się nim ojciec, który liczył, iż syn zostanie wybitnym naukowcem. Valentin nigdy nie wracał w to miejsce bez lekkiego ukłucia w sercu.

W pobliżu kasy jeden z praktykantów aptecznych był zajęty wydawaniem wody kolońskiej i saszetek z siarczanem magnezu jakiejś służącej w fartuchu. Valentin pozdrowił go, unosząc dwa palce do ronda cylindra.

– Czy wielki człowiek jest uchwytny? – zapytał, wślizgując się za kontuar.

– Właśnie wrócił ze szkoły i pracuje w laboratorium. Prosił, żeby mu nie przeszkadzać, ale dla pana, panie Valentin, jego drzwi zawsze stoją otworem, jak pan dobrze wie!

„Wielki człowiek”... W tym określeniu nie kryła się żadna ironia. Świadczyło ono zarówno o podziwie, jak i o przywiązaniu młodego inspektora do tego, który zaszczerpił mu zamiłowanie do badań naukowych. Joseph Pelletier nie był zwyczajnym aptekarzem, lecz profesorem na wydziale farmacji, członkiem

Paryskiej Rady Zdrowia Publicznego, kawalerem Legii Honorowej i jednym z tych pionierów, którzy dzięki najnowszym postępom w dziedzinie chemii ekstrakcyjnej zdołali wyizolować aktywne składniki roślin od dawna stosowanych w terapii pod postacią nieoczyszczonych wyciągów. Zawdzięczano mu w szczególności odkrycie emetyny, strychniny, kolchicyny i kofeiny. Można go nawet było słusznie uznać za dobroczyńcę ludzkości, odkąd wraz ze swoim kolegą Caventou dokonał ekstrakcji chininy, niemal cudownego leku na gorączkę przerywaną. Uczony założył potem manufakturę w Neuilly, żeby na dużą skalę wykorzystywać swoje najbardziej obiecujące odkrycia, i odnosił coraz większe sukcesy. Pomimo licznych zajęć nigdy nie zrezygnował z kierowania odziedziczoną po ojcu apteką. Zresztą to właśnie na zapleczu tego rodzinnego sklepu prowadził większość prac naukowych.

Kiedy Valentin wszedł do laboratorium, Joseph Pelletier, w kamizelce i z podwiniętymi rękawami koszuli, regulował temperaturę podgrzewacza, w którym zanurzone było naczynie destylacyjne wyposażone w kołpak i szklaną wężownicę. Wybitny uczony miał czterdzieści cztery lata i choć był pogrążony w żałobie po niedawnej stracie żony, zachowywał w każdych okolicznościach spokojną pogodę ducha. Z wyglądu przypominał nieco Chateaubrianda, ale Chateaubrianda stateczniejszego, z ujarzmioną czupryną i uśmierzonymi udrękami.

– Powrót syna marnotrawnego! – wykrzyknął serdecznie, otwierając szeroko ramiona na widok swojego gościa. – Już zaczynałem myśleć, że zapomniałeś, jak tu trafić. Minęły prawie dwa miesiące, odkąd widziano cię po raz ostatni!

– Mam tu listę odczynników, których mi brakuje, i zamiast wysyłać po nie kuriera, powiedziałem sobie, że nadarza się okazja, aby pana pozdrowić.

Pelletier czule przytulił młodzieńca do piersi. Potem, trzymając go za łokcie, cofnął się o krok i spojrzał na niego z troską zabarwioną niepokojem.

– No i bardzo dobrze zrobiłeś! Cieszę się, że cię widzę, ale niech mnie diabli, jeśli jeszcze bardziej nie schudłeś! Praca w policji nie zostawia ci czasu na przyzwoite odżywianie? Twój biedny ojciec zmartwiłby się, widząc te zapadnięte policzki i ziemistą cerę!

Joseph Pelletier był najwierniejszym przyjacielem ojca Valentina. On i Hyacinthe Verne poznali się w ławach liceum. Ponieważ obydwu kolegów łączyła bezgraniczna fascynacja postępem naukowym i mieli ten sam szlachetny charakter, stworzyli silną więź, której czas i kaprysy losu nie zdołały nadwyreżyć. Kiedy z kolei Valentin okazał zainteresowanie chemią i naukami przyrodniczymi, było całkiem logiczne, że Hyacinthe Verne powierzył syna opiece przyjaciela. Pomiędzy piętnastym a dziewiętnastym rokiem życia młodzieniec przez kilka dni w tygodniu odwiedzał popołudniami pracownię apteczną przy rue Jacob i pomagał Pelletierowi w badaniach nad alkaloidami. Uczony myślał nawet o zaproponowaniu mu odpowiedzialnego stanowiska w manufakturze, którą założył, żeby produkować siarczan chininy, ale wiosną 1826 roku nagła śmierć Hyacinthe'a Verne'a, który zginął w wypadku potrącony przez dorożkę, zniweczyła wszystkie te plany.

Valentin pogrążył się na kilka miesięcy w żalu graniczącym z depresją. Joseph Pelletier zachęcał go wtedy do wyruszenia w długą podróż dookoła świata, żeby odwrócił umysł od czarnych myśli. W końcu czyż nie odziedziczył właśnie dość pokaźnej fortuny, która zwalniała go odtąd z konieczności zarabiania na życie? Młody człowiek nie wziął jednak pod uwagę tej sugestii. Ledwie otrząsnął się z chorobliwego przygnębienia, oznajmił swoim nielicznym znajomym, że porzuca studia podjęte z zamiarem wstąpienia na politechnikę. Ku wielkiemu zmartwieniu Josepha Pelletiera, który czuł, że jego moralnym obowiązkiem jest opieka nad synem nieżyjącego przyjaciela, ów podjął zaskakującą decyzję uzyskania dyplomu nauk prawniczych, żeby następnie wstąpić do policji. W dodatku do Wydziału Obyczajowego, który miał wtedy jak najgorszą reputację. Nic nie mogło go skłonić do zmiany zdania, więc Pelletier z ciężkim sercem patrzył na odejście tego, którego uważał za najzdolniejszego ucznia, jaki kiedykolwiek przewinął się przez jego laboratorium.

– Powinieneś być mnie uprzedzić, że przyjdiesz – powiedział profesor farmacji tonem przyjacielskiej wymówki. – Postarałbym się znaleźć czas i zjedlibyśmy razem kolację. Niestety, obiecałem córce i zięciowi, że pójdę z nimi dziś wieczorem do opery.

Valentin cenił swojego dawnego nauczyciela i za nic w świecie nie chciał mu sprawić najmniejszej przykrości, dlatego nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Czemu miałyby służyć powiedzenie mu, że odczuwa teraz pewien dyskomfort, przekraczając próg laboratorium? Po co wyjaśniać, że ich dawna współpraca naukowa wydaje mu się śmieszna? Cóż by zyskał zacny profesor Pelletier, dowiadując się, że jego uczeń uważa ich żmudne badania za stratę czasu, daremną rozrywkę łagodnych idealistów? Nic dobrego, a w każdym razie nic, co byłoby warte podeptania miłych wspomnień.

Cztery lata wcześniej, zapoznając się z pozostawionymi przez ojca dokumentami, Valentin miał wrażenie, że ten uspokajający, lecz sztuczny świat wokół niego nagle się zawalił. Myślał, że obudził się ze zbyt długiego snu, ukołysany złudnymi marzeniami, bo zdał sobie sprawę, że wszystkie wysiłki podejmowane przez naukowców na całym świecie w celu poprawy ludzkiego losu są skazane na niepowodzenie. Warto było prowadzić tylko jedną walkę, a mianowicie ten zacięty, potajemny bój, który należało podjąć ze złem absolutnym toczącym serce ludzkości. A przynajmniej serce tych ludzi, którzy znaleźli upodobanie w upodleniu i ciemnościach, tam, gdzie odtąd Valentin starał się ich ścigać bez wytchnienia. Wstąpienie do policji wydało mu się zatem najpewniejszym sposobem na wykonanie tego zadania. Szybko jednak zrozumiał, że nikt nie będzie mógł go wesprzeć w tej walce. Żadnego z jego domniemanych kolegów nie pobudzał ten sam wewnętrzny gniew ani żaden nie czuł się powołany, tak jak on, do wypełnienia niemal mistycznej misji.

Później tego samego wieczoru inspektor wyszedł z aptecznej pracowni swojego dawnego mentora z paczką odczynników chemicznych, starannie zapakowaną i wciśniętą pod pachę. Spieszno mu teraz było wrócić do wygodnego mieszkania przy rue du Cherche-Midi. Urządził sobie w nim sekretny pokój, który służył mu jednocześnie za gabinet osobliwości i za laboratorium. Tam właśnie, gdy tylko miał wolną chwilę, poświęcał się różnym badaniom związanym z toksykologią, wykrywaniem wszelkiego rodzaju fałszerstw oraz z identyfikacją osób. Obecnie

nauka stanowiła w jego mniemaniu wyłącznie narzędzie, choć jeszcze niewystarczająco skuteczne, w samotnej walce z przestępczością.

Pogrążony w myślach Valentin nie zauważył wysokiej postaci szczelnie okrytej długim płaszczem, w nasuniętym na oczy kapeluszu z szerokim rondem, która podążała za nim krok w krok, utykając. Gdyby jednak odwrócił się w chwili, kiedy nieznajomy przechodził pod latarnią, niechybnie uderzyłby go okrutny wyraz jego twarzy i morderczy błysk w głębi źrenic. Zrozumiałby wtedy natychmiast, że z myśliwego staje się zwierzyną.

ROZDZIAŁ 9

Pamiętnik Damiena

Co złego zrobiłem?

Zadawałem sobie to pytanie setki, tysiące razy. I nigdy nie znajdowałem odpowiedzi. A przecież gdzieś musi być wyjaśnienie. Nic nie dzieje się ot tak, bez przyczyny. Zastanawiałem się, jaki błąd popełniłem, błąd, który mógłby usprawiedliwić ciszę i ciemności, tę bezdenną otchłań, która mnie pochłonęła. Cóż takiego złego mogłem zrobić, by zasłużyć na ten odór stęchlizny, na ten wilgotny zaduch, te kraty, ten brud, głód i pragnienie, strach, bicie... i jeszcze na *to*? Na resztę, *całą* resztę.

Na samym początku myślałem, że musiałem Go rozgniewać, powiedzieć lub zrobić coś, co Mu się nie spodobało. W głowie odtwarzałem kolejne etapy naszej podróży, od masywu Morvan do bram wielkiego miasta, próbując przekonać samego siebie, że wszystko zaczęło się tam, na drodze, od pierwszych chwil spędzonych razem. Trzymałem się kurczowo szalonej nadziei. Chciałem sobie wmówić, że jeśli zrozumie naturę swojej winy, będę mógł uzyskać przebaczenie, przekonać Go, żeby już mnie nie dręczył. To było daremne i żalosne, ale kiedy ma się zaledwie osiem lat, jak można wierzyć w istnienie zła absolutnego? Nie mówię, żeby mu się opierać czy z nim walczyć, a tylko kontemplować z bliska jego złowrogą, przerażającą paszczę. Wina musiała leżeć po mojej stronie, bo tylko w ten sposób dało się zaakceptować to, że sprawy mają się tak, jak się mają. Bo to było jedynym wyjściem, żeby nie popaść w obłąd.

Co złego mogłem właściwie zrobić?

Dziesiątki, setki razy widziałem siebie ponownie tamtego pierwszego ranka, gdy opuściliśmy dom w lesie. Moja przybrana matka stała na progu, z wilgotnymi oczami. Znow widzę jej ręce owinięte fałdami fartucha, przejmujący gest pożegnania, na który w końcu się zdobyła, tuż zanim zniknęliśmy za pierwszym zakrętem drogi. W tej samej chwili Wikary zarzucił mi ramię na szyję i pamiętam niespodziewany ciężar, który mnie przytłoczył. Wtedy nie zwróciłem jednak na to większej uwagi. Rozmyślałem o tym wszystkim, co zostawiałem za sobą, o tej kochającej kobiecie, o tym znajomym otoczeniu, którego już nigdy nie zobaczę. Usiłowałem powstrzymać łzy. Bo duży chłopiec nie płacze. „Będziesz musiał być dzielny, Damienie. Dzielny i posłuszny”. Powtarzała mi to, kołysząc mnie do snu poprzedniej nocy. Nie chciałem spać w swoim łóżku, więc pozwoliła mi się położyć obok niej. Jej rozpuszczone włosy pachniały spalonym drewnem, a skóra wydzielala słodkawą woń potu. Gdy myślałem o tym wszystkim, co zostało mi odebrane, łzy napływały mi do oczu. A musiałem panować nad sobą, żeby nie pozwolić im pociec po policzkach, więc tak naprawdę nie zważałem na twardość tej pięści na moim ramieniu.

Och, a przecież powinienem był!

Sześć dni zajęło nam dotarcie do celu. Smętnego miasteczka u bram Paryża. Wikary być może podał mi jego nazwę, ale jej nie zapamiętałem. Sześć dni to długo i krótko zarazem, kiedy usiłuje się przeżyć na nowo każdą chwilę i znaleźć w niej uzasadnienie dla tego, czego nie da się usprawiedliwić.

Szliśmy pieszo, najczęściej nie odzywając się do siebie. Mój przewodnik był milczkiem, ale okazywał mi troskę. Regularnie decydował się rzucić kilka słów, żeby się dowiedzieć, czy jestem zmęczony i czy potrzebuję trochę odetchnąć. Za każdym razem, gdy spotykaliśmy chłopca na wozie, ofiarowywał mu swoje błogosławieństwo i prosił go, żeby nas podwiózł. Był środek lata. Dni były ciepłe, a noce łagodne i pachnące. Kiedy zatrzymywaliśmy się w cieniu jakiegoś zagajnika, Wikary słuchał, jak opowiadam o swoim życiu z przybranymi rodzicami, albo patrzył, jak bawię się w milczeniu. Z dumą pokazywałem Mu

wszystko, czego nauczył mnie leśniczy: jak zbudować tamę, żeby odwrócić bieg strumienia, jak zrobić gwizdek z łądygi bzu, złapać motyla, nie robiąc mu krzywdy. Pamiętam, że moja zwinność zrobiła na Nim wrażenie. Chciał wiedzieć, czy czerpię przyjemność z chwytania w ten sposób delikatnych małych stworzeń. Dopiero znacznie później przypomniałem sobie dziwny błysk, który dostrzegłem wtedy w Jego oku, ale w tamtym momencie najwyraźniej nie uważał, że jest coś złego w takiej zabawie. Wręcz przeciwnie! Zachęcał mnie uśmiechem za każdym razem, gdy przynosiłem Mu nowy okaz.

Z biegiem dni zacząłem się przyzwyczajać do Jego milczącej obecności u mego boku. W południe jedliśmy nad strumieniami, a wieczorem w gospodarstwach, gdzie ludzie ściskali się wokół rodzinnego stołu, żeby nas ugościć. Daremnie szperam w pamięci, bo nie potrafię sobie przypomnieć najmniejszego zajścia, najmniejszego gestu czy słowa, którymi mógłbym Go rozgniewać.

Może chodzi o coś innego?

Potrzebowałem tygodni, a nawet miesięcy, żeby w końcu zacząć rozumieć. Dostrzec głębszą przyczynę swojego cierpienia. Nie zrobiłem nic złego. To nie było konieczne, ponieważ złem byłem ja. Moi prawdziwi rodzice przeczuwali to i dlatego mnie porzucili. Usunęli mnie ze swojego życia, tak jak pozbywa się chorego lub szkodliwego zwierzęcia. To ja sprowadzałem nieszczęście. Wszystko się wyjaśniło: odrzucenie po narodzinach, przytułek, odejście mojego przybranego ojca, brutalne wyrwanie z dzieciństwa, Jego przybycie, zamknięcie w piwnicy i cierpienie. Musiałem zapłacić za całe zło, które we mnie było, a o którego istnieniu do tamtej pory nie wiedziałem. Bóg oddał mnie w Jego ręce, ażeby odpokutował jedyną winę, do której się poczuwałem. Do tej, że żyję.

Ostatniego dnia wędrowaliśmy do późnej nocy. Im bliżej miasta się znajdowaliśmy, tym więcej powozów i ludzi poruszało się po drodze, ale Wikary, z niezrozumiałych dla mnie powodów, zrezygnował z proszenia o jakąkolwiek pomoc. Po przemierzeniu pieszo wszystkich tych mil moje małe nóżki z trudem mnie niosły. Byłem wyczerpany, a to zmuszało nas do robienia częstych postojów. On nie wydawał się przez to nadmiernie niezadowolony. Przy najmniejszej skardze

bez gderania pozwalał mi na kilka chwil odpoczynku, ale gdy sugerowałem, żeby zatrzymać jakąś dwukólkę, niezmiennie odpowiadał, że mamy już niedaleko i że trzeba podjąć ostatni wysiłek.

W tym tempie dotarliśmy do celu dobrze po zapadnięciu zmroku. Byłem głodny, spragniony i padałem ze zmęczenia. Bolały mnie wszystkie mięśnie. Ledwie dostrzegłem w ciemności przysadziste sylwetki kilku ruder. Gdy przechodziliśmy, psy zaczęły się szarpać na łańcuchach i wściekle ujadać, ale nikt nie wyściubił nosa na zewnątrz. Wszyscy mieszkańcy już się położyli i żaden nie zauważył naszego przybycia.

Dom stał w pewnym oddaleniu od miasteczka. Otaczał go okolony murem niewielki zapuszczony ogród. Wikary wyciągnął z kieszeni sutanny pęk kluczy. Otworzył furtkę i przepuścił mnie z uśmiechem. „Widzisz, mówiłem ci, że w końcu tu dotrzemy. Witaj w domu, mój chłopcze”. Potem na powrót zamknął starannie furtkę. Tak samo drzwi frontowe.

W środku czuć było zaduch i stęchliznę. Opadłem na pierwsze krzesło w swoim zasięgu, a Wikary zapalił lampę i wyszedł zaczerpnąć wody ze studni. Kiedy wrócił, już drzemałem, z głową opartą na rękach. Obudził mnie, potrząsając delikatnie za ramię. Zobaczyłem na stole przed sobą talerz z trzema sporymi plasterkami szynki, herbatniki, śliwki i dużą szklanekę wody zabarwionej na czerwono winem. Powiedział, że będę mógł spać do woli, ale najpierw muszę odzyskać siły. Potem usiadł naprzeciwko mnie po drugiej stronie stołu. Nie dzielił ze mną posiłku. Zadowolił się patrzeniem z uśmiechem, jak jem i piję. Jedyna lampa w izbie rysowała ruchome cienie na Jego twarzy i sprawiała, że w głębi Jego oczu tańczyły dwa rozżarzone węgle.

Nagle poczułem zawroty głowy.

Wszystko wokół mnie zaczęło wirować.

Zamknąłem oczy, żeby spróbować zatrzymać ten wściekły taniec. Moje powieki stały się ciężkie, bardzo ciężkie. Już nie mogłem ich unieść. Poczułem

niespodziewanie, że zsuwam się na bok. Krzesło zachwiało się razem ze mną. Zapadłem się w nicość.

Kiedy się obudziłem, byłem zupełnie nagi. Ściągnięto ze mnie całe ubranie, a na szyi zawieszono na rzemyku mały drewniany krzyżyk. Panowała kompletna ciemność, ale natychmiast zrozumiałem, że nie jestem w pokoju.

Z powodu zapachu...

Smrodu próchnicy i zgnilizny. Grobowego fetoru.

Po omacku zbadałem przestrzeń wokół siebie. Leżałem na pryczy, zwykłej desce przytwierdzonej do kamiennej ściany. Był tam też zwinięty w kulę koc, który cuchnął stęchlizną. Uniosłem się, żeby usiąść. Ponownie ogarnęły mnie mdłości, toteż zmusiłem się, by pozostać przez chwilę bez ruchu, aż burza w mojej głowie się uspokoi. Pod bosymi stopami czułem klepisko. Zimne. Ubite. Stopniowo oczy przyzwyczajały się do otaczającej mnie ciemności. Ze ściśniętym gardłem po raz pierwszy kontemplowałem wnętrze piwnicy.

Grube kamienne ściany, okienko w górze, zasłonięte deskami solidnie przybitymi od zewnątrz. Na szczycie schodów drewniane drzwi wzmocnione żelaznymi okuciami, z imponującym zamkiem. Kilka skrzyń, półka z pustymi butelkami.

I klatka...

Została wykonana ze stalowych prętów i przymocowana do ziemi. Miała wymiary budy dla dużego psa.

Na jej widok jakaś lodowata dłoń chwyciła mnie za serce. Nie mam pojęcia dlaczego, ale od razu wiedziałem, że On chce mnie w niej zamknąć. Zdjęty nagłą trwogą, najeżoną pazurami i kłami, chciałem wrzeszczeć, lecz krzyk nie przeszedł mi przez gardło ściśnięte ze strachu. Skuliłem się na swojej desce i dygocząc od stóp do głów, zacząłem szlochać. Płakałem całymi godzinami. Jak małe zagubione dziecko.

Tak minął pierwszy dzień, a Wikary się nie pokazał.

Rankiem drugiego dnia przeszedł przez drzwi i podał mi miskę z wodą oraz czarękę z jakąś ohydą papką. Pomimo dręczącego mnie pragnienia spróbowałem ugryźć Go w rękę.

Byłem jednak zdecydowanie zbyt słaby, żeby Go zaskoczyć. Uniknął mojego ataku i brutalnie mnie pobił. Najpierw okładał mnie pięściami, potem kopał. Znęcał się nade mną. Bez widocznej złości, lecz cierpliwie, metodycznie, nie wypowiadając ani jednego słowa. Kiedy przestałem jęczeć i wić się na ziemi, zaciągnął mnie za stopy do klatki i zamknął w środku.

Trzeciego i czwartego dnia nadal byłem w niej uwięziony. Nie mogłem usiąść ani całkowicie się wyciągnąć. Wikary zostawiał mi jedzenie poza klatką. Musiałem nabierać kaszę rękoma i wystawiać przez kraty język, żeby chleptać wodę z miski. Gorzej niż pies.

Piątego dnia w końcu uwolnił mnie z metalowego jarzma. Przyniósł wiadro oraz szczotkę i kazał mi wyczyścić wnętrze klatki, które zabrudziłem odchodami. Tym razem posłuchałem Go z uległością, On zaś patrzył z wyrazem głębokiej satysfakcji, jak wykonuję polecenia. Kiedy skończyłem, uniósł mój podbródek długą bladą ręką i pogłaskał mnie po karku jak wiernego czworonożnego towarzysza. „Tak dobrze. Jestem z ciebie zadowolony. Jesteś dobrym chłopcem”. Przesłodzony ton Jego głosu sprawił, że chciało mi się wymiotować.

Dopiero dziesiątego dnia postąpił ze mną inaczej niż z psem. Było to coś, przez co umierał z pożądania, odkąd schwytał mnie w swoje sidła. I tego dnia, o tak, tego dnia pożałowałem, że nie jestem właśnie tym... Psem.

Jego psem.

Jego psem, a nie Jego rzeczą.

ROZDZIAŁ 10

Nowe zwierzenia

Mżyło.

Pogoda odpowiednia do okoliczności. Drobny, gęsty, niekończący się deszcz spowijał cmentarz Père-Lachaise całunem melancholii. Wokół grobu, do którego czterech karawaniarzy opuszczało trumnę Luciena Dauvergne'a, zgromadziło się liczne i milczące grono osób pod lasem parasoli.

Wyłącznie wytworne towarzystwo w eleganckich strojach żałobnych. Rodzina i bliscy w pierwszym rzędzie. Pani Dauvergne, niemal mdlejąca, uczepiona ramienia małżonka, żeby nie zrobić z siebie widowiska, upadając pod ciężarem rozpacz. Za tą parą i jakby przez nią przyćmiona, niezgrabna postać ich córki Félicienne. Szloch, który nastolatka z wielkim trudem powstrzymywała za batystową chusteczką, wstrząsał górną połową jej ciała. Na drugim planie trzymali się ludzie, których z deputowanym łączyły relacje zawodowe i polityczne. Po szpiczastej brodzie i kościstej sylwetce Valentin rozpoznał doktora Tusseau. Inne twarze należały do sław z paryskiej śmietanki towarzyskiej. Byli tam przede wszystkim prefekt departamentu Sekwany, pół tuzina parlamentarzystów, bankierzy Dominique André i Émile Pereire oraz jeden z tuzów palestry, adwokat Antoine-Brutus Grisselanges.

Co do młodego policjanta, stał z dala od całego tego wytwornego towarzystwa, opierając się plecami o marmurowe mauzoleum. Na chwilę jego spojrzenie opuściło ceremonię pochówku i błądziło dookoła po płytach i grobowcach.

W ponurym jesiennym kapuśniaczku mieszanka kamienia i zieleni budziła w nim posępne myśli. Groby zakopane pod liśćmi, z często pompatycznymi epitafiami sławiącymi chwałę lub piękno, kojarzyły mu się z jakimś olśniewającym miastem z dawnych czasów, teraz popadłym w ruinę i stopniowo znikającym pod roślinnym całunem. Ta nekropolia przypominająca angielski ogród symbolizowała w jego oczach śmieszna i z góry przegraną walkę, którą ludzie toczyli z uporem, żeby oswoić śmierć.

W tłumie żałobników nastąpiło mile widziane poruszenie, które wyrwało go z ponurej medytacji. Grabarze skończyli opuszczać trumnę, a zebrani szykowali się, żeby z kropidłem w ręku przejść gęsiego przed grobem, a następnie złożyć kondolencje rodzicom denata. Félicienne Dauvergne została z tyłu, zastygła w bólu. Valentin skorzystał z okazji, by podejść do niej dyskretnie, i udało mu się przyciągnąć jej uwagę.

– Panno Dauvergne – szepnął na tyle cicho, żeby usłyszała go tylko dziewczyna. – Byłem w Bazantach w Koronach. Muszę zamienić z panią kilka słów. Teraz!

Nastolatka o okrągłej twarzy zrobiła wystraszoną minę. Jej powieki zatrzepotały gorączkowo niczym skrzydła motyla zderzającego się z szybą. Zerknęła z niepokojem w stronę ojca, który właśnie zdjął rękawiczki, żeby odpowiadać na pozdrowienia obecnych.

– To nie potrwa długo – mówił dalej Valentin tonem, który miał być jednocześnie uspokajający i natarczywy – lecz jeśli chce pani, żebym odkrył prawdę o śmierci brata, będzie pani musiała mi jeszcze pomóc.

Félicienne nie odpowiedziała, ale pozwoliła się zaprowadzić nieco dalej od ludzi stojących w kolejce przed wazą z wodą święconą. Krople deszczu uderzały o wieko trumny, które wydawało przeraźliwie głuchy i posępny dźwięk. To monotonne bębnienie pozwoliło im rozmawiać całkowicie dyskretnie.

– Czego pan chce? – zapytała cicho Félicienne. – Mojemu ojcu nie spodobałoby się, że opowiadam panu o Lucienie. Za bardzo by się bał, że ucierpi

na tym jego reputacja.

– To dlatego podrzuciła mi pani ukradkiem tę wiadomość? Ale przede wszystkim skąd przekonanie, że śmierć Luciena ma związek z ludźmi, z którymi widywał się w gospodzie?

– Naprawdę pan tam poszedł?

– Owszem, dwa dni temu. Mam wszelkie powody, by sądzić, że spotykają się tam potajemnie republikanie. Być może ekstremiści, którym pewnie nie spodobało się rozwiązanie Towarzystwa Przyjaciół Ludu¹⁸. Wiedziała pani o tym?

Félicienne wahała się przez chwilę i udawała, że nie usłyszała pytania.

– Lucien zawsze był delikatnym marzycielem. Brzydził się wszystkim, co miało związek z handlem i finansami. Nienawidził tego, co nazywał ciasnym umysłem burżuazji. Wywoływało to wściekłość naszego ojca: wypominał mu niewdzięczność i plucie do zupy, którą go karmiono.

– Często się kłócili?

– Kiedy Lucien był młodszy, tak. Ale odkąd mój brat osiągnął pełnoletność, powiedzmy, że trzymał się z dala od rodzinnego kokonu. Wynajął pokój przy rue d'Angoulême i zaczął pisać wiersze oraz sztuki teatralne. Gdyby nie ta straszna tragedia, mógłby zostać wybitnym artystą!

Wypowiadając te ostatnie słowa, nie mogła powstrzymać zduszonego szlochu.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie – nalegał Valentin. – Dlaczego napisała mi pani, że osoby odpowiedzialnej za jego śmierć należy szukać wśród stałych bywalców Bażantów w Koronach?

– Bardzo kochałam brata, ale trzeba przyznać, że wytrwałość nie była jego największą zaletą. Gwałtowny charakter sprawiał, że nieco zbyt łatwo dawał się ponieść emocjom. Ostatnio został entuzjastą idei republikańskich. Twierdził, że wielka burżuazja ukradła rewolucję lipcową ludowi. Jego zdaniem należało podjąć pilne działania, żeby zmusić rząd do przyjęcia liberalnych reform. Byłam jedyną osobą, której się zwierzał, ale trochę się martwiłam jego egzaltacją. Chcąc mnie uspokoić, powiedział, że nie jest jedynym, który tak myśli. Trochę na niego

naciskając, zdołałam go skłonić do przyznania, że wstąpił do jakiegoś tajnego bractwa, które odbywa spotkania w tej osławionej gospodzie.

– To wszystko nie wyjaśnia, dlaczego uważa pani, że ci ludzie mogą być odpowiedzialni za jego śmierć.

Młoda dziewczyna odwróciła głowę w stronę rodziców i Valentin zobaczył, że nagle zbladła. Spojrzał w tym samym kierunku i stwierdził, że Charles-Marie Dauvergne utkwiał w nich wzrok. Nadal ścisnął dłonie przyjaciółom i znajomym, ale na ich słowa pocieszenia odpowiadał tylko krótkim skinieniem. Na jego twarzy smutek ustąpił miejsca silnej irytacji.

– Nie możemy tak dłużej szeptać – rzuciła pospiesznie Félicienne. – Mogę co najwyżej powiedzieć panu, że Lucien bardzo się ostatnio zmienił. Nie tylko z powodu nowych idei, które wbito mu do głowy. Ja... Ja myślę, że miał chorobę nerwową. Od wielu tygodni nękały go nagłe słabości.

– Sądzi pani, że to mogło mieć coś wspólnego z jego śmiercią?

– Nie jestem lekarzem, ale jak tego ze sobą nie łączyć? Zwłaszcza że jest coś jeszcze bardziej niepokojącego. Mniej więcej dziesięć dni temu świętowaliśmy moje urodziny. Z tej okazji Lucien przyszedł na kolację i spał w domu. Wydarzyło się wtedy coś bardzo dziwnego...

– Co takiego? – zapytał Valentin, nie próbując ukryć zniecierpliwienia.

– Tamtej nocy obudził mnie odgłos kroków pod drzwiami mojej sypialni. To był Lucien. Wyglądało, jakby miał atak somnambulizmu. Chodził z szeroko otwartymi oczami, ale nie był w stanie mnie zobaczyć ani usłyszeć.

– I co pani zrobiła?

– Absolutnie nic. Za bardzo się bałam, że pogorszę jego dolegliwość, próbując go wyprowadzić z tego dziwnego stanu. Już miałam wezwać pomoc, kiedy w końcu wrócił do swojego pokoju. Ponieważ nazajutrz rano wydawało się, że znów zachowuje się normalnie, nie odważyłam się nikomu o tym powiedzieć. Od jego strasznej śmierci nie przestaję się o to obwiniać.

Valentin współczuł wrażliwej nastolatce z opuchniętymi powiekami i chociaż zwykle wykazywał bardzo mało empatii wobec bliźnich, poczuł potrzebę skierowania do Félicienne kilku słów otuchy.

– Nie może pani mieć sobie tego za złe – powiedział uspokajającym tonem. – Nikt nie zdołałby przewidzieć tak fatalnego zakończenia. Ale dobrze pani zrobiła, obdarzając mnie zaufaniem. Jeśli uda mi się rzucić światło na okoliczności śmierci pani brata, w znacznej mierze będę to zawdzięczał pani.

Pogrzeb dobiegał końca. Ludzie już oddalali się w kierunku bramy, gdzie czekały ich powozy, i przyspieszali kroku, żeby uniknąć nasilającego się deszczu. Przy grobie została tylko najbliższa rodzina. Policjant wyjął kieszonkowy zegarek. Miał jeszcze czas, żeby ustalić dokładny adres pokoju wynajmowanego przez Luciena Dauvergne’a przy rue d’Angoulême – szczegóły, który nie figurował w aktach – i dokonać tam szybkiej inspekcji.

Szedł alejką między grobowcami, gdy zauważył kobietę całą ubraną na czarno, która najwyraźniej uczestniczyła w ceremonii, choć z rozmysłem trzymała się na uboczu. Dość młoda, dość ładna, o ile Valentin mógł to ocenić pomimo kaptura jej obszernej peleryny zasłaniającego twarz. Stała jakieś dwadzieścia metrów od miejsca pochówku Luciena, w pobliżu innego grobu, obserwując grabarzy chwytających za łopaty i rzucających pierwsze bryły ziemi na trumnę. Jej zaciśnięte palce mięły nerwowo chusteczkę obrębianą koronką.

Zaintrygowany inspektor czym prędzej ją wyprzedził, a potem, nieco dalej przy tej samej alejce, wślizgnął się za szopę na narzędzia, skąd mógł obserwować nieznajomą. Gdy ta w końcu zdecydowała się wyjść z cmentarza, byli tam już tylko pracownicy krzątający się wokół miejsca ostatniego spoczynku Luciena Dauvergne’a. Odeszła nawet pogrążona w żałobie rodzina. Rzecz by można, że samotna kobieta koniecznie chciała zostać na miejscu ostatnia, jakby urządzała sobie pożegnalne sam na sam ze zmarłym.

Po wyjściu z cmentarza Valentin dyskretnie szedł za nią krok w krok. Kim była? Co ją łączyło z Lucienem Dauvergne’em? Czy mogła się okazać choć trochę pomocna w jego śledztwie? Gdy podążał za nią w bezpiecznej odległości, żeby nie

zostać zauważony, w jego głowie kłębiły się pytania. Jeśli na początku przyjął tymczasowe przeniesienie do Sûreté z odrobiną irytacji, nie dało się ukryć, że odtąd sprawa Dauvergne'a zdołała zawładnąć jego umysłem. W tych aktach było zbyt wiele intrygujących szczegółów. Wypadnięcie przez okno na oczach matki, w środku przyjęcia, bez wyraźnej przyczyny. Trup z błogim uśmiechem na ustach. Tajne stowarzyszenie... a teraz tajemnicza nieznajoma, najwyraźniej bliska zmarłemu, ale o której istnieniu jak dotąd nikt nie wspominał. To były wystarczające powody, żeby dać się wciągnąć w tę grę.

Kontynuując śledzenie, Valentin przyglądał się idącej przed nim kobiecie. Na podstawie jej chodu i postawy dawał jej dwadzieścia–dwadzieścia pięć lat. Jej ciemne ubranie świadczyło o pewnym wyrafinowaniu, ale nie pochodziło od żadnego wielkiego krawca. Inspektor miał trudności z dokładnym umiejscowieniem jej na drabinie społecznej. Z pewnością nie była robotnicą ani urzędniczką, ale też nie damą z towarzystwa. Tkaniny były miernej jakości, krój raczej przeciętny, a buty wyglądały na zniszczone, co zmuszało ją do omijania kałuż na jezdni z niepołączonych ze sobą brukowców. W dodatku przy bramie Père-Lachaise nie czekał na nią żaden powóz, a pomimo deszczu, teraz już ulewnego, nie skinęła na dwie wolne dorożki, które minęły ją po drodze.

Jedno za drugim wkroczyli do Paryża przez roгатkę d'Aunay, omijając więzienie Petite Roquette dla kobiet, przeszli przez kanał Saint-Martin i dotarli do boulevard du Temple. Zła pogoda odstraszyła spóółstwo, które zwykle tłoczyło się w tym miejscu, w atmosferze rozrywki i uciechy, od późnego popołudnia aż do późnej nocy. Większość kramów kuglarzy wzdłuż wysadzanych drzewami alei miała zamknięte okiennice. Ich pstre szyldy wyglądały ponuro w deszczu, a płótno namiotów trzepotało żałośnie na wietrze. Młoda kobieta nadal szła szybko przed siebie. Zmierzała prosto w stronę fasad niewielkich teatrów.

Valentin przyspieszył kroku, żeby się do niej zbliżyć. Kiedy zobaczył, że idzie do wejścia dla artystów dawnego Teatru Akrobatów, kierowanego przez słynną *madame Saqui*¹⁹, postanowił ją dogonić.

– Proszę wybaczyć, że tak bezceremonialnie panią nagabuję – powiedział, przytrzymując ją za ramię – ale czy mogłaby mi pani poświęcić kilka chwil?

Młoda nieznajoma odwróciła się gwałtownie. Chcąc mu się lepiej przyjrzeć, uniosła brzeg kaptura, odsłaniając twarz pociągającej brunetki.

– Niech zgadnę – zaczęła, patrząc na niego nieufnie. – Założę się, że jest pan taki jak wszyscy inni. Tylko jedno panu w głowie.

– Można wiedzieć, co konkretnie? – zapytał Valentin, przekonany, że kobieta musi się mylić co do jego prawdziwych zamiarów i wyobraża sobie, iż ma do czynienia z pospolitym uwodzicielem.

Ale słowa, które wypowiedziała wówczas z czarującym uśmiechem, całkowicie zbiły go z tropu:

– Zamordować mnie, oczywiście! Cóż by innego?

¹⁸ Republikańskie stowarzyszenie założone podczas rewolucji lipcowej, wrogię Ludwikowi Filipowi i podejrzewane o wzniesienie zamieszek przeciwko nowemu reżimowi. Jego działalność została zakazana 2 października 1830 roku.

¹⁹ Marguerite Antoinette Saqui – słynna tancerka na linie i akrobatka, która zyskała sławę za czasów Pierwszego Cesarstwa, a następnie została reżyserką teatralną.

ROZDZIAŁ 11

Kroki we mgle

– Istna masakra! Dokonałam dokładnych obliczeń od początku roku. Zostałam zaszytyletowana sto trzydzieści pięć razy, otruta dwieście pięćdziesiąt sześć razy i pięćset dwadzieścia dziewięć uwiedziona lub porwana²⁰. Proszę się zatem nie dziwić, że gdy zagadnął mnie pan pod drzwiami Teatru Akrobatów, sądziłam, że jest pan jednym z tych autorów, którzy marzą tylko o tym, by zobaczyć, jak wydaję na scenie ostatnie tchnienie dla pięknych oczu Talii²¹.

Nazywała się Aglaé Marceau i właśnie skończyła dwadzieścia dwie wiosny. Była aktorką, a jej olśniewająca uroda pozwalała jej grać role młodych zakochanych dziewcząt w krótkich dramatycznych przerywnikach, które przeplatały się z pantomimą i numerami akrobatycznymi będącymi specjalnością teatru *madame Saqui*. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy młody Dauvergne często odwiedzał teatry na boulevard du Temple i poznał tę młodą kobietę, której gra go oczarowała i która została jego etatową żoną.

– Przychodził na przedstawienia prawie co drugi wieczór – wyjaśniła, dmuchając delikatnie w filiżankę czekolady, gdy siedziała z inspektorem przy stoliku w kawiarni naprzeciwko teatrów. – Wydawał mi się ujmujący z tą swoją fanfaronadą, mimo że najwyraźniej ledwie puścił się matczynej spódnicy i nigdy wcześniej nie poznał kobiety. Twierdził, że jestem zbyt dobrą aktorką, żeby specjalizować się w bulwarowych melodramatach i wodewilach. Jego zdaniem zasługiwałam, by triumfować na scenie teatru Variétés lub Théâtre-Français. Miał

ambicję napisać dla mnie wielką rolę w sztuce, która przyćmiłaby wszystkie arcydzieła jego poprzedników. I trzeba przyznać, że bardzo się starał. Większość nocy spędzał zamknięty w swoim pokoju, zapisując niezliczone strony!

– Mówi to pani z ironią – zauważył Valentin.

– Jego opinia o moim rzekomym talencie oraz pewność, że on przewyższy Scribe’a czy Hugo, dowodzą, że o sztuce dramatycznej nie miał większego pojęcia niż o tym, jak postępować z kobietami. W końcu jednak rozczulił mnie swoją niezdarnością i naiwnością. Był typem mężczyzny, który mógł przegapić randkę, bo zasnął nad swoim rękopisem, a potem, przez wiele dni, zasypywać kobietę różami, żeby mu przebaczyła!

Valentin zawahał się przed zadaniem kolejnego pytania. Nie chciał się okazać zbyt bezpośredni ani urazić wrażliwości swojej rozmówczyni, ale jego brak doświadczenia z kobietami sprawiał, że czuł się niezręcznie. Na próżno szukał w głowie odpowiedniego sformułowania. W desperacji zapytał w końcu bez ogródek:

– Kochała go pani?

Piękna aktorka odstawiła filiżankę. Przelotny cień przesłonił jej spojrzenie, a z całej postaci emanowały niesforny urok i budząca sympatię energia. Na jej bystrej twarzy o zdecydowanym podbródku i dużych oczach koloru złotych kasztanów nie było ani krzty afektacji.

– Jeśli pragnie pan wiedzieć, czy uczynił mnie swoją kochanką, odpowiedź brzmi „nie” – powiedziała w końcu, patrząc inspektorowi prosto w oczy. – Prawdę mówiąc, uważam, że nie miałby nic przeciwko temu, ale jak tu się zakochać w mężczyźnie, któremu bardziej ma się ochotę matkować, niż pójść z nim do łóżka? Był dla mnie raczej jak brat niż potencjalny kochanek. Jego tak nagła śmierć sprawiła mi wielki ból.

Próbując ukryć zakłopotanie, inspektor zakaszłał w dłoń.

– Tak mi się właśnie wydawało przed chwilą, na pogrzebie.

– Ach, był pan tam?

Valentin potwierdził skinieniem głowy. Kiedy nieco wcześniej przedstawił się młodej kobiecie jako policjant odpowiedzialny za dochodzenie w sprawie śmierci Luciena Dauvergne'a, powstrzymał się od powiedzenia jej, że śledził ją od cmentarza.

– Dlaczego trzymała się pani z boku?

– Pomyślałam, że Lucien chciałby, żebym przysłała, ale szczerze mówiąc, czy uważa pan, że byłabym na swoim miejscu wśród tych wszystkich wytwornych strojów?

Powiedziała to bez urazy, jak coś oczywistego, nad czym nie było sensu ubolewać. Niemal wbrew sobie Valentin zaczął się jej przypatrywać z nowym zainteresowaniem. Była dziwną osobką, która łączyła w sobie szczerłość, niezłomność charakteru i ładnie zarysowane kształty, lecz bez przybierania owej pozy pretensjonalnej kokieterii, tak częstej wśród tancerek i aktorek.

Musi robić wrażenie na wielu mężczyznach. Nic dziwnego, że młody Dauvergne czuł się, jakby dostał skrzydeł!

– Siostra Luciena twierdzi, że jakiś czas temu bardzo się zmienił. Napomknęła o możliwych zaburzeniach nerwowych, a nawet o napadzie somnambulizmu. Czy zauważyła pani coś podobnego?

– Ma pan na myśli jakąś chorobę? Nie, nie posunęłabym się tak daleko. Muszę jednak przyznać, że w tych ostatnich tygodniach Lucien nie był już całkiem taki sam. Utrzymawał, że autor godny tego miana nie może lekceważyć dobra swojego kraju. Chociaż do tamtej pory znałam go jako lekkoducha, stał się małomówny i pompatyczny. Oznajmił, że chce stworzyć dzieło zdolne poruszyć tłumy i na nowo rozpalić płomień rewolucji lipcowej. Miał w ustach same wielkie słowa: „braterstwo”, „równość”, „powszechność”, „edukacja”, „emancypacja”, „rewolucja”... Czy już pan zauważył, że słowa kończące się na -ość i -cja mają wyjątkową moc zawracania ludziom w głowach?

Valentin powstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza i nadal podążał za swoim tokiem myślenia.

– Podejrzewa pani, co mogło spowodować taką metamorfozę?

– Chyba jakieś lektury zmąciły mu umysł. Kiedy poznałam go zeszłej zimy, zawsze miał nos zatopiony w tomiku wierszy, ale ostatnio zajął się czytaniem opozycyjnej prasy i już się nie rozstawał z pewną starą książką, z której cytował z pamięci całe fragmenty. Zapomniałam tytułu, ale autorem jest ten słynny rewolucjonista, który dał się zadźgać w wannie.

– *Łańcuchy niewolnictwa Marata*?

– O, właśnie. Tak. Lucien twierdził, że od tamtego czasu nic się w gruncie rzeczy nie zmieniło, że lud nadal nie zerwał łańcuchów i że najwyższy czas otworzyć mu oczy.

Zanim Valentin rozstał się z aktorką, uzyskał jeszcze od niej dokładny adres Dauvergne'a, przy rue d'Angoulême, a także kopię klucza. Udał się tam od razu, bo wystarczyło przejść na drugą stronę bulwaru.

Jeśli chodzi o mieszkanie, potomek deputowanego Dauvergne'a zajmował tylko skromnie umeblowany pokój na poddaszu, na górze starej kamienicy. Było oczywiste, że bogaty mieszczanin nie mógł patrzeć przychylnym okiem na zwrot w życiu syna i przynajmniej częściowo przestał łożyć na jego utrzymanie.

Dokładne przetrząśnięcie tej ciasnej przestrzeni zajęło inspektorowi niecałą godzinę. Prawdę mówiąc, efekty były mizerne. Stosy brulionów zapisanych miernymi wierszami, kilka egzemplarzy „La Tribune” i „Le National”²² oraz, ukryte za rozprutą podszewką surduta, takie samo sprytnie złożone menu jak to zwędzone dwa dni wcześniej z kieszeni Évariste'a Galois. Jedyna różnica polegała na tym, że po rozłożeniu kartki pojawiała się skreślona piórem linijka. Charakter pisma był identyczny z tym, którym zapisano wiersze, i dało się odczytać te oto słowa: „Trzy krótkie uderzenia, dwa wolniejsze”.

Gdy Valentin znalazł się ponownie na ulicy, zauważył, że jest już wieczór. Wraz ze spadkiem temperatury wilgotne powietrze skraplało się w postaci gęstej mgły, którą latarnie zabarwiały na żółtawy kolor. Policjant ledwie widział drogę, którą

szedł, ale zbyt dobrze znał miasto, żeby się tym przejmować. Postanowił przeciąć na wprost przedmieście Saint-Antoine.

Idąc, poddał się natłokowi myśli. Rozmowa z Félicienne Dauvergne i zwierzenia Aglaé Marceau utwierdziły go w przekonaniu, że śmierć Luciena miała źródło w jego niedawnym nawróceniu się na ideały republikańskie oraz w nagłej zmianie charakteru. Te wydarzenia były zbyt ściśle ze sobą powiązane, by widzieć w nich jedynie zwykły zbieg okoliczności. Pozostawało odkryć, w jaki sposób nabranie świadomości politycznej w ciągu kilku tygodni skłoniło do samobójstwa młodego człowieka, przed którym przyszłość stała otworem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Valentin musi wobec tego podjąć ryzyko infiltracji tajemniczego zrzeszenia, które spotykało się w Bażantach w Koronach.

Zastanawiając się nad najlepszym sposobem osiągnięcia celu, inspektor dotarł do dzielnicy Sainte-Avoie i jej labiryntu błotnistych zaułków, cuchnących uliczek i dusznych zakamarków. Tam, w tym ponurym, niezdrowym Paryżu, mieszkała ludzka fauna skazana na najnędnieszy żywot: sieroty, bezrobotni robotnicy, pokątne prostytutki zżerane przez syfilis, podrzędne opryszki... To właśnie w owym miejskim bagnie, cztery lata wcześniej, Hyacinthe Verne zgubił ślad Wikarego.

Przywołując pamięć zmarłego ojca, Valentin poczuł, że jakaś lodowata dłoń ściska go za serce. Pogrzeb Luciena Dauvergne'a mógł obudzić wyłącznie ponure wspomnienia. Jedyne uroczystości żałobne, w których inspektor uczestniczył do tamtej pory, były właśnie te związane z pochówkiem jego czcigodnego ojca. Pamiętał rozdzierający ból, który go wtedy przeszył. Wszystko stało się tak nagle. Z dnia na dzień jego życie zmieniło się w dramat. Hyacinthe Verne został potrącony na nabrzeżu Sekwany przez dorożkę, gdy woźnica stracił panowanie nad zaprzęgiem. Uderzony w głowę, zmarł niemal natychmiast. Kilka dni później, kiedy Valentin porządkował papiery zmarłego, natrafił na dokumenty umieszczone w tajnej szufladzie sekretarzyka. Ich treść nim wstrząsnęła. To tak, jakby gwałtownie zerwano mu z oczu zasłonę. Jakby Zło znalazło sposób na pokonanie śmiesznych barier, wzniesionych, by trzymać je na dystans. Wszystko

zostało tam szczegółowo opisane, na tych stronach pokrytych eleganckim pismem jego ojca. Valentin mógł przeczytać potworną historię Damiena, tego porzuconego dziecka, które wpadło w szpony potwora. Dowiedział się, że ojciec, choć nigdy mu o tym nie wspomniał, przez siedem długich lat zajmował się tropieniem Wikarego. Że niestrudzenie poświęcał na to całą swoją energię, nie szczędząc wysiłków i znacznych sum pieniędzy. Ta zawziętość pozwoliła mu odkryć kilka kryjówek potwora, ale zawsze przybywał za późno. I w końcu stracił jego trop w kłębowisku ludowych dzielnic Paryża.

Odkrywając ścieżki przemierzone przez Wikarego, usiane odrażającymi morderstwami, Valentin przeszedł od żalu do przygnębienia. Zamknął się w sobie, w ponurych rozważaniach, i niewiele brakowało, żeby nigdy się od nich nie uwolnił. Tylko pragnienie kontynuowania dzieła ojca zdołało go wyrwać z depresji. W głębi jego duszy zakorzeniło się przekonanie, że to do niego należy przejęcie zadania. Uważał, że teraz tylko on może przyjść Damienowi z pomocą. Jedynie śmierć Wikarego zdołałaby wyrwać to dziecko z wiecznego mroku, w którym żyło.

Z jakiejś kościelnej wieży rozległo się dziewięć uderzeń dzwonu. Dźwięk, dziwnie stłumiony przez grubą warstwę waty, która opanowała uliczki, wyrwał Valentina z zamyślenia. Zdał sobie sprawę, że od kilku minut zaniedbuje orientowanie się w terenie, idąc przed siebie na chybił trafił i szurając czubkiem laski po fasadach domów. Przystanął, by się połapać, gdzie jest. Wydawało mu się, że słyszy za sobą, dość blisko, echo kroków, które milkło z nieznacznym opóźnieniem. Czekał bez ruchu w całkowitej ciszy. Nie dotarł do niego żaden inny odgłos. Bez wątpienia zmyliło go jakieś zjawisko rezonansu wywołane przez mgłę.

Ponieważ nie było mowy o odczytywaniu tablic z nazwami ulic, postanowił zdać się na instynkt i w ten sposób kontynuować drogę. W końcu wystarczyło, żeby podążał za łagodnym nachyleniem ulic i tak dotarł do nabrzeży Sekwany. Stamtąd łatwo byłoby mu się zorientować w położeniu i dojść do swojego domu na lewym brzegu. Podjąwszy tę decyzję, wznowił żmudny marsz przez zupę mleczną.

Jednakże kilkaset metrów dalej zatrzymał się ponownie. Usłyszał ten sam dźwięk, który chwilę wcześniej wtórował echem jego własnym krokom. Rzecz by

można, że ktoś podąża za nim w pewnej odległości, naśladowując jego chód. Wyteżył słuch. Znowu nic. Jedyne ta wełnista, niemal namacalna cisza, która tłumiała zwykle odgłosy miasta. *Czyżbym padł ofiarą własnej wyobraźni?* Valentin dobrze znał złowrogą reputację tej dzielnicy. Co tydzień dochodziło tam do licznych aktów przemocy spowodowanych biedą, która demoralizuje dusze. Kradzieże, napady, załatwianie porachunków... Ponieważ niemal wszystkie ofiary należały do biedoty lub świata przestępczego, władze mniej lub bardziej przymykały na to oko. Zadowolano się organizowaniem od czasu do czasu policyjnych nalotów na dzielnicę nędzy. Te obławy pozwalały zgarniać dziewczęta w nieuregulowanej sytuacji oraz zatrzymywać włóczęgi, sieroty lub, w najlepszym przypadku, jakiegoś skazańca będącego na bakier z prawem.

Nie słysząc już żadnych podejrzanych odgłosów ani nie dostrzegając żadnego ruchu we mgle, Valentin postanowił wznowić marsz. Teraz jednak unikał błędzenia myślami i koncentrował się na otoczeniu. Dzięki temu kilka minut później wychwycił nieznaczny dźwięk, na który prawdopodobnie nie zwróciłby uwagi, gdyby jego zmysły nie były w stanie pogotowia. Tym razem miał pewność, że usłyszał szurnięcie podeszwy o chodnik. Nie mogło to być echo, jak wcześniej sądził, bo ów metaliczny dźwięk kojarzył się ze wzmocnionymi butami używanymi przez niektóre osoby kalekie od urodzenia. Nie było już wątpliwości: ktoś rzeczywiście za nim szedł. Co więcej, nieznajomy przybliżył się od poprzedniego razu. Valentin ocenił, że znajduje się mniej niż dziesięć metrów od niego.

Zawrócił niespodziewanie i szybko cofnął się na taką właśnie odległość. Nikogo! Albo tamten zdążył się schować w jakimś kącie, albo Valentin otarł się o niego, nie zauważając go w tych niezdrowych mlecznych oparach. Zirytowany i zdezorientowany, obrócił się kilka razy wokół własnej osi, zanim postanowił ponownie ruszyć w kierunku Sekwany, wydłużając krok. Przez kilka minut łudził się, że ktoś, kto go śledził, zrezygnował, bo już żaden odgłos nie zdradził jego obecności. Inspektor nieznacznie się rozluźnił. Jeszcze dwie lub trzy uliczki i dotrze do nabrzeża, gdzie nie będzie mu grozić żadne niebezpieczeństwo.

Zaczynał robić sobie wyrzuty, że niepokoił się z byle powodu, gdy tuż za jego plecami rozległo się ciche stuknięcie, po którym natychmiast nastąpiło stłumione przekleństwo. Z walącym sercem obrócił się zniechęcony i na próżno usiłował przeniknąć grubą, puszystą zasłonę. W końcu zawołał zirytowany:

– Jest tam kto?!

W tej samej chwili zrozumiał swój błąd. Dźwięk jego głosu pozwolił tajemniczemu nieznanemu, który deptał mu po piętach – kimkolwiek był i jakiegokolwiek miał zamiary – go zlokalizować. Zanim jeszcze dostrzegł nagły manewr po swojej lewej stronie, instynkt podpowiedział mu, by przywarł do najbliższej fasady. Ten odruch bez wątpienia uratował mu życie. Jakiś tępy przedmiot musnął jego czaszkę i opadł gwałtownie w miejscu połączenia szyi i barku. Zamroczony inspektor, ze sparaliżowaną lewą stroną ciała, wiedział, że musi natychmiast zareagować.

Przewyciężając silny ból, przekręcił okucie laski i dobył z niej cienkie stalowe ostrze. Trzymając ramię w trzeciej pozycji obronnej, rzucił się do przodu w przybliżonym kierunku, gdzie siłą rozpędu powinien był się znaleźć napastnik. Następnie trzykrotnie zrobił wypad przed siebie, wykonując na oślep kilka pchnięć. Podczas ostatniego ataku ostrze napotkało na końcu swej drogi pewien opór. Valentin użył zatem nadgarstka, żeby zwiększyć zasięg. Natychmiast dał się słyszeć przeraźliwy jęk, a chwilę później utykające kroki oddaliły się we mgle.

Policjant był w zbyt kiepskim stanie, by rzucić się w niepewny pościg, toteż opadł na kolana na brudny chodnik. Rwało go w karku, a przed oczami migotały mu gwiazdy. Zmusił się, żeby oddychać głęboko i w ten sposób zapanować nad szybkim biciem serca. Stopniowo ból, który powodował drętwienie całego lewego boku, ustał. Przybliżył wówczas do twarzy ostrze laski-szpady.

Na długości pięciu centymetrów jej zaostrowany szpic zabarwił się na jaskrawy szkarłatny kolor.

²⁰ W tym czasie krwawe melodramaty cieszyły się powodzeniem w teatrach na boulevard du Temple [bulwar Świątyni], który z tego powodu został przemianowany przez dziennikarzy na boulevard du Crime [bulwar Zbrodni].

²¹ Muza komedii w mitologii greckiej.

²² Ówczesne gazety republikańskie.

ROZDZIAŁ 12

W paszczę lwa

Nie bez obaw Valentin podszedł do właściciela Bażantów w Koronach. Podobnie jak podczas pierwszej wizyty, i pomimo porannej pory, gospoda była zatłoczona. Karczmarz panoszył się na swoim ulubionym siedzeniu, przy wejściu do kuchni, wśród woni przypalonego tłuszczu. Z fajką w gębie kołysał się ospale, utrzymując równowagę na tylnych nogach krzesła.

Poprzedniego wieczoru inspektor opatrzył sobie obrażenia odniesione podczas ataku, którego padł ofiarą – paskudny krwiał w kształcie gołębiego jaja nad obojczykiem – rozmyślając o niedawnym splocie wydarzeń i najlepszym sposobie dalszego prowadzenia śledztwa.

Im więcej się nad tym zastanawiał, tym bardziej podejrzana wydawała mu się ta napaść we mgle. Gdyby chodziło o pospolitego rabusia, który sądził, że zaczepia bogatego spóźnionego przechodnia, ów osobnik najpierw by mu groził, próbując go obrabować z pieniędzy, a siły użyłby tylko po to, by pokonać ewentualny opór. Tymczasem tajemniczy napastnik wykorzystał mgłę, żeby podejść jak najbliżej, i od razu próbował go ogłuszyć. Biorąc pod uwagę siłę ciosu, gdyby Valentin nie uskoczył w ostatniej chwili, roztrzaskano by mu czaszkę. Nie, to zdecydowanie nie był zwykły napad rabunkowy, ale prawdziwa próba morderstwa!

Czy przyczyną mogły być jego pierwsze kroki w ramach dochodzenia? Czy wzbudziły wystarczająco duży niepokój, żeby ktoś odważył się bezpośrednio zaatakować stróża prawa? Valentinowi trudno było w to uwierzyć. Znajdował się

dopiero na samym początku śledztwa i zebrał tylko kilka zeznań, z których żadne nie wydawało się naprawdę rozstrzygające. Ale z jakiego innego powodu miano by go zaatakować? W każdym razie jedyny wstępny trop dotyczył machinacji republikanów, którzy odbywali tajne spotkania w gospodzie Bażanty w Koronach. Nie miał zatem innego wyboru, jak wrócić tam i spróbować się dowiedzieć więcej na temat tego, co się knuje na zapleczu szynku. Uznał, że pomimo potencjalnego ryzyka najlepszym sposobem postępowania będzie frontalny atak.

W wyniku tej podjętej poprzedniego dnia decyzji młody policjant stanął przed karczmarzem, który był akurat zajęty czyszczeniem paznokci czubkiem kuchennego noża. Przerwał jednak, wytarł ostrze pod pachą i od dołu zlustrował stojącego naprzeciwko mężczyznę. Jego czerwony nos i rumiana facjata poprzecinana fioletowawymi żyłkami zdradzały, że nie zadowala się sprzedażą swojego sikacza, lecz nie gardzi degustowaniem go częściej niż rzadziej.

– Czego szanowny pan sobie życzy?

Jego oddech cuchnął alkoholem i zgnilizną zepsutych zębów. Valentin powstrzymał się od odpowiedzi, ale odtwarzając scenę, której był świadkiem trzy dni wcześniej, rozwarł dłoń, żeby pokazać menu złożone w taki sposób, by pojawiło się słowo „antykورونا”.

Sezanie, otwórz się. Nadeszła chwila prawdy. Nie ma odwrotu.

Karczmarz zamrugał dwa razy, a potem wymownie skinął głową.

– Dobra, schowajcie to – mruknął. – Nie jesteście stałym bywalcem, co? Mam pamięć do twarzy i takiej anielskiej buźki jak wasza na pewno bym nie zapomniał.

– Jestem przyjacielem Luciena Dauvergne’a. To on powiedział mi o spotkaniach na zapleczu. Chciał mnie przedstawić tym panom.

– Żadnych nazwisk, do cholery! – wycodził właściciel przez zęby i powiódł dookoła zaniepokojonym spojrzeniem, chcąc się upewnić, że żaden klient nie mógł ich usłyszeć. – Inaczej czemu, na litość boską, służyłoby uzgadnianie znaku rozpoznawczego?

Valentin przybrał skruszoną minę i posłusznie podążył za prostakiem, który wstał z krzesła, żeby zaprowadzić go do drzwi wiodących na tyły, a potem wyciągnął spod fartucha duży klucz, otworzył zamek i odsunął się, by zachęcić gościa do wejścia. Mrugnął do niego porozumiewawczo i szepnął na odchodnym:

– Ostatnie pomieszczenie po prawej, na końcu korytarza.

Następnie zamknął drzwi za plecami inspektora. Klucz ponownie obrócił się w zamku z ostrym zgrzytem.

Pierwsza przeszkoda pokonana! Ale teraz zaczyna się na poważnie. Będziesz musiał postępować z rozwagą, mój mały Valentinie.

Kiedy młody policjant zastanawiał się z niepokojem nad najpewniejszym sposobem dostania się w to miejsce, doszedł do wniosku, że nie ma wyboru i musi iść na całego. W końcu, jeśli dawni towarzysze Luciena byli zmuszeni uciekać się do stosowania z góry uzgodnionego znaku, to dlatego, że nie wszyscy, którzy zjawiali się na tych osławionych tajnych spotkaniach, się znali. Nic w tym dziwnego. Od czasu rozwiązania Towarzystwa Przyjaciół Ludu liczne raporty policyjne informowały o dość chaotycznych próbach utworzenia sekretnej organizacji republikańskiej. Wobec braku koordynacji te tajne kręgi, istne zarzewie potencjalnego powstania, rywalizowały między sobą, a każdy usiłował stanąć na czele ruchu, próbując przewyższyć inne liczbą zwolenników. W rezultacie wiele z nich postępowało nieostrożnie, co znacznie ułatwiało inwigilację służbom prefektury policji. Jedynie pobłażliwość obecnych władz wyjaśniała, dlaczego główni agitatorzy nie trafili jeszcze za kratki.

Korytarz, do którego właśnie wszedł Valentin, był cuchnącym miejscem pozbawionym światła. Łuszczącą się farbę na ścianach pokrywały na wpół wyblakłe napisy. Z mroku wyłaniało się czworo drzwi zwróconych do siebie parami. Inspektor udał się pod wskazane przez karczmarza i przyłożył do nich ucho. Dobiegł go gwar głosów, ale zdołał uchwycić tylko kilka chaotycznych słów pozbawionych sensu.

Wiedząc doskonale, że będzie miał tylko jedną szansę, postanowił zdać się na naiwność i amatorszczyznę świętej pamięci Luciena Dauvergne'a. Poeci, ogólnie rzecz biorąc, rzadko są dobrymi rewolucjonistami. Wstrzymał oddech i zastukał do drzwi, zachowując sekwencję pukania, którą chłopak nierozważnie utrwalił na piśmie. Trzy szybkie uderzenia, potem dwa kolejne w większych odstępach.

Głosy natychmiast ucichły. Krzesło zaszurało o posadzkę. Czyjeś kroki niespiesznie zbliżyły się do drzwi. Odsunięto zasuwę i ich skrzydło się uchyliło, a płomień lampy olejowej odszukał w półmroku twarz Valentina.

– Wejdźcie, towarzyszu. Nic cię nie ominęło. Dopiero co zaczęliśmy.

W tej samej chwili, gdy rozległ się nalegający głos, na ramieniu inspektora spoczęła dłoń, zachęcając go do przekroczenia progu. Mężczyzna trzymający lampę uśmiechnął się po bratersku. Nie miał jeszcze dwudziestu lat, a jego wygląd zdradzał ową swobodę bycia, po której każde, nawet niezbyt wprawne oko rozpozna z całą pewnością studenta z Dzielnicy Łacińskiej.

Wychodząc z panujących w korytarzu ciemności, Valentin musiał zmrużyć powieki, żeby móc się przyjrzeć temu miejscu. Znajdował się w czymś w rodzaju ogołoczonego z mebli salonu. Jedyne okno zakryte od wewnątrz ciemnymi zasłonami. Policjant szybko zainteresował się innymi osobami obecnymi w pomieszczeniu. Było ich około dwunastu i siedziały wokół długiego stołu z blatem zawalonym butelkami, szklankami, kartkami, piórami i kałamarzami. Trzy kopiące lampy uwydatniały wypukłości ich twarzy, wydobywając ostre krawędzie, a pozostawiając w mroku wklęsłości.

– Podejdz wreszcie – rzucił zasiadający pośrodku stołu mężczyzna o wyglądzie dandysa – żebyśmy cię mogli trochę wyraźniej zobaczyć.

Valentin wykonał polecenie. Gdy wszedł w blask lamp, jeszcze uważniej przyjrzał się rysom i ubiorowi mężczyzn, których miał przed sobą. Dwóch lub trzech robotników w fartuchach, studenci, w tym niektórzy w mundurkach politechniki, oraz czterech mieszczan we frakach.

Inspektor zdał sobie sprawę, że zna co najmniej dwóch z nich. Pierwszym był mecenas Antoine-Brutus Grisselanges, adwokat dobrze znany z liberalnych poglądów, którego widział dzień wcześniej na pogrzebie syna Dauvergne'a. Drugi nazywał się Étienne Arago. Był dramaturgiem i kierował z pewnym powodzeniem Teatrem Wodewilowym, ale nie mógł konkurować pod względem sławy ze swoim starszym bratem François. Ten wybitny astronom i fizyk był członkiem Akademii Nauk i został wybrany we wrześniu na radcę generalnego departamentu Sekwany. Obaj bracia byli zagorzałymi republikanami, toteż Valentin nie zdziwił się, odnajdując jednego z nich w takim gronie.

Co ciekawe, to nie żadna z tych dwóch paryskich osobistości przewodniczyła zebraniu, lecz elegancko ubrany mężczyzna – w czerwonym wełnianym surducie, z krawatem spiętym złotą spinką – który siedział między nimi. Miał twarz o stanowczych rysach, orli nos i cienki, starannie przystrzyżony brązowy wąsik. W roztargnieniu głaskał opuszkami palców uchwyt umieszczonego przed nim metalowego dzwonka.

– Nie znamy cię – zauważył neutralnym tonem. – Jak się nazywasz i jakiej jesteś profesji?

Valentin miał ochotę podać fałszywe nazwisko, ale przypomniał sobie w samą porę, że popełnił błąd, ujawniając prawdziwą tożsamość Évariste'owi Galois, gdy zagadnął go przy wyjściu z gospody. Młody matematyk nie brał udziału w zebraniu, ale nie było powiedziane, że nie spotkają się ponownie, jeśli prowadzone śledztwo skłoniłoby policjanta do uczestnictwa w innych tego rodzaju posiedzeniach. Lepiej było trzymać się półprawdy.

– Nazywam się Valentin Verne i jestem buchalterem.

– Żaden z obecnych tu członków nie poprosił, żeby w porządku dziennym obrad naszej sekcji znalazło się przyjęcie nowego kandydata. Kto cię do nas przysłał?

– Byłem przyjacielem Luciena Dauvergne'a – odpowiedział Valentin z udawaną pewnością siebie. A potem, pamiętając, że ojciec samobójcy ma fabrykę

w departamencie Oise, dodał: – To on przekonał mnie do opuszczenia Senlis, skąd pochodzę, żeby się do was przyłączyć.

– Czy zostałeś pouczony o pierwszej z naszych zasad, której musisz bezwarunkowo przestrzegać, żeby uważać się za jednego z nas?

– Lucien długo rozmawiał ze mną o republikańskich ideałach, których bronicie. Podzielał je wszystkie z entuzjazmem.

– Wierzysz zatem, że tylko lud jest suwerenem i że pierwszą powinnością każdego rządu jest ustanowienie tej suwerenności zarówno faktycznie, jak i prawnie?

– Deklaruję to głośno i wyraźnie.

Trzej mężczyźni siedzący pośrodku stołu wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Dauvergne nie żyje – zauważył jednak adwokat Grisselanges, ponownie odwracając się w stronę inspektora. – Jaką możemy mieć pewność, że mówisz prawdę i że nie jesteś szpiclem?

– A jak mógłbym się tu znaleźć, gdyby mi nie powiedział o waszych spotkaniach? Nieszczęśnik miał wkrótce zgłosić moją kandydaturę, pomyślałem zatem, że przez wzgląd na jego pamięć powinienem się wam przedstawić, ale jeśli mi nie ufacie, lepiej, żebym się natychmiast wycofał.

Arago pochylił się wówczas w stronę przewodniczącego zebrania, a Grisselanges szybko poszedł w jego ślady. Trzej mężczyźni wymienili po cichu kilka słów. Potem człowiek w czerwonym surducie ponownie zwrócił się do Valentina tym samym statecznym tonem:

– Nasz sekretarz – kiwnął głową w kierunku Grisselanges'a – słusznie podkreśla, że regulamin naszego stowarzyszenia, z oczywistych względów bezpieczeństwa, przewiduje, by każdy kandydat został polecony przez któregoś z dotychczasowych członków. Otóż samobójstwo naszego nieodżałowanego towarzysza pozbawia go tej roli. Jednak nasz skarbnik – kolejny ruch podbródka, tym razem w kierunku Arago – wysuwa z nie mniejszą słusnością argument, że

znasz nasze kody rozpoznawcze, co potwierdzałoby twoje słowa. Dlatego zdecydowaliśmy poddać twój akces pod głosowanie na obecnym posiedzeniu.

Valentin przebiegł wzrokiem po kilkunastu twarzach zwróconych w jego stronę.

– Panowie – powiedział z nutą powagi – pozostawiam to do waszej decyzji. Jakakolwiek się okaże, możecie być pewni, że w niczym nie zmieni ona moich przekonań.

– Takie słowa przynoszą ci zaszczyt, obywatelu – skomentował przewodniczący zebrania, potrząsając dzwonkiem. – Poprosimy cię teraz, żebyś wyszedł. Zaczekasz na korytarzu na wynik głosowania. Jeśli co najmniej dwóch członków sprzeciwi się twojemu akcesowi, wniosek zostanie odrzucony.

Wykonał gest dłonią, na co wstał ten sam student co wcześniej, otworzył drzwi i wydał krótki okrzyk. Wbrew przypuszczeniom Valentina to nie właściciel gospody dołączył do niego na progu, lecz wysoki dryblas o rudych włosach i twarzy usianej piegami. Inspektor poszedł korytarzem za nowo przybyłym.

Rudzielec przyniósł z pomieszczenia naprzeciwko taboret i bez słowa zaoferował go Valentinowi. Następnie powiesił na gwoździu swoją lampę olejową, skrzyżował ramiona na piersi i oparł się plecami o ścianę, żeby poczekać.

– Myśli pan, że długo im to zajmie? – zapytał Valentin tylko po to, żeby nawiązać rozmowę.

Ale pilnujący go mężczyzna nawet nie raczył odpowiedzieć. Nie otwierając ust, zadowolili się mruknięciem, którego znaczenie bynajmniej nie było oczywiste. Potem wyjął z kieszeni kamizelki drumlę i zaczął wydobywać z instrumentu ciąg jęśliwych tonów.

Jego obojętność była jednak tylko pozorna. Valentin szybko zauważył, że tamten rzuca mu od czasu do czasu uporczywe spojrzenia i odwraca gwałtownie głowę, ilekroć się obawia, że ich wzrok się spotka.

Oczekiwanie trwało tyle co nic. Niecałe dziesięć minut po wyjściu Valentin został wezwany z powrotem do sali, gdzie odbywało się spotkanie. Wszyscy obecni wstali, żeby wysłuchać ogłoszenia wyniku głosowania. Inspektor zauważył z ulgą,

że większość z nich kieruje do niego życzliwe uśmiechy. Tylko prawnik Grisselanges miał nieco zaszępioną minę.

Przewodniczący posiedzenia potrząsnął dzwonkiem i oznajmił uroczystym głosem:

– Obywatelu Verne, członkowie sekcji Odnowy Jakobińskiej, zebrani tego dnia na regularnym posiedzeniu, zdecydowali niemal jednomyślnie, z wyjątkiem jednego głosu, o przyjęciu was w swoje szeregi. Witajcie wśród nas. Po odebraniu gratulacji od waszych towarzyszy zapraszam do zajęcia miejsca u naszego boku.

Potem nastąpiły uściski dłoni, braterskie objęcia i szybkie prezentacje. Valentin dowiedział się dzięki temu, że mężczyzna w czerwonym surducie, kierujący sekcją, to nikt inny jak Fauvet-Dumesnil, ów dziennikarz, z którym, według Évariste'a Galois, młody Dauvergne rozmawiał kilka tygodni przed samobójstwem. Inspektor koniecznie musiał się dowiedzieć czegoś więcej o tamtej osławionej sprzeczce. Należało się jednak wykazać cierpliwością, jeśli nie chciał wzbudzić podejrzeń. To, że tak łatwo udało mu się zostać przyjętym, już i tak było niespodziewane. Potrzebował więcej czasu na ustalenie, czy ma do czynienia z nieszkodliwymi idealistami, czy przeciwnie, z niebezpiecznymi ekstremistami.

Jednakże już pierwszy punkt porządku dnia dał mu częściową odpowiedź na to pytanie. Sekcja Odnowy Jakobińskiej miała się wypowiedzieć na temat różnych środków, które należy wykorzystać, żeby wpłynąć na opinię publiczną i uzyskać wyrok śmierci dla byłych ministrów Karola X, których proces miał się odbyć przed Izbą Parów przed końcem roku. Członkowie stowarzyszenia dość szybko zgodzili się co do tego, że publiczne zgromadzenia i kampanie prasowe nie wystarczą. Należało wywierać ciągłą presję na rząd. W tym celu postanowiono kontynuować agitację w dzielnicach ludowych i organizować niemal codzienne demonstracje siły pod oknami pałacu Luksemburskiego.

Po rozstrzygnięciu tej pierwszej kwestii szykowano się do wysłuchania raportu skarbnika, gdy ponownie pojawił się rudowłosy drągal. Tym razem niósł tacę zastawioną butelkami wina i wiktuałami. Kiedy dokonał aprowizacji zebranych,

pochylił się do ucha przewodniczącego. Słuchając go, Fauvet-Dumesnil przybierał coraz posępniejszą minę, która nie wróżyła niczego dobrego.

Gdy kelner z gospody się wyprostował, nie mógł się powstrzymać przed rzuceniem gniewnego spojrzenia w stronę Valentina. Inspektor nie miał jednak czasu, żeby zastanowić się, co dokładnie oznacza ten przejaw wrogości, ponieważ Fauvet-Dumesnil znów zabrał głos, zwracając się do niego:

- Valentin Verne... to nazwisko, które nam podałeś, prawda?
- Innego nie mam.
- I powiedziałeś nam też, że jesteś buchalterem z okolic Senlis?

Valentina ogarnęło złe przeczucie i ograniczył się do potwierdzenia skinieniem głowy. Wokół niego pozostali członkowie sekcji, zaintrygowani nagłą zmianą postawy swojego przywódcy, wiercili się na krzesłach. Wyczekujące spojrzenia wędrowały od młodego inspektora do dziennikarza w czerwonym surducie.

– Wyobraź sobie – odezwał się ponownie ten drugi spokojnym, donośnym głosem – że Théodule – wskazał przy tym podbródkiem na rudowłosego kelnera – dobrze ci się przyjrzał przed chwilą na korytarzu. Jest pewien, że cię rozpoznaje, i ma do powiedzenia coś bardzo ciekawego na twój temat. Według niego jesteś podobny jak dwie krople wody do Valentina Verne'a, który mniej więcej trzy miesiące temu przeprowadził inspekcję domu, w którym jego siostra pełni funkcję zastępczyni właścicielki. Ale tamten Verne nie miał nic z gryzipiórka. Był inspektorem w Drugim Biurze Pierwszego Wydziału Prefektury Policji. Co na to powiesz? A może powinniśmy przyjąć to za pewnik?

Valentin zrezygnował z matczenia. Kawaleryjski pistolet, który Fauvet-Dumesnil wycelował w jego klatkę piersiową, wystarczył, by go przekonać, że jakiegokolwiek zaprzeczanie będzie z góry skazane na porażkę.

ROZDZIAŁ 13

Z deszczu pod rynną

Valentin dał się obezwładnić, gdy rzucili się na niego najbardziej rozwścieczeni spośród republikanów. W oczach Fauveta-Dumesnila wyczytał, że ten nie zawahałby się strzelić przy najmniejszej próbie oporu. W każdym razie jego przeciwnicy mieli zbyt dużą przewagę, żeby mógł im uciec. Lepiej było się nie wychylać w nadziei, że prędzej czy później nadarzy się okazja do wybrnięcia z tej niebezpiecznej sytuacji.

Potem nastąpiła chwila gwałtownego zamieszania. Niektórzy członkowie sekcji, przede wszystkim studenci, urażeni na wieść, że jakiś policjant próbował ich wykiwać, wrzeszczeli na Valentina i brutalnie go bili, podczas gdy inni republikanie związali mu ręce za plecami i zakneblowali go fularem. Potrzeba było całego autorytetu Fauveta-Dumesnila, żeby przywrócić pozory porządku.

– Przestańcie tak hałasować! W końcu przyciągniecie uwagę klientów. Zabierzmy raczej tego kapusia do piwnicy. Tam będziemy mogli w spokoju zdecydować o jego losie.

Rozkazujący ton wystarczył, by chwilowo złagodzić zapał najbardziej podekscytowanych. Dwóch członków Odnowy Jakobińskiej natychmiast chwyciło inspektora pod pachy i wywlekło go z pokoju. Ta grupka, poprowadzana przez Fauveta-Dumesnila i Grisselanges'a, przeszła przez jedne z drzwi prowadzących na korytarz i zeszła po dość stromych schodach zagłębiających się pod fundamenty budynku. U dołu stopni przekroczyli solidne drewniane drzwi i znaleźli się

w niewielkim pomieszczeniu, w znacznej części zajęтым przez beczki z winem. Klepisko, ściany zżarte saletrą. Żadnego okienka, żadnej wentylacji.

Nozdrza Valentina przeniknął zapach ziemi i wilgoci. Inspektor się zachwiał, a nogi omal się pod nim nie ugięły. Miał pusto w żołądku i kręciło mu się w głowie. Ta piwnica pogrążona w półmroku przypominała grób. Musiał podjąć ogromny wysiłek, żeby przewyciężyć słabość. W prefekturze nikt nie wiedział o jego próbie infiltracji republikańskiego stowarzyszenia. Poprzedniego wieczoru ograniczył się do napisania krótkiego raportu przeznaczonego dla komisarza Flancharda, informującego go o przynależności Luciena Dauvergne'a do tajnej organizacji republikanów, której członkowie spotykają się w gospodzie Bażanty w Koronach. Być może doprowadziłoby to do wszczęcia śledztwa na miejscu, gdyby zniknął, ale zdecydowanie nie wystarczało, żeby oczekiwać jakiegokolwiek pomocy w najbliższym czasie. Na razie mógł liczyć wyłącznie na siebie, jeśli miał uniknąć najgorszego i uciec przed mściwością przeciwników przekształconych w katów. Na skutek uświadomienia sobie tej oczywistej prawdy zimny pot spłynął mu po plecach. Ponieważ był związany i osaczony przez tych stanowczych mężczyzn w ciasnym pomieszczeniu z jedynym wyjściem, nie dawał sobie najmniejszych szans.

Był całkowicie zdany na ich łaskę!

Dwaj studenci, którzy przytrzymywali inspektora, posadzili go na koślawym krześle o sfatygowanym siedzisku z plecionej słomy. Zostali po obu stronach, każdy z jedną ręką spoczywającą na jego ramieniu. Fauvet-Dumesnil stanął naprzeciwko niego, za stołem zagraconym skrzynkami i pustymi gąsiorami. Valentin zauważył, że nieliczni republikanie, do których zaliczał się Étienne Arago, skorzystali z okazji, żeby się ulotnić. Bez wątpienia nie chcieli być już bardziej zamieszani w to, co miało nastąpić. Ten stan rzeczy bynajmniej go nie uspokoił.

– Wyjmijcie mu knebel! – rozkazał dziennikarz „La Tribune”. – Mamy kilka pytań do tego pacholka władzy, zanim zdecydujemy, na jaką karę zasługuje.

– Nie wiedziałem, że stoję przed trybunałem – ironizował Valentin, gdy już usunięto fular tkwiący w jego ustach. – Chyba że wasze republikańskie ideały

stosują się do bardzo względnego pojęcia sprawiedliwości.

– Przyszedł pan tu, żeby nas szpiegować – warknął adwokat Grisselanges. – Zasługuje pan na los zarezerwowany zawsze i wszędzie dla zdrajców.

Inspektor odnotował przejście na „pan”. Zły to był znak.

– Mowa obrończa warta wszystkich aktów oskarżenia, drogi mecenasie – zakpił. – Za pozwoleniem, zrezygnuję z pańskiej elokwencji i sam będę bronił swojej sprawy.

Grisselanges wykrzywił usta. W jego oczach lśnił złośliwy błysk. Zwrócony do niego przodem, Valentin zachowywał spokój i obojętność, których w rzeczywistości nie odczuwał, ale zdawał sobie sprawę, że w krytycznej sytuacji, w której się znalazł, musi zyskać na czasie i może liczyć wyłącznie na swój spryt, żeby spróbować wyprowadzić przeciwników z równowagi.

– Jak policja dowiedziała się o naszej działalności? – zapytał Fauvet-Dumesnil. – I co spodziewaliście się odkryć, przenikając do naszej organizacji?

– „Antykorona”... – odparł Valentin z nieznacznym uśmiechem. – Przypuszczam, że byliście dumni ze swojego małego wynalazku. Nie wiem, który z was wpadł na pomysł tej subtelnej składanki, ale na waszym miejscu byłbym zaniepokojony. To nieco niezręczne wzorować się na praktykach dawnej katolickiej i królewskiej armii Wandei, kiedy ogłaszacie się spadkobiercami Dantona i Robespierre’a.

W grupie republikanów dały się słyszeć pomruki dezaprobaty. Tylko ich przywódca w czerwonym surducie wydawał się obojętny na prowokacje policjanta.

– Nie odpowiedział pan na moje pytania – zauważył chłodno.

Valentin zastanawiał się gorączkowo. Został mu już tylko jeden atut. Postanowił go niezwłocznie wykorzystać.

– Rozumiem, że moja obecność wśród was jest powodem do niepokoju, bo przecież potrafiłem dostarczyć waszemu cerberowi znak, którego oczekiwał, i zapukać do waszych drzwi, używając umówionego sygnału. Gdyby nie to, nie miałbym przyjemności spojrzeć wam wszystkim w oczy.

Te ostatnie słowa wywołały lekkie poruszenie wśród członków Odnowy Jakobińskiej, ale Grisselanges uspokoił ich stanowczym machnięciem ręki.

– Jeśli zamierza pan zrobić na nas wrażenie, to nic z tego. Pańskie ledwie zawołane groźby ani nas grzeją, ani ziębią. Trup zapomina wszystko, twarze i nazwiska.

– Jeśli mnie zabijecie, nigdy się nie dowiecie, jak uzyskałem te informacje ani, przede wszystkim, od kogo.

– Twierdzi pan, że jest wśród nas inny zdrajca? – zapytał Fauvet-Dumesnil.

Valentin wzruszył ramionami, nie rezygnując z udawanej życzliwości.

– Pan to powiedział, więc panu pozwolę wziąć odpowiedzialność za użyte określenie.

Tym razem w grupie rozległy się nerwowe szepty.

– To wszystko puste słowa! – wykrzyknął Grisselanges, wodząc pełnym wyrzutu spojrzeniem po swoich towarzyszach. – Nie rozumiecie, że ten nieszczęśnik próbuje tylko wywołać wśród nas zamęt?! Jest gotów na wszystko, byle ocalić skórę!

– A jednak mówi prawdę – zauważył jeden ze studentów w mundurku politechniki. – Znał wszystkie nasze kody. Ktoś musiał mu je przekazać!

– Niekoniecznie! – odparł adwokat. – Po samobójstwie Dauvergne’a policja mogła odkryć kompromitujące dokumenty w jego rzeczach. Nigdy nie da się podjąć wystarczających środków ostrożności. Pozbądźmy się z miejsca tego szpicla!

Valentin odważył się na wypuszczenie ostatniej strzały.

– A kto wam powiedział, że przyszedłem sam? W tej chwili, gdy z wami rozmawiam, policja być może zamyka już wszystkie wyjścia z Bażantów w Koronach.

Adwokat wydawał się wstrząśnięty, Fauvet-Dumesnil natomiast zareagował z zimną krwią i przenikliwością.

– To przynajmniej łatwo sprawdzić. – Dał znak niejakiemu Théodule'owi, rudowłosemu kelnerowi, który wszedł za nimi do piwnicy. – Wróć na górę i rzuć okiem na zewnątrz. Jeśli naprawdę jesteśmy osaczeni, na pewno szybko się zorientujesz.

Przez kilka minut Valentin nadal siedział na krześle, otoczony wrogim milczeniem republikanów. Pomimo spokoju, który starał się okazywać, serce waliło mu jak młotem. Dał dowód okropnej lekkomyślności, przychodząc tu sam. Krótka zwłoka, którą właśnie zyskał, tylko odsunęła moment, gdy będzie musiał za to zapłacić.

Jakby na potwierdzenie jego obaw, drzwi znów się otworzyły i Théodule przyszedł uspokoić swoich towarzyszy. Na ulicy panował całkowity spokój. Żadnych podejrzanych ruchów. Przez szeregi małego zgromadzenia przetoczyła się fala ulgi.

Adwokat Grisselanges zaśmiał się szyderczo i wymierzył palec wskazujący w inspektora.

– A nie mówiłem? Ta kanalia drwi sobie z nas. Pozbądźmy się tego wrednego szpicla!

Fauvet-Dumesnil dał Valentinowi znak, żeby wstał. Jego głos zachował lodowaty tembr, który wzbudzał znacznie większy szacunek niż pokrzykiwanie tuza adwokatury.

– Decyzja należy do całej sekcji. Nich ci, którzy głosują za natychmiastową likwidacją, podniosą rękę.

Członkowie Odnowy Jakobińskiej wykonali polecenie z absolutną jednogłównością. Fauvet-Dumesnil skinął powoli głową.

– To nie pozostawia wątpliwości – stwierdził. – Trzeba mu z powrotem założyć knebel i udusić garotę. Zaczekamy na zapadnięcie zmroku, żeby wynieść ciało w beczce.

Dwóch studentów i robotnik już się rzucili, żeby wykonać wyrok śmierci. Nie mając nic do stracenia, Valentin napiął mięśnie, by po raz ostatni stawić opór, choć

wiedział, że jest on skazany na niepowodzenie, gdy nagle rozległ się młodzieńczy, lecz władczy głos:

– Zaczekajcie, przyjaciele! Republika szczeni się swoimi bohaterami i męczennikami, ale bynajmniej nie toleruje morderców!

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę progu piwnicy, gdzie właśnie pojawił się Évariste Galois. Valentin miał wrażenie, że tuż za nim dostrzega twarz Étienne’a Arago.

– Kto mówi o morderstwie? – warknął Grisselanges. – To ty, Galois? Ten policjant przeniknął do naszych szeregów, żeby nas zgubić. Sekcja właśnie zadecydowała o jego losie. Nie ma sensu do tego wracać. Zasłużył na karę zarezerwowaną dla donosicieli.

Porywczy matematyk postąpił kilka kroków do przodu, żeby znaleźć się u boku Valentina. Następnie, zamiast odpowiedzieć bezpośrednio prawnikowi, zwrócił się do pozostałych zebranych, omiatając ich wzrokiem:

– A ja ogłaszam, że ta śmierć splami nasze ideały! Czyż nie widzicie, bracia, że dokonując z zimną krwią egzekucji na tym bezbronny człowieku, zniżylibyśmy się do poziomu tych, których zamierzamy zwalczać? Walczymy z samowolą i chcemy zaprowadzić w tym kraju więcej sprawiedliwości i braterstwa. Czy taki cel można osiągnąć poprzez zbrodnię?

– Śmierć zdrajcy nie jest zbrodnią! – odciął się Grisselanges.

– Zdradzić to złamać słowo dane braciom. Jeśli mam wierzyć temu, o czym mi właśnie doniesiono, ten człowiek jest zwykłym policjantem i jedynie wykonywał rozkazy. Powtarzam, że zabicie go, gdy jest zdany na naszą łaskę, byłoby morderstwem.

Siła perswazji młodego człowieka zaczynała wstrząsać sumieniami jego towarzyszy. Zwłaszcza studenci, którzy do tej pory wykazywali największą wrogość wobec więźnia, kiwali głowami, żeby wyrazić aprobatę dla słów kolegi.

Fauvet-Dumesnil domyślił się, skąd wiatr wieje, i zareagował, zanim sytuacja całkowicie wymknęła mu się spod kontroli.

– Doskonale cię rozumiemy, Galois, ale co proponujesz? To oczywiste, że jeśli uwolnimy tego człowieka, czym prędzej wszystkich nas zadenuncjuje. Będą nas ścigać i zostaniemy aresztowani. Władze aż nadto się ucieszą, ukręcając głowę naszemu ruchowi.

– Mówię tylko – stwierdził matematyk, rozkładając ręce, by zaznaczyć, że nie ma odpowiedzi na zadane pytanie – że każda haniebnie przelana krew spadnie na nasze głowy i zaszkodzi naszej sprawie.

W półmroku podniosło się kilka głosów popierających jego opinię. Dziennikarz uciszył ich skinieniem ręki. Pod jego cienkim wąsikiem malował się okrutny uśmiech.

– Jeśli was dobrze rozumiem – powiedział – to przeszkadza wam egzekucja. W takim razie być może znalazłem rozwiązanie. Ten człowiek, fałszywie głosząc przywiązanie do naszych republikańskich ideałów, śmiertelnie nas obraził i musi za to odpowiedzieć. Jeśli da nam słowo honoru, że zachowa milczenie na temat tego, co widział i słyszał pod tym dachem, jestem gotów go uwolnić, ale wyznaczam mu spotkanie na ubitej ziemi, jutro o świcie.

– Pojedynek?

– Właśnie! Oto, co proponuję: aby nikt nie martwił się nagłym zniknięciem tego policjanta, zostawimy mu swobodę ruchów, jednak pod warunkiem że obieca nas nie zadenuncjować. Ty, Galois, nie odstępisz go na krok aż do jutra, żeby czuwać, czy dotrzyma słowa. Ty również zabierzesz go na miejsce pojedynku, gdzie będziesz jego sekundantem. A zatem nie dojdzie do żadnej zbrodni! Twój protegowany zmierzy się ze mną na równych zasadach, a nasz spór zostanie rozstrzygnięty zgodnie z kodeksem honorowym. Czy to panu odpowiada?

Évariste Galois pochylił się w stronę Valentina i szepnął mu do ucha:

– Proszę się zgodzić. To pańska jedyna szansa, żeby ujść stąd z życiem.

ROZDZIAŁ 14

Zabójcze lustro

Kilka chwil później Valentin, znów wolny, kroczył paryską ulicą w towarzystwie swojego wybawcy. Oddychał pełną pierśią zimnym porannym powietrzem, wciąż oszołomiony niemal cudownym sposobem, w jaki wyszedł bez szwanku z tej strasznej piwnicy.

– Jak mogę panu podziękować? – szepnął do Évariste’a Galois. – Bez pańskiej interwencji byłbym zgubiony.

– Obawiam się, niestety, że zyskał pan tylko marną chwilę wytchnienia. Fauvet-Dumesnil to groźny strzelec. Niewątpliwie jeden z najlepszych w Paryżu. Jeśli mam być z panem całkiem szczery, muszę poinformować, że jeszcze nigdy nie przegrał żadnego pojedynku.

Valentin był jednak zbyt szczęśliwy, że wybrnął z opresji, by już teraz myśleć, co się z nim stanie następnego dnia, więc tylko obdarzył swojego towarzysza pełnym wdzięczności uśmiechem.

– Przypuszczam – powiedział – że to Étienne Arago uprzedził pana, iż wpadłem w pułapkę. Niezupełnie natomiast rozumiem, co pana skłoniło, by natychmiast pospieszyć mi z pomocą.

Młody matematyk wzruszył ramionami.

– Chyba nie sądził pan, że jestem aż tak naiwny, by się nie zdziwić, gdy zostałem zagadnięty na środku ulicy przez rzekomego przyjaciela Luciena Dauvergne’a. Przyjaciela, o którym nigdy mi nie opowiadał, ani nawet nie

wymienił jego nazwiska. Moja podejrzliwość jeszcze bardziej się wzmogła, kiedy zorientowałem się, nieco później tamtego dnia, że zniknął mój znaczek „antykورونا”. Wspomniał pan o Akademii Nauk, więc sprawdziłem też w archiwum tego zacnego stowarzyszenia, czy znajdę tam pański ślad.

– I co się okazało w wyniku tych poszukiwań?

– Niejaki Valentin Verne, inspektor policji i członek Akademii, przedstawił w czerwcu tego roku artykuł na temat systematycznego występowania wybroczyn podopłucnowych lub podosierdziowych w wypadku zgonów wywołanych uduszeniem. Trochę poszperałem i odkryłem, że ten sam Verne był kojarzony, cztery lata temu, z eksperymentami chemicznymi słynnego profesora Pelletiera.

– To wciąż mi nie wyjaśnia, dlaczego interweniował pan na moją korzyść.

– Moje przekonania polityczne skłaniają mnie ku ideałowi braterstwa. Jak zatem mógłbym nie czuć się bliski uczciwemu człowiekowi, niezależnie od jego profesji, który w dodatku pasjonuje się nauką? Nie należę do tych ekstremistów, którzy obrzucają obelgami wszystkich służących obecnej władzy. Republika nie będzie się mogła obejść bez policjantów, zwłaszcza jeśli są wykształceni!

– No dobrze! – wykrzyknął wesoło Valentin. – Mogę jedynie pochwalić tę wspaniałomyślną otwartość umysłu. Gdyby nie pańska płomienna mowa obrończa, pańscy przyjaciele natychmiast wyprawiliby mnie na tamten świat.

Obaj mężczyźni dotarli na rue d’Enfer. Była już prawie jedenasta przed południem. Za bramą ogrodu Luksemburskiego tumany mgły snuły się ospale między ogołocionymi z liści drzewami, a świergotanie ptaków zagłuszał metaliczny stukot powozów, które kołysały się na ubłoconym bruku, grożąc w każdej chwili ochlapaniem obu pieszych.

– Odkąd rząd nakazał rozwiązać Towarzystwo Przyjaciół Ludu – wyjaśnił Galois – staliśmy się podejrzliwi. Przypuszczamy, że władze zechcą zmusić republikańską opozycję do milczenia. A dla najbardziej mściwych spośród nas policjanci są jedynie sługusami tyranii.

– To również pańska opinia?

– Powiedzmy, że nie mam za grosz zaufania do kasty bogaczy, która wybiła się po rewolucji lipcowej, ani do tego króla, który udaje mieszczanina. Przekona się pan, że jeśli lud nie sprawi, że jego głos będzie słyszalny z całą mocą, spadną nań takie represje jak w najczarniejszych godzinach naszej historii.

– Zgodzi się pan jednak ze mną, że Ludwik Filip okazał się jak dotąd raczej tolerancyjny dla swoich przeciwników. Przywrócono wolność prasy, a demonstracje są rozpędzane tylko w przypadku bezspornych aktów przemocy.

Évariste Galois uśmiechnął się złośliwie do swojego oponenta.

– Ale jednocześnie – zauważył ironicznie – robi się szpiegów z inspektorów policji.

– Zapewniam, że jest pan w błędzie. Interesowałem się działalnością waszego małego tajnego stowarzyszenia wyłącznie ze względu na Luciena Dauvergne'a. Przełożeni zobowiązali mnie do przeprowadzenia śledztwa w sprawie jego podejrzanej śmierci.

– Sądziłem, że ustalono, iż nieszczęśnik popełnił samobójstwo.

– Rzeczywiście wszystko na to wskazuje, ale są pewne szczegóły, o których, wybaczy pan, nie mogę mówić, a które zasługują na wyjaśnienie.

– Cóż! – rzekł matematyk, nagle posępniejąc. – Jeśli to prawda, co pan mówi, obawiam się, że naraził pan życie na niebezpieczeństwo, zyskując w zamian bardzo niewiele. Mogę pana zapewnić, że Odnowa Jakobińska nie ma nic wspólnego z tą śmiercią. Jest wśród nas kilka przeczulonych jednostek, ale właśnie po to chcemy ustanowić władzę ludu, żeby przeprowadzić reformę instytucji państwowych. Jak pan widział, nawet Fauvet-Dumesnil zrezygnował z popełnienia zbrodni, kiedy udało mi się go przekonać, że byłoby nią stracenie pana.

– Ponownie twierdzę, że zasługuje pan na moją najgłębszą wdzięczność.

Młody Galois zrobił niezadowoloną minę.

– Niestety, mimo wszystko wplątał się pan w bardzo przykrą sprawę. Ten pojedynek...

– Pojedynek poczeka do jutra! – przerwał mu wesoło Valentin, jednocześnie klepiąc go po przyjacielsku po plecach. – Na razie jestem jak najbardziej żywy i proponuję, żebyśmy uczcili to u mnie przy butelce szampana!

Dwaj mężczyźni szli nadal przez wilgotny, skostniały z zimna Paryż, aż do rue du Cherche-Midi. Już mieli wejść do eleganckiego przedsiionka pod numerem 21, gdy rozległ się za nimi czyjś władczy głos:

– Inspektorze Verne! Inspektorze Verne, proszę do mnie!

Valentin się odwrócił. Po drugiej stronie ulicy stała dorożka, której woźnica siedział na koźle, gotów w każdej chwili smagnąć konie batem. Przez niedomknięte drzwiczki wychylał się jakiś mężczyzna, energicznie dając mu znaki ręką.

– Coś takiego! Nigdy bym się nie spodziewał, że go tu zobaczę!

– Kto to jest? – zapytał Galois.

– Mój bezpośredni przełożony, komisarz Flanchard. Nie wiem, czego ode mnie chce, ale nie mogę sobie pozwolić, żeby go zignorować. Zacząłby podejrzewać, że dzieje się coś nienormalnego.

Matematyk zagryzł wargę. Najwyraźniej się wahał, jak postąpić, ale w końcu skinął przyzwalająco głową.

– W porządku – zgodził się. – Niech pan idzie! Ale proszę pamiętać, że poręczyłem za pana. Obiecał pan zachować milczenie i stawić się jutro na miejscu pojedynku.

– Niech się pan nie martwi. Będę tam. Może pan tu przyjść po mnie o świcie. Oddam się w pełni do pańskiej dyspozycji. Moje mieszkanie zajmuje całe trzecie piętro.

Obaj mężczyźni wymienili mocny uścisk dłoni, żeby przypieczętować swoją przyjaźń, i Valentin czym prędzej przeszedł na drugą stronę ulicy. Inspektor Flanchard przywitał go raczej chłodno:

– Już od prawie godziny sterczę przed pańską bramą na tym paskudnym zimnie. Zastanawiałem się, gdzie, do diaska, mógł się pan podziać. Widząc pański zaniedbany wygląd, można by przysiąc, że poszedł pan w tango!

Niemiła przygoda, którą Valentin właśnie przeżył w piwnicy Bażantów w Koronach, sponiewierała jego elegancki zazwyczaj strój. Krawat był częściowo rozwiązany, surdut poplamiony, a dół spodni rozdarty. Przede wszystkim jednak opuchnięta kość policzkowa i rozcięta warga wciąż świadczyły o otrzymanych ciosach. Gdyby to od niego zależało, od razu zafundowałby sobie porządną gorącą kąpiel i wychylił kieliszek armaniaku na wzmocnienie.

– Tango? Przyzna pan zatem, że moja partnerka musiała być cholerną jędrą!

– Jedźmy! – rzucił komisarz, pozwalając, by uśmiech rozjaśnił jego lwią twarz. – Niech pan wsiada, Verne! Opowie mi pan wszystko po drodze. Zabieram pana do prefekta policji. Życzył sobie przyjąć nas obu razem.

Szef paryskiej policji nie prezentował się najlepiej. Amédée Girod de l’Ain, w nijakim ubraniu, z żółtą cerą, cofniętym nosem i ze sflaczałymi policzkami, przypominał anglikańskiego pastora cierpiącego na zatwardzenie. Usadził swoich dwóch podwładnych w surowym gabinecie o ściśle funkcjonalnym wystroju.

– Wezwałem was, panowie, w związku z tą smutną sprawą Dauvergne’a. Ojciec ofiary to mój wieloletni przyjaciel. Śmierć jedyne go syna, jak się domyślicie, sprawiła, że jest niepokieszony. Domagał się ode mnie przeprowadzenia drobiazgowego śledztwa, żeby wyjaśnić okoliczności tragedii. Początkowo zgodziłem się go usatysfakcjonować, bardziej ze współczucia niż z innego powodu. Wydawało się, że samobójstwo nie ulega żadnej wątpliwości.

Komisarz Flanchard przytaknął z powagą:

– Rzeczywiście, zdają się tego dowodzić wszystkie zebrane zeznania.

– Gdy przeglądałem akta, które mi pan przekazał, komisarzu – mówił dalej prefekt, wskazując na grubą teczkę z brązowego safianu leżącą na sekretarce – moją uwagę przykuł jednak pewien szczegół. Chodzi o to lustro, przed którym młody Dauvergne miał podobno stać długie minuty tuż przed wyskoczeniem przez okno.

– Zeznało tak kilka osób – potwierdził ostrożnie Flanchard.

– Wydaje mi się co najmniej dziwne, że młody człowiek, na tyle zdesperowany, żeby targnąć się na swoje życie na oczach własnej matki, poświęca czas na przeglądanie się w lustrze, jakby szykował się na randkę. Panu nie, komisarzu?

– To istotnie dość osobliwe. Obecny tu inspektor Verne przedstawił mi wczoraj nowy raport, w którym podkreśla inne niepokojące szczegóły, chociaż na razie trudno wyciągnąć z nich jakiegokolwiek wnioski.

– Bardzo chętnie się z nim zapoznam, a tymczasem przykro mi was poinformować, że ta sprawa zapowiada się na znacznie bardziej zawiłą, niż można było przypuszczać.

Prefekt policji odsunął krzesło i zaczął się przechadzać po gabinecie z dłońmi splecionymi za plecami. Jego zmarszczone czoło zdradzało głębokie niezadowolenie.

– Wyobraźcie sobie, panowie, że od wczorajszego wieczoru musimy opłakiwać kolejną śmierć, jeszcze dziwniejszą. Pan Tirancourt, komiwojażer i znany bonapartysta, odebrał sobie życie w pewnym domu publicznym w pobliżu Palais-Royal. Jak się wydaje, ów osobnik doznał nagłego napadu szaleństwa, podczas gdy znajdował się w towarzystwie... powiedzmy, lokatorki tego przybytku. Rozbił kandelabrem wszystkie lustra w pokoju, a potem groził swojej towarzyszce pistoletem. Słyszając wrzaski dziewczyny, pracownicy czym prędzej wyważyli drzwi, które furia zamknął na klucz. W chwili gdy wtargnęli do pomieszczenia, skierował broń przeciwko sobie i postrzelił się w klatkę piersiową. Śmierć nie była jednak natychmiastowa i mężczyzna zdążył wymamrotać kilka słów, zanim wyzionął ducha.

– A co powiedział?

– Otóż na tym polega cała niezwykłość owej tragedii. Ten Tirancourt podobno wymówił następujące zdanie: „Lustra mnie do tego zmusiły”.

– Lustra? – powtórzył Valentin, ledwie ukrywając sceptycyzm.

– Aż trzy osoby zapewniły, że słyszały to samo. Teraz rozumiecie, dlaczego kusi mnie, by skonfrontować to z samobójstwem Luciena Dauvergne’a.

– Może chodzi tylko o zbieg okoliczności – zaryzykował komisarz Flanchard. – Sam pan zaznaczył, że Tirancourt najwyraźniej nie był przy zdrowych zmysłach. Powiedziałyby cokolwiek!

– Były to przykry zbieg okoliczności, komisarzu Flanchard! Mój przyjaciel deputowany Dauvergne zwierzył mi się, że jego syn przekonał się niedawno do ideałów republikańskich. Co do Tirancourta, który miał na imię Michel, był on niegdyś oficerem korsykańskiego tyra, podejrzewanym o agitowanie w środowisku wojskowych na zredukowanym żołdzie²³. Nie podoba mi się to, Flanchard. Wcale mi się to nie podoba!

– Czego pan od nas oczekuje, panie prefekcie? – zapytał usłużnie komisarz. – Jesteśmy całkowicie na pańskie rozkazy.

– Musimy wiedzieć, czy za tymi dwoma gwałtownymi zgonami w tak krótkim odstępie czasu kryje się jakaś próba destabilizacji. Nie muszę wam mówić, jak delikatny jest kontekst polityczny. Dziś rano pan Laffitte otrzymał misję utworzenia nowego rządu. Król, powierzając to zadanie najbardziej liberalnemu ze swoich zwolenników, najwyraźniej próbuje rozbroić republikańską opozycję. Pierwszą decyzją Laffitte'a było zresztą przystąpienie do wyznaczenia para Francji odpowiedzialnego za przygotowanie procesu ministrów uwięzionych w Vincennes. Nominowany na to stanowisko został wicehrabia Alphonse de Champagnac, człowiek umiarkowany. Chodzi o utwierdzenie ludu w przekonaniu, że proces odbędzie się na długo przed końcem roku. Do tego czasu w stolicy musi panować spokój. Nie ma mowy o spektakularnej fali samobójstw dotyczącej przeciwników reżimu. Istnieje ryzyko, że zostałaby udaremniona cała polityka uspokajania sytuacji wprowadzana przez Ludwika Filipa.

– Jeśli dobrze rozumiem, panie prefekcie, byłoby pożądane, żeby śledztwo inspektora Verne'a oficjalnie potwierdziło, że te samobójstwa są rzeczywiście... samobójstwami. Gdyby jednak jakimś dziwnym zrzędzeniem losu chodziło o coś innego, położylibyśmy temu kres. Z zachowaniem całkowitej dyskrecji, ma się rozumieć.

Girod de l'Ain zatarł dłonie, a jego wargi zawinęły się na zęby, rozciągając się mozolnie, co zapewne zastępowało u niego uśmiech.

– Widzę, że doskonale się rozumiemy, Flanchard. I niech pan nie zapomni regularnie mnie informować o postępach w śledztwie. Co do pana, inspektorze... – prefekt odwrócił się w stronę Valentina i skrzywił się, dopiero teraz dostrzegając jego opuchniętą twarz – ma pan *carte blanche* na prowadzenie wszelkich dochodzeń, które uzna pan za konieczne. Proszę nie szczędzić czasu ani wysiłku i dotrzeć do sedna tej zdumiewającej historii z lustrami.

²³ Oficerowie z okresu Pierwszego Cesarstwa przeniesieni w stan spoczynku w czasach restauracji burbońskiej.

ROZDZIAŁ 15

Pamiętnik Damiena

Padłem ofiarą ogromnej konfuzji. Bez ustanku dręczyło mnie coś szpiczastego, ostrego, parzącego, zachłannego. Oczywiście towarzyszyły temu strach i fizyczne cierpienie. Ale nie tylko to. Także gniew, przygnębienie, samotność i wstyd. Bardzo niewiele brakowało, żebym dostał pomieszania zmysłów. Uratowało mnie to, że byłem zaledwie dzieckiem. Nie znałem właściwych słów, by wyrazić całą zgrozę tego, co się ze mną działo, i by precyzyjnie myśleć o koszmarze, w którym się obudziłem. Wydaje mi się, że właśnie to najbardziej zbija mnie z tropu. Kiedy najgorsze pozostaje zamknięte w najsekretniejszym zakamarku twojego serca, bo nie wiesz, jak to z siebie wydusić w postaci sensownego słowa lub choćby tylko słyszalnego. Nie masz wtedy innego wyjścia i musisz to zasklepić jak najgłębiej w sobie. Budujesz jakąś wewnętrzną przestrzeń, w której mentalnie zamykasz wszystko, co cię przeraża, wszystko, co cię obrzydza i rani. To tak, jakbyś w swoim umyśle kopał drugą piwnicę. I to tam wypędzasz plugawą Bestię. Teraz z kolei ty ją więzisz i odmawiasz Jej dostępu do innych swoich terytoriów.

Przez większość czasu kuliłem się tam, w tych chronionych przestrzeniach. Udawało mi się podtrzymywać złudzenie, że jestem chłopcem takim jak inni. Snułem marzenia, śledząc wzrokiem ruch linii, które słońce rysowało na klepisku, gdy prześlizgiwało się między deskami zasłaniającymi piwniczne okienko. Grałem w kostki bryłkami węgla. Albo nuciłem w głowie rymowanki, którymi żona leśniczego kołysała mnie do snu w moim wczesnym dzieciństwie. Oczywiście w tamtych czasach właściwie nie uświadamiałem sobie, że stworzyłem w swojej

głowie ochronny kokon. Nie potrafiłem myśleć w takich kategoriach. Miałem zaledwie osiem lat. Byłem smarkaczem. Dopiero znacznie później zrozumiałem, co się rozgrywało w tej przerażającej piwnicy. Odgadłem, co pozwoliło mi przetrwać, znieść uwięzienie i *wszystko*, co się z nim wiązało.

Chociaż naprawdę nie miałem świadomości istnienia barier, które wzniósł mój mózg, żeby mnie przed Nim chronić, zdawałem się na swój instynkt przetrwania. To on dwa razy dziennie pozbawiał moje spojrzenie wszelkiego wyrazu. Powtarzało się to, ilekroć Wikary znosił mi na dół jedzenie. Po prostu dlatego, że On nie mógłby ścierpieć tego, iż znalazłem sposób na ucieczkę spod Jego wpływu. Owszem, taka myśl przynajmniej pojawiła się ostatecznie w mojej głowie. *On nie może odkryć sekretu twojej kryjówki.* To się stało moją obsesją. Tygodniami, miesiącami drżałem z obawy, kim będę, jeśli uda Mu się sforsować wejście do niej. Aż do dnia, w którym zrozumiałem, że On nie ma takiej mocy. A to dlatego, że widział we mnie nie istotę ludzką, tylko zdobycz. Mógł mnie bić, uczynić mnie obiektem swojej wstrętnej rozkoszy, ale nie był w stanie podążać za mną w najskrytszych zakamarkach moich myśli. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, wiedziałem, że nie uda Mu się mnie złamać. Istniał we mnie niezniszczalny rdzeń, który wytrzymałby nawet najgorsze maltretowanie. Mogłem przycupnąć wewnątrz niego, czekając na odpowiedni moment. Prędzej czy później nadarzy się okazja.

Czas... Stał się pojęciem pozbawionym jakiegokolwiek realnej spójności. Czymś, o czym się wie, że istnieje, lecz już zrezygnowało się z prób obłaskawienia go. Niemal wszyscy więźniowie znajdują jednak sposób na zachowanie poczucia czasu. Na ogół, jeśli tylko mogą śledzić naprzemiennosc dni i nocy, radzą sobie, rysując kreski na ścianach swojej celi. Ale to są dorośli, którzy wiedzą, jak cenny jest czas, bo to on łączy ich z dawniejszą egzystencją. Wystarczy, że zerwiesz tę nić, a staniesz się jak martwy liść, który spadł na powierzchnię strumienia i jest rzucany tu i tam, zdany na prąd.

Osiem lat... Nie miałem na tyle przytomności umysłu, żeby od razu zaznaczać dni na ścianach piwnicy. Kiedy ten pomysł po raz pierwszy zaświtał mi w głowie, było już za późno. Nie wiedziałem, od jak dawna jestem trzymany w niewoli.

To wystarczyło, żeby mnie zniechęcić. Później podjąłem jednak kilka prób, ale w końcu zawsze mówiłem sobie: „Po co?”. Czemu służyło liczenie kalekich dni? To było głupie. Nie miało żadnego sensu. Dlatego rezygnowałem. A potem, po pewnym czasie, zaczynałem od nowa. Zapominając zaznaczać co czwarty dzień.

Kiedy panna Louise wtargnęła nagle w moje życie, przerywając piekło samotności, na ścianie piwnicy było trzysta dwanaście nacięć, ukrytych pod moją pryczą.

Panna Louise... Bez niej prawdopodobnie skończyłbym, kręcąc się w kółko w tej strzeżonej enklawie w głębi swojej czaszki. Mimo wszystko istniał chyba jakiś roztargniony bóg siedzący wysoko w niebiosach, który ostatecznie zwrócił wzrok w moją stronę. Zesłał mi ją niczym anioła stróża, skromnego, ale skutecznego i niezmiernie pokrzepiającego.

Pojawiła się w piwnicy pewnego ranka, gdy się zbudziłem. W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Pomijając Wikarego, była pierwszą żywą istotą, którą zobaczyłem, odkąd wszedłem do tego przeklętego domu.

Miałem za sobą kiepską noc. Z powodu dotkliwego zimna, które panowało w podziemnej izbie, oraz koszmarów zupełnie niedających mi wytchnienia. Mój mózg wciąż był zamglony, a kończyny zeszywniałe, gdy z wolna wynurzałem się ze snu. Słabe, rozproszone światło barwiło całą przestrzeń wokół mnie na szaro. Podniosłem się z trudem z pozycji leżącej i spuściłem bose stopy na klepisko. Czuję się, jakbym miał sto lat, i dręczyła mnie pokusa, żeby jeszcze poleżeć, chociaż wiedziałem, że On tego nie lubi i wymierzy mi dotkliwą karę, jeśli przynosząc mi marną poranną stawę, zastanie mnie na pryczy. Nie obesłoby się bez powrotu do żelaznej klatki aż do wieczora. Doświadczyłem tego okrucieństwa kilka miesięcy wcześniej, kiedy z powodu wilgoci otoczenia dostałem bardzo silnej gorączki, a On przyłapał mnie drżącego z zimna na pryczy. Piekielnie przetrzepał mi tamtym razem skórę, ale kiedy tuż po zapadnięciu zmroku wyciągnął mnie z klatki, zostawił mi grubszy koc. Powiedziałem sobie wtedy, że On na swój sposób – tak szczególny, nikczemny, bestialski i wynaturzony – mimo wszystko trochę się o mnie troszczy.

Tego ranka, z głową w dłoniach, skostniały na swojej desce, dostałem mdłości, przypominając sobie tamtą myśl. Czułem obrzydzenie i byłem zupełnie wyczerpany. Może lepiej wreszcie skończyć z tym raz na zawsze. Już nie wstawać, sprowokować Jego gniew, żeby po prostu uderzył trochę za mocno. Znosić cierpienie aż do punktu bez powrotu...

I to właśnie wtedy, dokładnie w chwili, gdy już miałem zrezygnować z walki, zauważyłem pannę Louise.

Trzymała się niecałe dwa metry ode mnie na skrzyni. Obserwując mnie małymi czarnymi jak węgiel oczami, czesała się wymuskaną łapką i łagodnie kołysała w powietrzu długim brązowym ogonkiem. Mysz, albo raczej ryjówka. Nagle zastygła w bezruchu. Miała szpiczasty pyszczek, cienkie wąsy oraz małe uszy i zdawała się teraz badać gęstość powietrza między nami. Robiła to, ani przez chwilę nie przestając się we mnie wpatrywać, jakbym naprawdę był najbardziej niesamowitą rzeczą, którą kiedykolwiek widziała w całej swojej egzystencji małego ciekawskiego i przebiegłego stworzonka.

Powoli, bardzo powoli, wyciągnąłem do niej rękę. Siedziała zbyt daleko, żebym mógł jej dosięgnąć, co zresztą nie było moim zamiarem. Zależało mi tylko, żeby zobaczyć, jak zareaguje. Przy pierwszym ruchu, który dostrzegła, wzdrygnęła się, ale została na miejscu. Ponieważ przede wszystkim nie chciałem jej wystraszyć, wyciągałem nadal rękę milimetr po milimetrze.

Nie odrywała ode mnie wzroku, a jej ogon, który zamarł na kilka sekund, wznowił swój spokojny wahadłowy ruch.

Wiem, że może się to wydawać głupie, ale ogarnęła mnie głęboka radość. Czułem, że z czasem, przy odrobinie cierpliwości, możemy się nawzajem oswoić... Nawet dobrze się składało...

Czasu miałem pod dostatkiem.

ROZDZIAŁ 16

Kiepskie żarty i szmira

Od rozmowy z inspektorem Aglaé Marceau nie mogła zapomnieć jego anielskiej twarzy. Była oczarowana nieskazitelnością rysów i dystygowaną postawą, ale przede wszystkim zakłopotana tajemniczą aurą, która otaczała całą jego osobę. Miał w sobie coś lodowatego, niepokojącego, a także skrytego, co odpychało tak samo, jak przyciągało. Aglaé z wielką chęcią zobaczyłaby się z nim ponownie, żeby spróbować przejrzeć tajemnicę owej podwójnej osobowości, a jednocześnie wyrzucała sobie tę ciekawość, w której, w przebłyskach przytomności umysłu, widziała to, czym ona w istocie była: żalonym sposobem usprawiedliwienia fizycznego pociągu, który poczuła od pierwszych chwil, gdy siedziała twarzą w twarz z urzekającym policjantem.

Moja biedna dziewczyno, nie ma sensu uważać się za naśladowniczkę Claire Démar²⁴, jeśli miałabyś oszaleć na punkcie pierwszego napotkanego elegancika!

Chociaż Aglaé wciąż się karciała, nie mogła przestać sobie wyobrażać, co by poczuła, gdyby ten pociągający młodzieniec przyszedł pewnego dnia wziąć ją w ramiona. Byłaby to niewątpliwie odmiana w porównaniu ze skradzionymi pocałunkami i z bezwstydnym obmacywaniem, na co regularnie sobie pozwalali, wykorzystując ciasnotę kulis, jej męscy partnerzy – i to nie tylko młodzi amanci.

Tego wieczoru irytacja Aglaé sięgnęła zenitu. Tym, którego dłonie ociagały się w fałdach jej gorsetu, był nie kto inny jak mąż *madame* Saqui, właścicielki teatru, do którego zespołu dołączyła osiem miesięcy wcześniej. Nie było mowy, żeby

i jego odprawić siarczystym policzkiem lub kopniakiem w goleń! Co nie znaczy, że nie miała na to ochoty. Chcąc się go pozbyć, nie wymyśliła nic lepszego, jak zagrozić mu gniewem swojego narzeczonego, dziarskiego inspektora Sûreté o długich rękach, który zwykłym pstryknięciem palców mógł doprowadzić do zamknięcia sali teatralnej. Pan Saqui czym prędzej się wycofał. Jeśli rzeczywiście czegoś się obawiał na tym marnym świecie, oprócz homerycznych napadów złości swojej energicznej małżonki, to widma bankructwa. Para cycków, nieważne jak krągłych i jędrnych, nie była warta pełnej sali i hojnych zysków. Mimo to staremu piernikowi wcale nie spodobała się ta ostra odprawa i obiecał sobie, że będzie nieco baczniej obserwował znajomych młodej aktorki. Jeśli ta ważniaczka z niego zakpiła, zwolni ją z hukiem. Zobaczymy, czy nadal będzie taka przemądrzała, gdy zostanie wyrzucona na bruk!

Aglaé, nieświadoma tego, co się knuje w głowie jej pracodawcy, powinna się była w pełni delektować łatwym zwycięstwem, ale tak się nie stało. Spontaniczność, z jaką wymyśliła romans ze swoim przystojnym inspektorem, dowodziła, do jakiego stopnia zaprzętała on jej myśli. *Swoim* inspektorem? Nie, doprawdy, musiała się opanować! Cóż takiego niezwykłego miał w sobie ten blondynek, że tak ją zauroczył? Od poprzedniego dnia nie było godziny, żeby nie pogrążyła się w słodkich marzeniach, przypominając sobie a to zieleń jego oczu, a to zarys jego ust. Najwyższy czas zająć się czym innym, po pierwsze dlatego, że było wysoce prawdopodobne, iż nigdy więcej go nie zobaczy, a po drugie miała do wykonania zadanie, które wymagało od niej pełnej koncentracji.

Zdecydowana nie dać się już dłużej rozpraszać, przyłożyła ucho do drzwi, za którymi cierpliwie czekała od kilku minut. Kiedy uznała, że może wreszcie przejść do dzieła, ostrożnie nacisnęła klamkę i na palcach przekroczyła próg. Pokój był najwyraźniej oświetlony tylko przez jeden jedyny świecznik. Migotliwy płomień rysował ruchome cienie na ścianach i ożywiał stare złocenia grzbietów na regałach imponującej biblioteki. Aglaé wzięła do ręki świecę i przystąpiła do badania starannie uszeregowanych dzieł. Gdy wodziła palcem po kolejnych tytułach, jej

wyrazista twarz zdradzała na zmianę ciekawość, zniecierpliwienie i, jeszcze dobitniej w miarę upływu czasu, straszliwy niepokój.

W końcu drgnęła lekko i roztrzęsioną dłonią otworzyła szklane drzwi. Jej ręka błądziła po omacku w półmroku panującym wewnątrz mebla. Potem rozległo się donośne stuknięcie, gdy kilka połączonych grzbietów obróciło się jednocześnie, odsłaniając sekretny schowek. Aglaé wyjęła z niego plik kartek. Jedno spojrzenie pozwoliło jej nabrać pewności, że są to papiery, których szukała. Przytłaczający dowód spisku zawiązanego w celu zabicia króla i rozpętania morderczej wojny przeciwko wielkim mocarstwom europejskim.

– Miałaś rację, dziewczyno! – wykrzyknęła, kładąc swoje znalezisko na niewielkim gerydonie, by swobodniej je obejrzeć. – Oto wspaniała karta przetargowa, żeby wyciągnąć twojego starego ojca z więzienia, do którego tak niegodziwie wtrącili go wrogowie!

Nie zwlekając dłużej, zagłębiła się w lekturze dokumentów.

Ledwie się do tego zabrała, drzwi otworzyły się bezszelestnie za jej plecami i pojawił się jakiś podejrzany osobnik, którego smętna twarz odzwierciedlała całą podłość jego duszy.

Był ubrany w połatany surdut, na głowie miał przekrzywiony kapelusz, na szyi wątpliwej czystości krawat, na lewym oku nosił ciemną przepaskę, a wystający podbródek ozdobił trzydniowym zarostem. Już sam ten złowrogi wygląd wystarczyłby, żeby przestraszyć najbardziej nieustraszonych, a co dopiero długi nóż, którego nagie ostrze lśniło w jego dłoni.

Mężczyzna, unosząc przesadnie stopy niczym przezorna czapla, ruszył w milczeniu w stronę młodej kobiety, która była zbyt zaabsorbowana lekturą, żeby zdać sobie sprawę z grożącego jej śmiertelnego niebezpieczeństwa. Nadchodził nieubłagany, jakby uosabiał przeznaczenie w akcji. Gdy stanął tuż za swoją przyszłą ofiarą, jego uzbrojone ramię uniosło się nad jej głowę z irytującą powolnością.

Dokładnie w tym momencie w sali rozległ się szyderczy głos:

– I co, nożowniku, dźgniesz ją w końcu tym swoim majchrem czy może trza ci pomóc?

– Zamknijcie dzioby tam na górze!

Jednooki mężczyzna z nożem powstrzymał się od zadania ciosu i uniósł opaskę, żeby zmierzyć wściekłym wzrokiem motłoch na galerii, który właśnie przeszkodził mu w decydującej chwili, psując w ten sposób całą dramaturgię sceny. Na parterze klaka przystąpiła już do kontrataku w postaci okrzyków skierowanych do zakłócających spektakl oraz burzy oklasków zachęcających dwoje aktorów do wznowienia gry. To wystarczyło, żeby publiczność podzieliła się na dwa wrogie obozy ścierające się za pomocą obelg i docinków, a z góry, z ciemnego poddasza, które służyło za paradyz, sypał się na widownię deszcz zwiniętych w kulkę tłustych papierków oraz ogryzków gotowanych jabłek.

Aglaé, nie czując, żeby spadł na nią śmiertelny cios, który pozwoliłby jej z całym talentem odegrać agonię, przestała udawać, że czyta, i ponownie zwróciła uwagę na pierwsze rzędy widzów. Serce natychmiast podskoczyło jej w piersi. Odcinała się tam, tuż poniżej, w półmroku, który spowijał pierwsze miejsca na parterze, przystojna twarz inspektora Verne'a. Lekceważąc olej kapiący z lamp, usiadł jak najbliżej sceny, żeby obejrzeć przedstawienie.

Drżąca z podniecenia Aglaé była pewna, że przyszedł tylko dla niej. Zapominając o wszystkich dobrych postanowieniach, odwróciła się do swojego partnera z niecierpliwością nastolatki w przededniu pierwszego w życiu balu i upomniała go smętnym tonem:

– Przecież nie będziemy tu nocować! Decydujesz się zadać ten cios sztyletem czy nie?

Ku wielkiemu niezadowoleniu czającego się za kulisami autora oraz pana Saqui, który rwał sobie włosy z głowy, już widząc komentarze krytyków następnego dnia w gazetach, całą widownią natychmiast wstrząsnął gigantyczny wybuch śmiechu. Tak więc melodramat, który miał wycisnąć łzy z oczu najbardziej

zblazowanych bywalców bulwaru, zmienił się odtąd, aż do opuszczenia kurtyny, w groteskową komedię.

– Czy przedstawienia zawsze są tak burzliwe?

Po zakończeniu sztuki Valentin utorował sobie drogę do garderoby artystów, wykorzystując swoją pozycję funkcjonariusza Sûreté. Zastał tam Aglaé poczerwieniałą ze wstydu z powodu fiaska spektaklu, ale aktorka szybko odzyskała werwę, gdy inspektor zaproponował jej przedłużenie wieczoru w swoim towarzystwie. Dwoje młodych ludzi udało się do winiarni U Bertranda przy rue du Faubourg-du-Temple, do której chadzali statyści i aktorzy drugoplanowi. Siedząc przy stoliku nad dwoma kuflami piwa, gawędzili w błękitnym dymie fajek i siarkowych wyziewach starego grzejnika.

– Och, dzisiejszy wieczór to jeszcze nic! – wykrzyknęła Aglaé, zmuszona pochylić się w stronę swojego towarzysza, żeby zapanować nad zgiełkiem zatłoczonej kawiarni. – Wcześniej grałam w Petit Lazari. Tam spektakl rozgrywa się zarówno na deskach teatru, jak i na widowni. To miejsce spotkań robotników i urwisów z przedmieść. Osób z ludu, ot co! Je się tam podczas przedstawień i nie należy do rzadkości, że odpadki i resztki posiłków trafiają na scenę.

Niemal natychmiast pożałowała swojej szczerości.

Ależ z ciebie idiotka! Powiedz mu od razu, że jesteś tylko małą aktoreczką bez polotu, grającą w drugorzędnych teatrach. O tak, naprawdę jesteś głupia! Weźmie cię za biedne dziewczę pozbawione talentu i ambicji, a ty całkiem na to zasłużysz.

Ale Valentin był daleki od takich myśli. Bliskość młodej kobiety wprowadzała go w zakłopotanie i nie spodziewał się, że poczuje się aż tak skrępowany. Za każdym razem, gdy pochylała się w jego stronę, wdychał jej perfumy o kwiatowej nucie i odwracał wzrok, żeby nie pozwolić mu zabłądzić w wycięcie gorsetu, gdzie można się było domyślać rozkosznego biustu pełnego krągłości.

Po rozstaniu z komisarzem Flanchardem i prefektem policji, a potem po zakończeniu przygotowań do wyznaczonego na następny dzień pojedynku, nie mógł się zdecydować na spędzenie w samotności wieczoru, niewykluczone, że

ostatniego na tej ziemi. Chciał uniknąć roztrząsania sytuacji i zastanawiał się, jak odwrócić myśli od nieuchronnego wyrównania rachunków. Przypomniawszy sobie wtedy o młodej aktorce, którą poznał poprzedniego dnia. Skoro miał się narażać o świącie na śmierć z ręki Fauveta-Dumesnila, lepiej było zerwać z zakonnymi zwyczajami i zafundować sobie przyjemny wieczór w teatrze. Dopiero pod koniec sztuki wziął pod uwagę zaproponowanie Aglaé wspólnego zjedzenia kolacji. Zrobił to bez żadnych ukrytych zamiarów, bo w przeciwieństwie do większości młodych ludzi w swoim wieku Valentin nie zabiegał o względy płci pięknej. Na ogół pozostawał obojętny wobec kobiet, ale w miarę upływu wieczoru jego niepokój wzrastał. W gruncie rzeczy był zarówno wrażliwy na figlarny urok aktorki, jak i boleśnie świadomy własnej nieudolności, jeśli chodzi o prowadzenie gry uwodzenia.

– Pani talent z pewnością zasługiwałby na rozwijanie się na bardziej prestiżowych scenach – powiedział, reagując na jej poprzednią uwagę. – Czyż Lucien Dauvergne nie uważał, że jest pani godna najlepszego repertuaru?

– Lucien do końca był dzieckiem zawsze skorym do zachwyty, ale, jak panu mówiłam podczas naszego pierwszego spotkania, teatralne mrzonki już mu nieco przeszły i to innej zaczął ofiarowywać bukiety róż.

Valentin zareagował całkiem spontaniczną szczerością.

– Ależ to niewybaczalne z jego strony! Idę o zakład, że nie ma pani czego zazdrościć tej nowej wybrance.

Chociaż Aglaé była zachwycona komplementem, starała się nie dać niczego po sobie poznać. Wcale nie miała ochoty uchodzić za bezmyślną kobietę, której wystarczy kilka zgrabnych słówek, żeby straciła głowę. A tym bardziej za rozwiązłą, która szaleje na punkcie pierwszego lepszego przystojniaka. W głębi duszy musiała jednak przyznać, że nie jest nieczuła na wdzięk inspektora. Pomimo jego pozornego chłodu i niekiedy twardego spojrzenia dostrzegła w nim jakieś ukryte cierpienie. Właśnie przez to wydawał się nieufny, a w kątku jego ust pojawiał się grymas rozgoryczenia. Skąd się brał ten ból? I jak wytłumaczyć

nieodpartą chęć, żeby go rozproszyć, tak jak wietrzyk przegania chmury? Tylko czy w ogóle miała taką moc?

Marszcząc czoło, Aglaé przygryzała koniuszek kciuka i pogrążyła się w rozmyślaniach, gdy nagle uświadomiła sobie, że siedzący naprzeciwko niej mężczyzna usilnie się w nią wpatruje, jakby oczekiwał odpowiedzi z jej strony. Prychnęła i rzuciła lekko zmieszana:

– Przepraszam, pytał mnie pan o coś?

– Spytałem, kim jest osoba, którą ten wielki głupiec Lucien był tak zauroczony, że ośmielił się panią opuścić.

– Czy mówi coś panu nazwisko *madame* de Mirande?

Valentin poszperał w pamięci, ale w końcu pokręcił głową.

– Nie. Kto to taki?

– Jest jedną z najbardziej dystyngowanych kobiet w Paryżu. Przyjechała tu w zeszłym roku i mieszka w prywatnej rezydencji przy rue Saint-Guillaume, gdzie w każdy czwartek prowadzi bardzo ceniony salon. Do dobrego tonu należy tam bywać, a jeszcze lepiej zostać zauważonym. Spotyka się u niej pisarzy, malarzy, muzyków, ale też dziennikarzy i polityków.

– Przypuszczam, że raczej o skłonnościach republikańskich.

– Mówi pan tak z powodu przekonań Luciena? Nic bardziej błędnego! Salon *madame* de Mirande jest bez wątpienia jedynym miejscem w Paryżu, gdzie można zobaczyć żyjących ze sobą w zgodzie orleanistów, legitymistów, republikanów, a nawet bonapartystów. To najwyraźniej jedna z wielu zalet tej osoby: umiejętność gromadzenia wokół siebie wszelkich talentów, którymi dysponuje stolica, zupełnie bez względu na zamożność, pochodzenie społeczne czy poglądy polityczne.

– Gospodyni, której bez wątpienia nie brakuje ani inteligencji, ani uroku – skomentował zamyślony inspektor. – Zastanawiam się, jak też może wyglądać ta dama. Podejrzewam, że to urzekająca piękność.

Takie przypuszczenie ponownie otworzyło ranę, którą zadał miłości własnej młodej aktorki Lucien Dauvergne. Natychmiast doszła do głosu jej gorąca krew,

toteż zareagowała nieco zbyt gwałtownie.

– Więc pan też! – wykrzyknęła z irytacją w oczach. – Chociaż zaledwie minutę temu nawet nie wiedział pan o istnieniu tej kobiety, teraz umiera pan z pragnienia, żeby ją poznać! Cóż za diabelstwo!

Valentin, zdezorientowany nagłą zmianą nastroju swojej towarzyszki, próbował się wycofać.

– Ależ nie! Zapewniam panią, że...

– Nie ma sensu się tłumaczyć! – przerwała mu Aglaé, robiąc tym razem nadąsaną minę. – Doskonale rozumiem, że wielka dama mieszkająca w dzielnicy Saint-Germain i obracająca się w elicie towarzyskiej stanowi w pańskich oczach znacznie większą atrakcję niż skromna aktorka bulwarowa.

Valentin nie rozumiał, jak to, co powiedział, może usprawiedliwić taką reakcję, ale wyczuwając, że Aglaé jest na tyle zirytowana, że gotowa wstać i odejść od stolika, odważył się położyć rękę na jej dłoni. Nie cofnęła palców.

– Co panią ugryzło? – zapytał tonem, który miał być kojący. – Siedzimy tu sobie spokojnie, gawędząc jak dobrzy przyjaciele, aż tu nagle pani się gorączkuje bez powodu. Zapewniam, że ta *madame* de Mirande nic mnie nie obchodzi.

– Nie takie wrażenie sprawiał pan zaledwie przed momentem.

– Dziwne z pani stworzonko, wie pani? Początkowo wesołe i urocze, a po chwili przemienia się w furję z pazurami na wierzchu. Nie mam pojęcia, co mogłem zrobić, że tak panią rozgniewałem, ale proszę uwierzyć, że jest mi bardzo przykro. I błagam o wybaczenie, jeśli okazałem się nietaktowny.

Aglaé przygryzła policzek od środka. Policjant wydawał się szczerze zmartwiony i zrobił skruszoną minę, przez co wyglądał niezwykle wzruszająco. Dzięki pastelowozielonym oczom i twarzy młodego greckiego boga musiał mieć na koncie wiele miłosnych podbojów, lecz to z nią postanowił spędzić wieczór. A ona, biedna głupia gęś, ofuknęła go z powodu jakiegoś grzeszku! Mało brakowało, żeby się spoliczkowała!

– Nie ma pan sobie nic do zarzucenia – powiedziała, opuszczając powieki. – To ja zareagowałam idiotycznie. Zawsze jestem trochę zdenerwowana po ostatnim występie dnia.

– Byłbym tym bardziej zmartwiony, robiąc pani przykrość – odparł Valentin z bladym uśmiechem – że, jeśli los okaże się dla mnie nieprzychylny, może pani być ostatnią kobietą, z którą będzie mi dane zamienić kilka zdań na tym świecie.

Dłoń Aglaé zacisnęła się pod palcami młodego człowieka. Na jej twarzy odmalował się wyraz niezrozumienia, a jednocześnie ogarnęło ją złe przeczucie.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Jutro o świcie muszę stoczyć pojedynek. Mój przeciwnik, jeśli wierzyć powszechnym pogłoskom, jest doskonałym strzelcem. Jak pani widzi, *madame de Mirande* nie wpisuje się nigdzie w moją przyszłość, która, obawiam się, może zostać niebawem drastycznie skrócona.

Gdy to mówił, Aglaé otworzyła szeroko oczy z przerażenia. Nie myliła się zatem, dostrzegając na tej pięknej twarzy cień strasznego zrzędzenia losu. Powoli cofnęła rękę i szepnęła jakby do siebie:

– Mój Boże! Jacy mężczyźni są głupi!

²⁴ Claire Démar – dziennikarka i pisarka (1799–1833), jedna z pionierek ruchu feministycznego, który rozwinął się na początku monarchii lipcowej. W *Appel d'une femme au peuple sur l'affranchissement de la femme* [Apelu kobiety do ludu w sprawie wyzwolenia kobiet] przeprowadza, na krótko przed samobójczą śmiercią, radykalną krytykę małżeństwa, które potępia jako formę legalnej prostytucji.

ROZDZIAŁ 17

Twarzą w twarz ze śmiercią

Nieśmiałe jeszcze światło przenikało przez pnie drzew i barwiło półmrok na niebiesko. Po obu stronach oszronionej alei w lasku Vincennes wielkie dęby wznosiły się niczym zjawy naszkicowane suchą igłą. Ścieżka wychodziła na okrągłą polanę. Czekala tam berlinka, a sierść czterech koni pociągowych parowała w mroźnym powietrzu wczesnego poranka. Mężczyzna szczelnie owinięty długą peleryną z podwójnym kołnierzem, w eleganckim cylindrze na głowie przechadzał się tam i z powrotem obok drzwiczek powozu. Nerwowo gładził cienkie wąsy, rzucał w regularnych odstępach czasu gniewne spojrzenia w kierunku alei i wydawał z siebie zirytowane westchnienie, które zamieniło się w obłok mgły, ledwie opuściwszy jego wargi.

Z powozu dobiegł przymilny głos:

– Zapewniam pana, drogi przyjacielu, że lepiej by pan zrobił, czekając z nami w środku. Jest wściekle zimno i ryzykuje pan przeziębienie. Byłoby głupio, przyzna pan. Co więcej, to nie przyspieszy przybycia pańskiego przeciwnika.

– Już prawie kwadrans spóźnienia! To niedopuszczalne! Przecież uzgodniliśmy, że spotkanie odbędzie się o siódmej, prawda Grisselanges?

– Naturalnie! Sam ustaliłem z małym Galois wszystkie szczegóły starcia. Nasz młody towarzysz poręczył za obecność tego sługusa prefektury.

– Ale najwyraźniej nie za jego punktualność! – mruknął mężczyzna w pelerynie, którym był nie kto inny jak Fauvet-Dumesnil. – Miejmy nadzieję, że

nie pożałujemy, iż zaufaliśmy temu policjantowi.

W drzwiczkach berlinki pojawiła się duża, krostowata twarz mecenasa Grisselanges'a, wciąż jeszcze obrzmiała od snu.

– Za to, mój drogi – powiedział adwokat z nutą niechęci w głosie – może pan winić wyłącznie siebie. Gdybyście mnie posłuchali, załatwilibyśmy tego wstrętnego szpicla w Bazantach w Koronach, kiedy był zdany na naszą łaskę. Skąd pan wie, że dotrzymał słowa i nie doniósł już na nas przełożonym?

– Galois miał mieć na niego oko właśnie po to, żeby uniknąć wszelkich nieprzyjemnych niespodzianek – odparł zirytowany dziennikarz, przestając się przechadzać po ziemi stwardniałej od mrozu. – Ponadto szczycę się tym, że potrafię ocenić każdą osobę na pierwszy rzut oka. Ten Valentin Verne nie jest człowiekiem, który łamie dane słowo albo chowa się w obliczu niebezpieczeństwa. Jestem przekonany, że przyjdzie. I już teraz może pan go uznać za martwego.

– Jeśli jest pan tak pewny, to po co się gryźć z powodu kilku minut spóźnienia?

– To kwestia zasad. Nie każe się czekać komuś, kto wyprawi cię na tamten świat, chyba że jest się ostatnim bydlakiem... Ale spójrzcie! To chyba w końcu oni.

Aleją jechał żwawo elegancki kabriolet z zasuniętym dachem. Stukot powozu zdawał się nadawać rytm rozkołysanym koniom biegnącym drobnym kłusem w obłokach pary. Były to rasowe zwierzęta z dumnie uniesionymi głowami i poluzowanymi cuglami. Przypominały tancerki we mgle. Ta zjawia miała w sobie coś eterycznego i upiornego.

Podczas gdy nowo przybyli zatrzymywali powóz po przeciwnej stronie polany, z dużej, ciemnej berlinki wysiadło dwóch mężczyzn i dołączyło do Armanda Fauveta-Dumesnila, by utworzyć oburzony komitet powitalny. Osobnik, który wcześniej czekał w zaciszu powozu w towarzystwie Grisselanges'a, nosił binokle w szylkretowej oprawie i miał ze sobą torbę zdradzającą jego profesję chirurga. Stojący rzędem trzech mężczyźni obserwowali w milczeniu przyjezdnych, którzy kierowali się w ich stronę.

Pierwszy szedł Valentin Verne, sadząc długie kroki i deptając pokrytą szronem trawę. Jego ubiór nie przynosił ujmy typowej dla niego elegancji. Miał na sobie puchaty kapelusz z rozszerzającym się rondem uniesionym po bokach i obszerną połyskującą pelerynę. Pod lewym ramieniem ściskał płaską skrzyneczkę z drewna wiązu. Za nim mknął w podskokach Évariste Galois, próbując za nim nadążyć i rozkładając bezradnie ręce, jakby chciał dać do zrozumienia, że w żaden sposób nie jest odpowiedzialny za ich spóźnienie.

– Czekamy na was prawie dwadzieścia minut! – zaprotestował Fauvet-Dumesnil, spoglądając na nich posępnie. – Nie będę wam prawił uprzejmości, panowie! Pojedynki są zaledwie tolerowane, więc w naszym interesie leży doprowadzenie sprawy do końca, zanim całkiem wstanie dzień.

– To nie nasza wina – bronił się Galois. – Dorożka, która miała nas zabrać spod domu inspektora Verne’a, wystawiła nas do wiatru.

Valentin uniósł nakrycie głowy, by uroczyście pozdrowić stojących naprzeciwko mężczyzn.

– Przykro mi, panowie, że kazałem wam czekać, ale w pośpiechu musiałem się zdać na kabriolet swojego sąsiada, profesora Dupuytrena²⁵, i w tym celu wyciągnąć tego wspaniałego człowieka z łóżka. Obawiam się, że wziął mnie za wariata i gdyby nie przyjaźń łącząca go z moim nieżyjącym ojcem, prawdopodobnie poleciliby przepędzić mnie swoim ludzom.

– Jesteśmy przemarznięci od sterczenia tu i czekania, aż raczy się pan pojawić – wtrącił się Grisselanges zgryźliwym tonem. – Uważam, że pańskie wyjaśnienia są zupełnie niepoważne, zważywszy na sprawę, która dotyczy honoru, wymaga zatem, by traktowano ją z najwyższą atencją.

Tak jak w piwnicy Bazantów w Koronach, wrogość adwokata rzucała się w oczy.

Valentin zdecydował się odpowiedzieć, stawiając na ironię:

– Obawiam się, drogi mecenasie, że nie będę miał możliwości zaoferować panu zadośćuczynienia za tę niesłychaną zniewagę. Chyba że adwokatura zgodzi się

zaczekać na swoją kolej po publicystyce. – To mówiąc, skłonił się w stronę Fauveta-Dumesnila. – I że obecny tu pański przyjaciel da mi taką szansę, uprzejmie pozwalając się wcześniej ukatrupić. Boję się jednak, że wcale nie ma takiego zamiaru.

– Ten lekceważący ton jest nie na miejscu! – zagrzemiał adwokat. – Zobaczymy, czy nadal będzie pan zgrywał cwaniaka, z ołowianą kulką w klatce piersiowej!

Valentin zignorował obelgę; wolał się zwrócić w stronę swojego aktualnego przeciwnika, któremu lekko się ukłonił.

– Mówiąc poważniej, jeśli uważa pan, że to czekanie na zimnie mogłoby wpłynąć niekorzystnie na wynik spotkania, jestem gotów przełożyć je na dogodny dla pana termin.

Tym razem Fauvet-Dumesnil złapał Grisselanges'a za rękaw, żeby uniemożliwić mu ripostę. O ile jego zdenerwowanie sięgało zenitu, gdy złorzeczył spóźnialskim, o tyle wydawało się, że całkiem odzyskał spokój, kiedy pojawili się na polanie. Jego wychudzona twarz pozwalała dostrzec determinację człowieka pewnego wygranej, a w źrenicach lśnił morderczy błysk doświadczonego pojedyńkowicza.

– Ta propozycja przynosi panu zaszczyt – powiedział, odwzajemniając pozdrowienie policjanta – ale rozstrzygnięcie naszego sporu jest już dawno spóźnione. Przejdźmy od razu do rzeczy.

W tym momencie Valentin wyjął spod pachy drewnianą skrzyneczkę, którą przyciskał do boku, i zaprezentował dziennikarzowi, trzymając ją płasko na przedramionach.

– Przyznaję, że zupełnie nie znam zwyczajów obowiązujących w tej materii, powiedziałem sobie jednak, że skoro uważa się pan za znieważonego i jako taki zdecydował pan o wyborze broni, może zgodzi się pan walczyć tymi oto pistoletami, które mam po ukochanym ojcu.

Wysunął ramiona do przodu w taki sposób, żeby umożliwić Fauvetowi-Dumesnilowi przekręcenie w skrzyneczce dwóch miedzianych kluczyków.

Dziennikarz musiał próbować kilka razy, a nawet lekko zadrasnął sobie lewy kciuk, bo mechanizmy zamków były tak zatarte. Kiedy w końcu uniósł wieko, zobaczył na zielonej aksamitnej wykładzinie dwa wspaniałe pistolety pojedynkowe sygnowane „Lassence Rongé”. Broń o długości prawie czterdziestu centymetrów była imponująca. Miała kolby i łoża z rzeźbionego orzecha, ośmiokątne gwintowane lufy z wybitym znakiem manufaktury w Liège oraz kurki z wygrawerowanymi ornamentami w kształcie liści. Zestaw uzupełniały liczne akcesoria: róg prochowy, wyciory, młotek, klucz do kominków, forma do pocisków...

– Moje gratulacje! – stwierdził Fauvet-Dumesnil, gdy już uniósł do ust zadraśnięty palec. – To naprawdę wspaniałe narzędzia śmierci. Szkoda tylko, że tak rzadko ich pan używał, przynajmniej sądząc po stanie szkatułki. Dobrze, niech będzie! Skoro życzy pan sobie zginąć w ten sposób, użyjmy broni palnej pańskiego ojca. Sprawdź ją dwaj nasi sekundanci. Następnie każdy z nich załaduje jeden z pistoletów, które rozdzielimy między siebie losowo. Czy to panu odpowiada?

Valentin skinął głową, a Grisselanges i Galois odeszli ze skrzyneczką w stronę berlinki. Podczas gdy badali i przygotowywali broń, chirurg zabrał kapelusze, peleryny i żakiety obu pojedynkowiczów. Z powodu przenikliwego zimna zostali jednak w kamizelkach, a Valentin zadowolili się poluzowaniem szerokiego krawatu, żeby łatwiej mu się oddychało.

Losowanie sprzyjało dziennikarzowi „La Tribune”, bo mógł swobodnie wybrać broń. Potem, gdy Évariste Galois podchodził do Valentina ze skrzyneczką, Grisselanges przypomniał donośnym głosem zasady pojedynku:

– Panowie, kiedy będziecie gotowi, podejdziecie i staniecie przede mną plecami do siebie. Policzę wówczas powoli do dziesięciu. Każdy z was za każdym razem oddali się o jeden krok. Po zakończeniu liczenia, i dopiero wtedy, będziecie mogli się odwrócić i strzelić według uznania. Walka zostanie wstrzymana przy pierwszej krwi.

Temu ostatniemu zdaniu towarzyszył złośliwy uśmiech. Nie ulegało wątpliwości, że w opinii adwokata zręczność Fauveta-Dumesnila mogła się

skończyć tylko jednym: błyskawiczną śmiercią jego przeciwnika.

Évariste Galois musiał myśleć mniej więcej tak samo. Gdy prezentował Valentinowi otwartą szkatułkę, mrużył oczy z niepokoju i nie mógł się powstrzymać od udzielenia mu szeptem ostatniej rady:

– Z odległości dwudziestu kroków Fauvet-Dumesnil trafiłby w sam środek dwudziestu sou. Pańska jedyna szansa polega na tym, żeby otworzyć ogień przed nim i zranić go na tyle poważnie, by uniemożliwić mu oddanie strzału. Niech Bóg pana strzeże!

Valentin serdecznie podziękował młodemu naukowcowi. Spotkali się ponownie około piątej, a ten krótki czas, który spędzili razem, pozwolił im utwierdzić się w przekonaniu, że dzielą te same zamiłowania. Niewątpliwe, że gdyby poznali się w innych okolicznościach, mogłyby ich połączyć silne więzi przyjaźni. W szczególności Galois, który zaledwie dzień wcześniej był zachwycony, że udało mu się wyrwać inspektora ze szponów swoich towarzyszy, wyrzucał sobie teraz, że zgodził się poprzeć ten nierówny pojedynek. W jego opinii nie chodziło o nic innego, jak o zabójstwo pod pozorem sprawy honorowej, a śmierć inspektora byłaby tym bardziej daremna, że według niego członkowie Odnowy Jakobińskiej nie mieli absolutnie nic wspólnego ze śmiercią Luciena Dauvergne'a. Zaproponował Valentinowi, że wstawi się u Fauveta-Dumesnilla, próbując przemówić mu do rozsądku, ale policjant był przekonany, że to strata czasu, i ostatecznie mu to wyperswadował. Teraz w każdym razie już nie było mowy o wycofaniu się. Należało doprowadzić to do końca.

Podczas gdy chirurg wykładał na ławce berlinki szarpie, bandaże i narzędzia potrzebne do opatrzenia ewentualnego rannego, pozostała czwórka powoli skierowała się na środek polany.

Chociaż Valentin nie był najgorszym strzelcem, daleko mu było do biegłości swojego rywala w tej dziedzinie. Czułby się znacznie swobodniej, gdyby pojedynkowali się na szpady, bo zawsze miał pewne upodobanie do szermierki, tej szlachetnej rywalizacji, w ramach której przeciwnicy muszą walczyć wręcz, a śmierć jest zadawana lub ponoszona, gdy patrzą sobie w oczy, nie zaś z daleka,

w podły i prostacki sposób. Pistolet ważył zaskakująco dużo w jego ręce wyciągniętej wzdłuż uda. Nigdy wcześniej nie miał okazji posługiwać się tak imponującą bronią palną. Gdy poprzedniego dnia późnym popołudniem, na krótko przed pójściem do teatru, nabył skrzyneczkę z pistoletami, nie zadał sobie nawet trudu, żeby z nimi poćwiczyć. Uznał, że ze względu na reputację Fauveta-Dumesnila jako pojedyńkowicza jest to zupełnie bezużyteczne, a pragnienie zapomnienia w towarzystwie ślicznej Aglaé o tym, co go nieuchronnie czeka, w końcu odwróciło jego uwagę od pojedynku. Teraz jednak, gdy on i jego rywal odwiedli kurki pistoletów i stanęli plecami do siebie, czekając na polecenia Grisselanges'a, zadawał sobie pytanie, czy nie okazał się zbyt pewny siebie lub też niewybaczalnie lekkomyślny. Zresztą obie te rzeczy sprowadzały się do tego samego i przekładały na identyczny rezultat: jego zwłoki leżące na trawie i jego krew rozlana na bieli szronu.

Prawnik zaczął liczyć, a dwaj antagoniści oddalali się od siebie. Przy liczbie „dziesięć” obaj zrobili ostatni krok, obrócili się w miejscu i stanęli bokiem, ukrywając klatkę piersiową, żeby stanowić jak najmniejszy cel. Valentin nie mógł powstrzymać drżenia. Odległość dzieląca go od dziennikarza wydawała mu się niewiarygodnie mała. Miał mrozące krew w żyłach wrażenie, że dostrzega najdrobniejszy skurcz mięśni na jego twarzy.

Wycelowawszy broń przed siebie, zaryzykował spojrzenie w bok. Évariste Galois kręcił się niespokojnie i przebierał w miejscu nogami. Z ruchu warg matematyka Valentin wyczytał, że ten zachęca go do oddania strzału. Ponownie skupił całą uwagę na przeciwniku. Co ciekawe, Fauvet-Dumesnil również zdawał się zwlekać z otwarciem ognia. Lufa jego pistoletu drżała, jakby dziennikarz się wahał, w którą część ciała mierzyć. Valentin wziął głęboki wdech, a następnie zatrzymał powietrze w klatce piersiowej i nie spieszył się, chcąc mieć pewność, że nie spudłuje.

Jego palec właśnie zaczynał się zaciskać na spuście, gdy Fauvet-Dumesnil w końcu postanowił strzelić.

Rozległ się ostry trzask detonacji. Wydawało się, że echo długo rozbrzmiewa w lodowatym powietrzu. Valentin zamknął oczy. Opadła na niego czerwona zasłona.

²⁵ Guillaume Dupuytren – słynny anatom z paryskiego szpitala Hôtel-Dieu, bez wątpienia najwybitniejszy chirurg tamtej epoki.

ROZDZIAŁ 18

Nieoczekiwana wizyta

Konsjerż z rue du Cherche-Midi 21 stał na czatach. Gdy tylko usłyszał metaliczny stukot kół kabrioletu na bruku, rzucił się, żeby otworzyć na oścież oba skrzydła bramy. Ledwie Valentin zaciągnął hamulec powozu, wyraźnie zmieszany mężczyzna podszedł do niego, ściskając kaszkiet w obu rękach.

– Cieszę się, że tak szybko pan wrócił, panie Verne. Ależ tak! Chodzi o to, że nie miałem wyboru, musiałem jej posłuchać. Narobiła straszego hałasu. Myślałem, że zaalarmuje wszystkich mieszkańców kamienicy i okolicznych domów. Prawdziwa furia! W przeciwnym razie, oczywiście, nigdy bym jej nie otworzył. Mowy nie ma! Wiem, jak bardzo ceni pan sobie spokój.

Valentin wyskoczył z kabrioletu i podszedł do poczciwca, który przewracał oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

– Niech mnie diabli, jeśli cokolwiek rozumiem z tego, co wygadujecie, ojcie Mathurin! Jaki hałas? Jaka furia? Opamiętajcie się i powiedzcie mi jasno, co się stało.

– Ale to ta kobieta! Istna trąba powietrzna, panie Verne! Przecież mnie pan zna. Nie mam w zwyczaju dać się omamić byle komu. Ale ta kobieta, ta kobieta... prawdziwa diaboliczna! A to szepcze ci miłe słówka i pochlebstwa, a to wrzeszczy na cały głos. Cyklon, proszę pana. Już nie wiedziałem, co począć. Naprawdę, zapewniam pana. Nie mam pojęcia, jak ona to zrobiła, ale w pewnym momencie nie widziałem innego sposobu, żeby się od niej uwolnić, niż dać jej klucze.

– Doprawdy, ojcie Mathurin – powiedział Valentin, na poły zirytowany mętnymi wyjaśnieniami konsjerża, na poły rozbawiony jego zgębną miną – nie rozumiem ani słowa z tego, co mówicie. Gdybyście zaczęli od początku, spokojnie...

Konsjerż zaczął gorączkowo miąć kaszkiet, cały czas unikając wzroku inspektora.

– To młoda kobieta, brunetka, szczupła, dość ładniutka. Zjawiła się tu z wybiciem ósmej. Żądając pilnego spotkania z panem. Powiedziałem jej, że pana nie ma, ale że zamierza pan wcześniej wrócić. No bo słyszałem, że obiecał pan profesorowi Dupuytrenowi oddać powóz przed południem. Na to ona poprosiła, żebym otworzył pana mieszkanie, aby mogła na pana zaczekać. Jak może pan sobie wyobrazić, początkowo odmówiłem. Zwróciłem jej uwagę, że jej nie znam i że byłoby to niestosowne, gdybym pozwolił jej do pana wejść pod pana nieobecność.

– Ale w końcu mimo wszystko ustąpiliście i daliście jej moje klucze.

– Och, panie Verne! Gdyby pan wiedział, jak bardzo mam to sobie za złe! Nie pojmuję, jak ona to zrobiła. Wszystko poszło tak szybko, wszystko było takie zagmatwane! Stała tu, strojąc do mnie miny i grożąc mi. Mówiąc, że jest pańską kuzynką przybyłą z prowincji i że bardzo by się pan gniewał, dowiedziawszy się, że wyrzuciłem ją na ulicę. Naprawdę nie wiedziałem, jak z tego wybrnąć.

Tym razem Valentin zmarszczył brwi, a na jego czole pojawiła się fałda wyrażająca zakłopotanie. Ta historia z nagle pojawiającą się znikąd kuzynką nie wróżyła niczego dobrego.

– Przypuszczam, że ta młoda osoba wyszła dobrą chwilę temu.

– Ależ nie! Wciąż czeka na pana w mieszkaniu.

Valentin, pomstując pod nosem, natychmiast rzucił się w stronę klatki schodowej.

– Mogliście mi to wcześniej powiedzieć, ojcie Mathurin! – Potem, już w progu kamienicy, ogarnięty nagłym przeczuciem, zapytał, nie tracąc czasu, żeby się

odwrócić: – A tak przy okazji, czy ta młoda furia powiedziała wam, jak się nazywa?

– Podała tylko imię. To pańska kuzynka Aglaé. Tak się przedstawiła.

Valentin był już na schodach, pokonując po cztery stopnie naraz. Niepokój wywołany wiadomością o obecności obcej osoby w jego kryjówce w jednej chwili ustąpił pełnemu zdumieniu zachwytowi. Poprzedniego dnia wieczorem Aglaé Marceau, dowiedziawszy się, że inspektor ma stoczyć pojedynek, mniej lub bardziej się na niego dąsała przez resztę kolacji i dwójka młodych ludzi rozstała się może nie obrażona na siebie, lecz głupio zagniewana, a każde z poczuciem, że częściowo zepsuło to sposobność spędzenia przyjemnej chwili we dwoje.

Jednakże ten wieczór tylko potwierdził pociąg, który Valentin czuł do aktorki od ich pierwszego spotkania. Chociaż młoda kobieta dysponowała niezaprzeczalnymi atutami fizycznymi, nie chodziło o pociąg erotyczny. Było w niej coś urzekającego, jakaś wolność umysłu, która zakrawała niemal na zuchwałość, ale którą inspektor uznał w gruncie rzeczy za przyjemną. Przez znaczną część posiłku dzieliła się z nim swoim zachwytem dla ruchu, który przy wsparciu ponownie wolnej prasy zaczynał działać na rzecz emancypacji kobiet. Otaczała prawdziwym uwielbieniem Olympe de Gouges, czytała George Sand i z entuzjazmem wyrażała się o zajmowanej już przez jej koleżanki pozycji w niektórych dziedzinach sztuki, takich jak malarstwo²⁶ i literatura. Jej buntowniczy temperament i otwartość początkowo wprawiały Valentina w zakłopotanie, ale potem go oczarowały. Myśl, że ta młoda kobieta, tak zaciekle pochłonięta swoją niezależnością, drżała o niego do tego stopnia, że tego ranka pospieszyła do jego domu, by poznać wynik pojedynku, zaskoczyła inspektora, ale bynajmniej nie sprawiła mu przykrości.

Swoją drogą, skąd znała mój adres?

To pytanie nie dawało mu spokoju, kiedy wchodził po cichu do swojego mieszkania. Na fotelu przy wejściu leżał porzucony kapelusz z szerokim rondem, a drzwi do palarni-biblioteki były lekko uchylone. Valentin skierował kroki w tamtą stronę. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Okiennice były nadal

zamknięte, pograżając pokój w półmroku. Odwrócona plecami do progu kobieta w sukni z organdy, z ramionami osłoniętymi szalem z haftowanego muślinu, przeglądała tytuły dzieł ustawionych równo na regałach.

– Moja kuzynka z prowincji, też coś! Słowo daję, nie brak pani tupetu!

Valentin przeszedł na palcach na środek salonu, zanim donośnym głosem zwrócił się tymi słowami do swojego gościa. Młoda kobieta drgnęła i odwróciła się, unosząc rękę do piersi.

– Ach, to pan! – wykrzyknęła Aglaé Marceau, z błyskiem niedowierzania w pięknych złotobrazowych oczach. – Mój Boże, ależ mnie pan przestraszył! Żeby tak niespodziewanie zachodzić ludzi od tyłu! – Potem, nagle uświadamiając sobie w pełni, w jakiej sytuacji się znalazła, pozwoliła, by uśmiech zakwitł na jej wargach, i zbliżyła jedną rękę do drugiej, jakby zamierzała zaklaskać. – Ale skoro stoi tu pan przede mną cały i zdrowy, to znaczy, że pański pojedynek...

Inspektor machnął lekceważąco ręką.

– ...należy już do przeszłości – dokończył, siląc się na obojętny ton. – Nie może tego jednak powiedzieć mój przeciwnik, który będzie potrzebował kilku dni, jeśli nie tygodni, żeby dojść do siebie po paskudnym draśnięciu, które ma przeze mnie na prawym ramieniu.

Aktorka zmarszczyła brwi, robiąc wściekłą minę.

– Tym gorzej dla niego! – oznajmiła zapalczywie. – To przechodzi wszelkie pojęcie, żeby wyzywać uczciwych ludzi na pojedynek! Przecież nie żyjemy już w średniowieczu!

Valentin podszedł do konsoli i wybrał cienkie cygaro z intarsjowanej szkatułki. Niespiesznie wdychał aromat, przesuwając cylinder pod nosem, zanim ponownie się odezwał:

– Doceniam, że najwyraźniej się pani o mnie troszczy, moja droga, ale to nie wyjaśnia, co pani u mnie robi dziś rano i jak zdobyła pani mój adres.

Wbrew oczekiwaniom Aglaé nie okazała najmniejszych oznak konfuzji. Z rękami na biodrach, stanęła przed nim niewzruszona i zmierzyła go wzrokiem,

marszcząc swój ślicznie zadarty nosek. Jej oczy ciskały błyskawice.

– A pan uważa, że może tak oznajmić, ni z gruszki, ni z pietruszki, że zamierza się pojedynkować ze znakomitością w sztuce mordowania bliźnich i że po usłyszeniu takiego oświadczenia można się zachowywać, jak gdyby nic się nie stało! Proszę sobie wyobrazić, mój panie, że przez całą noc nie zmrzyło się oka, bo rozmyślało się o dramacie, który miał się rozegrać dzisiejszego poranka. I że popędziło się o brzasku na rue de Jérusalem, żeby spróbować zapobiec temu szaleństwu.

– Twierdzi pani, że udała się pani skoro świt do prefektury policji?

– Cóż innego mogłam zrobić? Przecież musiałam pana odnaleźć, skoro chciałam panu wyperswadować położenie głowy pod topór! Tylko to mi pozostało.

– Ale jak się pani udało przekonać oficera dyżurnego do podania mojego adresu? To absolutnie sprzeczne z przepisami. Proszę mi nie mówić, że tam też odegrała pani komedię z kuzynką Aglaé!

– A miałam jakiś wybór? – Mizdrzyła się. – Musiałam przekonać ordynansa, żeby mnie wpuścił. – Wahała się przez chwilę, a potem mówiła dalej: – Ale kiedy znalazłam się przed obliczem pańskiego przełożonego, powiedziałam sobie, że zwykła kuzynka nie wystarczy, by go przekonać.

– Widziała się pani z komisarzem Flanchardem? Co mu pani naopowiadała?

– Nie spodziewałam się, że zaprowadzą mnie do komisarza, więc... improwizowałam. Poinformowałam go, że jestem pana nową kochanką, że się... powiedzmy, zbliżyliśmy – na rue de Jérusalem ten biblijny eufemizm²⁷ chyba sam się narzucał – tej nocy, w loży Teatru Włoskiego, że zostawił mi pan bilecik, bym wiedziała, gdzie pana znaleźć dziś rano, ale zapodziałam go przez nieuwagę.

– I udało się pani wcisnąć mu tak absurdalną historię!

– Ach, o to chodzi?! – wykrzyknęła młoda kobieta, udając obrażoną. – Może się pan gniewać, że popsułam panu reputację, ale nie pozwolę kwestionować swoich umiejętności aktorskich.

Valentin się roześmiał i podniósł ręce na znak, że się poddaje.

– Już dobrze, już dobrze. I pomyśleć, że sprawiałem wrażenie ponuraka, a od teraz będę uchodził wśród kolegów za obrzydliwego satyra.

– Proszę nie przesadzać – powiedziała Aglaé, sadowiac się spokojnie w głębokim fotelu, na pozór z taką swobodą, jakby podejmowała gości we własnym salonie. – Niech mi pan raczej opowie, jak się panu udało wyjść bez szwanku ze spotkania z postrachem pojedynkowiczów.

Wbrew sobie Valentin okazał się wrażliwy na nutę podziwu wyzierającą z tej prośby, ale nawet przez sekundę nie poczuł pokusy okłamania młodej kobiety.

– Ryzykując, że panią rozczaruję, droga Aglaé, muszę przyznać, że w moim zwycięstwie nie ma nic heroicznego. Nie zawdzięczam go ani ukrytym dotąd umiejętnościom strzeleckim, ani nawet interwencji Bożej opatrności. Mówiąc wprost i bez wykrętów, jak się rzeczy mają, posunąłem się do oszustwa.

– Oszustwa?! – wykrzyknęła zakłopotana kobieta. – Ale jak można oszukiwać podczas pojedynku na pistolety? Bo przypuszczam, że panu i pańskiemu przeciwnikowi towarzyszyli sekundanci, gwarantujący, że starcie zostanie rozegrane uczciwie.

Valentin skinął głową, zapalając cygaro od płomienia lampy olejowej.

– Sekundanci, którzy widzieli tylko wymianę ognia. I proszę mi uwierzyć, że wcale się tym nie szczycę. Gdyby nie to, że obowiązki wynikające z mojego stanowiska nie pozwalają mi głupio ryzykować życie, nigdy bym nie uchybił w ten sposób swojemu honorowi. Są jednak interesy wyższego rzędu, którym wszystko musi się podporządkować. Dlatego cel uświęca środki.

– Ale jakie środki? – zapytała niecierpliwie Aglaé, u której ciekawość wzięła chwilowo górę nad względami moralnymi. – Powie mi pan w końcu, jak się panu udało uniknąć morderczego strzału przeciwnika?

– Odpowiedź tkwi w zawartości tej fiołki – odparł, wyciągając z kieszeni kamizelki małą buteleczkę.

– Co to jest?

– Chodzi o niezmiernie toksyczną substancję uzyskaną z rośliny pochodzącej z Afryki, z owocu kulczyby. Została po raz pierwszy wyekstrahowana w 1818 roku przez profesora Pelletiera z paryskiej Szkoły Farmacji, który nadał jej nazwę „strychnina”.

– Jak działa?

– To lek, który wpływa na układ nerwowy. Mógłby mieć zastosowanie terapeutyczne w zwiększaniu wydolności oddechowej i zaostrzaniu zmysłów. W większych dawkach natomiast wywołuje skurcze mięśni, które mogą powodować, w przypadku dawki śmiertelnej, konwulsje, zatrzymanie akcji serca oraz śmierć przez uduszenie. Jeśli chodzi o Fauveta-Dumesnila, zadowolilem się ilością, która doprowadziła do zaburzeń mięśniowych, całkowicie uniemożliwiając mu prawidłowe celowanie.

– To było jednak bardzo lekkomyślne – zauważyła Aglaé, patrząc na niego z wyrzutem niczym niesforne dziecko. – Proszę sobie wyobrazić, że jego kula trafiłaby mimo wszystko w jakiś wrażliwy organ...

– To było nieuniknione ryzyko. Miałem bardzo mało czasu, żeby przygotować się do pojedynku, i, jak już pani mówiłem, nie mogłem polegać na swoich marnych umiejętnościach strzeleckich.

– Ale jednak trafił pan rywala.

– W rękę, chociaż celowałem w bark, a to już coś mówi!

Aglaé zadrżała ze strachu, mimo że było po wszystkim. Potem, zdając sobie sprawę, że Valentin nie powiedział jej jeszcze wszystkiego, zapytała ponownie:

– A jak zdołał pan podać ten groźny lek swojemu przeciwnikowi w taki sposób, żeby ani on, ani nikt z obecnych podczas spotkania tego nie zauważyli?

– Muszę przyznać, że kiedy przyszedł mi do głowy pomysł użycia strychniny, zmagalem się z tym problemem przez dłuższą chwilę. W końcu jednak znalazłem rozwiązanie.

– Niech pan skończy z tymi połowicznymi rewelacjami, dobrze? Proszę mi wreszcie powiedzieć, jak pan to zrobił.

– Pomajstrowałem przy zamkach skrzyneczki z pistoletami. Umieściłem tam wydrażoną igłę wypełnioną lekiem, tak aby nikt, kto przekręci jeden z kluczyków, nie mógł uniknąć wstrzyknięcia sobie trucizny. Najtrudniej było doprowadzić do tego, żeby akurat ta broń, którą sam przyniosłem, została użyta do pojedynku. W tym celu musiałem naśladować pani umiejętności aktorskie i bezwstydnie kłamać. Należy sądzić, że jestem dość utalentowany, bo ostatecznie wszystko potoczyło się tak, jak to sobie wymyśliłem.

W tym momencie dały się słyszeć dzwony z wieży pobliskiego kościoła Saint-Sulpice wybijające dziewiątą. Aglaé poderwała się nagle.

– Już tak późno! – wykrzyknęła, poprawiając toaletę. – Będę musiała pana opuścić, ale teraz wychodzę uspokojona, widząc, że jest pan cały i zdrowy.

Valentin nie potrafił ukryć rozczarowania.

– Dlaczego tak szybko? Od rana nie miałem nic w ustach. Pomyślałem, że skoro już tu pani przyszła, moglibyśmy zjeść razem śniadanie.

– Może innym razem – odparła Aglaé z uśmiechem, buntowniczym i uwodzicielskim zarazem – ale dzisiaj to niemożliwe. Od przyszłego wtorku wystawiamy u *madame Saqui* nową sztukę, a próby zaczynają się dzisiaj. Koniecznie muszę być w teatrze na dziesiątą.

Gdy Valentin został sam, pogrążył się na chwilę w rozmyślaniach. Po raz pierwszy w życiu poczuł taki pociąg do kobiety, bez wątpienia dlatego, że również po raz pierwszy owa kobieta nie była urzeczona doskonałością jego rysów, lecz okazywała mu głębsze zainteresowanie. *Kuzynka Aglaé! Jego najnowsza kochanka!* Cóż to za dziwna istotka, która kłamała jak z nut, podejmowała działania, których mężczyzna nawet nie ośmieliłby się brać pod uwagę, i miała najbystrzejszą i najbezczelniejszą twarzyczkę, jaką zdarzyło mu się widzieć?

Kiedy Valentin przyłapał się na tym, że się głupio uśmiecha, rozanielony, postanowił wziąć się w garść. Nie po to zadał sobie tyle trudu, chcąc uniknąć morderczych kul Fauveta-Dumesnila, by tracić czas na daremne mrzonki! Teraz, gdy rozmowy z Évaristem Galois przekonały go, że Bażanty w Koronach i sekcja

Odnowy Jakobińskiej stanowią fałszywy trop, nastał najwyższy czas, by zacząć wszystko od zera. Może wężąc wokół Tirancourta, bonapartysty, o którym wspomniał prefekt policji. Co takiego powiedział ten szaleniec po rozbiciu wszystkich luster i tuż przed palnięciem sobie w łeb? „Lustra mnie do tego zmusiły”. Istotnie było to niepokojące zdarzenie, nawet jeśli samo w sobie nie miało większego znaczenia.

Zastanawiając się nad tym, inspektor podszedł do biblioteczki, przed którą kilka chwil wcześniej zaskoczył Aglaé. Bez konieczności szukania natychmiast dostrzegł egzemplarz *Prób* Montaigne'a i przechylił tom do przodu. Rozległ się trzask zapadki, a potem cała ściana półek obróciła się ze zgrzytem, odsłaniając tajne wejście.

Pokonawszy korytarz, Valentin znalazł się w ślepyim pokoju o powierzchni mniej więcej dwudziestu metrów kwadratowych. To był jego azyl, miejsce znane tylko jemu, gdzie przechowywał znaczną część tego, co należało do jego dawnego życia. Na środku pomieszczenia znajdował się duży stół zastawiony maszynkami spirytusowymi, tyglami, retortami, probówkami oraz szklanymi balonami, a zatem wszystkimi naukowymi akcesoriami składającymi się na laboratorium chemiczne, którego nie powstydziliby się sam wielki Pelletier. W głębi kilka półek dźwigało małe spreparowane zwierzęta, rozmaite kolekcje minerałów, skamielin i owadów oraz słoje wypełnione formaliną, w których pływały jakieś dziwne bryły, cieliste lub galaretowate. Ten nieco niepokojący gabinet osobliwości uzupełniały wiszące na ścianach ryciny przedstawiające rośliny lecznicze, a także gablotki eksponujące motyle różnorodnych kształtów i barw.

Valentin umieścił fiolkę ze strychniną wśród innych buteleczek ustawionych w idealnym szeregu na stole. Następnie podszedł do sekretarzyka, w którym trzymał, ułożone z obsesyjną starannością, wszystkie swoje ważne akta. Ledwie otworzył klapę, wystarczyło mu jedno spojrzenie, by stwierdzić, że dokumenty nie leżą już dokładnie w tym samym miejscu, w którym znajdowały się jeszcze poprzedniego dnia wieczorem.

Ktoś zakradł się do sekretnego pokoju i przetrząsnął jego papiery.

²⁶ Za czasów monarchii lipcowej co piąta osoba uprawiająca malarstwo była płci żeńskiej, a kobiety odznaczano w salonach w takich samych proporcjach jak mężczyźni.

²⁷ Biblia używa kilku podstawowych określeń na opisanie współżycia seksualnego. Należą do nich: „poznać”, „spać”, „odsłaniać nagość”, „zbliżyć się” (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 19

Ojciec i syn

Valentin źle spał tamtej nocy. Budził się kilkakrotnie, zlany potem, przytłoczony, mając wrażenie, że się dusi. W końcu nie mógł już tego znieść, więc zwlókł się z łóżka i poszedł do salonu, gdzie próbował znaleźć sposób na bezsenność, oddając się lekturze traktatu medycznego, lecz nie potrafił skupić na nim uwagi. Rzędy liter tańczyły mu przed oczami, a sens zdań umykał. Po prostu nie był w stanie znieść myśli, że jakiś intruz naruszył tajemnicę jego sekretnego pokoju. To tak, jakby wyrwano mu jakąś intymną część jego samego.

W końcu upuścił dzieło na kolana i z jednym palcem wciąż wsuniętym między strony przyłgnał do oparcia fotela. Stopniowo ogarnęło go coś w rodzaju otępienia, a powierzchnię jego świadomości musnęło pewne dawne wspomnienie.

Było lato, a on miał zaledwie piętnaście lat. Hyacinthe Verne wyjechał trzy dni wcześniej, żeby czuwać przy łóżku dalekiej krewnej słabego zdrowia. Zostawił Valentina pod opieką starej służącej imieniem Ernestine, która sama zajmowała się jego domem, pełniąc jednocześnie funkcję gosposi, kucharki i zastępczej matki. Dzielna kobieta dogadzała we wszystkim samotnemu nastolatkowi, ale nie potrafiła go wyrwać z ponurej melancholii.

Prawdę mówiąc, jego smętny nastrój wynikał częściowo z fochów, bo chłopiec zdecydowanie wolałby towarzyszyć ojcu w wyjeździe na prowincję, niż zostać w Paryżu bez niego. Próbował wszystkiego, żeby go przekonać, ale Hyacinthe Verne nie ustąpił. Jeśli mu wierzyć, kuzynka była zrzędliwą starą panną, która nie

znosiła dzieci ani hałasu. Czasami mogła się nawet okazać niezdolna i tylko tuzin kręcących się wokół niej kotów znajdował przychylność w jej oczach. Jako posłuszny syn Valentin dał w końcu za wygraną, ale potem gorzko tego żałował. Duże mieszkanie przy rue du Cherche-Midi wydawało się bardzo ponure bez dobrotliwej obecności ojca. Młodzieńcowi ciążyło położenie jedynaka pozbawionego matczynej opieki, co zwykle jednak dość dobrze znosił. Nawet naukowe lektury, którym oddawał się z zadziwiającą przyjemnością jak na chłopca w jego wieku, nie wystarczały, żeby wypełnić emocjonalną pustkę.

Tamtego popołudnia zdecydowanie nie udawało mu się skupić uwagi na żadnej czynności dłużej niż przez parę minut. Co prawda, rozegrał kilka partii bilardu i próbował rozwiązać zagadkę szachową, którą ojciec zadał mu przed wyjazdem, ale wszystkie te rozrywki wydawały mu się w gruncie rzeczy nudne. Wędrował od pokoju do pokoju, próżnując i pomstując na palące słońce, przez które powietrze było duszne i niemal nienadające się do oddychania. Wszystko go irytowało. Obrzydliwy zapach pasty do parkietów, uporczywe brzęczenie much na szybach, piosenka nucona beztrąsko przez Ernestine, która krzątała się w kuchni zajęta robieniem konfitur truskawkowych...

Kroki zawiodły go w końcu przed sypialnię ojca. Zdziwił się, widząc, że klucz tkwi w zamku. W mieszkaniu mógł właściwie swobodnie chodzić, gdzie mu się podobało, ale ten pokój był prywatną przestrzenią ojca, który nigdy nie pozwolił mu przekroczyć progu, i chociaż nie obowiązywał żaden formalny zakaz, Valentin sam zrozumiał, że sypialnia stanowi terytorium zarezerwowane do użytku jej jedynego mieszkańca. Zresztą w normalnych okolicznościach ojciec starannie ryglował drzwi, uniemożliwiając do niej dostęp.

Kiedy nastolatek zauważył klucz w drzwiach, poczuł, że od stóp do głów przebiegł go dreszcz podniecenia. Urok tego, co zakazane, łechtał mu mózg. Za nic w świecie nie chciałby sprawić ukochanemu ojcu najmniejszej przykrości, ale przecież jeśli ten o niczym nie wiedział, jak mógł się z tego powodu gniewać?

Valentin podszedł do drzwi, nadstawiając uszu, by się upewnić, że Ernestine nie rusza się z kuchni, a serce nagle zaczęło mu bić jak szalone. Dotykając klucza, nie

potrafił zapanować nad drżeniem palców, jakby metal był rozgrzany do białości i miał moc poparzenia go przy najmniejszym kontakcie.

Nic takiego się jednak nie stało.

Klucz gładko przekręcił się w zamku, a drzwi cicho obróciły się na zawiasach. Valentin zerknął przez ramię, nagle się wahając, czy zrobić decydujący krok, i niemal pragnąc zobaczyć służącą pojawiającą się na końcu korytarza, żeby nie musiał przekraczać niewidzialnej granicy. Ale nic mu nie przeszkodziło i nikt nie przyszedł powstrzymać go przed popełnieniem nieodwracalnego czynu.

Okiennice były zamknięte, prawie pogrążając pokój w ciemności. Wiszący w powietrzu kurz wirował w wąskich promieniach słońca, które przenikały przez szczeliny w drewnie. Całą przestrzeń wypełniał słodkawy zapach przypominający woń kadzidła. Valentin zamknął za sobą drzwi i odważył się zrobić kilka pierwszych nieśmiałych kroków w głąb pokoju. Drewno mebli lśniło słabo w półmroku i można było dostrzec duże łóżko z baldachimem, szafę, toaletkę z lustrem oraz przyborami toaletowymi, stół, a także klęcznik z leżącą na nim Biblią.

Valentin podszedł do stołu, na którym dostrzegł dwuramienny świecznik. Tuż obok leżała zapalniczka Fumade. Nastolatek wziął do ręki ten pojemnik o dwóch komorach i z pierwszej wyjął nasyconą siarką zapałkę, którą następnie zanurzył w buteleczce wypełnionej kwasem siarkowym, znalezionej w drugiej komorze. Płomień natychmiast trysnął. Delikatny i migotliwy. Gdy już zapłonęły obie świece, chłopiec chwycił srebrny lichtarz i uniósł go na wysokość głowy, żeby rozproszyć panujące w pokoju ciemności.

I wtedy zobaczył go po raz pierwszy.

Tuż nad klęcznikiem. Na ścianie, w miejscu, gdzie można by się raczej spodziewać wiszącego krucyfiksu lub wizerunku Matki Boskiej.

Był to obraz przedstawiający uroczą blondynkę, na stojąco, w wieczorowej sukni ze zwiewną draperią i z kremowymi gipiurami. Modelka została namalowana w widoku trzy czwarte, z głową lekko przechyloną w stronę ramienia, w postawie

tylęz naturalnej, co obdarzonej trudnym do zdefiniowania wdziękiem. Tajemnicza nieznajoma była naprawdę piękna, bardzo piękna, i promieniowała anielską łagodnością. W niepewnym świetle świec portret, tylko niewiele mniejszy od postaci w naturze, przybierał wygląd widmowej zjawy, a Valentin, pod wpływem tego cudownego wizerunku, znalazł się w samym środku snu, wewnątrz baśni.

Po upływie bliżej nieokreślonego czasu wyrwał go brutalnie z tego otępienia znajomy głos, który rozległ się za jego plecami:

– Co ty tu robisz, Valentinie?

Zaskoczony i przestraszony nastolatek omal nie upuścił świecznika. We framudze drzwi pojawił się Hyacinthe Verne. Miał jeszcze na sobie podróżne ubranie, a jego sylwetka była wyraźnie widoczna, ale ponieważ stał pod światło, absolutnie nie dało się odczytać wyrazu jego twarzy.

Valentin myślał, że serce eksploduje mu w piersi. Nagła obecność ojca sprawiła, że zastygł w bezruchu. Wiedział, że źle postąpił. Wchodząc do tego pokoju, nadużył wolności, którą zawsze go obdarzano. Zawiódł zaufanie osoby, którą kochał najbardziej na świecie. Z góry godził się na wymówki i niemal wyrażał życzenie otrzymania sprawiedliwej kary.

– Proszę o wybaczenie, ojcze – wyjąkał niepewnym głosem, który dowodził szczerej skruchy.

Hyacinthe Verne podszedł bliżej i jego twarz stopniowo wyłaniała się z cienia. Co dziwne, rysy ojca wcale nie wyrażały gniewu, lecz raczej stłumiony niepokój, a kiedy postanowił się odezwać, zrobił to z zaskakującą łagodnością:

– Dlaczego przepraszasz? Jakie wykroczenie twoim zdaniem popełniłeś, mój chłopcze?

Valentin do tego stopnia oczekiwał, że ściągnie na siebie ojcowski gniew, że ta postawa go speszyła i nie odpowiedział od razu. Zmieszał się jeszcze bardziej, gdy zobaczył, że na wargach ojca, który stał teraz tuż obok niego, pojawia się czuły uśmiech.

– Ja... ja nie powinienem był wchodzić do waszego pokoju bez pozwolenia.

Uśmiech zabarwił się melancholią, a głos pozostał zaskakująco łagodny.

– Czy kiedykolwiek zabroniłem ci tu wchodzić? Nie, prawda? Wobec tego dlaczego miałbyś się o cokolwiek obwiniać? W tym mieszkaniu wszędzie jesteś u siebie. – Przerwał na chwilę, a potem wziął Valentina za ramię i zachęcił go, żeby odwrócił się w stronę obrazu. On sam stanął obok syna, wznosząc oczy ku portretowi. – Prawdę mówiąc, jeśli ktokolwiek tutaj miałby prosić o wybaczenie, to raczej ja. Już wiele lat temu powinienem był cię tu przyprowadzić, żebyś ją zobaczył. To głupie, lecz zawsze coś mnie w ostatniej chwili powstrzymywało. Niewytłumaczalne wahanie. Ale dzisiaj jestem szczęśliwy, że mogę ci ją przedstawić. Jest piękna, prawda?

Mówiąc to, Hyacinthe Verne wpatrywał się intensywnie w enigmatyczną blondynkę. Jakieś marzenie lub wspomnienie musiało poruszyć jego duszę, bo rysy oświetlone płomieniem świec ożywiało przelotne drżenie, a dłoń raz po raz zaciskała się na ramieniu syna.

Valentin, zakłopotany tym tak dostrzegalnym ładunkiem emocjonalnym, zwiesił głowę.

– Wygląda jak anioł – wyszeptał w końcu.

Hyacinthe Verne odwrócił się w stronę syna, jakby zaskoczony trafnością tej uwagi. Jego spojrzenie powędrowało od obrazu do Valentina, a na twarzy malował się niemal bolesny wyraz wzruszenia.

– Wiesz, jesteś do niej bardzo podobny. Żywię przekonanie, że gdyby Bóg pozwolił, by nadal była wśród nas, świetnie byście się rozumieli. Umiałyby ci przekazać swoją radość życia i tę wesołość, która oczarowywała wszystkich wokół niej. Wydaje mi się niekiedy, że zapewniam ci bardzo bezbarwną egzystencję, tak mało odpowiadającą temu, czego ma prawo oczekiwać chłopiec w twoim wieku.

– Dlaczego tak mówicie? – zaprotestował Valentin. – Jesteście najtroskliwszym z ojców.

– Naprawdę tak myślisz? Ach, moje dziecko, nie wyobrażasz sobie, jaką radość mi sprawiasz! Tak często sobie powtarzam, że moja Clarisse wiedziałaby znacznie

lepiej ode mnie, jak się zabrać do wychowania ciebie. Miała dar rozświeclania samą swoją obecnością miejsc, w których przebywała. Clarisse...

Valentin ponownie przyjrzał się portretowi. Ojciec był tak poruszony, że nawet jeszcze mu nie powiedział, kim właściwie jest ta młoda kobieta, a nastolatek, przez skromność, nie ośmielił się zapytać go o to wprost. Próbował znaleźć inny sposób.

– Dlaczego mówicie o niej w czasie przeszłym? Czy ona... nie żyje?

Valentin nigdy nie zdołał zapomnieć zasłony smutku, która dokładnie w tamtej chwili opadła na ojca. Wydawało się, że jego oczy nagle zgasły. Ledwie zdołał rozchylić wargi, żeby odpowiedzieć:

– Zmarła podczas porodu. Lekarze próbowali wszystkiego, żeby ją uratować, ale nie mogli nic poradzić. Żaden człowiek na tej ziemi nie jest w stanie powstrzymać anioła przed wzbiciem się do nieba.

Potem Hyacinthe Verne, jakby pragnąc odegnać dręczące go obrazy tej bolesnej przeszłości, otrząsnął się i wyciągnął Valentina z pokoju. Spieszno mu było, jak twierdził z fałszywie brzmiącym entuzjazmem, pokazać synowi lunetę astronomiczną, którą przywiózł mu w prezencie, aby uczcić swój powrót.

Po tym zdarzeniu niepokieszony wdowiec zrozumiał, że Valentin musi się otworzyć na świat zewnętrzny. Nie mógł go trzymać pod kloszem w tym mieszkaniu, gdzie sam żył wspomnieniami szczęścia, które na zawsze się ulotniło. Następnego dnia po raz pierwszy zabrał nastolatka do swojego przyjaciela profesora Pelletiera. Valentin znalazł w Pelletierze nie tylko nauczyciela i wzór do naśladowania. Szybko zaczął dzielić życie ze wszystkimi domownikami, codziennie jedząc obiad przy rodzinnym stole. A każdego wieczoru, kiedy wracał na rue du Cherche-Midi, Hyacinthe Verne cieszył się, słysząc, jak syn wspomina o cudownym wzajemnym zrozumieniu, które łączy go z dziećmi wielkiego uczonego.

Za życia ojca Valentin nigdy więcej nie przekroczył progu jego sypialni. Już nie miał czasu, żeby ponownie kontemplować fascynujący portret. Dopiero po śmierci Hyacinthe'a Verne'a znów zobaczył obraz, zdjął go ze ściany i powiesił w swoim

zupełnie nowym sekretnym gabinecie. Teraz sama myśl, że jakiś obcy – lub obca – ośmielił się zbrukać spojrzeniem płótno, wywoływała w nim straszne rozgoryczenie.

ROZDZIAŁ 20

Monsieur V.

Zgodnie z otrzymanymi wskazówkami Valentin wślizgnął się pod zwisające gałęzie wierzb okalających staw Saint-Mandé, następnie przeszedł wzdłuż brzegu, docierając nad strumyk La Pissotte. Tam, w roślinnej kolebce skąpanej w zimnym świetle, jakiś mężczyzna okutany w pelisę i w imponującym kapeluszu słomkowym korzystał z jednego z ostatnich ładnych jesiennych dni. Siedział na składanym krześle, oddając się przyjemności wędkowania. Jego czaszka pokryta kręconymi blond włosami, które wystawały spod nakrycia głowy, zdawała się przytwierdzona bezpośrednio do szerokich ramion.

– Czy nie jest nieco za zimno na drażnienie kielbi? – zapytał inspektor. – Mam nadzieję, że przynajmniej trochę biorą.

Wędkarz obrócił się na krześle. Był mężczyzną po pięćdziesiątce, o solidnej, masywnej budowie ciała. Jego owalna twarz o wydłużonym podbródku i orlim nosie pozwalała się domyślać determinacji, ale też złośliwości w szarych oczach będących w nieustannym ruchu. Na górnej wardze miał bliznę, a w jednym z przekłutych uszu złote kółko.

– To pan, Verne? Spóźnił się pan. To do pana niepodobne.

– Kocz z Vincennes zderzył się przy rogatce du Trône z dwukółką ogrodnika – usprawiedliwił się Valentin. – Towary wysypały się na jezdnię i trzeba było uprzętać drogę, zanim dało się jechać dalej. Nieważne! Kiedy powiedział mi pan,

żebyśmy spotkali się tutaj zamiast w pańskiej fabryce, nie spodziewałem się zastać pana z wędką w ręku.

– Uważa pan, że nie wyglądam na wędkarza? – zapytał jego rozmówca z uśmiechem rozbawienia w kąciku ust.

– Powiedzmy, że nie odpowiada to wyobrażeniu, jakie zachowałem po lekturze pańskich *Pamiętników*. Poza tym myślałem, że jest pan zajęty produkowaniem tego słynnego papieru, uniemożliwiającego fałszowanie banknotów, który ostatnio pan udoskonalił.

Mężczyzna w słomkowym kapeluszu podniósł wędkę i zarzucił ją ponownie po lewej stronie. Żyłka świsnęła w powietrzu, a korkowy spławik wylądował na powierzchni stawu, w pobliżu grubego omszałego pniaka, gdzie toń wydawała się ciemniejsza i głębsza.

– Wędkowanie mnie odpręża i pomaga nie wyjść zbyt z wprawy – wyjaśnił z coraz szerszym uśmiechem, który stał się niemal wilczy. – Złowienie ryby niczym nie różni się od wytropienia zwierzyny czy złapania bandyty. Ważne, żeby dobrze poznać zwyczaje swojej zdobyczy. Proszę, oto przykład! Widzi pan ten pniak topoli? To kryjówka starego znajomego, który zaczaja się tam na ukleje albo kielbie. Wspaniałe sandacz! Prawie metrowej długości! Prędzej czy później, może mi pan wierzyć, w końcu połknie moją przynętę.

– Nie wątpię – powiedział Valentin – ale nie po to prosiłem o spotkanie, żeby rozmawiać o sztuce nęcenia albo o tym, jak używać podbieraka. Potrzebuję pańskiej wiedzy w zupełnie innej dziedzinie.

Mężczyzna roześmiał się głośno i nieco prostacko. Położył wędkę u stóp składanego krzesła, klepnął się obiema rękami po udach, po czym wstał i przeciągnął się z rozkoszą.

Niezdarny jak niedźwiedź, lecz sprytny jak małpa, pomyślał Valentin, który, odkąd poznał tego osobnika, zawsze miał wobec niego mieszane uczucia. Był zafascynowany jego przebiegłością i niewiarygodną umiejętnością wychodzenia

obronną ręką z najgorszych tarapatów, a jednocześnie źle usposobiony do jego łajdackich metod i złodziejskich sztuczek.

– To wręcz pilna potrzeba, jak rozumiem – powiedział mężczyzna, chwytając Valentina za ramię. – Chodźmy się kawałek przejść, do tamtego trawnika. Będziemy mogli tam porozmawiać z dala od wścibskich uszu.

– Nadal jest pan pod obserwacją policji?

– Bardziej niż kiedykolwiek! Dziś rano dwóch deptało mi po piętach. Jeden jest tam, schowany za tą dużą kępą bluszczu i berberysu. Odkąd pan przyszedł, bez przerwy obserwuje nas przez lunetę. Jeśli chodzi o drugiego, prawdopodobnie stoi na czatach w pobliżu fabryki, na wypadek gdybym się wymknął jego koledze.

Idąc pod ramię, dwaj mężczyźni dotarli do rozległego trawiastego terenu, gdzie mogli się łatwo uchronić przed wszelkimi próbami inwigilacji.

– Czy nazwisko Tirancourt coś panu mówi? – zapytał Valentin prosto z mostu.

– Tirancourt, ten szalenciec, który uznał za stosowne przemalować swoją krewią pokój w burdelu przy rue d'Anglade?

– Widzę, że jest pan jak zawsze doskonale poinformowany.

– No cóż, informacja to lokata kapitału jak każda inna, ale gwarantująca doskonały dochód. Mało kto ją ma, a liczni jej poszukują. Wracając do pańskiego Tirancourta: niestety niewiele da się o nim powiedzieć. Nieudacznik przeniesiony w stan spoczynku. Zadzierający nosa, żeby zaimponować damom, ale bez realnych wpływów wśród tuzów bonapartyzmu. Płotka.

Inspektor nie dał po sobie poznać rozczarowania. Jeśli ten diabeł wcielony nie miał w zanadrzu więcej informacji na temat Tirancourta, można się było spokojnie założyć, że również ta droga prowadzi do ślepego zaułka. Spróbował zatem z innej beczki.

– A co może mi pan powiedzieć o *madame* de Mirande, która podobno w każdy czwartek prowadzi salon w rezydencji przy rue Saint-Guillaume?

– No, no, tutaj już nie obracamy się w tym samym świecie! Pańska *madame* de Mirande nadaje ton wszystkim tym, którzy liczą się w Paryżu w dziedzinach sztuki,

estetyki, moralności, filozofii... lista jest długa. Krótko mówiąc, to po części w jej salonie wyrabia się lub traci reputację. Swoją drogą, jeśli cofniemy się do źródła, zobaczymy, że ta nowa pytia pochodzi mniej więcej z tego samego bagna co pan Tirancourt... *Madame de Mirande*... To „de” przed nazwiskiem sprowadza się do ozdobnika, a co do „Mirande”, to czysta fantazja. Ta osoba, zresztą bardzo czarująca, urodziła się jako Émilie Chappelle, mniej więcej trzydzieści lat temu. U kobiet, jak pan wie, zawsze trudno o precyzyjne określenie dat. Jej ojciec prowadził zajazd na drodze do Poitiers.

– Jak jej się udało osiągnąć pozycję, którą dzisiaj zajmuje?

– Niech pan nie udaje bardziej naiwnego niż w rzeczywistości. Metoda jest stara jak świat. I jak widać, działa! Jak awansować w społeczeństwie, gdy matka natura hojnie obdarzyła cię najkorzystniejszym wyglądem i wystarczająco bystrym umysłem, żeby nie zmarnować tego kapitału, który tylko czeka, by przynieść owoce?

– Czyżby była zatem zwyczajną kurtyzaną?

– Nie posuwałbym się tak daleko. Powiedzmy po prostu, że potrafiła się wiązać z filantropijnymi protektorami i za każdym razem w samą porę się ich pozbywać, tak jak pszczoła przelatuje z kwiatka na kwiatek.

– Ma pan jakieś nazwiska?

– Aktualnym jest doktor Edmond Tusseau, który przedstawił ją kilku swoim najbardziej nadzianym pacjentom. Zarzuciła sidła na jednego z nich, wicehrabiego Alphonse’a de Champagnaca. To on reguluje rachunki z rue Saint-Guillaume. Posiadłość należy do niego, nawiasem mówiąc.

Tym razem intuicja podpowiadała Valentinowi, że coś ma. Te dwa nazwiska brzmiały znajomo. Tusseau był lekarzem rodzinnym Dauvergne’ów, spotkanym w kostnicy przy zwłokach młodego Luciena. Jeśli chodzi o wicehrabiego de Champagnaca, był to przecież ten par Francji, któremu powierzono ostatnio misję poprowadzenia sprawy dawnych ministrów Karola X. Najwyraźniej było w czym

drażyć. Z pewnością dobrze zrobił, przyjeżdżając do Saint-Mandé, żeby zdać się na niezaprzeczalne umiejętności najdziwniejszego z wędkarzy.

Niewiele brakowało, żeby na tym poprzestał i pożegnał się ze swoim rozmówcą, ale poczucie profanacji, którego doświadczył trzy dni wcześniej, gdy stwierdził, że ktoś zakradł się do jego sekretnego pokoju, skłoniło go do sformułowania kolejnej prośby:

– Czy mogę pana prosić o przysługę niemającą *a priori* związku z całą resztą?

– Niech pan da spokój, nie róbnmy ceregieli! Już panu powiedziałem, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy rok temu, po pańskim przybyciu na rue de Jérusalem: podoba mi się pan. Od razu wyczułem w panu duszę policjanta. Co ja mówię? Mściciela. A twierdzą, że znam się na ludziach! Proszę mi powiedzieć, co mogę zrobić, żeby sprawić panu przyjemność.

Valentin wahał się przez chwilę, ale w końcu wyrzucił z siebie:

– Chodzi o kobietę, która nazywa się Aglaé Marceau. Pracuje jako aktorka w trupie *madame* Saqui. Chciałbym, żeby zebrał pan dyskretnie informacje na jej temat. Jej pochodzenia, zwyczajów, znajomych... Wie pan, w czym rzecz.

Mężczyzna w słomkowym kapeluszu zachichotał, pocierając złote kółko w prawym uchu.

– Jasne, że wiem! Ach, młodość! Mówiłem też sobie, że to dziwne, iż nigdy nie widuje się pana z jakąś piękną dziewczyną u boku. A przecież taki ładny z pana chłopiec! Naprawdę! Teraz mogę to panu wyznać: już zacząłem się zastanawiać, czy nie jest pan trochę ciotą. No dobra! W porządku. Może pan uznać sprawę za załatwioną. Powie się panu, czy panienka jest wierna, czy też kładzie się na plecach, gdy pańskie są odwrócone.

Valentinowi trudno było znieść nieprzyzwoite insynuacje swojego towarzysza, ale opanował się i nie dał niczego po sobie poznać. Ten osobnik stanowił niezastąpione źródło informacji, więc zależało mu, żeby utrzymywać z nim dobre stosunki. I słusznie, bo tamten nagle zmienił temat.

– To dziwne, że się pan ze mną skontaktował – powiedział, a jego twarz nagle spoważniała. – Właściwie już miałem zrobić to samo. Uprzedził mnie pan zaledwie o kilka godzin. Pamiętam, że pewnego dnia zwierzył mi się pan, że szuka złoczyńcy o pseudonimie Wikary. Cóż! Nie zanosilo się, że dostanie go pan w swoje ręce, bo przebywał przez trzy ostatnie lata poza Paryżem. Właśnie się jednak dowiedziałem z wiarygodnego źródła, że całkiem niedawno wrócił do stolicy. – Wyjął z kieszeni pelisy zmięty bilecik i podał go Valentinowi. – Oto adres nory, w której się zaszył w dzielnicy Saint-Merri. Nie wiem, czy ten człowiek nadal tak bardzo pana interesuje, ale na wszelki wypadek...

Młody policjant zapomniał o wszystkim, o czym rozmawiali do tej pory. Emocje, które go ogarnęły, gdy tamten wspomniał o Wikarym, były tak wielkie, że musiał powstrzymać drżenie ręki w chwili, gdy brał ten kawałek papieru.

– Jeszcze ostatnie słowo w formie ostrzeżenia – mówił dalej były funkcjonariusz, patrząc Valentinowi prosto w oczy. – Dowiedziałem się również, że ostatnio bardzo się panem interesują w podziemiu. Zasięgają informacji, zadają pytania tu i tam. Jeszcze nie wiem, kto stoi za tym cyrkiem, ale wcale to ładnie nie pachnie. Na pana miejscu uważnie oglądałbym się za siebie w najbliższych dniach.

Kilka chwil później, pożegnawszy się ze swoim towarzyszem, roztrzęsiony Valentin oddalał się wielkimi krokami od stawu w kierunku centrum Saint-Mandé. Miał nadzieję, że będzie mógł tam wynająć powóz i jak najszybciej dostać się ponownie do Paryża. Zanim przeszedł przez szpaler drzew, odwrócił się na chwilę. Mężczyzna w słomkowym kapeluszu wrócił już na swoje miejsce na składanym krześle. Bardzo niewielu umiałoby rozpoznać, pod spokojną aparycją tego anonimowego wędkarza, skazańca, który kilkakrotnie zbiegł z kolonii karnych w Breście i Tulonie, byłego szefa Brygady Bezpieczeństwa, który podpisywał swoje notatki służbowe „*Monsieur V.*”.

„V” jak „Vidocq”.

ROZDZIAŁ 21

Pamiętnik Damiena

Panna Louise odwiedzała mnie teraz każdego dnia. Robiła to z zadziwiającą regularnością, systematycznie przychodząc się ze mną zobaczyć wczesnym popołudniem. Udało mi się ją oswoić dzięki okruszkom jedzenia zaoszczędzonym ze skąpych porcji, które Wikary wydzielał mi dwa razy dziennie. Ponieważ asystowałem przy wszystkich moich posiłkach, czerpiąc sadystyczną przyjemność z patrzenia, jak wylizuję zawartość miski, musiałem używać podstępów, starając się zachować maleńkie kawałeczki tak, żeby tego nie zauważył. Udawałem, że kaszlę albo się krztuszę, lub trzymałem ostatni kęs przy policzku, dopóki On nie wyszedł z piwnicy. Drżałem na myśl, że mógłby przejrzeć mój mały fortel. Domyślałem się, że byłby wściekły, wiedząc, że mam teraz towarzystwo w piwnicy. Chciał, żebym *cały* należał do Niego.

W tym celu cierpliwie mnie poskramiał. W pierwszym okresie każdy pretekst był dobry, żeby zamknąć mnie w klatce i się nade mną znęcać: polecenie, które zbyt wolno wykonałem, oczy, których nie spuściłem wystarczająco szybko, wiadro na nieczystości, które nie dość dokładnie wyszorowałem... Płakałem, błagałem, ale to tylko wzmagало Jego gniew. Wobec tego nauczyłem się cierpieć w milczeniu. Na samym początku szukałem w piwnicy czegoś, co mogłoby mi posłużyć jako narzędzie do obrony, ale niczego nie znalazłem. Zresztą byłem tylko małym dzieckiem, a Wikary miał znacznie więcej siły ode mnie. Tak więc, stopniowo, zrezygnowałem ze stawiania Mu oporu. Odtąd zawsze byłem posłuszny.

Ale znienawidziłem Jego wychudzoną twarz, Jego okrutne małe oczy, Jego cuchnący oddech, który nieustannie śmierdział cebulą i goździkami. Czułem wstręt do Jego smukłych białych dłoni, które na przemian policzkowały i głaskały. W nocy śniło mi się, że gwałtownie rozszarpuję je zębami, niczym zdziczały pies, ale w ciągu dnia już bez słowa przyjmowałem wszystko, co mi dawały: jedzenie, ból i plugawą przyjemność. Brzydziłem się sobą. Właśnie wtedy zacząłem się zastanawiać, co złego zrobiłem, że zasłużyłem na taki los, zanim zrozumiałem, że to musi być wyłącznie moja wina. Że od urodzenia jestem naznaczony duchem Zła. Co do Niego, był zaledwie katem odpowiedzialnym za karanie mnie.

Z perspektywy czasu wszystkie te chorobliwe myśli, które dręczyły mnie dniem i nocą, wydają się niedorzeczne. Przecież byłem tylko niewinną ofiarą, ale w środku rozpadałem się na tysiąc kawałków. Przerazenie nie pozwalało mi normalnie rozumować. Doszło do tego, że nieustannie drżałem, pozostając w pogotowiu, obserwując Go kątem oka za każdym razem, gdy zwlekał z wyjściem z piwnicy, a kiedy byłem sam, bałem się własnego cienia. Jego zachowanie zaczęło się jednak zmieniać. Stopniowo kary stawały się rzadsze. Osiągnął swój cel, bo stałem się całkowicie uległy. Moje łzy wyschły. Już nie błagałem. Po co?

Dzięki temu zyskałem większą wygodę. Zwrócił mi ubranie i buty. Przyniósł koce, konew i miednicę, a nawet drewnianego bączka. Nie chciałem stracić tego wszystkiego – co było niczym i co było wszystkim – toteż trzymałem w tajemnicy znajomość z panną Louise.

A jej przybycie wszystko zmieniło. Ściany piwnicy mnie dusiły. Miałem wrażenie, że ostatecznie mnie zmiażdżą, że skończę pogrzebany żywcem w tym ciemnym, zatechłym miejscu. Panna Louise pozwoliła mi uciec od tego obłędu, który stopniowo, lecz nieubłaganie zżerał mój mózg. Po raz pierwszy od miesiący miałem jakiś cel. Coś skłaniało mnie do wstawania rano. Gdy każdego dnia niecierpliwie czekałem na pojawienie się tego anioła na czterech łapkach, czas wracał na swoje rzeczywiste miejsce. Znów płynął. Tak, miałem cel! Nareszcie! Chciałem oswoić swojego gościa, żeby stał się wiernym towarzyszem.

Przykładałem się do tego dzień za dniem, usypiając czujność Wikarego. Najpierw panna Louise pozwoliła mi do siebie podejść i dać sobie jedzenie na dłoni, ale potrzebowałem jeszcze tygodni oraz nieskończonej cierpliwości, żebym mógł ją pogłaskać, nie przestraszywszy jej. W dniu, w którym to się stało, myślałem, że moje serce eksploduje. Udało mi się! Odkąd znalazłem się w tym wstrętnym więzieniu, po raz pierwszy zdołałem coś osiągnąć. Wbiłem sobie do głowy, że zrobię to jeszcze lepiej. Pokrywając bączek jedzeniem, nauczyłem pannę Louise wskakiwać nań, gdy nim kręciłem, a następnie oddawać mi go, popychając zabawkę czubkiem pyszczka.

W ten sposób zostaliśmy przyjaciółmi. Wydawało się, że ryjówka jest obdarzona niezwykłą inteligencją jak na tak małe stworzonko. Sama doszła do wniosku, że lepiej nie dać się zobaczyć mojemu dozorczy, i odwiedzała mnie o stałej porze. Za każdym razem wczesnym popołudniem. To był jedyny moment, gdy Wikary nigdy nie schodził do piwnicy i gdy mogłem się rozluźnić, bo kiedy indziej napięcie szargało mi nerwy. Z czasem wydedukowałem, że On musi być zwolennikiem sjesty. Dojście do tego wniosku zajęło mi wiele miesięcy, ale panna Louise najwyraźniej rozumiała to od razu, jakby kierował nią instynkt stokroć skuteczniejszy niż wszystkie moje zdolności umysłowe razem wzięte. Już trzeciego dnia wybrała tę porę, żeby mnie odwiedzić, i to się nigdy nie zmieniło.

Jej obecność u mego boku, na pozór tak nieistotna, wyrwała mnie z destrukcyjnej ciemności, w której się pogrążyłem i która omal mnie nie pochłonęła. Panna Louise była nie tylko towarzyszką zabaw. Stała się moją powiernicą. Opowiadałem jej o sobie, o swoich obawach, wątpliwościach, obrzydzeniu do tych wszystkich *świństw*, do których robienia i znoszenia zmuszał mnie Wikary. Mówiąc do niej, uczyłem się ubierać w słowa to, co mi się przytrafiało. Uwalniałem się z jarzma poczucia winy, które zniekształcało należyłą ocenę sytuacji. Nie byłem odpowiedzialny za to, co się ze mną działo. W żaden sposób! Zło nie było we mnie. Złem był On, Wikary. A Zło ma się prawo zwalczać Złem.

Nie wiem, jak On zrozumiał, że coś się zmieniło. Myślę, że pomimo wszystkich środków ostrożności, które podejmowałem, zdołał to wyczytać w mojej twarzy, w głębi moich oczu. Nie byłem już *Jego rzeczą*. Zaczął więc jeszcze baczniej mnie nadzorować. Ponownie zagościło we mnie przerażenie. Przy każdych odwiedzinach panny Louise umierałem z niepokoju na myśl, że On może nas zaskoczyć. Nie śmiałem wyobrazić sobie gniewu, jaki by to w Nim wywołało. I przez myślenie o tym, trochę na tej zasadzie, jak magnes przyciąga opiłki żelaza, w końcu doszło do najgorszego.

Tamtego dnia wypróbowałyśmy z panną Louise nową zabawę. Umieszczałem swoją przyjaciółkę w prawej dłoni, a potem, rozłożywszy poziomo ramiona, pozwalałem jej się wślizgnąć do rękawa. Wędrowała aż do mojego ramienia, okrążała kołnierz i zapuszczała się do drugiego rękawa, by pojawić się ponownie na przeciwległej dłoni. Po drodze jej maleńkie łapki łaskotały mnie rozkosznie, ale powstrzymywałem się od zbyt głośnego śmiechu, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Daremny trud!

Drzwi do piwnicy trzasnęły niespodziewanie, pchnięte raptownie na ścianę. Oślepił mnie płomień lampy.

– Ty mały draniu! Domyślałem się, że coś przede mną ukrywasz! Czemu tak rechoczesz?

Wikary z wrzaskiem wyłonił się z mroku. Jego rozbiegane oczy zdawały się ciskać błyskawice, wargi wykrzywił złowrogi grymas, a w kącikach ust lśniła piana. Odłożył lampę olejową na skrzynię, rzucił się na mnie gwałtownie i przewrócił na ziemię. Dokładnie w tej samej chwili dostrzegł pannę Louise.

– Obrzydliwa mysz! Zobaczysz, co ci zrobię, jak cię złapię!

Chciał ją uderzyć swoją długą dłonią z wijącymi się żyłami, ale ryjówka była dla Niego za szybka. W kilku podskokach dotarła do ciemnego kąta piwnicy i zniknęła. Wikary na próżno próbował ją schwytać, potem zaś wrócił do mnie, rozzłoszczony. Jego nozdrza pulsowały z wściekłości, a głos drżał, gdy zaczął mnie

przeklinać i jednocześnie kopać. Skuliłem się i czekałem, aż burza przejdzie, a w głowie miałem jedną jedyną myśl, która pomogła mi znieść ból: „Uciekła. Nic jej się nie stało. Nie zdołał jej skrzywdzić”.

Biedny głupcze!

Kiedy Wikary miał już dość znęcania się nade mną, pociągnął mnie po ziemi i zamknął na kłódkę w metalowej klatce. Potem zabrał lampę i zostawił mnie samego, dyszącego w ciemności. Moje ciało było jedną wielką raną. Poczułem smak krwi w ustach, dwa zęby chwiały się w zębodołach. Ale to wszystko się nie liczyło. Panna Louise Mu uciekła. Pomimo bólu, który zewsząd promieniował, ogarnęła mnie głęboka radość na myśl, że takie małe zwierzątko trzymało w szachu Tego, którego zawsze uważałem za wszechmocnego demona.

Ta satysfakcja była jednak krótkotrwała. Kilka minut później Wikary zjawił się ponownie, a ja patrzyłem z przerażeniem w oczach, jak umieszcza wokół klatki pół tuzina pułapek na gryzonie. Następnie na każdej z nich położył kawałek sera na przynętę.

– Może myślałeś, że zamierzam pozwolić bezkarnie wejść szkodnikowi do domu człowieka bożego? Mylisz się, mój chłopcze! W Księdze Kapłańskiej jest bowiem napisane: „Z gniewem wystąpię przeciwko wam i ześlę na was siedmiokrotne kary za wasze grzechy”²⁸.

Potem, nie dodając nic więcej, ponownie opuścił piwnicę.

Jak odmalować rozpacz, która mnie wtedy dopadła? Nawet dziś brakuje mi słów, żeby opisać strapienie, które stało się moim udziałem. Złamany przez ból, bezsilny z powodu zamknięcia w klatce, miałem wrażenie, że los się na mnie uwziął. Po raz kolejny groziło mi, że mrok i obłąd mnie pochłoną, bo miałem pewność co do jednego: więzy łączące mnie z panną Louise były zbyt silne, żeby zniknęła z dnia na dzień. Strach, który musiała czuć, gdy Wikary się na nią rzucił, nie wystarczyłby, żeby odwieść ją od powrotu, a ja nie miałem żadnych możliwości, by ją zniechęcić, żadnych możliwości, by powstrzymać ją przed zbliżeniem się do tych tak apetycznych kawałków sera. Każda godzina, każda

minuta, każda mijająca sekunda przybliżała mnie do nieuchronnego końca. Chciało mi się wyć.

A czas płynął. Nieubłaganie. Nie zmrużyłem oka przez całą noc, kierując do Boga prośby, żeby raczył oszczędzić moją przyjaciółkę. W dłoniach trzymałem mały drewniany krzyżyk, który Wikary zawiesił mi na szyi pierwszego dnia mojej niewoli. Pod palcami czułem nierówności, które zostawiły moje zęby, gdy obrzydliwa Bestia rozdzierała mi ciało, robiąc ze mną, co Jej się żywnie podobało. Błagałem Pana, żeby dał mi tylko to: maleńkie życie w zamian za całe moje cierpienie.

Ale mnie nie wysłuchał.

Nazajutrz wczesnym popołudniem, z punktualnością wiernej przyjaciółki, panna Louise pojawiła się w moim polu widzenia. Wyszła z półmroku, by podążyć za cienkimi promieniami słońca, prześlizgującymi się przez kiepsko połączone deski zasłaniające piwniczne okienko. Miałem ochotę się rozpłakać. Mniej więcej metr od klatki nagle się zatrzymała. Jej długie wąsy drgnęły i uniosła mały pyszczek, wdychając smakowity zapach sera, który nie pasował do panującego w piwnicy zaduchu.

Wyciągnąłem ręce ze swojego stalowego więzienia i machałem nimi rozpaczliwie, krzycząc z całych sił, żeby ją przestraszyć. Panna Louise tylko na mnie spojrzała, przeczesując łapką czubek głowy. Dokładnie tak jak za pierwszym razem, kiedy ją zobaczyłem. Potem spokojnie podreptała dalej, aż do najbliższej pułapki. Zamknąłem oczy. Rozległ się ostry trzask. Kiedy otworzyłem je ponownie, nieszczęsne zwierzątko miało jedną łapkę zaciśniętą w pułapce na myszy. Piszcziała żałośnie. Jej serce biło gwałtownie pod sierścią pokrywającą maleńką klatkę piersiową, ja zaś byłem tego świadkiem, patrzyłem na nią i nie mogłem nic zrobić. Tak zbędny i bezużyteczny, jakbym nie istniał.

Moje krzyki musiały zaalarmować Wikarego, bo niebawem się pojawił. Na Jego ustach zakwitł złowrogi uśmiech, gdy zobaczył biedną ryjówkę uwięzioną w jednej z pułapek. Uklęknął powoli i zachowując wszelkie środki ostrożności,

żeby znów Mu nie uciekła, uwolnił ją z żelaznego potrzasku. Potem wstał triumfalnie, trzymając pannę Louise za ogon.

– „Dokonom na nich wielkiej pomsty za pomocą srogich kar – wyrecytował. – Wtedy poznają, że Ja jestem Pan, gdy dokonam na nich pomsty”²⁹.

– Litości! – błagałem. – Proszę, nie krzywdźcie jej. Zrobię, co zechcecie, jeśli zostawicie ją przy życiu.

Odwrócił się do mnie, a w głębi Jego źrenic zapłonął rozpustny błysk.

– Co zechcę? Naprawdę? A jeśli potraktuję dosłownie twoje słowa, mój chłopcze? – Nie puszczając swojej zdobyczy, podszedł do klatki, żeby otworzyć kłódkę. – Wyłaź stamtąd. No już, pospiesz się trochę!

Przezołgałem się przez wąski otwór tak szybko, jak umiałem. Żebra wciąż potwornie mnie bolały, ale jeśli istniała choć niewielka szansa na uratowanie panny Louise, nie chciałem jej stracić, guzdrząc się.

– Skoro tak grzecznie mnie poprosiłeś – odezwał się ponownie Wikary niskim, a jednocześnie ochryplym głosem, który brzmiał jak rżenie – nie zabiję tego zwierzęcia, ale musisz być całkowicie świadomy, że te gryzonie są nosicielami wszelkiego rodzaju chorób. Nie można im pozwolić kręcić się po domu, nie narażając się na poważne niebezpieczeństwa. Dlatego należy stosować drakońskie środki.

– Błagam was, nie róbcie jej krzywdy! – powtórzyłem, nie mogąc oderwać wzroku od małego bezwładnego stworzenia zwisającego u Jego pięści.

– Jesteś głuchy, mój chłopcze? Już ci mówiłem, że jej nie tknę. – Znowu ten ohydny, złowrogi uśmiech na Jego ustach. – Nie, to ty się tym zajmiesz!

Położył pannę Louise na klepisku i puścił ją, lecz dopiero wtedy, gdy nabrał pewności, że nie ma już siły uciekać.

– Rozdepcz ją! – rozkazał oschle, wstając.

Sądziłem, że się przesłyszałem. Potrząsnąłem rozpaczliwie głową, popłakując.

– Nie! Tylko nie to! To jedynie biedna ryjówka.

– Powtarzam po raz ostatni. Rozdepcz ją, mój chłopcze. *Natychmiast!*

Spojrzenie Jego zwężonych źrenic coraz bardziej posępniało, a twarz przypominała niebo przed burzą. Zrozumiałem, w jakimś strasznym przebłysku jasności umysłu, że wszystko, co wycierpiałem do tamtej chwili, jest niczym w porównaniu z tym, co się stanie, jeśli nie będę Mu posłuszny.

Więc to zrobiłem.

Doskonale zdawałem sobie sprawę z okrutnej rany, którą zadawałem samemu sobie. Od tamtej pory koszmary podczas długich, samotnych nocy będą bez końca rozbrzmiewać tym złowieszczym dźwiękiem, trzaskiem delikatnych kości panny Louise łamanych pod moim butem.

Ale zrobiłem to.

Ponieważ potrzebowałem czasu. Ponieważ musiałem nabrać siły i szybkości. Żeby pewnego dnia to z kolei On był zdany na moją łaskę.

Musiałem *przetrwać*.

²⁸ Biblia Tysiąclecia (przyp. tłum.).

²⁹ Tamże.

ROZDZIAŁ 22

Siedlisko zła

Wraz z zapadnięciem zmierzchu półmrok w zaułku szybko gęstniał, ale koślawy dom po drugiej stronie dróżki z ubitej ziemi nadal był doskonale widoczny.

Valentin nie spuszczał z niego oczu od prawie trzech godzin. Budynek miał zniszczoną fasadę pokrytą wapiennym tynkiem, który odpadał płatami, odsłaniając bale osadzone w ścianach. Na parterze mieścił się zakład szewski. Witrynę zasłaniała okiennica, a drzwi zabito deskami. Dwa piętra zajmowały mieszkania, najwyraźniej puste. Drewniane framugi okien sprawiały wrażenie na wpół spróchniałych, a kilka szyb było wybitych. Na tyłach rudery musiał się znajdować niewielki ogród lub podwórko. Z boku dało się dostrzec początek wąskiej alejki zarośniętej chwastami. Już od lat nikt tamtędy nie przechodził. Zresztą cały dom wyglądał na opuszczony. Odkąd policjant rozpoczął obserwację, nie zauważył żadnego ruchu ani nie usłyszał żadnego dochodzącego stamtąd dźwięku. Mógł zatem dojść do wniosku, że przyszedł za późno i że ptaszek wyfrunął, lecz mimo to miał się na baczności. Długie poszukiwania prowadzone przez jego ojca oraz zostawiony przez niego ich opis nauczyły go strzec się forteli Wikarego. Lepiej było nie ufać pierwszemu i jedynemu wrażeniu. Musiał zachować ostrożność i nie rzucać się na oślep, wchodząc na nieznany teren.

Właśnie po to, żeby mieć dość czasu na obserwację tego miejsca, Valentin zjawił się dyskretnie w dzielnicy Saint-Merri już pod wieczór. Pragnąc zwiększyć swoje szanse powodzenia, zrezygnował z eleganckiego ubioru i przywdział

zwyczajny strój robotników: bezkształtne spodnie, bluzę ściągniętą w talii szerokim paskiem i kaszkiet założony na bakier. Dzięki temu nie rzucał się w oczy w tej obskurnej dzielnicy, która należała do najstarszych i najbiedniejszych w Paryżu. Tutaj, w bezładnej ludzkiej masie, stykali się ze sobą wszyscy ci, których ciężkie czasy zepchnęły na margines społeczeństwa. Trudności ekonomiczne istotnie narastały od dwóch lat, a po rewolucji lipcowej jeszcze się nasiliły. Pomimo uruchomienia pod koniec lata miejskich warsztatów pomocowych³⁰ wielu robotników fabrycznych znalazło się na bruku, bez pracy. Jeśli chodzi o rzemieślników i pracowników małych warsztatów, to w obliczu nowej konkurencji ze strony fabryk ich dochody topniały jak śnieg. W tej sytuacji stawki za robociznę dla krawcowych i szwaczek spadły w ciągu kilku lat o ponad połowę. Wiele osób, nawet harujących po dwanaście–trzydzieści godzin dziennie, nie było już w stanie wyżywić rodziny ani znaleźć przyzwoitego mieszkania. To właśnie ci wszyscy ludzie pozostawieni samym sobie, ludzie rozczarowani nowym reżimem, zaludniali obskurne domy starego, średniowiecznego Paryża.

Kiedy Valentin zapuścił się w labirynt krętych uliczek, które tworzyły dzielnicę Saint-Merri, zaskoczyło go, że tak niewiele osób napotyka. Zwykle o każdej porze dnia roiło się tu od ludzi: bezrobotnych żyjących z zasiłków, pijaków trzeźwiejących w sieniach, kalek – prawdziwych lub symulujących – żebrzących, żeby przetrwać, dziewcząt snujących się po ulicach, gromad urwisów pozostawionych na pastwę losu... Minęło trochę czasu, zanim dotarło do niego, że jest sobota i wszyscy, którzy mogli sobie jeszcze na to pozwolić, wybrali się już do Courtille, za Murem Dzierżawców Generalnych, u podnóża wioski Belleville. Działo tam wiele podmiejskich gospód, w których można było tanio zjeść, potańczyć i się upić: Pod Wiewiórkami osławionego Desnoyeza, Przyjaciele Dam, Zabawa, U Dormois... Wszystkie te lokale założone poza murami były zwolnione z podatków konsumpcyjnych, a podłe wino lało się tam strumieniami. Za dziesięć sou można było dostać litr trunku i na chwilę oddać się zapomnieniu. Pospólstwo chętnie mieszało się tam z żołnierzami na przepustce i mieszczanami z klasy średniej, którzy przychodzili poszaleć w podejrzanym towarzystwie. Zabawa trwała

całą noc i przeciągała się na cały następny dzień. Nie należało do rzadkości, że robotnicze małżeństwa, zmęczone ciężką pracą w tygodniu, przepuszczaly tam niemal całą wypłatę. Niektóre posuwały się nawet do tego, że kupowały u aptekarza „śpiocha”, tajemniczą miksturę o właściwościach uspokajających, aby uspić swoje dzieci na całą niedzielę i dzięki temu móc się upijać do woli³¹.

Adres figurujący na bileciku przekazanym przez Vidocq'a zmusił Valentina do zapuszczenia się dość głęboko w to szambo, rezerwuar nędzy stolicy. Gdy przemierzał błotniste uliczki zapełnione odpadkami oraz zwierzęcymi, a także ludzkimi odchodami, nie mógł się powstrzymać od rozmyślenia o napaści, której ofiarą padł kilka dni wcześniej, w sąsiedniej dzielnicy Sainte-Avoie. Chociaż nie zrobił tego celowo, stanowczo dobrze się stało, że znalazł się w tym labiryncie w sobotę. Niezwykły spokój panujący w tym miejscu pozwalał mu łatwiej dostrzec ewentualne zagrożenie.

Ledwie przeszła mu przez głowę ta myśl, gdy zaskoczyła go wąła postać, która wyłoniła się zza rogu. Nawet nie zdążył się przestraszyć, ale zjawa nie miała w sobie nic groźnego. Wręcz przeciwnie! Była to cherlawa dziewczynka, ubrana w łachmany i nosząca na nogach, pomimo nadciągających chłodów, zwykłe sandały owinięte szmatami. Wyglądała na wyczerpaną, miała brudne, splątane włosy i niemal siną skórę. Na skroniach widniały wypukłe niebieskie żyły, a pod oczyma szare obwódki. Złapała inspektora za rękaw i obdarzyła go słabym, pozbawionym radości uśmiechem. Brakowało jej dwóch zębów z przodu.

– Śliczne kwiaty dla twojej oblubienicy, mój chłopcze? – zaproponowała, wskazując kosz z bukietami chryzantem i kamelii.

– Dziękuję, ale nie mam narzeczonej – odparł Valentin, delikatnie uwalniając ramię.

– W takim razie żeby podarować matce? Wyglądasz na miłego chłopca, więc oddam ci swój najpiękniejszy bukiet za jedyne osiem miedziaków. Cóż to jest, dwa nędzne sou?

W innych okolicznościach Valentin poświęciłby nieco czasu na poszukanie kilku monet w kieszeniach, ale pilno mu było dotrzeć do kryjówki Wikarego, toteż odpowiedział nieco oschle:

– Moja matka nie żyje! Nie mam absolutnie nikogo, komu mógłbym ofiarować kwiaty.

Ukryte za niesformą grzywką ponure oczy nagle rozbłysły, jakby obdarzone własnym życiem. Głos stał się nieco niższy, cieplejszy i bardziej przymilny.

– Jakie to smutne! Taki przystojny chłopak jak ty! Musi ci brakować miłości, więc byłabym złą dziewczyną, gdybym pozwoliła ci tak odejść. Za trzydzieści sou możesz przyjść się ogrzać w moim prywatnym mieszkaniu.

Rzucając mu sugestywne spojrzenie, podwinęła spódnice, odsłaniając aż do połowy uda chudziutkie brudne nogi. Przyglądając się jej uważniej, Valentin zdał sobie sprawę, że jest bez wątpienia starsza, niż początkowo sądził. Trzyznaście, może czternaście lat. Zmyliły go jej szczupłość i niski wzrost.

Zamiast ofuknąć nieszczęśnicę i ruszyć w swoją drogę, inspektor nie potrafił zlekceważyć strapienia, którego można się było domyślać za tą udawaną prowokacją. Zrobiło mu się jej żal. Wyrzucając sobie własną lekkomyślność, chwycił nastolatkę za rękę, zmuszając ją do opuszczenia spódnic, a potem wyjął sakiewkę i opróżnił jej zawartość na drobną dłoń naznaczoną odciskami.

Widząc liczbę monet, dziewczyna szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Błogosławiony niech będzie Pan! – wykrzyknęła, bliska ekstazy. – On naprawdę zesłał mi anioła z raju!

Valentin pozbył się jej z największym trudem. Szkoda było się przebierać, żeby działać incognito, skoro potem zwrócił na siebie uwagę przy pierwszej okazji! W takiej dzielnicy jak ta wieści rozchodziły się lotem błyskawicy. Robotnik bogaty jak Krezus – nic tak nie wzbudzi podejrzeń i nie podsyci chciwości bandziorów! Wobec tego przyspieszył kroku, żeby jak najszybciej dotrzeć na miejsce, ale twarz małej kwiaciarki już go nie opuszczała. W końcu podjął poszukiwania właśnie po

to, żeby przyjść z pomocą tej poszkodowanej dzieciarni, a teraz, gdy zbliżał się do celu, już nic nie mogło go powstrzymać.

Otrząsnął się, żeby odegnąć obraz biednego dziecka, i ponownie skupił uwagę na domu szewca oraz na okolicznych ruderach, które groziły zawaleniem i w których rodziny tłoczyły się jedne nad drugimi. Nie ulegało wątpliwości, że pomimo upływu lat Wikary nie zmienił swoich przyzwyczajęń. Zawsze znajdował upodobanie w najwstrętniejszym bagnie, tam gdzie tak łatwo było mu wyszukiwać nowe ofiary. Ale tym razem nie przyniesie mu to szczęścia.

Gdzieś w dzielnicy kościelne dzwony wybiły wpół do dwunastej. Najwyższy czas wypłoszyć groźną bestię.

Inspektor upewnił się, że sztylet ukryty przy kostce łatwo wysuwa się z pochwy. Zbędny środek ostrożności, bo przed opuszczeniem mieszkania zadbał o jej naoliwienie. Następnie wyjął spod bluzy podrózny dwulufowy pistolet skałkowy. Zaletą tej broni były jej niewielkie rozmiary – niecałe dwadzieścia centymetrów długości – oraz łatwość obsługi, a w dodatku umożliwiała posiadaczowi oddanie dwóch strzałów bez konieczności ponownego ładowania. Valentin sprawdził, czy pistolet został odpowiednio nabity, a potem wsunął go za pasek, w zasięgu ręki. Nie mógł nic poradzić na to, że czuł podniecenie typowe dla drapieżnika gotowego się rzucić na swoją zdobycz. Czekał na tę chwilę od lat.

Kiedy opuścił na wpół zrujnowaną rudere, która służyła mu za punkt obserwacyjny, w powietrzu unosił się już mrok nocy. Oświetlenie gazowe, które pojawiło się rok wcześniej, zainstalowano tylko na eleganckich arteriach stolicy. Tutaj, w starym Paryżu, można było liczyć jedynie na latarnie olejowe, ale te, które nie zostały rozbite, często nie były używane z powodu zaniedbań ze strony władz dzielnicy odpowiedzialnych za pilnowanie, by je zapalano. Ten nieustanny półmrok panujący od zapadnięcia zmierzchu potęgował poczucie niepewności, ale przynajmniej raz młody inspektor na to nie narzekał. Pod warunkiem że trzymał się obszarów pograżonych w ciemności, nikt nie mógł zobaczyć, jak się zbliża.

Zastanowiwszy się nad najlepszym sposobem działania, zrezygnował z frontalnego ataku i postanowił zakraść się do rudery od tyłu. Należało za wszelką

cenę nie dopuścić do tego, by Wikary, czując się osaczony, skrzywdził swojego więźnia lub więźniów, bo co do jednego inspektor nie miał wątpliwości: po powrocie do stolicy potwór z pewnością nie porzucił swoich niecznych praktyk i jeśli informatorzy Vidocqa się nie mylili, nie był w tym domu sam. Zabrał ze sobą swoje *zwierzątka do towarzystwa*.

Uważając, żeby się nie poślizgnąć na papce nieczystości zalegającej na chodniku, Valentin dwoma susami przekroczył uliczkę i wślizgnął się w boczną zachwaszczoną alejkę. Zerwał się zimny nocny wiatr i potrząsał suchymi łodygami, ożywiając mrok niepokojącym szumem. Inspektor posuwał się naprzód w cieniu parkanu, aż zgodnie z przypuszczeniami znalazł się na niewielkim podwórku. Jego środek zajmowała omszała studnia, a o tylną ścianę opierała się zdewastowana szopa z popękany dachem i dziurami, z których wyzierały jeżyny.

Valentin zmrużył oczy i przyjrzał się tylnej ścianie rudery. Jedno z okien na parterze miało wybite wszystkie szyby. Idealne wejście!

Inspektor podkradł się tam bardzo ostrożnie, nie robiąc najmniejszego hałasu, i podciągnął się na rękach. Wewnątrz cuchnęło stęchlizną i wilgocią. W rogu widać było stary piec opalany drewnem, poplamiony stół i wiszące na ścianie rondle. Policjant podszedł do pieca, otworzył drzwiczki i pogmerał w środku. Pod grubą warstwą popiołu leżały kawałki węgla, niektóre jeszcze ciepłe. Dom co prawda wyglądał na niezamieszkały, lecz ktoś rozpałił ogień poprzedniego dnia, albo najpóźniej dzień wcześniej.

Valentin wyprostował się, zachowując najwyższą czujność, i zaczął nasłuchiwać. Szum wiatru na zewnątrz nie pozwolił mu od razu usłyszeć hałasu, ale gdy się skoncentrował, w końcu wychwycił słaby odgłos skrobania. Jakby ktoś ciągnął po podłodze krzesło lub przesuwiał jakiś ciężki przedmiot. Ów dźwięk zdawał się dochodzić z przodu domu, od strony warsztatu szewskiego.

Inspektor przezornie chwycił pistolet i odwiódł kurki, osłaniając je drugą dłonią, by stłumić podwójny trzask. Następnie ruszył do drzwi i wyszedł na korytarz pogrążony w całkowitej ciemności. Zapalenie światła oznaczało podjęcie ryzyka, że zostanie zauważony, ale posuwanie się naprzód po omacku

w nieznanym domu, który mógł skrywać wiele pułapek, wcale nie było lepsze. Po krótkim wahaniu młody policjant postanowił zapalić szczyrzy ogon³². Na ścianach zaczęły tańczyć niepokojące cienie.

Zobaczył schody prowadzące na piętro oraz czworo drzwi. Schody urywały się w połowie wysokości, bo stopnie przeżarła wilgoć, a wszystkie drzwi były zamknięte. Valentin zwlekał, niezdecydowany. Nagle odniósł wrażenie, że wiatr robi piekielny hałas, unosząc dachówki, i że ten zgiełk wypełnia całą przestrzeń. Potem ponownie dotarł do niego całkiem cichy, ledwie słyszalny szelest. Niewątpliwie dochodził od frontu, a dokładniej zza drzwi usytuowanych po jego prawej stronie. Było to coś w rodzaju materializacji stłumionej groźby, potwierdzenie tego, co w głębi duszy zawsze wiedział. Wikary nie był taką zdobyczą jak inni. Nie dałby się tak łatwo zaskoczyć.

Oslaniając ogarek uzbrojoną dłonią, Valentin ponownie ruszył przed siebie. Zatrzymał się tuż przed drzwiami i wstrzymał oddech. Przykładając ucho do framugi, usłyszał wyraźniej ów odgłos. Nie dało się stwierdzić, z czego się brał, ale po drugiej stronie na pewno ktoś był, zajęty jakąś tajemniczą czynnością.

Modląc się, by mechanizm nie zazgrzytał, inspektor nacisnął klamkę. Ta przesuwała się w dół cal po calu bez najmniejszego skrzypnięcia. Kiedy natrafił na opór, pchnął leciutko drzwi, żeby się przekonać, czy nie są zamknięte na klucz. Uchyliły się bez problemu. Następnie, biorąc głęboki wdech, mężczyzna uderzył w nie gwałtownie i rzucił się do środka z pistoletem wycelowanym wprost przed siebie.

W pomieszczeniu nie było nikogo!

Musiało służyć jako zaplecze sklepiku i pracownia rzemieślnika, który kiedyś zajmował ten lokal. Można było dostrzec wióry drewna na postrzępionym dywanie, puste stojaki, połamane lub zardzewiałe narzędzia, całą tę niezdatną do użytku graciarnię nieprzedstawiającą żadnej wartości.

Stojąc twarzą do przeciwległej strony domu niż ta, od której wszedł, Valentin dostrzegł wąskie okno. Jesienny wiatr, szarpiąc okiennicą, wydawał ów

przeraźliwy dźwięk, który wcześniej przykuł jego uwagę. Emocje, jakie odczuwał młody inspektor, odkąd opuścił swój punkt obserwacyjny, od razu opadły. Zastąpiła je pewność, że przybył za późno.

Już miał wyjść z pomieszczenia, żeby przeszukać resztę nędznego domostwa, właściwie bardziej dla spokoju sumienia niż z innego powodu, gdy nagle serce podeszło mu do gardła. Do wszystkich diabłów w piekle! Pomyśleć, że omal nie przeszedł obok tego obojętnie!

Dywan? W warsztacie?

Chwilę później schylił się i unióś z podłogi róg kompletnie wytartego dywanu.

W migotliwym świetle szczurzego ogona ukazał się prostokątny właz.

Nerwy Valentina natychmiast znów naprężyły się do granic możliwości. Z niezmierną ostrożnością chwycił pierścień, który pozwalał podnieść klapę, i przyciągnął go do siebie. Szyb pogrążony w ciemnościach. Nierówne stopnie zagłębiające się we wnętrzości domu.

Zaczął schodzić, zachowując czujność, z pistoletem wycelowanym w dół. W miarę jak zanurzał się głębiej w ciemność, trzymając ogarek z tyłu, z dala od ciała, do jego nozdrzy coraz mocniej przenikała jakaś ziemista woń. Nieprzyjemna. Dusząca. Przez chwilę ów odór grobowca sprawił, że się zachwiał, ale szybko zdołał nad sobą zapanować.

U dołu schodów natknął się na drzwi, które zaskrzypiały przeraźliwie, gdy je pchnął. Pierwszą rzeczą, którą zauważył, były ostrołuki sklepienia pochodzącego zapewne z czasów średniowiecza.

Zaraz potem zobaczył klatkę. Z grubymi stalowymi prętami. Masywną i ponurą.

Na ściółce pod przeciwległą ścianą leżało ciało dziecka. Było zupełnie nagie. Piękne blond włosy przesłaniały większą część twarzy. Z poderżniętego gardła chłopca wyciekła struga krwi i tworzyła teraz ciemną plamę wokół krucyfiks, który trzymał się na rzemyku na jego chudej piersi.

Prosty drewniany krzyżyk zarysowany maleńkimi wgłębieniami.

– Damien – wymknęło się Valentinowi, który wypowiedział to imię bezdźwięcznym głosem.

Jeszcze zanim zbliżył się do zwłok i odsunął jedwabiste kosmyki, wiedział jednak z absolutną pewnością, iż nie może chodzić o niego.

³⁰ Warsztaty te, wychwalane przez prefekta departamentu Sekwany Odilona Barrota i poświęcone głównie robotom ziemnym, miały zapewnić zajęcie bezrobotnym, okazały się jednak zdecydowanie niewystarczające, bo zatrudniały nie więcej niż trzy tysiące osób.

³¹ Ta anegdota jest całkowicie autentyczna.

³² Rodzaj knota nasączonego żywicą, używanego do przyświecania sobie w ciemności.

ROZDZIAŁ 23

Osobliwy doktor Tusseau

Valentin potrzebował aż dwóch dni, żeby dojść do siebie po wyprawie do dzielnicy Saint-Merri. Dość czasu, żeby przemyśleć porażkę i przyznać, że Wikary prześlizgnął mu się przez palce, tak jak zdołał to zrobić już kilkakrotnie w przeszłości, kiedy nagonkę prowadził jego własny ojciec, Hyacinthe Verne. Tym razem jednak brakowało naprawdę niewiele. Przepytyując sąsiadów, inspektor dowiedział się, że w ruderze mieszkał przez kilka tygodni pewien starzec, zanim nagle zniknął dwa dni wcześniej. Ludzie przypuszczali, że chodziło o rzemieślnika, który zamierzał ponownie otworzyć warsztat, ale nic więcej nie wiedzieli. Nieznajomy żył jak pustelnik i nie zadawał się z nikim z okolicy. Dokładniejsze przeszukanie pomieszczeń nie przyniosło żadnych wskazówek mogących naprowadzić policjanta na nowy trop. Co do zwłok chłopca, którego potwór spisał na straty z chwilą ucieczki, nic nie pozwalało go zidentyfikować. Według wszelkiego prawdopodobieństwa chodziło o dziecko zabrane z ulicy, którego zniknięcie nikogo nie zaniepokoiło.

Skąd Wikary wiedział, że tajemnica jego kryjówki wyszła na jaw? Przede wszystkim to pytanie nurtowało Valentina, ale nie mogąc znaleźć lepszego wyjaśnienia, ostatecznie pogodził się z myślą, że informatorom Vidocqa najwyraźniej zabrakło dyskrecji. Zawsze mający się na baczności drapieżca zmylił ich czujność i postanowił, w samą porę, zmienić teren łowiecki.

Rozzłoszczony inspektor w końcu się pocieszył, mówiąc sobie, że co prawda stracił świetną okazję, ale czas działa na jego korzyść. Sieć stopniowo się zaciskała. Jeśli Wikary zostanie w stolicy, Valentin w końcu wpadnie na jego trop. Ostatnia ofiara przestępcy dowiodła, że nie jest on w stanie wyrzec się swoich perwersyjnych i zbrodniczych skłonności. Prędzej czy później popełni fatalny błąd. Wystarczyło wykazać się cierpliwością i być w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. A gdy Valentin definitywnie udaremni mu krzywdzenie dzieci, Damien wreszcie będzie mógł się wymknąć spod wpływu Zła.

W międzyczasie młody inspektor nie miał innego wyboru, jak tylko powrócić do śledztwa w sprawie śmierci Luciena Dauvergne'a i powiązanego z nią być może zgonu niejakiego Tirancourta. Kilka dni wcześniej komisarz Flanchard i prefekt policji dali mu wystarczająco jasno do zrozumienia, że chcą szybkich rezultatów, które zneutralizowałyby ewentualne pogłoski o usuwaniu przeciwników nowego reżimu. Teraz, od czasu rozmowy z Vidocqiem, Valentin dysponował trzema nazwiskami, które mogły mu pomóc rozwikłać tę mroczną sprawę szaleństwa, śmierci i luster: wicehrabia de Champagnac, Émilie de Mirande i doktor Edmond Tusseau.

Trzy nazwiska i tyleż sznurków, za które można pociągnąć, żeby zobaczyć, co się pojawi.

Postanowił zacząć od tego, który wydawał mu się najłatwiej dostępny, toteż skierował się na rue de Surène, do rezydencji Dauvergne'a. Zrezygnował jednak z zabiegania o spotkanie z panem domu. Coś mu mówiło, że Charles-Marie Dauvergne raczej nie jest odpowiednią osobą do rozmowy. Poseł był zainteresowany nie tyle sprawiedliwością, ile zemstą. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że gdyby w końcu wyszła na jaw niewygodna prawda, zrobiłby wszystko, by ją zatuszować. Nie, Valentin musiał się zwrócić do kogoś, kto kochał nieszczęsnego Luciena i kto rozmawiałby z policjantem bez najmniejszych zahamowań.

Właśnie dlatego stanął na chodniku naprzeciwko rezydencji, żeby skutecznie obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących. Kiedy późnym

przedpołudniem zauważył młodą służącą, która opuszczała dom z koszykiem na zakupy, ruszył w ślad za nią i czekał, aż dotrze do następnego kompleksu budynków, żeby ją zagadnąć. Początkowo dziewczyna zachowywała się powściągliwie, ale gdy poparł swoją prośbę pięciofrankową monetą, zgodziła się mu pomóc. Valentin wrócił następnie na rue de Surène, gdzie cierpliwie czekał, chodząc tam i z powrotem i zastanawiając się nad innymi możliwościami na wypadek niepowodzenia, ale kiedy służąca wróciła z zakupów z koszykiem pełnym wiktuałów, nie minął kwadrans, a brama rezydencji ponownie się otworzyła, żeby wypuścić Félicienne Dauvergne. Dziewczyna była sama. Gdy znalazła się na ulicy, omiotła spojrzeniem okolicę i nie mogła nie zauważyć stojącego nieopodal Valentina, lecz zachowywała się jak gdyby nigdy nic i odeszła w kierunku rue d'Anjou.

Valentin podążył za nią w pewnej odległości.

Jedno za drugim, szli arterią, wzdłuż której stały eleganckie posiadłości oraz piękne kamienice wzniesione pod koniec ubiegłego wieku i za czasów Cesarstwa. W pewnym momencie inspektor miał ochotę zagadnąć Félicienne na środku ulicy i podszedł do niej, lecz ona dyskretnym gestem dała mu do zrozumienia, że ma coś innego na myśli i że powinien okazać cierpliwość. W ten sposób dotarli do skweru Ludwika XVI i kaplicy ekspiacyjnej wzniesionej tam dla upamiętnienia ściętego monarchy i królowej Marii Antoniny. Omijając budowlę, przeszli przez honorowy dziedziniec obsadzony cyprysami i ozdobiony cenotafami poświęconymi szwajcarskim gwardzistom zmasakrowanym w 1792 roku podczas aresztowania króla. To miejsce było najwyraźniej opustoszałe. Młoda Félicienne bez najmniejszego wahania skierowała się szybkim krokiem w stronę jednego z dwóch krużganków, okalających portyk prowadzący do właściwej kaplicy. To tam dołączył do niej Valentin.

– Jestem pani bardzo wdzięczny za tak szybką reakcję na moją wiadomość – powiedział po przywitaniu. – Obawiałem się, że nie pozwolą pani wyjść samej.

Dziewczyna się zarumieniła.

– Zazwyczaj nie wychodzę z domu bez osoby towarzyszącej, ale od strasznej śmierci Luciena ojciec i matka już nie są do końca sobą. Wystarczyło udać, że pragnę się poświęcić kontemplacji ku jego pamięci w kościele. Nikt mnie o nic nie pytał. Tutaj możemy porozmawiać całkiem spokojnie, nie ryzykując, że ktoś nas zobaczy lub nam przeszkodzi.

– Jest pani zdecydowanie bardzo zaradną osobą – zauważył Valentin, przypominając sobie liścik, który tak sprytnie wsunęła mu do ręki, kiedy po raz pierwszy przyszedł na rue de Surène.

– Dlaczego tak bardzo się panu spieszyło, żeby ze mną porozmawiać? – zapytała Félicienne, usiłując powstrzymać pewne zniecierpliwienie. – Odkrył pan, co mogło skłonić Luciena do odebrania sobie życia?

– Bardzo bym chciał móc odpowiedzieć twierdząco. Niestety, na razie wciąż jestem zmuszony rekonstruować jego kroki w tygodniach poprzedzających samobójstwo. Szczególnie interesują mnie osoby, które mogły mieć z nim do czynienia w tym okresie. Podczas naszej poprzedniej rozmowy powiedziała mi pani, że brat miał słabe nerwy i chyba cierpiał na somnambulizm. Wie pani, czy konsultował się w tej sprawie z lekarzem?

– Przypuszczam, że ma pan na myśli doktora Tusseau.

– To chyba naturalne? Czy nie jest waszym lekarzem rodzinnym?

– Och! Od niezbyt dawna. To właśnie Lucien przedstawił go ojcu. Chwalił nowatorstwo jego metod terapeutycznych. Pewne jest, że ten człowiek ma zdumiewającą umiejętność oczarowywania innych. Nawet ojciec, który wcale nie okazuje łatwo entuzjazmu, szybko oszalał na jego punkcie.

Valentinowi wydawało się, że wyczuwa rezerwę w głosie swojej rozmówczynie.

– Mylę się czy nie podziela pani tego powszechnego zachwytu?

Félicienne się nadała, a grymas irytacji podkreślał puciołowatość jej twarzy. Nagle wydała się Valentinowi niewiarygodnie bezbronna. Już nie miał przed sobą tej zdeterminowanej młodej dziewczyny, gotowej przeciwstawić się nakazom

swojej kasty, by pomóc mu w śledztwie, lecz delikatną, zagubioną nastolatkę, która ledwie przestała być dzieckiem.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki ten lekarz wkręcił się pod nasz dach, ani wpływ, jaki wywierał na mojego brata, a potem również na moich rodziców. Przez niego zostałam rozdzielona z matką w chwili, gdy obie najbardziej siebie potrzebujemy.

– Jak to?

– Gwałtowna śmierć Luciena, a przede wszystkim okropne okoliczności, w jakich do niej doszło, głęboko poruszyły matkę. Otóż, jak już panu powiedziałam, doktor Tusseau zdobył zaufanie mojego ojca. Przekonał go, żeby pozwolił jej odpocząć w klinice w Val d’Aulnay, której jest właścicielem.

– Nie mogła jej tam pani odwiedzać?

– Ależ tak! Ojciec zabrał mnie tam trzy dni temu, ale to osobliwe miejsce, które wywarło na mnie dziwne wrażenie. Wizyty są ograniczone pod względem zarówno czasu trwania, jak i częstotliwości. Co więcej, pacjenci są trzymeni w ścisłej izolacji. Nie spotykają się ze sobą, a posiłki spożywają wyłącznie w pokojach... Atmosfera, która panuje w tych murach, jest naprawdę niesłychana.

Coś zaskoczyło w mózgu Valentina. Wciąż było to tylko niejasne przecucie, ale uznał, że jest w czym drążyć.

– Wspomniała pani, że Lucien opowiadał o oryginalnych metodach leczenia stosowanych przez doktora Tusseau. Czy ma pani jakieś wyobrażenie, co przez to rozumiał?

– Właściwie nie. W tamtym okresie nie zwracałam na to większej uwagi. Wiem tylko, że postanowił leczyć moją matkę, poddając ją kuracji snem. Zresztą kiedy poszliśmy się z nią zobaczyć tamtego dnia, była jak zamroczona. Miałam wrażenie, że niezupełnie jest obecna wśród nas, i bardzo mi się to nie podobało.

– Wie pani, czy również brat leczył się w tej osławionej klinice? Na przykład z powodu napadów somnambulizmu?

– Nie mam pojęcia, ale gdy Lucien opuścił dom rodzinny, zamknął się w sobie. Nie zwierzał mi się już tak spontanicznie. Możliwe zatem, że przebywał w tym zakładzie i nic mi o tym nie powiedział. Dlaczego pan pyta?

– Bez powodu. Po raz kolejny staram się lepiej zrozumieć, czym mógł się zajmować w dniach poprzedzających śmierć... Ostatnia rzecz na teraz: czy nazwisko Michel Tirancourt coś pani mówi?

– Nie, nic nie przychodzi mi do głowy – odparła Félicienne, wyraźnie starając się skoncentrować. – O kogo chodzi? Czy to był jakiś znajomy Luciena?

– Na razie nic na to nie wskazuje, ale nigdy nie wiadomo. – Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej: – Mogłaby mi pani wyświadczyć wielką przysługę, Félicienne?

Usta dziewczyny rozchyliły się w bladym uśmiechu.

– Czyż nie dowiodłam już panu, że jestem do tego zdolna?

– Przypuszczam, że w najbliższych dniach ponownie odwiedzi pani matkę. Czy może pani wykorzystać tę wizytę, żeby się dowiedzieć, czy brat przebywał w tej nieszczęsnej klinice? A także ów Michel Tirancourt? Mogłaby pani dyskretnie wypytać personel. Musi tam być też rejestr, w którym są zapisywane nazwiska pacjentów. Jeśli odkryje pani coś interesującego, proszę dać mi znać na ten adres.

Wsunął jej w dłoń bilecik.

– Może pan na mnie liczyć. Zrobię, co w mojej mocy – powiedziała Félicienne, kiwając głową z powagą. – A teraz proszę wybaczyć, ale muszę wracać do domu. Jeśli nie będzie mnie zbyt długo, ojciec zacznie się niepokoić.

Podąła mu rękę, a on musnął ją wargami, wyczuwając drżenie, które przeszło przez całe jej ciało. Potem stał nieruchomo, zamyślony, obserwując, jak ta mała, okrągłutka postać, ale poruszająca się zaskakująco zdecydowanym krokiem, oddala się między rzędami cyprysów.

ROZDZIAŁ 24

Z którego dowiadujemy się o najnowszych odkryciach w dziedzinie chemii

Głęboki głos mówcy zamilkł w amfiteatralnej sali Szkoły Farmacji. Przez okna, które wychodziły na wąską rue de l'Arbalète, wpadało szare światło dnia, ale w oczach słuchaczy płonął jakiś święty ogień. Wszyscy studenci wstali z miejsc w tym samym porywie entuzjazmu i gorąco oklaskiwali profesora Pelletiera, którego wykład okazał się jak zwykle zarówno klarowny, jak i wspaniały.

Zainteresowany, przybierając skromną minę, uciszył ruchem ręki wybuch zachwytu swoich podopiecznych, a następnie spojrzął, nie bez poczucia satysfakcji ze spełnionego obowiązku, na wylewający się z sali strumień czarnych i szarych surdutów. Gdyby udało mu się przekazać własną pasję do chemii choćby tylko dwóm czy trzem z tych młodych ludzi, nie zmarnowałaby czasu.

W sali zostało jeszcze najwyżej sześciu studentów, kiedy zauważył obecność Valentina, który opierał się plecami o ścianę nieopodal progu. Gdy kierował z daleka nieznaczny ukłon w stronę dawnego ucznia, ten zaczął naśladować bezgłośnie oklaski.

– Moje gratulacje, panie profesorze – powiedział młody policjant, podchodząc, by uścisnąć mu dłoń, gdy sala opustoszała już z ostatnich słuchaczy. – Wysłuchałem tylko końcówki wykładu, ale pańskie wyjaśnienia wydały mi się bardzo przejrzyste. No i widzę, że pana nauki są nadal śledzone z wielką uwagą. A zatem zmiana pokoleniowa jest zapewniona?

– Valentinie! Jak miło cię widzieć! – wykrzyknął uczony, zarzucając na ramię brzeg karmazynowej pelerynki obszytej trzema rzędami futra gronostajów. – A co do zmiany pokoleniowej, sam doskonale wiesz, że najzdolniejszy z moich uczniów niestety odwrócił się plecami do farmacji.

– To jednak właśnie ten uczeń przychodzi dzisiaj do swego mistrza, żeby raz jeszcze móc skorzystać z jego wiedzy. Czy mógłby mi pan poświęcić kilka chwil?

– Tobie zawsze! Naturalnie. Jeśli jednak nie masz nic przeciwko temu, odprowadź mnie do szatni, bym mógł zdjąć ten ciężki profesorski strój. Porozmawiamy po drodze. Tak się składa, że dziś po południu wygłaszam dla Paryskiej Rady Zdrowia Publicznego ważny referat na temat rozmaitych sposobów fałszowania galaretki porzeczkowej. Rzecz w tym, że jeszcze nie skończyłem go pisać.

Valentin nie mógł powstrzymać uśmiechu. Odkąd zaczął odwiedzać tego drogiego mu wielkiego człowieka, był on zawsze pochłonięty licznymi zajęciami oraz różnymi oficjalnymi funkcjami, które pełnił w wielu stowarzyszeniach naukowych. Chociaż narzekał, że nie widuje wystarczająco często dawnego protegowanego, nigdy nie mógł mu poświęcić więcej niż kilka minut.

– Nie miałem pojęcia, że galaretka porzeczkowa jest do tego stopnia ważkim tematem – zauważył Valentin z nutką ironii.

– No cóż, wyprowadzę cię z błędu! Ubodzy ludzie często używają jej w przypadku choroby, po rozcieńczeniu w wodzie, jako napoju leczniczego lub jako codziennego pokarmu dla swojego potomstwa. Tymczasem sfalszowana galaretka, którą kupują, ponieważ mniej kosztuje, jest pozbawiona jakichkolwiek wartości odżywczych.

– Widzę w tym pańską troskę o dobro publiczne.

– Nawet nie wiesz, ile w tym racji. Należy ujawniać tę plagę, tym bardziej że istnieją różne rodzaje oszustw. Zidentyfikowałem dwie główne metody. Pierwsza polega po prostu na stosowaniu pektyny zabarwionej sokiem z buraka, aromatyzowanej syropem malinowym i zestalonej za pomocą żelatyny. Druga jest

spotykana głównie w prowincjach zachodnich. Wykorzystuje się w niej zwyczajny morszczyk dla konsystencji, malwę ogrodową dla koloru oraz kwas winowy i glukozę dla smaku... Ale się rozgadałem, a mówiłeś, że przychodzisz niejako się ze mną skonsultować...

Twarz inspektora sposepniała.

– Chodzi o dość delikatną sprawę, którą się obecnie zajmuję. Zastanawiałem się, czy zna pan, wśród wielu naturalnych substancji wyizolowanych w ostatnich latach, jakiś narkotyk, który mógłby unicestwić siłę woli i spowodować poważne anomalie zachowania.

– Jakiego rodzaju anomalie? – zapytał Joseph Pelletier.

– Hm, na przykład wywoływać napady somnambulizmu albo ataki szału, a nawet skłaniać odurzone osoby do popełnienia samobójstwa.

Wybitny profesor wzniósł oczy ku niebu, a potem spojrzął z przestraczem na swojego młodego towarzysza.

– Mój biedny chłopcze! Przecież miałeś zadatki na wielkiego chemika, a oto do czego jesteś teraz zmuszony: do konfrontowania swojej inteligencji z najohydniejszymi zbrodniami!

– Proszę, nie podejmujemy na nowo jałowych dyskusji, które poróżniły nas cztery lata temu, kiedy postanowiłem wstąpić do policji. Pan i ja po prostu zdecydowaliśmy się walczyć ze złem na odmiennych polach. Wiem, że ma pan teraz niewiele czasu, a ja koniecznie potrzebuję, żeby mnie pan oświecił.

– Wybacz mi, Valentinie – powiedział uczony, kładąc czule dłoń na ramieniu inspektora – ale wiesz, że nie mogę przestać się o ciebie martwić. No dobrze... mówiłeś o narkotyku, który może pozbawić człowieka wolnej woli?

– Otóż to.

– Zastanówmy się przez chwilę... To, o czym wspomniałeś, natychmiast przychodzi na myśl trujące rośliny z rodziny psiankowatych. W szczególności te, które są nazywane diabelską trójką i które niechybnie znasz.

– Belladonna, bieluń i lulek – wyrecytował Valentin, kręcąc głową. – Swój przydomek zawdzięczają temu, że stosowały je rzekomo czarownice, by wezwać diabła na sabat. Wiem, że wszystkie trzy są toksyczne i potencjalnie zabójcze.

– Doskonale! Widzę, że nie straciłeś nic ze swojej wiedzy botanicznej. Lulek nazywano również pięknym usypiaczem, gdyż zmienia postrzeganie rzeczywistości i może wywołać, w postaci napoju, sen, z którego się nie zbudzimy. Ale pozostałe dwie są jeszcze groźniejsze i stanowią obecnie przedmiot licznych badań. Chemia ekstrakcyjna i analityczna pozwoliła nam wzbogacić wiedzę na temat ich różnych substancji aktywnych. Chodzi zasadniczo o bardzo silne alkaloidy.

– Spodziewałem się, że przychodząc do pana, pukam do właściwych drzwi.

Pelletier nie pozostał obojętny na komplement i przestał się rozbierać, żeby kontynuować wykład. Prowadząc cały czas rozmowę, obaj mężczyźni rzeczywiście dotarli do szatni dla grona profesorskiego, która przylegała do sali konferencyjnej Szkoły Farmacji. Przez otwarte drzwi widać było lakierowaną boazerię i obrazy przedstawiające niegdysiejszych mistrzów aptekarstwa. Przypatrując się tym uroczystym portretom, Valentin nie mógł się oprzeć wrażeniu, że współcześni aptekarze są faktycznie godnymi spadkobiercami tych, których dawni monarchowie ustanowili strażnikami trucizn.

– Weźmy teraz belladonnę – mówił dalej profesor Pelletier. – Za czasów Cesarstwa Vauquelin wyizolował jej główny składnik, alkaloid, który kilka lat temu pewien farmaceuta zza Renu nazwał atropiną, w nawiązaniu do imienia Parki, która miała rzekomo przecinać nić życia. W przypadku intoksykacji substancja ta wywołuje niepokój, zawroty głowy, ale także halucynacje i napady drgawkowe. Może potem nastąpić spokojna śpiączka i śmierć spowodowana porażeniem sercowo-oddechowym. Bieluń z kolei również zawiera atropinę, ale też inne alkaloidy w dużych ilościach, których nie udało się jeszcze wyizolować w czystej postaci. Także te narkotyki wywołują stan dezorientacji psychicznej i niepokojące halucynacje. Niektórzy pruscy chemicy podobno poczynili większe postępy w ekstrakcji tych związków niż my. Niedawno przeczytałem artykuł jednego z nich, z Królewskiej Akademii Pruskiej. Twierdzi on, że ludzie odurzeni tymi

jeszcze słabo poznanymi narkotykami mogą się znaleźć w transie, po którym następuje wymazanie pamięci³³.

– Bardzo interesujące – powiedział Valentin, pocierając w zamyśleniu podbródek. – Sądzi pan, że możliwe jest odurzenie kogoś tego typu związkami bez jego wiedzy i wiedzy jego otoczenia?

Uczony pokręcił przecząco głową.

– Wydaje się to bardzo mało prawdopodobne. Głównie z powodu napadów halucynacyjnych, które one wywołują, a te nie mogą przejść niezauważone, nawet jeśli u samego osobnika nie pozostaje po nich żaden ślad. Poza tym mówiłeś nie tylko o atakach szału, lecz także o napadach somnambulizmu. Niczego takiego nie opisano w przypadku alkaloidów występujących w psiankowatych.

– Rozumiem. A zatem obecnie raczej nie istnieje narkotyk zdolny pozbawić człowieka woli i wywołać, bez jego wiedzy, czy to jakąś postać snu na jawie, czy to wściekłe napady obłądu?

– W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

Valentin się skrzywił. Kiedy Félicienne napomknęła o oryginalnych metodach doktora Tusseau, wyobraził sobie, że lekarz mógł stosować pewne substancje o szkodliwym działaniu. Jeśli jednak sam wybitny profesor Pelletier przyznał, że nie jest w stanie rozpoznać wspomnianych substancji, wydawało się, że będzie musiał porzucić tę teorię.

Po powrocie do domu młody inspektor znalazł na konsoli przy wejściu pocztę pozostawioną przez konsjerżę. Były tam dwa listy, które zabrał do palarni-biblioteki. Pierwszy wydzielał dyskretną woń wiciokrzewu. Gdy Valentin go otwierał, poczuł narastający niepokój i niemal mimowolnie skierował wzrok ku regałom skrywającym sekretne drzwi.

Instykt go nie zwiódł. Wiadomość pochodziła od Aglaé Marceau, która wyrażała pragnienie ponownego zobaczenia się z nim i zapraszała go na jedno z pierwszych przedstawień swojej nowej sztuki. Do listu dołączony był bilet na jego nazwisko na następny wieczór. Młody mężczyzna zagryzł wargi. Jego nocna

wyprawa do kryjówki Wikarego oraz niedawne dochodzenie w sprawie doktora Tusseau zepchnęły piękną aktorkę na drugi plan w jego myślach. Nie był jednak w stanie zapomnieć o straszliwych podejrzeniach, których nabrał po odkryciu, że jego sekretny gabinet został przeszukany. Tamtego dnia, gdy wychodził o świcie z mieszkania, by udać się na pojedynek z Fauvetem-Dumesnilem, jego rzeczy były w idealnym porządku. Dopilnował tego. Aglaé wykorzystała jego nieobecność, żeby dostać się do jego domu. Któż inny jak nie ona mógł przeprowadzić tę systematyczną rewizję? Jaki cel jej przyświecał? Czy tylko uległa kobiecej ciekawości, czy może kierowała się jakimś mniej chwalebny motywem? A ponieważ te pytania pozostawały chwilowo bez odpowiedzi i ponieważ wyraźnie czuł, że ewentualna zdrada młodej kobiety wyzwala w nim emocje, nad którymi nie potrafi zapanować, wolał już o tym nie myśleć i postanowił, choć wiele go to kosztowało, zignorować zaproszenie.

Drugi list zawierał tylko jego imię i nazwisko, bez żadnej wzmianki o adresie. Był to niewielki bilecik, zapieczętowany woskiem, ale nie zalakowany. Gdy Valentin przebiegał szybko wzrokiem po kilku linijskich skreślonych niezdarnym charakterem pisma, serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

Jeśli nadal chce Pan dopaść Wikarego, to niech Pan wie, że jest on teraz w opałach. Ta wiadomość została przekazana wszystkim gangom w Paryżu. Już nikt mu nie przyjdzie z pomocą. Wiarygodny kontakt obiecał dostarczyć mi jutro wieczorem kluczowych informacji. Spotkanie jest umówione na jedenastą, przy wejściu do składu opałowego na wyspie Louviers. Proszę tam być niechybnie.

Monsieur V.

³³ Skopolamina, główny alkaloid występujący w bieluniu, została wyizolowana przez Schmidta dopiero w 1892 roku. Od tamtej pory była stosowana jako narkotyk wywołujący uległość w przypadkach oszustw i gwałtów.

ROZDZIAŁ 25

Klinika w Val d'Aulnay

Nazajutrz, zamiast bezsensownie kręcić się w kółko w oczekiwaniu na spotkanie wyznaczone przez Vidocq'a, Valentin postanowił wypełnić dzień, udając się do Val d'Aulnay. Odkładając na bok lakierki, surdut i cylinder, włożył wysokie buty do jazdy konnej z miękkiej skóry, zamszowe bryczesy i wygodną myśliwską kurtkę z czarnego aksamitu. Zaopatrzył się też w przepastny chlebak, w którym umieścił wszystko, co mogło się okazać przydatne podczas tej wyprawy, poczynając od dwulufowego pistoletu. Potem, usatysfakcjonowany wyglądem wiejskiego szlachcica, który ukazało mu lustro przy wejściu, wyszedł z mieszkania i wsiadł do jednej ze stojących przy rogatce d'Enfer „kukułek”³⁴, żeby dostać się do Châtenay. Stamtąd postanowił dotrzeć pieszo do osady Aulnay przycupniętej na dnie doliny, w której wił się strumień o tej samej nazwie.

Utrzymała się dość łagodna pogoda z kilku poprzednich dni, więc i przyjemnie było spacerować po wiejskiej okolicy przesyconej cierpkimi zapachami. Pod stopami szeleścił dywan martwych liści, a Valentin wracał myślami do miłych doznań z dzieciństwa spędzonego na leśnych wędrówkach. Jesień była zdecydowanie jego ulubioną porą roku, łączyła w sobie piękno i kruchość, jakże zgrabnie wpasowując się w zakamarki jego udręczonej duszy.

W chwili gdy policjant dochodził do pierwszych domów, dzwon kaplicy odpowiedział echem brzękom młota uderzającego w kowadło, wypełniając powietrze spizowymi wibracjami. Valentin skierował kroki w stronę placu

pośrodku osady, gdzie rzucająca czerwonawe błyski kuźnia warczała groźnie niczym brytan szarpiący się na smyczy. Kowal, dobroduszny olbrzym, którego potężny tors znikał pod grubym skórzanym fartuchem, kuł młotem jakiś element zaprzęgu. Przerwał pracę, gdy dostrzegł uśmiechniętego młodzieńca o wyglądzie dandysa, który się do niego zbliżał.

– Dzień dobry, przyjacielu – zagadnął go wesoło Valentin. – Bez wątpienia będziecie mogli udzielić mi wskazówek. Szukam zakładu rekonwalescencyjnego, który, jak mi powiedziano, znajduje się w pobliżu.

Rzemieślnik otarł grzbietem dłoni pot z czoła i ostrożnie spojrzął na przybysza.

– Czyżby przyjechał pan w odwiedziny do kogoś ze swoich bliskich? – zapytał, marszcząc gęste brwi.

– Niezupełnie. Polecono mi to miejsce ze względu na spokój i odosobnienie. Moja wiekowa ciotka dochodzi do siebie po paskudnym zapaleniu płuc, więc powiedziałem sobie, że może opuszczenie dusznej atmosfery stolicy wyszłoby jej na dobre. Nie ma nic lepszego niż świeże powietrze, żeby wrócić do zdrowia, ale chciałem się zorientować w sytuacji, zanim podejmę decyzję.

Valentin przygotował tę krótką przemowę podczas podróży powozem, gdy rozważał popytanie trochę w sąsiedztwie, nim uda się do kliniki doktora Tusseau. Słyszając jego słowa, kowal wykazał się pewną powściągliwością.

– I owszem, co do odosobnienia, to jest odosobnione – mruknął – ale jeśli chodzi o to, czy pańskiej krewnej będzie tam dobrze, to już inna historia...

– Co przez to rozumiecie?

– Słowo daję, nie chciałbym, żeby pan źle odebrał to, co mówię. Po świecie krąży tyle oszczerstw. Jeśli zamierzałem coś powiedzieć, to tylko dlatego, że dobrze panu z oczu patrzy i nie chciałbym, żeby powierzył pan swoją szanowną ciotkę byle komu.

Valentin nie dał po sobie poznać zadowolenia. Od razu zapukał do właściwych drzwi. Teraz pozostało tylko skłonić mężczyznę do mówienia, nie wzbudzając jego nieufności zbyt precyzyjnymi pytaniami.

– Ta klinika ma zatem aż tak złą reputację? Nie to mi powiedziano.

– Uwaga! – odparł kolos, zaniepokojony nagle, że może się wydawać, iż wtrąca się w nie swoje sprawy. – Nie mówię o opiece, jaką można tam otrzymać. Po prostu mnie takie miejsce jak to raczej by dobiło, niż pomogło mi się lepiej poczuć.

– A to dlaczego?

– Jeśli pan tam pójdzie, sam pan sobie wyrobi opinię. Ja w każdym razie nie mogę się pozbyć myśli, że bardziej przypomina więzienie niż cokolwiek innego. Poza tym ci ludzie mają dziwne maniery.

– Intrygujecie mnie. Jacy ludzie? I co nazywacie dziwnymi manierami?

– Tę posiadłość kupił trzy lata temu jakiś lekarz z Paryża. Ledwie się wprowadził, kazał wyrwać z korzeniami żywopłoty i ogrodzić wszystko wysokimi murami. A poza tym bramy strzeże dzień i noc kilka brytanów, bestii wysokich jak cielęta. Niektórzy twierdzą nawet, że w parku miałyby być pułapki na wilki. Wilki tutaj? Też coś!

– A wy sami spotkaliście już tego lekarza?

– Nigdy w życiu! Zresztą pracowników ani pensjonariuszy też nie. Cały ten mały światek żyje we własnym kręgu. Czy to nie zwyczaj dzikusów? Proszę posłuchać! Jedyłą osobą, która utrzymuje kontakty ze światem zewnętrznym, jest kaleka odpowiedzialny za zaopatrzenie. Głuchoniemy, ot co! Nie, to naprawdę dziwne miejsce, zapewniam pana.

– No, no! Można powiedzieć, że miałem szczęście, natykając się na was, zanim postawiłem tam stopę. Chyba przyjmiecie w zamian drobne wynagrodzenie.

Kowal, widząc, że Valentin wkłada rękę do kieszonki, zamachał ogromnymi owłosionymi rękami na znak sprzeciwu i pospiesznie się wycofał. Ponownie chwycił szczypce i młot, po czym wznowił pracę, kując w najlepsze. Tak jakby nagle pożałował, że powiedział za dużo. Inspektor zrozumiał, że lepiej nie nalegać.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak samemu się przekonać – dodał pozornie lekkim tonem. – Gdybyście byli jeszcze tak uprzejmi i wskazali mi drogę...

– Minąwszy mały lasek, dotrze pan do krzyża na rozstaju dróg. Tam należy skręcić w lewą odnogę i iść z biegiem strumienia. Klinika wznosi się na przeciwległym zboczu parowu.

Wskazówki gadatliwego olbrzyma okazały się wyjątkowo precyzyjne, więc Valentin nie miał żadnych trudności z dotarciem do zakładu doktora Tusseau. Informacje uzyskane w kuźni podsyciły ciekawość policjanta. Tak wiele środków ostrożności, żeby się strzec przed ewentualnymi intruzami lub wścibstwem wieśniaków, wydawało się niewspółmierne do samego tylko zagwarantowania spokoju pensjonariuszom. Jeśli natomiast zakład ukrywał jakąś mniej chwalebnią działalność, było to bardziej uzasadnione. Inspektor zaczynał myśleć, że tym razem znalazł obiecujący trop, i nie mógł się doczekać, aż dowie się czegoś więcej o praktykach poczciwego doktora.

Rozległa posiadłość przycupnęła w zagłębieniu terenu, z dala od wszelkiego ruchu. Zgodnie z informacjami kowala z Aulnay ze wszystkich stron otaczał ją mur. Valentin zauważył, że miejscami sięga on prawie trzech metrów wysokości, a jego szczyt jest najeżony ostrymi żelaznymi kolcami. Taka konstrukcja nie tylko uniemożliwiała wszelkie próby wtargnięcia na posesję, lecz także chroniła przed niedyskretnymi spojrzzeniami. Młody inspektor przystąpił do jej okrążania i przekonał się, że jedynym otworem prowadzącym na zewnątrz jest brama wejściowa wychodząca na ścieżkę w dolinie. Gdy się do niej zbliżył, rozległo się głośnie, agresywne szczekanie, mącające bukoliczny spokój tego miejsca. Valentin ledwie zdążył się skryć za jakimś krzakiem, zanim zobaczył dwa rozwścieczone dogi o spienionych pyskach i bezlitosnych ślepiach. Bestie zderzyły się z bramą, kręciły się w kółko, stawały na tylnych łapach i zgrzytały pazurami o metal. Gdzieś za nimi rozległ się krótki okrzyk i oba brytany zawróciły, skowycząc.

Uroczy komitet powitalny, ale trzeba czegoś więcej, żeby mnie zniechęcić, pomyślał Valentin, opuszczając kryjówkę. Zawrócił i dotarł na tyły posiadłości. Wystawał tam ponad mur łupkowy dach o skomplikowanych konturach i z licznymi szczytami. W ciepłe dni musiał być przesłonięty przez listowie parku,

ale dzisiaj, gdyby ktoś znalazł się wystarczająco wysoko, mógłby chyba obserwować klinikę z daleka.

Mając to na uwadze, inspektor zaczął się wspinać po zalesionym zboczu parowu. Śpiew jakiegoś niewidocznego ptaka towarzyszył trelami jego powolnej wędrówce. Lekki wietrzyk przynosił przyjemny zapach mchu i poruszając jesiennymi gałęziami, wywoływał wokół deszcz ostatnich w tym sezonie strzępków złota. W innych okolicznościach Valentin chętnie zwolniłby kroku, żeby kontemplować ten uroczy obraz przepełniony delikatną melancholią, ale jego łowiecki instynkt spychał wszystko inne na dalszy plan. Jakiś cichy głosik szeptał mu do ucha, że nie przyjechał do Aulnay na darmo.

Dotarłszy do połowy zbocza, odwrócił się. Pomiędzy огоłoconymi z liści drzewami, przez sploty gałęzi, miał widok z góry na park i dworek, w którym doktor Tusseau umieścił swoją klinikę. Budynek wznosił się nad brzegiem stawu, po którym, mącąc odbicie kolcolistów i gładką powierzchnię wody, sunęło w ciszy kilka łabędzi.

Valentin ponownie zwrócił uwagę na białe kamienne schody, prowadzące do drzwi wejściowych. U podnóża stopni stała elegancka spacerowa dwukółka. Policjant wyjął z chlebaka marynarską lunetę, rozsunął ją i skierował na powóz. Nie ulegało wątpliwości, sądząc po luksusowym wyposażeniu i dwóch koniach czystej krwi w zaprzęgu, że jest to drogi pojazd, na który mógł sobie pozwolić tylko wielki pan lub szczególnie zamożny człowiek. Valentin uniósł lunetę nieco wyżej i przyjrzał się fasadzie. Okiennice na parterze były otwarte, a prawie wszystkie okna na obu kondygnacjach chronione kratami. Tu i ówdzie można było dostrzec niewyraźne sylwetki krzątające się za zasłonami z białego woalu.

Inspektor postanowił uzbroić się w cierpliwość. Prędzej czy później ktoś musiał się w końcu pojawić, a on mógł zostać w tym miejscu, obserwując klinikę przez cały dzień, a przynajmniej do momentu, aż trzeba będzie złapać ostatni omnibus do Paryża. Usiadł zatem na stercie zeschniętych liści, oparł się wygodnie plecami o pień orzecha i wyjął z kieszeni kurtki srebrną piersiówkę. Spory łyk starego armaniaku rozproszając pokrzepiające ciepło po całym brzuchu.

A teraz, drogi doktorze Tusseau, zobaczmy, co usprawiedliwia zamianę pańskiej kliniki w warowną twierdzę!

Nie musiał czekać do wieczora, żeby coś niecoś zobaczyć. Na początek zauważył, że strażnik z psem na smyczy robi obchód parku w regularnych odstępach czasu. Następnie zorientował się, że personel musi się stołować i niewątpliwie także mieszkać na miejscu, ponieważ nikt nie opuścił posiadłości w porze obiadu. Wreszcie, gdy słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi – rzut oka na zegarek kieszonkowy pozwolił mu stwierdzić, że jest prawie czwarta – drzwi wejściowe się otworzyły i stanął w nich osobnik w błyszczącym brązowym surducie. Valentin skierował lunetę na kościstą twarz i szpiczastą brodę właściciela domu. Nie miał już żadnych wątpliwości – to rzeczywiście był lekarz, którego spotkał w kostnicy przy zwłokach Luciena Dauvergne’a, a następnie zobaczył ponownie na pogrzebie młodzieńca. Medyk najwyraźniej prowadził rozmowę z kimś, kto znajdował się jeszcze wewnątrz budynku. Chwilę później skrzydło drzwi otworzyło się szerzej i na szczycie schodów ukazały się dwie nowe osoby.

Zaciekawiony Valentin wyregulował swój instrument, żeby uzyskać lepszą ostrość. Istota, którą doktor Tusseau traktował z wielką kurtuazją, okazała się mniej więcej trzydziestoletnią kobietą: twarz o wyniosłej urodzie i wspaniałe kasztanowe włosy zwinięte w długie pukle wdzięcznie opadające na ramiona. Pod pelerynką z haftowanego muślinu owa cudowna zjawia nosiła suknię z organdy, z dekoltem w łódkę i bufiastymi rękawami, która byłaby bardziej odpowiednia na spacer po Champs-Élysées niż na wyprawę na wieś. Gawędząc z lekarzem, kobieta okazywała wyraźne ożywienie.

Z kolei trzecia postać trzymała się z tyłu. Był to mężczyzna w czarnym fraku, płaszczu i cylindrze. W ogóle nie brał udziału w rozmowie i wydawało się, że stracił nią zainteresowanie, jakby pogrążył się w odległych myślach, ale kiedy jego towarzyszka dała mu dyskretnie znak po tym, jak wyciągnęła w stronę doktora Tusseau rękę do pocałowania, zareagował natychmiast i wyminął ją na schodach. Jego chód był jednak osobliwy, jednocześnie sztywny i nierówny. Także sposób, w jaki pomógł kobiecie wsiąść do dwukółki, wydawał się niezdecydowany

i niezdarny. Potem mężczyzna powoli okrążył powóz, żeby zająć miejsce obok niej. Na chwilę, kiedy się pochylił, by zwolnić hamulec i chwycić lejce, jego twarz odwróciła się w stronę Valentina. Inspektor doznał wówczas prawdziwego szoku. Natychmiast zrozumiał, dlaczego ruchy nieznajomego wydały mu się tak nienaturalne.

Jego wytrzeszczone oczy były dziwnie, niemal niepokojąco nieruchome. Jakby chodziło o nieobecne spojrzenie człowieka śpiącego na jawie.

³⁴ Omnibusy, które mogły przewozić do dziesięciu pasażerów i umożliwiały mieszczańskim rodzinom dojazd w niedzielę w pobliskie wiejskie okolice w Saint-Cloud, Meudon, Chaville, Montfermeil, Enghien, Antony, Sceaux...

ROZDZIAŁ 26

Czterech na jednego

Wraz z zapadnięciem nocy nad Paryżem zebrały się duże, ciężkie chmury i zerwał się wilgotny wiatr, który omiatał taflę rzeki. Valentin minął klasztor Celestynów i zostawił za sobą budynki Arsenалу, w których, pomimo późnej godziny, wciąż trwały pozory aktywności. Przed nim ciemna bryła wyspy Louviers odcinała się wyraźnie na tle lśniących, pofalowanych wód Sekwany. Od mniej więcej dwudziestu lat miejsce to służyło za skład drewna opałowego. Zabudowania były bardzo nieliczne. Na zachodnim krańcu wyspy znajdowały się biuro administracji składu, mały magazyn i ruiny dawnej manufaktury wytwarzającej guziki, zarekwirowanej w okresie terroru do produkcji broni i porzuconej od tamtego czasu. Co do reszty, nie było tam nic, co mogłoby wzbudzić czyjekolwiek zainteresowanie, ot kilka topoli, rzadkie zarośla i skały. W nocy, po odejściu robotników i tragarzy, wyspa pustoszała.

Idealne miejsce na dyskretne spotkanie... lub też na zasadzkę.

Otulając się szczelniej połami peleryny, by ochronić się przed nocnym chłodem, Valentin wszedł na pont de Grammont nad odnogą rzeczną zwaną Mail. Ów most łączył wyspę z quai de Morland, na prawym brzegu. Kroki inspektora, którym towarzyszyło rytmiczne stukanie laski o drewniany pomost, rozbrzmiewały w ciszy, sygnalizując jego obecność w promieniu mili. Policjant zmrużył oczy i przyjrzał się brzegowi wyspy przed sobą, usiłując dostrzec ewentualny komitet powitalny. Na próżno. Jedyna lampa olejowa oświetlała fasadę baraku

wykorzystywanego w charakterze biura, a jej żółtawy płomień z trudem rozpraszał mrok. Znad wody unosiły się opary, spowijając brzegi sinym całunem.

Przeszedłszy na drugą stronę mostu, inspektor zbliżył się do kręgu światła. Ani śladu czyjejkolwiek obecności, jeśli nie liczyć siedzącego na ławce tuż pod latarnią starego kota dachowca, który uciekł na jego widok. Valentin upewnił się, że drzwi budynku są zamknięte na klucz i nikt nie może się ukrywać w środku. Potem skorzystał z niewielkiej luki w chmurach, żeby przyjrzeć się najbliższemu otoczeniu skąpanemu w świetle księżyca. Rzec by można, że jakiś szary pył pokrył stosy drewna, zarośla i wciąż jeszcze stojące fragmenty ścian starej fabryki. Wydawało się, że wszystko zastygło w swego rodzaju mineralnym szronie, który kojarzył się z opuszczeniem i śmiercią. To złowieszcze wrażenie nie trwało długo, bo w następnej chwili chmury ponownie utworzyły nieprzeniknioną pokrywę i wszystkie szczegóły krajobrazu znów pogrążyły się w ciemności.

Dopiero wtedy Valentin zdecydował się zająć miejsce, które właśnie zwolnił kocur, i wyjął z kieszeni piersiówkę. Ostatni łyk alkoholu, który zawierała, przypomniał mu o długim oczekiwaniu po południu, kiedy to obserwował klinikę doktora Tusseau. W gruncie rzeczy nie miał już żadnych wątpliwości, że lekarz, w taki czy inny sposób, jest odpowiedzialny za śmierć Luciena Dauvergne'a. Osobnik opuszczający posiadłość w towarzystwie pięknej nieznanym sprawiał takie samo somnambuliczne wrażenie, o jakim wspomniała Félicienne, mówiąc o bracie. To nie mógł być przypadek. Wręcz przeciwnie, istniały wszelkie powody, by sądzić, że objawy te były związane z owymi osławionymi „oryginalnymi metodami terapeutycznymi”, którymi lekarz tak się szczycił. Na czym polegały? Czy mogły skłonić młodego człowieka o słabych nerwach do popełnienia samobójstwa? Czy chodziło o zwykły wypadek, czy też o coś innego, czego dokładną naturę należało dopiero ustalić?

Valentin łamał sobie głowę nad tymi wszystkimi pytaniami, gdy gdzieś, w głębokich ciemnościach, rozszczękał się pies. Jakby w odpowiedzi na sygnał, od najbliższych ruin oderwał się jakiś cień. Była to smukła sylwetka, która sunęła

niespiesznie naprzód, kierując się wprost na inspektora. Ten podniósł się z ławki, nie spuszczając zjawy z oka.

No i proszę! Prawdziwe spotkanie czy pułapka, czas się upewnić!

Cień pokonał tylko mniej więcej połowę odległości dzielącej go od policjanta, gdy z mroku wyłonił się kolejny nocny marek. Wychodził ze ścieżki przecinającej wyspę wzdłuż i pozwalającej dotrzeć od wschodu do drugiego wejścia do składu, do którego prowadziła kładka zwana Estacade. Widząc, że ta droga odwrotu jest odcięta, Valentin naturalnie skierował uwagę na pont de Grammont, przez który przyszedł.

Kłęby mgły snujące się wzdłuż niewielkiej odnogi Sekwany nie pozwalały mu się upewnić, czy ta droga nadal jest wolna, nie był jednak zaskoczony, gdy po kilku minutach usłyszał kroki dudniące po drewnianej konstrukcji. Jeśli słuch go nie mylił, było tam dwóch innych mężczyzn, którzy odtąd blokowali mu jakąkolwiek możliwość odwrotu. *Przyjaciół czy wróg?* Biorąc pod uwagę okoliczności, nie wątpił, jaka jest odpowiedź na to pytanie. Zyskał złowróżbną pewność, gdy zdał sobie sprawę, że jednemu z tych odgłosów kroków towarzyszy metaliczne szuranie, które brzmiało znajomo w jego uszach. Był to bowiem ten sam dźwięk, który poprzedził atak na niego w dzielnicy Sainte-Avoie, w dniu, w którym poznał Aglaé Marceau!

To odkrycie mogłoby wywołać u niego atak paniki i z pewnością tak by się stało, gdyby nie przewidział tego rodzaju sytuacji, ale podczas długiej sesji obserwacyjnej w Aulnay miał pod dostatkiem czasu na rozmyślanie o spotkaniu, które rzekomo wyznaczył mu Vidocq. A im więcej się nad tym zastanawiał, tym mniej przekonywała go treść bilecika napisanego jakoby przez tego ostatniego. Jeśli były szef Sûreté naprawdę zamierzały się zobaczyć z jednym ze swoich informatorów, który miał mu coś powiedzieć o Wikarym w opałach, dlaczego zaprosił na to spotkanie Valentina? To nie miało sensu. Równie dobrze mógł mu później przekazać uzyskane w ten sposób informacje i zachować swoje źródła w tajemnicy. No i była jeszcze kwestia czasu i miejsca spotkania. Wyspa Louviers, dokąd nikt się nie udawał po zapadnięciu zmroku. Cóż uzasadniało umówienie się

w tak odludnym miejscu o takiej porze? Chyba tylko pewność, że uda się tam bez przeszkód wyrównać porachunki, oraz łatwość pozbycia się ciała poprzez wrzucenie go do Sekwany.

Wszystkie te rozważania doprowadziły Valentina do jedyne wniosku, jaki się narzucał: chciano go zwabić w prymitywną pułapkę. W omnibusie, który późnym popołudniem zawiózł go z powrotem do Paryża, miał zatem mnóstwo czasu na obmyślenie planu działania. Gdyby poszedł na łatwiznę i kierował się względami bezpieczeństwa, zapewne uprzedziłby komisarza Flancharda, co doprowadziłoby do otoczenia wyspy przez kolegów oraz oddział strażników miejskich. Jednakże takie przemieszczenie sił nie mogło przejść niezauważone, więc równałoby się podjęciu ryzyka, że zaalarmuje tego lub tych, którzy mieli z nim na pieńku. Otóż Valentin dobrze pamiętał atak, którego ofiarą padł we mgle, oraz przeszukanie swojego sekretne gabinetu. Jeśli te wydarzenia były ze sobą powiązane, oznaczało to, że po raz trzeci w ciągu kilku dni ktoś bezpośrednio występował przeciwko niemu. Nie chciał, żeby doszło do czwartego razu, dlatego nie wolno mu było przepuścić nadarzającej się okazji do zdemaskowania przeciwnika lub przeciwników... Choćby nawet wiązało się to z ryzykiem, jakie niektórzy niewątpliwie uznaliby za nadmierne.

Czterech mężczyzn szybko zbliżało się z różnych stron do swojej ofiary. Dopóki znajdowali się w pewnej odległości, w półmroku, dopóty Valentin trwał w absolutnym bezruchu, stojąc dokładnie pod latarnią olejową. Miał pełną świadomość, że stanowi dzięki temu idealny cel, ale rozważył wcześniej wszystkie za i przeciw. Z szopą za plecami i dwoma wyjściami w kierunku prawego brzegu pod kontrolą napastników był osaczony, o czym tamci doskonale wiedzieli. Nie mieli żadnego powodu, by ściągać na siebie uwagę, strzelając do niego. Jeśli skłonili go do przyścia w to odludne miejsce, to właśnie dlatego, że zamierzali z nim skończyć bardzo dyskretnie.

Ustawiając się w półkole, żeby udaremnić jakąkolwiek próbę ucieczki, czterech mężczyzn w końcu dotarli na skraj oświetlonego obszaru. Valentin mógł im się wreszcie dokładnie przyjrzeć. Trzech z nich miało na sobie ubrania robotnicze,

a ostatni strój mieszczanina. Ich twarze były poczernione sadzą, ale inspektor nie miał najmniejszych trudności z rozpoznaniem tego, którego ubiór wskazywał, że jest przywódcą. Ta przysadzista sylwetka, ta krągłość baryłki, te podstępne oczy głęboko osadzone w tłustych powiekach. Pomyłka wykluczona: był to Grand-Jésus, ów sutener, którego sprął dwa tygodnie wcześniej, tuż przed oddelegowaniem do Brygady Bezpieczeństwa przez Flancharda. Pozostali trzej byli mu natomiast zupełnie nieznani. Dwóch z nich wyciągnęło przed siebie przerażające ostrza noży. Ostatni wyglądał na kogoś w rodzaju siłacza o ordynarnej facjacie, który z niepokojącą łatwością wymachiwał ciężkim młotem kamieniarskim. To on lekko utykał, a jeden z jego butów rzeczywiście miał metalowe wzmocnienia, najwyraźniej po to, by zrekompensować deformację stopy. Pomimo tej ułomności wydawał się – i to zdecydowanie – najgroźniejszy z całej czwórki.

– Znów się spotykamy, panie funkcjonariuszu! – Gruby alfons zgrywał zucha, celując w policjanta z imponującego pistoletu kawaleryjskiego. – To niezbyt rozsądne zapuszczać się samotnie o tak późnej porze w tak odludne miejsce. Zwłaszcza gdy lubi się pouczać innych.

Valentin odważył się na krótki ironiczny śmiech. Podbródkiem wskazał twarz przeciwnika, wciąż noszącą ślady lania, które mu sprawił.

– To raczej ty, przyjacielu, powinieneś unikać wychodzenia wieczorem. Z taką pokiereszowaną gębą, gdybyś wpadł na jakiegoś smarkacza, pomyślałby, że widzi Czarnego Luda we własnej osobie.

Grand-Jésus wzruszył pogardliwie ramionami, po czym odwrócił się do swoich kompanów, jakby brał ich na świadków.

– Posłuchajcie go wszyscy! Pan inspektor wciąż ma ochotę dowcipkować. – Potem wzrok grubasa znów spoczął na policjancie, a w głębi jego źrenic lśnił nieprzyjemny błysk. – Jasne, potrafisz być sprytny! Mimo to wpadłeś prosto w pułapkę! Niezła sztuczka z tym bilecikiem podpisanym przez Vidocq'a, co?

Najwyraźniej alfons nie zamierzał się spieszyć. Chciał się delektować tym, co uważał za swoją zemstę. Valentin powiedział sobie, że powinien z tego skorzystać,

by dowiedzieć się jak najwięcej o machinacjach bandy.

– Skąd wiedzieliście, że kontaktuję się z Vidocqiem? – zapytał, nie tracąc z oczu najdrobniejszego ruchu swoich przeciwników.

– Biedny głupku! Co sobie myślałeś? Że możesz się całkiem bezkarnie rozprawić z kimś takim jak ja? Od dwóch tygodni moi ludzie nie odstępują cię na krok. Ponieważ wiedziałem, że tropisz Wikarego, kiedy powiedzieli mi o Vidocqu, od razu pomyślałem, że łącząc te dwie informacje, znajdę sposób, żeby zastawić doskonałą pułapkę.

– Nie wspominając tego, że posunęliście się do włamania do mojego domu i poszperania wszędzie po trochu. To było ryzykowne. Ktoś mógł was zaskoczyć.

Grand-Jésus wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Albo uwaga Valentina naprawdę zbiła go z tropu, albo miał prawdziwy talent aktorski.

– Co ty opowiadasz? – warknął, marszcząc krzaczaste brwi. – W przeciwieństwie do ciebie nie jesteśmy na tyle szaleni, żeby pakować się w paszczę lwa.

– Mniejsza o to. Powiedz mi raczej, co zamierzasz teraz zrobić.

– Jesteś pewien, że nie masz już jakiegoś pojęcia, co się z tobą stanie?

Valentin potarł podbródek, robiąc powątpiewającą minę.

– Cóż, całkiem możliwe. Nie mogę jednak uwierzyć, że jesteś na tyle głupi, by wyobrazić sobie, że mógłbyś się porwać na inspektora policji, nie ponosząc za to, prędzej czy później, konsekwencji. W Paryżu w końcu wszystko wychodzi na jaw.

Grubas zarechotał złowieszczo.

– Żeby oskarżyć kogoś o morderstwo, trzeba jeszcze mieć trupa. – Wskazał na kolosa, który nie przestawał obracać w dłoniach swojego narzędzia niczym jarmarczny zapaśnik pragnący zadziwić pospólstwo. – Petit-Pierre nie był zbyt zachwycony tamtego wieczoru, kiedy przebiłeś mu skórę. Z jego rany sikała krew. Od tamtego czasu marzy tylko o tym, żeby dorwać cię w swoje ręce. Kiedy z tobą skończy, twoje ciało zmieni się w miazgę. Ryby w Sekwanie będą miały ucztę.

– Pewnie, zrobię z niego mięso mielone, ot co! – Niejaki Petit-Pierre uznał za stosowne to potwierdzić, po czym splunął w każdą dłoń i uniósł młot nad głowę.

– Chwileczkę! – wmieszał się Grand-Jésus, powstrzymując kompana wyciągniętą ręką. – Lepiej uniknąć przykrych niespodzianek. Twoja laska-szpada, rzuć ją tutaj. Jak rozumiem, chyba trochę za dobrze sobie z nią radzisz.

Valentin wziął głęboki oddech. To była decydująca chwila. Ta, na którą się przygotował, robiąc dwie godziny wcześniej pierwszy szybki wypad na wyspę Louviers. Chodziło o to, żeby zapoznać się z tym miejscem i zapobiec wszelkim podstępnyom ciosom. W ciągu kilku sekund miał się dowiedzieć, czy nie zgrzeszył nadmierną pewnością siebie. Jeśli tak, to w każdym razie nie będzie miał wcale czasu, żeby tego pożałować.

Jakby posłuszny nakazowi Grand-Jésusa, który nadal groził mu pistoletem, puścił rękojeść laski i chwycił ją za drugi koniec. Zamiast jednak rzucić broń do stóp napastników, nagle podniósł ją pionowo i posłużył się nią do rozbicia lampy olejowej. W jednej chwili pięciu mężczyzn ogarnęły nieprzeniknione ciemności.

Korzystając z efektu zaskoczenia, Valentin wyciągnął zatknięty za pas pistolet i natychmiast oddał dwa strzały w kierunku miejsca, gdzie stał Petit-Pierre. Chciał mieć pewność, że od razu unieszkodliwi olbrzyma, bo gdyby takiemu osiłkowi udało się przyprzeć go do muru, byłoby po nim. Po dwóch detonacjach rozległo się przeraźliwe rżenie, a zaraz potem odgłos runięcia na ziemię ciężkiej masy.

– Do diabła! – wrzasnął Grand-Jésus w ciemnościach. – Ten demon właśnie ukatrupił Petit-Pierre’a. Wy dwaj, nie dajcie mu czasu na przeładowanie! Zabić go! Zabić go!

Policjant rzucił bezużyteczny już pistolet i kierował się głosem. Chwilowo laska-szpada też w niczym nie była mu pomocna, bo nie mógł stawić czoła jednocześnie trzem mężczyznom, z których jeden miał broń palną. Na całe szczęście dysponował innymi środkami, które ukrył na miejscu podczas pierwszej wizyty. Wsunął obie ręce pod ławkę opartą o rudere i wyciągnął stamtąd parę pistoletów żandarmerii, już załadowanych i gotowych do strzału. Gdy dwaj

bandyci, zachęceni napomnieniami herszta, podeszli bliżej, dźgając nożami powietrze, jego oczy zdążyły już przywyknąć do otaczających ciemności. Z pistoletem w każdej dłoni, przyklękawszy na ziemi, żeby zapewnić sobie odpowiednią stabilność, spokojnie wycelował w oba poruszające się cienie. Z luf jednocześnie błysnął ogień. Rażeni gromem nieszczęśnicy zwalili się na wznak, nawet nie wydając z siebie krzyku.

Stojący ledwie jakieś dziesięć kroków dalej Grand-Jésus dostrzegł upadek współników. Poczuł, że lodowaty dreszcz przebiega mu po kręgosłupie. To jakiś koszmar! Przeżywał prawdziwy koszmar. W ciągu kilku sekund ten przekłety policjant zabił właśnie jego trzech najlepszych ludzi. Teraz znalazł się sam na sam z tym aniołem zagłady.

Przerażony, gorączkowo przeszukiwał wzrokiem otaczające go ciemności. Wydawało się, że ten drugi zniknął. Ściskając pistolet w obu drżących dłoniach, wycelował go w ciemniejszą bryłę szopy i zaczął się tyłem oddalać. Liczył, że gdy tylko uzna, iż jest wystarczająco daleko, weźmie nogi za pas, żeby dobiec do pont de Grammont i rozplątać się w wąskich uliczkach dzielnicy Le Marais.

Z bezgraniczną wściekłością i rozpaczą przeszywał spojrzeniem mrok, bojąc się w każdej sekundzie, że jego wróg wyskoczy przed nim niczym diabeł z pudełka. Krew pulsowała mu wściekle w skroniach na tyle mocno, że nie zwrócił uwagi na lekki szelest trawy po swojej lewej stronie. Jego panika była tak wielka, że zdominowała wszystkie inne odczucia. W rezultacie nie od razu zrozumiał, skąd bierze się intensywne ciepło, które ogarnia całe jego ciało. Zrobił jeszcze jeden czy dwa chwiejne kroki. Teraz prawdziwy język ognia rozdzierał mu wnętrzności. Zanim się zorientował, jego pięści otworzyły się w wyniku niekontrolowanego skurczu i upuścił broń.

Chwilę później Grand-Jésus opadł na kolana w trawę. Usta otworzyły się na całą szerokość, by łapczywie chwytać powietrze, jak zrobiłaby to ryba wyciągnięta z wody. Wstrząsnęła nim czkawka i zwymiotował strumieniem krwi. Jego głowa pochyliła się do klatki piersiowej. Dopiero wtedy ten obrzydliwy osobnik spuścił

oczy i ostatnią rzeczą, jaką zobaczył na tym świecie, było długie, cienkie ostrze ze stali, które wyłaniało się z jego kamizelki na wysokości serca.

ROZDZIAŁ 27

Pamiętnik Damiena

Myliłem się.

Mówiłem sobie, że po upływie całego tego czasu – miesięcy, lat – Wikaremu musi trochę na mnie zależeć. Och, oczywiście na Jego sposób. Gwałtowny, wyłączny, wstrętny i odpychający. Ale w końcu zacząłem tak o tym myśleć. Powtarzałem sobie, że to właśnie dlatego zmusił mnie do zabicia panny Louise. Żeby nie musiał się mną dzielić. Bo nie tolerował nikogo między nami dwoma.

Myliłem się. Zrozumiałem to w następnych dniach po przerażającej śmierci swojej czworonożnej towarzyszk... kiedy w piwnicy pojawił się ten *Drugi*...

Byłem wtedy w opłakanym stanie. Za dużo wyrzeczeń, za dużo udręki, za dużo rozpacz i żalu. W końcu nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Nieustannie trzęsły mi się ręce i miałem wrażenie, że trawi mnie jakiegoś rodzaju gorączka, chociaż moje czoło, gdy go dotykałem, nie wydawało się cieplejsze niż zwykle.

Zdezorientowany i ogłupiały, już nie potrafiłem zaznać odpoczynku. Przez całą noc siedziałem na sienniku, kołyszając niestrudzenie górną częścią ciała, jakbym chciał się sam ululać. W ciągu dnia zapadałem w połowiczną śpiączkę, kiedy to po fazach czuwania, gdy nie mogłem powstrzymać łez, następowały fazy raczej omdlenia niż snu, z których wychodziłem jeszcze bardziej wyczerpany, w stanie drętwoty i niewyobrażalnego otępienia.

Właśnie po jednym z tych okresów utraty świadomości zdałem sobie sprawę, że nie jestem już jedynym więźniem w piwnicy.

Nie nastąpiło to od razu. O nie!

Dochodziłem do siebie stopniowo. Jakieś imadło ścisnęło moje skronie. Mdłości sprawiały, że miałem ochotę zwymiotować, a za każdym razem, gdy próbowałem podnieść powieki, dziesiątki igieł przesywały mój mózg. Przewróciłem się na bok, żeby ukryć twarz w kocach, które cuchnęły stęchlizną, i przyłożyłem zaciśnięte pięści do zamkniętych oczu. Przyciskałem je bardzo długo, aż czerwone plamy zaniechały swej szalonej sarabandy. Dopiero wtedy powoli odsunąłem palce.

Smugi światła prążkowały półmrok panujący w piwnicy. Wydało mi się, że dostrzegam ludzką postać leżącą na ziemi, lecz uznałem, że padłem ofiarą złudzenia. Z pewnością głowa płatała mi figle. Ponownie zamknąłem oczy i czekałem, aż zawroty osłabną. Kiedy odważyłem się spojrzeć ponownie, ów kształt wciąż tam był.

Ciało chłopca.

Gdy chrząknąłem, wstając, ten *Drugi* też się obudził i usiadł na stercie starych szmat, które służyły mu za posłanie. Blond włosy, jak moje, ale twarz bardziej zacięta. Silniejszy charakter.

Tak, jasnowłosy chłopiec... ale nie taki jak ja. Starszy, wyższy, także silniejszy.

– Kim... Kim jesteś?

Nie było odpowiedzi. Ten *Drugi* wpatrywał się we mnie uważnie, lecz udawał, że mnie nie słyszy. Serce zaczęło mi kołatać w piersi jak szalone. Byłem rozdarty między niedowierzaniem a strachem wywołanym wtargnięciem tego obcego do świata, który wydawał mi się skostniały na zawsze.

– Jak się tu dostałeś? Czy to Wikary? To On cię uwięził?

Ale jasnowłosy chłopiec nadal się nie odzywał. Zadowalał się obserwowaniem mnie w milczeniu. W jego oczach w ogóle nie było lęku. Tylko spokojna ciekawość, zabarwiająca się, w miarę postępów jego inspekcji, czymś, co wydało mi się odrobiną ironii. Nie wiedziałem, jak się zachować. Nie miałem odwagi się do niego zbliżyć. Jego niezrozumiałe milczenie wraz z upływem kolejnych minut

wywoływało we mnie głęboki niepokój. Kim był? Dlaczego nic nie mówił? Czy stanowił dla mnie jakiegokolwiek zagrożenie?

Nie wiem, jak długo tak trwaliśmy, patrząc na siebie niczym fajansowe pieski, niemal rzucając sobie wyzwanie wzrokiem. W mojej głowie kłębiło się mnóstwo myśli. Wikary zrozumiał, że samotność mnie przytłacza, i w końcu postanowił dać mi towarzysza. Ten nieszczęśnik miał odtąd dzielić ze mną niewolę. Zmieszanie chwilowo uniemożliwiało mu reakcję, ale prędzej czy później nawiążemy w końcu kontakt inny niż wzrokowy. Nasza wspólna niedola mogła nas tylko do siebie zbliżyć. Czułem jednak w jakiś niewytłumaczalny sposób, że jesteśmy zbyt różni, żeby móc się naprawdę zrozumieć. Za tą nieprzeniknioną twarzą kryły się surowość i dzikość, które sprawiały, że ścisnęło mnie w gardle. Stopniowo zacząłem szukać innego wytłumaczenia jego obecności w piwnicy.

I ostatecznie je znalazłem.

Wikary wcale nie próbował złagodzić mojego uwięzienia. Wręcz przeciwnie, miał mi za złe, że zataiłem przed Nim istnienie panny Louise, i postanowił mnie zastąpić. Ten *Drugi* miał zająć tu moje miejsce. Wygryźć mnie. Co się miało stać ze mną? A co się robi z zabawką, która przestała się podobać?

Sparaliżowała mnie trwoga. Wydawało mi się, że mój oddech ogranicza się do cienkiej strużki powietrza. Płuca mi płonęły. Dusilem się. Chciałem bębnić w drzwi piwnicy i wołać Wikarego, żeby błagać Go o przebaczenie, ale nie mogłem wstać, a tym bardziej chodzić. Miałem nogi jak z waty. Opadłem z sił. W desperacji osunąłem się na ziemię i zacząłem pełzać po klepisku. Pragnąłem za wszelką cenę dotrzeć do schodów, które prowadziły do zamkniętych na kłódkę drzwi, chociaż dobrze wiedziałem, że nie będę w stanie się na nie wspiąć.

Właśnie wtedy *Drugi* zaczął się śmiać.

Był to przykry śmiech, ostry jak krzew jeżyn. Odwróciłem się. Nieznajomy stał z rękami opartymi na biodrach i śmiał się na całe gardło, patrząc, jak wiję się na ziemi. W jego oczach zobaczyłem siebie przypominającego nędznego robaka.

Nieistotną małą rzecz, którą można zmiażdżyć pod obcasem, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

I tak nawiązaliśmy znajomość jeden z *Drugim*.

ROZDZIAŁ 28

Wszystko zaczyna nabierać kształtów

– A zatem masakra na wyspie Louviers zeszłej nocy to pańska sprawka?

– Owszem, moja.

– A niech to diabli! Kiedy postanawia pan posprzątać, nie patyczkuje się pan z nikim! Powiedziano mi, że w prefekturze skłaniają się ku wersji o porachunkach między rywalizującymi bandami.

– Nie ja będę ich wyprowadzał z błędu. Lepiej unikać skomplikowanych wyjaśnień. Grand-Jésus miał coś do mnie od czasu drobnego nieporozumienia między nami. Prawdopodobnie to on narobił zamieszania w półświatku w tych ostatnich dniach, żeby zebrać informacje na mój temat.

– Nie powiem niczego nowego, ostrzegając, że sporo pan ryzykuje, jeśli przełożeni odkryją, że załatwia pan własne porachunki za ich plecami i poza wszelkimi ramami prawnymi. Aż za dobrze wiem, że teraz ucina się głowy, które wystają ponad prefekturę policji! Mimo to nikt nie będzie żałował zniknięcia Grand-Jésusa. Ten łajdak robił nielegalne interesy z sierocińcami, żeby dostarczać chłoptasiów tym panom z wyższych sfer. Niech się smaży w piekle!

Vidocq poparł przekleństwo wymownym gestem. On i Valentin znajdowali się w mieszkaniu tego drugiego. Usadowieni wygodnie przy miłym ogniu płonącym na kominku, palili cygara i sączyli stary koniak beczkowany przed rewolucją.

– Zapomnijmy na chwilę o tej kanalii – powiedział Valentin. – Jeśli prosiłem pana o spotkanie, to dlatego, że mam coś nowego w sprawie, którą się obecnie

zajmuję.

– Tak, wiem, o co chodzi. O samobójstwo syna Dauvergne’a.

– Diabeł wcielony! Jak się pan tego domyślił? Przecież nie wspomniałem o tym ani słowem, kiedy przyjechałem do Saint-Mandé.

– Zwykle zestawienie informacji – odparł wymijająco były skazaniec. – Skoro już się znamy, powinien pan wiedzieć, że robienie tajemnic z byle czego jest przy mnie prawie niemożliwe. Ale jak rozumiem, był pan również bardzo zainteresowany śmiercią tego szaleńca, niejakiego Tirancourta.

– W rzeczywistości chodzi o tę samą sprawę. Otrzymałem potwierdzenie dzisiaj rano. Siostra Luciena Dauvergne’a zawiadomiła mnie, że jej brat i Tirancourt spędzili pewien czas w klinice doktora Tusseau, w tygodniach poprzedzających ich nagłą śmierć.

– Jak się tego dowiedziała?

– Mimo młodego wieku jest osobą zdeterminowaną i niczego się nie boi. Poprosiłem ją, żeby nieco powęszyła, gdy pojedzie do Val d’Aulnay, gdzie obecnie przebywa jej matka. Zdołała skłonić do mówienia jedną z sióstr odpowiedzialnych za opiekę nad pensjonariuszami. Zarówno Dauvergne, jak i Tirancourt korzystali z terapii doktora Tusseau i niedługo później obaj popełnili samobójstwo w dramatycznych okolicznościach, jak pan wie.

– No, no...

– Jestem przekonany, że nie chodzi o zwykły zbieg okoliczności. Właśnie dlatego ponownie się z panem skontaktowałem. Czy udało się już panu uzyskać jakieś użyteczne informacje na temat tego lekarza i jego praktyk, które wydają się co najmniej nieortodoksyjne?

Valentin natychmiast po otrzymaniu krótkiego bilecika od Félicienne wysłał gońca do Saint-Mandé, prosząc Vidocq’a o zebranie informacji na temat Edmonda Tusseau i przyjście, gdy tylko dowie się czegoś interesującego. Dawny szef Sûreté wykazał się gorliwością, bo zjawił się pod drzwiami inspektora jeszcze tego samego dnia, późnym popołudniem.

– Tusseau jest lekarzem bardzo znanym w stolicy – powiedział, wychyliwszy jednym łykiem resztę koniaku ze swojego kieliszka. – To zresztą paradoksalne, bo ten osobnik zalicza się raczej do gatunku dyskretnych. Można by się nawet posunąć do stwierdzenia, że ma upodobanie do sekretów. Mimo to w ciągu kilku lat zyskał klientelę z najwyższych sfer. Jego pacjenci należą do śmietanki towarzyskiej: parlamentarzyści, urzędnicy państwowi, pisarze, bankierzy, kupcy... Wygląda na to, że nasz poczciwy doktor Tusseau ma prawdziwy dar szybkiego stawania się niezastąpionym dla tych, którzy odwołali się do jego talentów.

– Rzeczywiście, to właśnie dała mi do zrozumienia Félicienne Dauvergne – potwierdził Valentin, strzepując popiół z cygara do srebrnego kubka. – Dziewczyna twierdzi, że jej ojciec w ciągu kilku tygodni dosłownie oszalał na punkcie Tusseau, choć mogę pana zapewnić, że deputowany Dauvergne nie ma łatwego charakteru. Nie jest człowiekiem, który szybko obdarza innych zaufaniem.

– Nie on jeden uległ urzekającej mocy lekarza. Jak już panu wspomniałem podczas naszego poprzedniego spotkania, Tusseau afiszował się nawet przez pewien czas u boku Émilie de Mirande, zanim ustąpił miejsca wicehrabiemu de Champagnacowi. Krótko mówiąc, oto uczeń Eskulapa, który obraca się wśród całej elity politycznej i towarzyskiej!

Ponieważ płomienie straciły na intensywności, gospodarz podszedł do kominka. Rozżarzone węgle ledwie błyszcząły, sypiąc z rzadka iskrami, więc przystąpił do rozgarniania paleniska pogrzebaczem i dorzucił dwa nowe polana. Gdy ogień znów gwałtownie zapłonął, inspektor wstał i odwrócił się w stronę swojego gościa, doceniając łagodne ciepło, które ogrzewało mu krzyż.

– Jeśli dobrze pana rozumiem – powiedział, marszcząc czoło – Tusseau okazał się wystarczająco przebiegły, żeby zapewnić sobie potężną protekcję. Lepiej zatem mieć solidne atuty w rękawie, jeśli chce się go o coś obwinić.

– Nie zaprzeczę, mój drogi. Inna sprawa, że ten osobnik wzbudza kontrowersje. Zwłaszcza na łonie własnej profesji. Miał już na pieńku z Wydziałem Medycyny. Zresztą po części z tego właśnie powodu porzucił swój paryski gabinet, żeby założyć tę osławioną klinikę w Val d’Aulnay.

– A to ciekawe. Z czego wynikała krytyka jego kolegów po fachu?

Vidocq wzruszył ramionami i wyciągnął z rozkoszą nogi w stronę kominka.

– Słowo daję – odparł – nie za bardzo znam się na medycynie, ale sądzę, że zarzucano mu stosowanie praktyk terapeutycznych potępianych przez Akademię Medyczną. Słyszał pan już o magnetyzmie zwierzęcym?

– Wiem, że chodzi o doktrynę medyczną spopularyzowaną we Francji pod koniec ubiegłego wieku przez wiedeńskiego lekarza, który nazywał się Mesmer. Stała się przedmiotem oficjalnego potępienia tuż przed rewolucją, ale niektórzy lekarze podobno nadal ją stosują, mniej lub bardziej potajemnie.

– No cóż, pański Tusseau chyba też się do nich zalicza, przynajmniej jeśli wierzyć powszechnym pogłoskom. Prawdę mówiąc, używa rzekomo całkiem osobistej metody, zainspirowany pracami innego lekarza, Alexandre’a Bertranda. Jest on jednym z założycieli dziennika „Le Globe” i dostarcza redakcji artykuły naukowe.

– Ma pan jakieś wyobrażenie, na czym polega ta osławiona metoda?

– Najmniejszego! Na pana miejscu przeszedłbym się jednak któregoś dnia pasażem Choiseul, gdzie mieszczą się biura gazety. Ten Bertrand z pewnością będzie mógł to panu wyjaśnić.

Valentin z trudem skrywał podniecenie. Wrzucił niedopałek cygara do paleniska i zatarł radośnie dłonie, już kierując się w stronę drzwi palarni-biblioteki.

– Po cóż odkładać to na później? Wyruszam od razu! Przy odrobinie szczęścia złapię tam tego Bertranda, a jeśli nie, to z pewnością uzyskam jego adres.

Vidocq, nadal rozparty w fotelu, zaciągnął się głęboko cygarem i zerknął z zasmuconą miną na swój pusty kieliszek oraz na karafkę z koniakiem. Odblaski płomieni ożywiały odcienie skóry i starego złota mieniące się na powierzchni trunku.

– Ależ panu nagle spieszo biegać po zimnie! Nie chce pan, żebym zrelacjonował, czego się dowiedziałem o tej aktorce z bulwaru, pannie Marceau?

Valentin stanął jak wryty, niemal zaskoczony przejmującym ukłuciem w piersi, do którego wywołania wystarczyło to zwykłe nazwisko.

– Aglaé? Odkrył pan coś ciekawego na jej temat?

– Prawdę mówiąc, niewiele, ale raczej tego typu, że powinno to pana uspokoić, bo jak zrozumiałem, ta piękność chyba nie jest panu obojętna... Ależ ten kominek wydziela piekielne ciepło. Całkiem zaschło mi w gardle. Pozwoli pan? – Wskazał podbródkiem karafkę z alkoholem i nie czekając na pozwolenie gospodarza, chwycił ją, żeby hojnie napełnić swój kieliszek. Potem pociągnął spory łyk i mlasnął. – Moje gratulacje! Ma pan dobry gust. Człowiek jest w siódmym niebie, gdy tak gładko spływa mu to po gardle.

– Do rzeczy, Vidocq! Do rzeczy! Co ma mi pan do powiedzenia na temat Aglaé?

Dawny skazaniec, dawny policjant, świeżo upieczony kupiec i wciąż poniekąd oszust, zrobił lekko ironiczną minę. Rzecz by można, że gruby kocur rządzi niepodzielnie na swoim terytorium i napawa się przewagą zdobytą nad współbiesiadnikami. Potem zaczął recytować, przerywając każde zdanie łykiem koniaku:

– Ta mała ma dwadzieścia dwa lata. Przyjechała ze swojej rodzinnej Lotaryngii przed czterema laty i szybko zaczęła dostawać drobne rólki w różnych bulwarowych teatrach. Zwróciła na siebie uwagę *madame* Saqui, która zaangażowała ją w marcu tego roku. To najwyraźniej poważna dziewczyna. W przeciwieństwie do większości aktorek stroni od przyjęć i kolacyjek, które często odbywają się po przedstawieniach. Nic nie wiadomo o jakimś prawdziwym związku, mimo że tej piękności nie brakuje adoratorów. Zresztą ostatnim był syn Dauvergne'a, przestał się jednak z nią spotykać kilka tygodni przed śmiercią.

– Żadnych podejrzanych przyjaźni albo znajomości związanych z jakąś partią polityczną?

– Nie natrafiłem na najmniejszy ślad. Jeśli ta Aglaé pana interesuje, mogę pana uspokoić: droga wolna. Ale uwaga, ślicznotka raczej nie jest z tych przystępnych!

Mimo niezaprzeczalnych atutów, którymi tak hojnie obdarzyła pana natura, podbój wcale nie będzie łatwy!

Valentin nie zadał sobie trudu, żeby wyprowadzić Vidocq'a z błędu. W gruncie rzeczy mało go obchodziło, że tamten przypisuje mu jakieś zamiary względem dziewczyny. Wiadomość, że Aglaé nie ma nic z intrygantki, wystarczyła, by go w tamtym momencie uszczęśliwić, i przyniosła mu znaczną ulgę. Ale jedno pytanie nadal trzymało inspektora w niepewności: jeśli to nie była ona, to kto zakradł się do jego sekretnego gabinetu? Chwilowo miał jednak sporo innych spraw na głowie. Rzucił się do wyjścia, chwytając w locie pelerynę, laskę i kapelusz.

– Dziękuję za te wszystkie informacje! – krzyknął z drugiego końca domu. – Pędzę do redakcji „Le Globe”. Proszę korzystać z ognia na kominku i z koniaku. Wystarczy, że uprzedzi pan konsjerża, wychodząc. Ma duplikat kluczy i zajmie się zamknięciem mieszkania.

Słyszac trzaśnięcie drzwiami, Vidocq uśmiechnął się szeroko z zadowoleniem. Nalał sobie kolejny kieliszek, wybrał nowe cygaro z cennej inkrustowanej szkatułki, zapalił je starannie i zaciągał się z rozkoszą dymem, rozsiadając się wygodnie w fotelu. *Ach, młodość! Że też i ja nie mam wciąż dwudziestu lat!*

Ledwie Valentin wyszedł z kamienicy, zaczął się rozglądać za dorożką, żeby jak najszybciej zawiozła go na prawy brzeg. Był piątkowy wieczór i jeszcze nie wybiła siódma, więc przy odrobinie szczęścia większość redaktorów powinna wciąż przebywać w siedzibie „Le Globe”, opracowując koncepcję dwóch numerów, które miały się ukazać w sobotę i w niedzielę.

Jesień zużyła swoje ostatnie zapasy ciepła i od poprzedniego wieczora w Paryżu panowała szara, deszczowa aura. O tej późnej porze ulice dzielnicy były opustoszałe. Nieliczni przechodnie, których mijał inspektor, sprowadzali się do przemykających postaci zakutanych w grube płaszcze. Na placu Saint-Sulpice brygada robotników zajmowała się wymianą starych olejowych lamp ulicznych o dwóch knotach na latarnie gazowe dające pięć płomieni. Mężczyźni, zmuszeni kontynuować pracę w przenikliwym deszczu, patrzyli krzywym okiem albo z lekką

zazdrością, jak przechodzi obok nich w eleganckim ubraniu. Ostatecznie znalazł wolną dorożkę dopiero po dotarciu przed siedzibę Izby Parów przy rue de Vaugirard. Woźnica drzemał na koźle, z kawałkiem ceraty zarzuconym na głowę i ramiona w charakterze peleryny. Valentin musiał nim potrząsnąć, żeby wyruszyć w drogę.

Kazał się wysadzić na rue des Petits-Champs, na wysokości jednego z wejść do pasażu Choiseul. To w tej zadaszanej galerii, wzniesionej niedawno z inicjatywy banku Mallet, która szybko stała się jednym z najchętniej odwiedzanych miejsc w Paryżu, urządziła pod numerem 75 swoje biuro redakcja „Le Globe”. Ów dziennik, pod kierownictwem Dubois, a potem Rémusata, okazał się jednym z głównych organów opozycji przeciwnej polityce Karola X i zdeklarowanym przeciwnikiem ministra Polignaca. Po rewolucji lipcowej większość redaktorów, orleanistów z przekonania, opuściła gazetę i wielu z nich nowy reżim zaproponował oficjalne, lukratywne stanowiska. Postawiony przez jakiś czas w stan likwidacji „Le Globe” właśnie kilka dni wcześniej wznowił działalność pod nowym kierownictwem, które pragnęło uczynić zeń rzecznika saintsimonizmu³⁵.

Nie tracąc czasu na podziwianie wspaniałego przeszklonego dachu albo marmurowych pilastrów, między którymi znajdowały się liczne modne sklepiki, Valentin dotarł dużymi krokami do redakcji dziennika. Zastał tam ul w stanie wrzenia, w którym kłębili się, w dymie fajek i cygar, cała dziennikarska fauna przypominająca cyganerię oraz zaaferowani zecerzy. Inspektor zatrzymał jednego z nich, przedstawił się i zażądał rozmowy z Alexandre’em Bertrandem. Pracownik przyjrzał mu się zaintrygowany, ale bez okazywania prawdziwej niechęci. Odkąd rząd Ludwika Filipa przywrócił wolność prasy, policja nadal była źle widziana w redakcjach, ale przynajmniej nie zaliczano jej już w poczet wrogów do odstrzału.

Ku wielkiej uldze Valentina mężczyzna w końcu wskazał mu coś w rodzaju przeszklonej klitki w głębi sali redakcyjnej. Doktor Bertrand zaszył się tam, żeby zaznać choć trochę spokoju, i usiłował nadać ostatni szlif swojemu sprawozdaniu z posiedzeń Akademii Nauk, które miało się ukazać w niedzielnym wydaniu.

Lekarz był trzydziestolatkiem o szerokim inteligentnym czole i rysach umyślnie obramowanych imponującymi bokobrodami. W opiętym, grubym wełnianym surducie, z kołnierzykiem koszuli uniesionym przez białe, kilkakrotnie zawiązany krawat, zgrzytał nerwowo piórem po papierze, z wyraźnym wysiłkiem próbując się skupić mimo wszechobecnego gwaru.

Gdy Valentin przedstawił mu w paru słowach powód swojej wizyty, pokiwał głową z fatalistyczną miną.

– O ja nieszczęsny! – westchnął, rzucając gęsie pióro gestem zniechęcenia. – Zdecydowanie nie jest mi sądzone mieć godzinę spokoju, żeby dokończyć ten artykuł! Co dokładnie chce pan wiedzieć na temat magnetyzmu zwierzęcego?

– Prawdę mówiąc, wszystko, czego zdołałbym się od pana dowiedzieć, może posunąć naprzód dochodzenie. Moja wiedza w tej materii ogranicza się mniej więcej do tych tajemniczych słów i do samego nazwiska Mesmera.

– Pozwoli pan zatem, że cofniemy się do początku. Mesmer studiował medycynę na Uniwersytecie Wiedeńskim, a do Paryża przybył w 1778 roku, poprzedzany dość kontrowersyjną reputacją uzdrowiciela, i bardzo szybko opracował z pewnym powodzeniem oryginalną metodę terapeutyczną. Według niego miałyby istnieć w organizmie jakiś naturalny fluid magnetyczny, którego wewnętrzne blokowanie leżałoby u podstaw rozmaitych chorób. Rola terapeuty polegałaby zatem na magnetyzowaniu pacjenta, żeby doprowadzić do skondensowania owego fluidu, i ponownym rozprowadzeniu go w celach leczniczych. By to osiągnąć, Mesmer zaczął od stosowania magnesów, a potem balii, w której zanurzał kilkoro ze swoich pacjentów i która miała pełnić funkcję zasobnika energii. Faktem jest, że pewne osoby należące do śmietanki towarzyskiej, poddane tej wyjątkowo osobliwej kąpiei, miały prawdziwe napady, podczas których traciły wszelką kontrolę nad sobą, do tego stopnia, że dostawały drgawek. Ta metoda wkrótce podzieliła środowisko medyczne. Niektórzy widzieli w Mesmerze pospolitego szarlatana, inni natomiast uważali, że rewolucjonizuje medycynę.

– A jak to właściwie było?

– Jak niemal zawsze, prawda leży dokładnie pośrodku. Błąd wiedeńskiego lekarza polegał na tym, że chciał za wszelką cenę oprzeć swoją metodę na wątpliwej rzeczywistości fizycznej i psychologicznej: na istnieniu tego osławionego fluidu magnetycznego. To właśnie doprowadziło, w 1784 roku, do sprzeciwu Akademii Nauk oraz Królewskiego Towarzystwa Medycznego. Ostatecznie Mesmer, zmęczony walką ze sceptykami, wrócił do ojczyzny, ale potem jeden z jego najwierniejszych uczniów, markiz de Puységur, nieco zmienił jego metodę. Jako pierwszy twierdził, że pozytywne rezultaty uzyskane u niektórych chorych należy przypisać temu, iż byli oni pogrążeni w nieznanym stanie świadomości, który ochrzcił mianem snu magnetycznego.

Valentin się wzdrygnął.

– Czyżby chodziło o jakąś szczególną postać somnambulizmu?

– Niezupełnie, chociaż oba te stany są niewątpliwie do siebie zbliżone – odparł doktor Bertrand, który zdawał się całkowicie zapomnieć o niedokończonym artykule, bo temat rozmowy coraz bardziej go wciągał. – Ja sam spędziłem długie lata na badaniu tych zjawisk i poświęciłem im kilka dzieł³⁶. Doszedłem w nich do wniosku, że fluid magnetyczny jest urojeniem, za to formy warunkowania wprowadzone przez Mesmera, a następnie rozwinięte przez Puységura, mogą się okazać skuteczne w medycynie, zwłaszcza w pokonywaniu niektórych rodzajów bólu. Jestem przekonany, że można je wyjaśnić pewnego typu świadomym snem, w którym zasadniczą rolę odgrywają wyobrażenia i sugestie.

– Chce pan przez to powiedzieć, że byłoby możliwe uzależnienie pacjentów w celu oddziaływania na ich odczucia?

– A nawet więcej – orzekł lekarz. – Od wielu lat prowadzę ożywioną korespondencję z kilkoma praktykami w Europie, których działalność jest mniej lub bardziej jawnie zainspirowana pracami Mesmera. Najważniejsi z nich to pewien portugalski ksiądz, opat Faria, oraz szwajcarski magnetyzer nazwiskiem Lafontaine. Obaj wprowadzają ludzi, którzy przychodzą zasięgnąć u nich porady, w taki właśnie sen na jawie i w ten sposób udaje im się nie tylko modyfikować ich odczucia, lecz także wywoływać pewne działania z ich strony. Najbardziej

zdumiewające jest to, że po przebudzeniu te osoby podobno nie zachowują żadnych wspomnień czynności wykonywanych niezależnie od własnej woli.

Słyszając te wyjaśnienia, Valentin nie potrafił powstrzymać dreszczu niepokoju, z którym mieszała się odrobina odrazy. Nie sposób było nie brać pod uwagę przyprawiających o zawrót głowy możliwych konsekwencji takich manipulacji umysłem w działalności przestępczej.

– Jak można wywołać ten stan wzmożonej wrażliwości na sugestie innej osoby?

– Doskonałe pytanie, panie inspektorze! – wykrzyknął Bertrand, udając, że klaszcze. – Nie sądziłem, że zwykły policjant będzie gotów przyswoić sobie te kwestie. Ten aspekt wywoływania transu znacznie ewoluował od czasów Mesmera. Inny z moich korespondentów, szkocki lekarz James Braid, deklaruje, że jest zwolennikiem nowych technik indukcji, i twierdzi, że potrafi wywołać świadomy sen, wpływając na ośrodki nerwowe. W tym celu proponuje niesłychaną metodę zmierzającą do zmieniania możliwości umysłu poprzez zmuszanie wzroku do skupienia się na jakimś błyszczącym przedmiocie. Nazwał tę metodę hipnozą.

Tym razem Valentinowi na chwilę całkiem zamarło serce. Teraz zdecydowanie wszystko nabierało sensu: objawy prezentowane przez Luciena Dauvergne'a w tygodniach poprzedzających samobójstwo, te same oznaki zaobserwowane u nieznanego, który pojawił się w drzwiach kliniki doktora Tusseau, nagłe napady u Dauvergne'a i Tirancourta, obecność w obu wypadkach luster o lśniącej powierzchni, tajemnicze kuracje Tusseau, jego zainteresowanie magnetyzmem zwierzęcym, ten dziwny sen, który pozwala podporządkować umysł zewnętrznej woli... I wreszcie, jakie mrocznie plany snuł lekarz z Val d'Aulnay? Czy łączyło się to w jakiś sposób z Émilie de Mirande, a przede wszystkim z wicehrabią de Champagnakiem, odpowiedzialnym za przygotowanie procesu dawnych ministrów Karola X?

To ostatnie pytanie szczególnie dręczyło Valentina, gdy wychodził z siedziby „Le Globe”, bo wiedział, że jeśli odpowiedź jest twierdząca, ani komisarz

Flanchard, ani prefekt policji nie wybaczą mu najmniejszego błędu.

³⁵ Modna wówczas doktryna filozoficzna, stanowiąca odpowiedź na obawy natury społeczno-ekonomicznej i opowiadająca się za etyczną industrializacją oraz społeczeństwem braterskim. Nazwa pochodzi od jej głównego teoretyka, Claude'a-Henri'ego de Rouvroya de Saint-Simona, który zmarł w 1825 roku.

³⁶ W szczególności *Traité du somnambulisme et des différentes modifications qu'il présente* [Traktat o somnambulizmie i różnych modyfikacjach, które wywołuje], 1823, *Du magnétisme animal en France et des jugements qu'en ont porté les sociétés savantes* [O magnetyzmie zwierzęcym we Francji i jego ocenach dokonywanych przez towarzystwa naukowe], 1826, *De l'extase* [O ekstazie], 1829.

ROZDZIAŁ 29

W którym zostaje się odprawionym z kwitkiem podczas dokonywania użytecznych odkryć

Nazajutrz późnym przedpołudniem Valentin zjawił się u drzwi prywatnej rezydencji, którą wicehrabia de Champagnac zajmował na przedmieściu Saint-Germain. W ciągu dwóch poprzednich dni, dzięki wyjazdowi do Aulnay i informacjom dostarczonym przez Vidocqa i Bertranda, jego dochodzenie ogromnie posunęło się naprzód. Odpowiedzialność doktora Tusseau za samobójstwa Dauvergne'a i Tirancourta nie pozostawiała już cienia wątpliwości. Przed przekazaniem raportu komisarzowi inspektor pragnął jednak wyjaśnić charakter stosunków łączących Dauvergne'a i Tusseau, ale także intrygantkę Émilie de Mirande i Alphonse'a de Champagnaca. Postępując w ten sposób, doskonale zdawał sobie sprawę, że wkracza na potencjalnie grząski grunt i będzie musiał działać z najwyższą ostrożnością.

Majordomus w liberii, który go przyjął, miał wszelkie cechy posępnego i bezmyślnie służalczego cerbera. Należał do tej rasy służących, jakże powszechnej w czasach *ancien régime* i restauracji, przesiąkniętej przywilejami swoich panów, która okazywała się jeszcze bardziej przykra i pełna pogardy dla zwykłych ludzi niż ci ostatni.

Początkowo dobrze przyjął Valentina, oceniwszy jego powierzchowność i krój ubrania, ale zmarszczył nos, gdy usłyszał o jego funkcji i celu wizyty. Pierwszą

reakcją była odmowa wpuszczenia go, pod pretekstem, że pan wicehrabia nigdy nie przyjmuje przed południem, a tym bardziej w sobotę. Wobec nalegań Valentina i niepokojącej zmiany, z zielonego na szary, koloru jego oczu, w końcu jednak się ugiął i raczył zaprowadzić gościa do wykwintnie umeblowanego antyszambru, którego okna wychodziły na piękny park w stylu francuskim.

Imponujące bukiety nieskazitelnych lilii we wspaniałych szklanych wazonach z Murano rozsiewały upajającą i odurzającą woń, a w czterech rogach pomieszczenia zachwycające rzeźby w stylu Pompadour wieńczyły hebanowe kolumny i uśmiechały się życzliwie do nowo przybyłego.

Przynajmniej miłsze przyjęcie niż ze strony tego fagasa na służbie, pomyślał Valentin, odruchowo gładząc dłonią policzek marmurowego cherubina.

Młody inspektor, przekonany, że nie będzie musiał długo czekać, wzgardził ławkami obitymi cennymi tkaninami i pogрузił się w kontemplacji licznych obrazów, które zdobiły ściany. Wisiały tam płótna podpisane przez pomniejszych mistrzów takich jak Michel Garnier, Jean-Joseph Taillasson i Louis Boilly, ale także dzieła bardziej renomowanych artystów, na przykład Jeana-Baptiste'a Chardina albo François Bouchera. Niektóre były prawdziwymi cudami finezji i świadczyły o dobrym guście właściciela rezydencji.

Przemieszczając się od jednego do drugiego, policjant zauważył pewien szczegół raczej nie na miejscu w salonie, w którym wszystko bezspornie miało zrobić wrażenie na oczekujących gościach. Otóż jeden z obrazów został niedawno zdjęty z haka, ale rama zostawiła niepożądany ślad na ścianie wyściełanej czerwonymi i złotymi jedwabiami. Ten bledszy prostokąt nad kosztownym gerydonem, między dwoma oknami wychodzącymi na ogród z murawą i niezwykle starannie utrzymanymi kobiercami z kwiatów, nieuchronnie przyciągał wzrok. Było to dość niewytłumaczalne uchybienie wobec dobrego smaku. Niczym niefortunnie umiejscowiona brodawka szpecąca twarz pięknej kobiety.

Gdzieś w rezydencji wahadło zegara uderzyło jedenaście razy i to donośne przypomnienie o upływie czasu odniosło ten skutek, że przerwało Valentinowi oględziny pomieszczenia. Sterczał tam jak gdyby nigdy nic już od kwadransa,

czekając na dobrą wolę osławionego wicehrabiego. Jego cierpliwość miała swoje granice, które niebawem mogły zostać przekroczone. Gdyby nie znajdował się u pana Francji, spowinowaconego z kilkoma z najstarszych rodów francuskiej szlachty, niewątpliwie okazałby głośno niezadowolenie, ale w tych okolicznościach za bardzo potrzebował informacji, których mógł mu dostarczyć Alphonse de Champagnac, żeby ryzykować urażenie tak wysoko postawionej osobistości. Chociaż dużo go to kosztowało, nie miał innego wyboru, jak tylko powstrzymać zniecierpliwienie w nadziei, że wicehrabia zdecyduje się otworzyć przed nim swoje drzwi.

Minuty upływały zatem nadal z irytującą powolnością. Valentin uświadomił sobie wtedy, że w tej rozległej posiadłości panuje nienormalna cisza. Cisza trudna do wytłumaczenia, zważywszy na zwyczajny rytm życia w tak dużym domu. Służba musiała być liczna, a wraz z upływem dnia coraz bardziej zajęta. Tymczasem nie słychać było najmniejszego odgłosu, nie dostrzegano się najlżejszego ruchu. Jakby rezydencja była niezamieszkana albo gościła rekonwalescenta, któremu pod żadnym pozorem nie wolno przeszkadzać.

Zaintrygowany inspektor coraz bardziej się niecierpliwił. Przemierzał nerwowo antyszambler, rzucając poirytowane spojrzenia na drzwi, przez które go wprowadzono. Potem, ponieważ nadal nic się nie działo i nie mógł już wytrzymać, skierował się w przeciwną stronę i ostrożnie uchylił drugie drzwi, które powinny prowadzić do jednego z pomieszczeń recepcyjnych na parterze.

Rzeczywiście odkrył wytworny salon, którego przeszklone drzwi kryły się za grubymi zasłonami. Mimo półmroku, w którym pogrążone było pomieszczenie, zauważył jednak, że kilka ram zawieszonych na ścianach przykryto kawałkami białej tkaniny.

Alphonse de Champagnac ma zdecydowanie oryginalną koncepcję wystroju wewnątrz. To zdumiewające u człowieka, który musi być przyzwyczajony do podejmowania u siebie całej paryskiej śmietanki towarzyskiej.

Valentin przekroczył na palcach próg salonu i podszedł do najbliższej ramy. Wpatrywał się w nią intensywnie. Po co to sukno? Czemu służą wszystkie te

dziwactwa? Obraz zdjęty ze ściany w antyszambrze, przytłaczająca cisza spowijająca rezydencję, te ramy skryte przed spojrzzeniami...

Z bijącym szybciej sercem wyciągnął rękę i uniósł lekko róg zasłony, żeby odkryć... gładką i odbijającą światło powierzchnię okazałego lustra.

Inspektor odwrócił głowę w stronę różnych wyjść. Nadal nie słyszał choćby najmniejszego hałasu. Gdyby dał się zaskoczyć, mógłby się pożegnać ze swoją karierą. Wicehrabia bez wątpienia znał wystarczająco dużo osób z wysokich sfer władzy, żeby uzyskać jego natychmiastowe wydalenie z policji. On jednak musiał się upewnić, w czym rzecz.

Mając świadomość, że jego odkrycie bynajmniej nie jest błahe, poświęcił czas na sprawdzenie, czy wszystkie trzy tkaniny również kryją identyczne lustro. Tak rzeczywiście się okazało. Nie musiał być zatem jasnowidzem, by zrozumieć, że znak pozostawiony na jedwabiu w antyszambrze odpowiadał śladowi nie po obrazie, jak początkowo sądził, lecz z pewnością po innym zwierciadle. Ponieważ nie dało się go zasłonić w pomieszczeniu przeznaczonym do przyjmowania licznych gości, nie było innego wyjścia, jak je usunąć.

Wychodząc z salonu, Valentin rozmyślał gorączkowo. Ta obsesja na punkcie luster w sposób niepozostawiający wątpliwości łączyła Alphonse'a de Champagnaca z samobójstwami Dauvergne'a i Tirancourta oraz z praktykami doktora Tusseau zainspirowanymi magnetyzmem zwierzęcym. W rezultacie, wobec nieuchronności procesu dawnych ministrów, śledztwo nabierało niezmiernie delikatnego wymiaru politycznego, czyli dokładnie tak jak się tego obawiał prefekt policji. Inspektor nie mógł się posunąć dalej, nie przedstawivszy uprzednio sprawy przełożonym i nie uzyskawszy ich zgody na kontynuowanie dochodzenia w otoczeniu wicehrabiego. Należałoby przesłuchać nie tylko jego, lecz także tajemniczą Émilie de Mirande, ponieważ wydawało się, że jest ona wspólnym ogniwem łączącym trzech z czterech głównych bohaterów tej mrocznej historii.

Postanowivszy nie trwonić już więcej cennego czasu, Valentin skierował się do drzwi prowadzących do przedsiönka, zdecydowany opuścić ten dom, żeby bezzwłocznie dotrzeć na rue de Jérusalem, gdy te obróciły się na zawiasach.

Ponownie pojawił się sztywny jak kołek służący, który przyjął go pół godziny wcześniej. Mężczyzna mierzył inspektora wzrokiem z nieskrywaną arogancją.

– Pan wicehrabia daje znać temu panu z policji, że ubolewa, iż nie jest w stanie udzielić mu widzenia. Właśnie złożyła mu niezapowiedzianą wizytę bliska przyjaciółka, *madame* de Mirande, on zaś nie może postąpić inaczej, jak zatrzymać ją na obiedzie. Pan wicehrabia dodał, że może pan przyjść innym razem, lecz nie prędzej niż w połowie tygodnia i najlepiej wczesnym popołudniem.

Wobec takiej protekcjonalności Valentina kusiło, żeby dać upust swojej irytacji, ale zdołał nad sobą zapanować. Cóż by to dało? Tamten byłby wyraźnie zachwycony, gdyby dostrzegł frustrację gościa, i tylko poczułby większą radość, odprowadzając go na zewnętrzne schody rezydencji. Powstrzymał się wobec tego i powiedział z niedbałym uśmiechem:

– Widzę, że wasz pan chętnie kultywuje francuskie tradycje kurtuazji. Przekażcie mu moje gratulacje. Albo nie, sam się tym zajmę, gdy będę miał niebawem przyjemność poddać go małemu przesłuchaniu.

Majordomus zmarszczył nos. Najwyraźniej przerażało go, że jakiś skromny funkcjonariusz ośmiela się rościć sobie prawo do narzucania czegokolwiek jego panu. Gdyby mógł chwycić inspektora szczypcami i wyrzucić na zewnątrz, na pewno by sobie tego nie odmówił.

Jeden za drugim obaj mężczyźni przeszli na ukos przez przedsionek, którego ogromne rozmiary wzmacniały echo ich kroków na ułożonych w szachownicę płytach posadzki. Monumentalne schody z kamienia z Crussol wiodły na nadwieszoną galerię i do korytarzy prowadzących do pomieszczeń na pierwszym piętrze. Idąc tamtędy, Valentin dostrzegł wyżej jakiś ruch i podniósł wzrok. Za balustradą z kutego żelaza stali mężczyzna i kobieta w wytwornych strojach i patrzyli, jak oni dwaj przechodzą.

Inspektor nie miał najmniejszych trudności z ich rozpoznaniem.

Chodziło o parę, którą widział dwa dni wcześniej, opuszczając klinikę w Val d'Aulnay.

ROZDZIAŁ 30

Komisarz Flanchard wkracza do akcji

Kiedy Valentin dotarł na rue de Jérusalem, pod bramą prefektury policji wyczuwało się pewne napięcie. Wzdłuż fasady stały dwie dorożki, z których jedna była już zajęta przez czterech inspektorów po cywilnemu, a drzwiczki drugiej trzymał otwarte strażnik miejski. Na schodach wejściowych kilka osób dyskutowało z ożywieniem. W chwili gdy młody policjant znalazł się na wysokości oficera dyżurnego i już miał go zapytać, co się dzieje, z grupy rozmówców wyłoniły się gęsta czupryna i barczysta sylwetka komisarza Flancharda. Szef Sûreté, przechodząc, chwycił Valentina za ramię.

– Verne, zjawia się pan w samą porę! Mamy informację z pierwszej ręki na temat niejakiego Lastours’a, agitatora bonapartystów, który gra w trzy kubki na boulevard du Temple. Chodzi zapewne o sprytną przykrywkę, żeby spotykać się z szefami tajnego stowarzyszenia, do którego należy. Udaję się na miejsce nadzorować jego aresztowanie. Nie ma chwili do stracenia, jeśli chcemy mu założyć kajdanki!

– Rzecz w tym, że są nowe wieści w sprawie Dauvergne’a. Muszę z panem bezzwłocznie porozmawiać. Mam do przekazania rewelację najwyższej wagi.

– No dobrze! W czym problem? – rzucił komisarz, bezceremonialnie ciągnąc za sobą podwładnego. – Wystarczy, że wsiądzie pan ze mną i wyjaśni mi to wszystko po drodze.

Flanchard, ledwie usadowiwszy się w powozie, stuknął gałką laski w przednią ściankę budy i obie dorożki ruszyły szybkim kłusem w kierunku rue de la Barillerie i pont au Change.

Rozsiadając się wygodnie na ławce, komisarz odwrócił dobroduszną twarz w stronę Valentina.

– No to słucham, mój chłopcze. Co jest z tą sprawą Dauvergne’a? Co pan odkrył?

Valentin musiał wyteżać głos, żeby przekrzyczeć stukot kopyt o bruk i turkot kół opasanych żelaznymi obręczami.

– Obawiam się niestety, że sprawa Dauvergne’a może się bardzo szybko stać sprawą Champagnaca.

– Do licha! – rzucił komisarz, którego rysy w ułamku sekundy straciły wszelkie ślady dobroduszości. – To niepokojące, wie pan? Co chce pan przez to powiedzieć?

Inspektor przystąpił do składania szczegółowej relacji z rozwoju śledztwa i ze wszystkiego tego, co odkrył, odkąd ruszył tropem doktora Tusseau. Na zakończenie sprawozdania podsumował z przekonaniem:

– Dla mnie sytuacja wydaje się teraz dość jasna. Doktor Tusseau najwyraźniej udoskonalił pewną groźną metodę sugestii, w której ważną rolę odgrywają lustra. Pozwala mu to przejmować kontrolę nad myślami i działaniami swoich przyszłych ofiar. Jestem przekonany, że w ten sposób skłonił do samobójstwa syna Dauvergne’a oraz Michela Tirancourta. Co najpoważniejsze, ma obecnie wpływ na wicehrabiego de Champagnaca. Jeśli chodzi o Émilie de Mirande, najwidoczniej służy mu za naganiaczkę. To prawdopodobnie ona dostarcza doktorowi ludzkich królików doświadczalnych. Jakie dokładnie cele im przyświecają? Tego jeszcze nie wiem, ale będziemy musieli to szybko odkryć, poddając oboje ścisłej inwigilacji. Naturalnie trzeba będzie również zmusić wicehrabiego, żeby odpowiedział na nasze pytania.

Komisarz Flanchard potarł w zamyśleniu podbródek. Czoło przecinała mu zmarszczka wyrażająca strapienie, a dłoń zaciskała się nerwowo na gałce laski.

– Muszę przyznać, Verne, że odwalił pan kawał doskonałej roboty – powiedział z westchnieniem, które zdradzało zakłopotanie. – Na pewno zrozumiał pan jednak, że wkraczamy na śliski grunt. Niech pan tylko pomyśli! Par Francji! I w dodatku ten, który jest odpowiedzialny za przygotowanie procesu ministrów! Nie chodzi już o zwykłą sprawę policyjną.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, panie komisarzu.

– Tym lepiej! Dlatego że pan i ja, mój chłopcze, możemy stracić z tego powodu stanowiska. Chwilowo niech pan już nie rusza nawet małym palcem. Nie ma mowy, żeby nadal prowadził pan dochodzenie, zanim nie zabezpieczę nam tyłów. Najpierw zreferuję sprawę prefektowi Girodowi de l’Ainowi. Tylko on może uzyskać dla nas zgodę na przesłuchanie Champagnaca i kontynuowanie śledztwa. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

– W zupełności, panie komisarzu. Czy wolno mi jeszcze tylko zapytać, kiedy pańskim zdaniem zdoła pan uzyskać audiencję u prefekta policji? Bo nasz czas jest z pewnością policzony. Nie wiem, na jakim etapie znajduje się Tusseau w swoich działaniach zmierzających do uzależnienia od siebie Champagnaca, ale sądząc po tym, w jakim stanie był wicehrabia, gdy widziałem go w Aulnay, do najgorszego może dojść z dnia na dzień.

– Natychmiast po aresztowaniu tego cholernego bonapartysty na bulwarze udam się do prefekta policji. Moim zdaniem, mając na uwadze możliwe implikacje polityczne, będzie zmuszony zwrócić się do ministra. Nie należy się zatem spodziewać, że otrzymamy instrukcje przed jutrzejszym rankiem. I to najwcześniej. W tej sytuacji proszę, żeby zachował pan dyskrecję i nie podejmował żadnych niepożądanych decyzji. Jesteśmy co do tego zgodni?

Valentin nie dał po sobie poznać rozczarowania i potulnie skinął głową. Gdyby to zależało tylko od niego, zaryzykowałby podjęcie działań, nie czekając na przyzwolenie przełożonych, ale komisarz Flanchard, jako szef Sûreté, lepiej

potrafił ocenić zagrożenia. Nowy reżim, kontestowany na ulicy, nękanym przez podzieloną, ale szczególnie zjadliwą opozycję, nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy fałszywy krok. Korona Ludwika Filipa jeszcze się niebezpiecznie chwiała na jego głowie.

Żeby zapomnieć o doznanym zawodzie, inspektor skupił się dla odmiany na widokach na zewnątrz. Ich dorożka, ciągniona żwawym tempem, mknęła rue Saint-Denis. Minęła właśnie miejsce po dawnej stacji pocztowej przy hotelu Grand Cerf, gdzie woźnica musiał krzyknąć, żeby liczni robotnicy, którzy pracowali tam przy otwarciu nowego krytego pasażu, usunęli się z drogi. W ciągu kilku minut oba pojazdy z policjantami miały wjechać na bulwary, które, jak w każdą sobotę, były zapewne bardzo zatłoczone.

– Zostawimy dorożki na wysokości teatru de l’Ambigu – polecił komisarz Flanchard, wychyliwszy się uprzednio przez otwór w drzwiczkach, żeby się zorientować, gdzie są. – Potem pójdziemy pieszo na boulevard du Temple. Nie chcę, żeby nas zauważono. Ten Lastours jest spryciarzem i zawsze ma się na baczności. Nie pierwszy raz próbujemy go przyskrzynić, ale do tej pory zawsze udawało mu się wymknąć.

Valentin skinął głową bez komentarza. Już sama wzmianka o bulwarze Zbrodni wystarczyła, żeby na pierwszy plan w jego myślach wysunęła się twarz Aglaé Marceau, a temu wspomnieniu towarzyszyło bolesne ukłucie w sercu. Minęły już dwa dni, odkąd wystawił dziewczynę do wiatru, nie decydując się odpowiedzieć przychylnie na jej zaproszenie, żeby przyszedł ją oklaskiwać w nowej sztuce, bo nadal podejrzewał, że pogwałciła sanktuarium jego sekretnego gabinetu. Potem jednak Vidocq rozwiął w znacznej mierze jego przypuszczenia. Poza tym źle znosił myśl, że śliczna aktorka może mieć mu za złe pozorną obojętność. Kiedy nadarzy się okazja, będzie musiał się z nią ponownie spotkać, ryzykując, że nie obędzie się bez szczerych wyjaśnień.

Gdy powozy dojechały do pierwszych teatrów na boulevard Saint-Martin, komisarz Flanchard wyrwał Valentina z zamyślenia, nakazując dorożkarzowi się zatrzymać. Zbliżało się południe, toteż znaczna część spacerowiczów opuściła

boczne aleje i oblegała liczne w tej okolicy restauracje. Sześciu policjantów mogło zatem szybko dotrzeć pieszo do Château-d'Eau. Począwszy od tamtego miejsca, droga rozszerzała się na długości trzystu metrów, tworząc coś w rodzaju podłużnego, zacienionego placu. Była to najpopularniejsza część dawnych fortyfikacji, ów słynny boulevard du Temple, ze swoimi barokowymi fasadami, z salami widowiskowymi o pseudokorynckich lub pseudobizantyjskich frontonach, ale także z nieustającym jarmarcznym festynem. Zanim teatry otworzyły swoje podwoje, to estrady dla iluzjonistów oraz namioty dla akrobatów i prezenterów osobliwości przyciągały tam pstrokaty tłum, w którym stykali się, w zgiełku zabawy i frywolnej atmosferze, robotnik i mieszczanin, próżnujący nicpoń i zachwalacz towarów w pogoni za dobrym interesem.

– Nie ma mowy, żeby trzymać się w grupie – powiedział Flanchard podwładnym. – Dalibyśmy się zauważyć w promieniu stu metrów. Jeśli mój konfident jest tak dobrze poinformowany, jak twierdzi, Lastours wystaje przed gabinetem figur woskowych Curtiusa. Wy czterej – wskazał inspektorów z drugiej dorożki – rozproszcie się w tłumie i dojdźcie na miejsce w taki sposób, żeby go dyskretnie okrążyć. Ale uwaga! Starajcie się w żadnym momencie nie tracić mnie z oczu. Gdy poklepię denko kapelusza, i jedynie na ten sygnał, zacieśnicie oka sieci. Rzucimy się na tego cholernego bonapartystę dopiero w ostatniej chwili. Verne, pan zostaje ze mną.

Dwaj policjanci zaczekali, aż ich koledzy w szarych surdutach³⁷ znikną w tłumie, i też ruszyli w drogę. W powietrzu unosiła się wyborna woń pieczonych kiełbasek, kandyzu i makaroników, a ludzie w zaraźliwie dobrych humorach tłoczyli się wokół podestów. Jedni otwierali szeroko oczy na widok psa tańczącego w spódniczce baletnicy albo małpy umiejącej liczyć na palcach, inni słuchali tyrady handlarza sprzedającego jakiś cudowny eliksir bądź żartów pierrota linoskoczka. Zewsząd dochodziły okrzyki i śmiechy. Anonsy gazeciarzy, nawoływania sprzedawców ciastek pod gołym niebem.

– Sądzi pan, że rozpoznamy naszego człowieka wśród wszystkich tych ludzi? – zapytał Valentin, usuwając z drogi sprzedawcę zapalek chemicznych pochodzących

z Niemiec. (*Najbardziej niezawodne na rynku! Satisfakcja gwarantowana!*)

– Bez obaw – odparł Flanchard. – Mówiłem panu, wydaje mu się, że zmylił pościg, ustawiając stoisko do gry w trzy kubki. Razem z jednym czy dwoma współnikami uruchamia ponownie meliny do *calota*³⁸. Przykrywka nie jest zła, bo może się całkiem dyskretnie spotykać ze swoimi agentami, a przy okazji uciuć trochę grosza. Ale co jest, Verne? Tak pan nagle pobladł. Chyba nie czuje się pan dobrze.

Valentin wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot, który perlił mu się na czole. Odkąd wraz z komisarzem wmieszał się w tłum, czuł się lekko przytłoczony. Ten zapach jedzenia, ten jazgot, to poruszenie wokół nich przyprawiły go o złe samopoczucie. W miarę jak mijały minuty, miał coraz silniejsze wrażenie, że nabawił się jakichś nieprzyjemnych zawrotów głowy.

– Nic mi nie jest – odparł, zmuszając się do przewyciężenia niedyspozycji. – Prawie nie jadłem od rana. To pewnie z głodu.

– Hm, niech się pan weźmie w garść, mój stary! To naprawdę nie jest odpowiedni moment, żeby zasłabnąć.

Dokładnie w tamtej chwili spadły pierwsze krople deszczu. Nie była to ulewa, ledwie lekki kapuśniaczek, który jednak wystarczył, żeby przerzedzić szeregi spacerowiczów. Kilku z nich schroniło się w pośpiechu pod drzewami przy promenadzie albo pod markizami teatrów. Valentin poczuł, że lepiej mu się oddycha. Odchylił głowę do tyłu i spadająca z nieba woda ostatecznie pozwoliła mu odzyskać równowagę.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Flanchard kilka minut później, szturchając go lekko łokciem w żebra. – Widzi pan tego wysokiego draba, tam, we fiołkoworóżowym ubraniu? To on, to Lastours.

Inspektor odwrócił głowę we wskazanym kierunku. Jakieś dziesięć metrów przed nimi dostrzegł wysokiego, chudego mężczyznę o bardzo ciemnym zaroście, w surducie z kołnierzem, w krawacie zawiązanym na potrójny węzeł i w kraciastych spodniach, który stał za odwróconą skrzynką przykrytą firanką

służącą za obrus. Otaczało go kilku gapiów. Powolnymi, urywanymi ruchami położył na tym zaimprovizowanym stole małą kulkę i zakrył ją wydrażonym kręglem. Potem dodał dwa kolejne kręgle po obu stronach pierwszego.

– Gałka! – wykrzyknął. – Gałka krąży! Gałka! Gałka!

Nie przestając mówić, zaczął przemieszczać kręgle: przesuwając je po obrusie bez ich unoszenia, a zatem w taki sposób, że kulka nie mogła się wymknąć. Po kilku ruchach przerwał i rozłożył szeroko ramiona.

– Złota dwudziestofrankówka dla tego, kto wskaże, pod którym znajduje się gałka! – zawołał.

Jakiś mężczyzna w mundurze Gwardii Narodowej położył przed jednym z kręgli cztery monety pięciofrankowe.

– Jest tutaj – powiedział z przekonaniem.

– Przecież to całkiem proste – wtrącił się drugi widz, wąsaty, z laską w dłoni, w cylindrze i płaszczu z futrzanym kołnierzem. – Gałka jest wciąż pod tym samym kręglem. Wystarczy po prostu nie spuszczać go z oczu.

Podniósł kręgiel skrywający drewnianą kulkę.

– No i proszę! – wykrzyknął triumfalnie. – Nic łatwiejszego!

Komisarz Flanchard odciągnął Valentina nieco na bok, pod platan, jakby obaj chcieli się schronić przed mżawką. Zaśmiał się z rozbawieniem.

– Do tej pory to była zwykła komedia – tłumaczył młodemu policjantowi. – Ci dwaj są oczywiście współnikami w tym szwindlu. To tak zwani hrabiowie, którzy w rzeczywistości nigdy nie grają. Ich jedyna rola polega na zwabieniu frajera. Niech pan tylko patrzy, co będzie dalej.

Wokół skrzynki powtórzyły się te same manewry, gdy jednak doszło do obstawiania, to mężczyzna w płaszczu okazał się najszybszy. I tak jak poprzednio wybrał właściwy kręgiel, inkasując podwójną wartość swojej stawki.

– Koniec przygotowań – oznajmił komisarz Flanchard. – Większość widzów nabrała już przekonania, że wcale nie jest trudno wskazać właściwy kręgiel. Dopiero teraz zacznie się na poważnie. Lastours, w chwili gdy poruszy kręglami,

zręcznie schowa kulkę w dłoni. Ani widu, ani słyhu. Frajer może postawić na którykolwiek kręgiel i zawsze przegra.

Rzeczywiście publiczność zapaliła się do gry. Podczas gdy oszust ponownie mieszał kręgle, kilku spośród obecnych przepchnęło się gorączkowo do przodu, by znaleźć się jak najbliżej stolika. Jeden z nich, mieszczanin o gęstych bokobrodach, ubiegł konkurentów w ostatniej chwili, kładąc złotą monetę przed kręglem po prawej stronie.

– Pudło! – stwierdził Lastours, podnosząc ów kręgiel. – Ale ja mam gest. Podwajam panu stawkę na dwa pozostałe kręgle. Który pan wybiera?

Mieszczanin dokonał wyboru, a Lastours przeprowadził weryfikację. I naturalnie nic. Ponownie interweniował wspólnik w płaszczu, twierdząc, że mężczyzna z bokobrodami nie był dość uważny. Według niego od początku było oczywiste, że gałka znajduje się pod trzecim kręglem. I jakby chciał tego dowieść, sam go podniósł, rzeczywiście odsłaniając drewnianą kulkę.

– Zrozumiał pan, na czym polega fortel? – zapytał Flanchard, mrugając. – Figurant skrywa między palcami drugą kulkę, pod każdym względem identyczną z pierwszą. Wystarczy, że podsunie ją na stolik w chwili, gdy podnosi ostatni kręgiel. W taki sam sposób Lastours komunikuje się ze swoimi kontaktami. Przez cały dzień przychodzą kolejno zastąpić jednego z hrabiów i podrzucają wiadomości w drugiej kulce, która jest wydrążona.

– Słowo daję, dość to dobrze pomyślane – zauważył Valentin.

– Owszem, ale wszystko, co dobre, szybko się kończy. Czas najwyższy położyć kres tym sztuczkom. Zrobię obchód po kolegach, żeby się upewnić, czy wszyscy są na swoich miejscach. Co do pana, proszę się zbliżyć do Lastours'a tak, żeby nie zostać zauważonym. Na mój sygnał niech się pan na niego rzuci. Moi ludzie zajmą się pozostałymi.

Deszcz ustał. Podczas gdy komisarz zniknął w ponownie gęstniejącym tłumie w poprzecznej alei, Valentin utorował sobie drogę w kierunku graczy

i znieruchomiał mniej więcej cztery metry od Lastours'a, który zaczynał nową kolejkę.

Nagle wszystkie inne odgłosy zdominował przenikliwy krzyk:

– Uwaga! Gliny!

Zaskoczony Valentin nie od razu zareagował. Zanim się połapał w sytuacji, tłum ogarnęło nagłe poruszenie. Ludzie odwracali się we wszystkich kierunkach, wspinali na palce albo po prostu podskakiwali w miejscu, próbując dojrzeć, co się dzieje. Zachowując się z konieczności tak jak wszyscy inni, inspektor zauważył, że Lastours przeszukuje gorączkowo wzrokiem szeregi gapiów. Ich spojrzenia się spotkały i zanim Valentin zdążył się odwrócić, bonapartysta wymierzył palec wskazujący w jego kierunku.

– Tam! – wrzasnął. – Z przodu po prawej!

Do diabła! Ten łajdak mnie zauważył!

Myśląc tylko o tym, żeby złapać Lastours'a, Valentin rzucił się naprzód, odpychając wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. Niesiony siłą rozpędu, ze wzrokiem utkwionym w cel, nie zwracał żadnej uwagi na ruchy po swoich obu stronach i dlatego nie dostrzegł mężczyzny w mundurze Gwardii Narodowej, który zbliżał się do niego żwawo z otwartym nożem w ręku.

Szczęśliwym trafem kolejna przepychanka zniosła inspektora gwałtownie na lewo dokładnie w chwili, kiedy napastnik przechodził do ataku. Ostrze tylko musnęło jego ramię, podczas gdy jakaś kobieta za nim wrzasnęła z bólu. Na widok krwi na jej sukni widzów ogarnęła panika. Rozległy się kolejne krzyki i zapanował okropny chaos, a w tym czasie Valentin całkowicie stracił z oczu Lastours'a i jego współników.

Dziesięć minut później, gdy Flanchard i jego ludzie zdołali przywrócić jaki taki spokój, bonapartyści już się ulotnili.

– Co za porażka! – westchnął komisarz. – Ten przeklęty Lastours znów znalazł sposób, żeby się nam wymknąć! A pan, Verne, naprawdę nie mógł nic zrobić, żeby mu w tym przeszkodzić?

Valentin przeciągnął palcem po rozdarciu, które teraz zdobiło rękaw jego surduta.

– Mało brakowało, a nawet by mnie tu nie było, żeby panu odpowiedzieć. Gdybym chociaż zdołał dopaść tego, który podniósł alarm...

– Ba! To prawdopodobnie czujka, której nie zauważyliśmy. Najważniejsze, że nie został pan poszkodowany, a kobieta, którą ugodzono zamiast pana, nie jest zbyt poważnie ranna. Gorzej, że prefekt zmyje mi głowę za to, że daliśmy zwiac Lastours'owi...

Valentin zachował milczenie. Rzeczywiście wyszedł z tego cało. Tym razem szczęście naprawdę było po jego stronie i powinien się w pełni rozkoszować uśmiechem losu, coś mu jednak w tym przeszkadzało. Bez względu na to, jak bardzo sobie wmawiał, że to bez wątpienia wytwór jego wyobraźni, nie potrafił się pozbyć myśli, że głos tajemniczego obserwatora nie jest mu całkiem obcy.

³⁷ Prawie wszyscy funkcjonariusze policji po cywilnemu, którzy mieli się ubierać jak mieszczanie, żeby nie rzucać się w oczy, nosili ten przesadnie jednolity strój zapewniany przez służby prefektury.

³⁸ Odmiana gry w trzy kubki, w której używa się wydrążonych kręgli i drewnianej kulki zwanej gałką.

ROZDZIAŁ 31

Kontemplacja

Po rozstaniu z Flanchardem i jego ludźmi pod prefekturą policji Valentin znalazł schronienie w pierwszym napotkanym szynku. Ponieważ był o włos od śmierci, potrzebował solidnego środka wzmacniającego, a wyrozumiały komisarz dał mu wolne do następnego ranka. Najpierw jednak przypomniał młodemu inspektorowi stanowczym tonem, że musi się powstrzymać od wszelkich ryzykownych kroków i czekać na wynik jego rozmowy z prefektem, zanim wznowi dochodzenie. „Matką Bezpieczeństwa jest rozwaga!”, dodał, akcentując mocno drugi wyraz³⁹, na wypadek gdyby Valentin nie dostrzegł, że próbuje być dowcipny.

Siedząc przy stoliku nad trzecim kieliszkiem gaskońskiego wina wzmocnionego armaniakiem, Valentin stopniowo dochodził do siebie po ostatnich przeżyciach. W ciągu mniej więcej dwunastu dni był to jednak już piąty raz, kiedy jego życie zawisło na włosku. Najpierw doszło do napadu we mgle, potem do konfrontacji z członkami Odnowy Jakobińskiej w piwnicy Bażantów w Koronach, a później, następnego dnia, do pojedynku z Fauvetem-Dumesnilem. Przed dwoma dniami była to zasadzka zastawiona przez Grand-Jésusa i jego kompanów na wyspie Louviers, a teraz ten atak nożownika. Tym razem wydarzenia rozegrały się tak nagle, a zamieszanie w tłumie było tak wielkie, że nawet nie zdążył się przestraszyć. A jednak z perspektywy czasu to ta ostatnia napaść przyprawiała go o najbardziej nieprzyjemne dreszcze. Może właśnie dlatego, że niczego się nie spodziewał i że miał obrzydliwe uczucie, iż omal głupio nie zginął z powodu historii, która nie była tego warta i która niewiele go obchodziła.

Po raz pierwszy, odkąd wstąpił do policji, w pełni zdał sobie sprawę z niebezpieczeństw nieodłącznie związanych z życiem, które wybrał. Myśl, że mógł umrzeć przed osiągnięciem jedyne go celu, który naprawdę się liczył w jego oczach – położyć kres machinacjom Wikarego i przywrócić całkowitą wolność biednemu Damienowi – powodowała zamęt w jego duszy. Jednocześnie uświadamiał sobie też, jak bardzo jest samotny. Nie miał absolutnie nikogo, komu mógłby się zwierzyć ze swojego strapienia, żadnej rodziny, żadnego prawdziwego przyjaciela.

Poza profesorem Pelletierem, którego widywał wyłącznie w biegu i który był całkowicie pochłonięty swoimi badaniami, z nikim nie utrzymywał żadnych relacji uczuciowych. Rzeczywiście, od śmierci ojca odciął się od wszystkich bliźnich, wiodąc żywot pustelnika, albo raczej wojującego mnicha. Czy najzwyczajniej nie przecenił własnych sił? Czy istniała gdzieś choćby jedna istota, która mogłaby twierdzić, że dokonała rzeczy wielkich, odgradzając się od świata żywych?

Na skutek takich pytań jego myśli zbaczały w stronę jedynej osoby, która ostatnio okazała mu pewną sympatię. Aglaé Marceau. Odkąd spotkali się po raz pierwszy, czuł pociąg do ślicznej aktorki, ale potem wprowadziły go w zakłopotanie nieoczekiwane emocje, które w nim wzbudziła. Młoda kobieta dawała dowód wolności myśli i wypowiedzi, które świadczyły o jej niezależności. Miała odwagę wyzwolić się z konwenansów, bez wahania wkręciła się do prefektury pod fałszywym pretekstem i sforsowała jego własne drzwi, żeby wyperswadować mu narażanie życia w pojedynku.

A co on z kolei zrobił?

Zdezorientowany nowymi uczuciami, których teraz doświadczał, niezdolny zarówno do ich stłumienia, jak i do ich wyrażenia, uchwycił się pierwszego lepszego pretekstu, żeby spalić za sobą mosty. Bo czy mimo wszystko był absolutnie pewien, że jego gabinet został przeszukany? Miał wrażenie, jedynie *wrażenie*, że ruszano jego rzeczy. Czy nadal był o tym całkowicie przekonany? W związku z napięciem nerwowym, które odczuwał w przeddzień pojedynku, mógł przecież sam poprzestawiać niektóre przedmioty, nie zdając sobie z tego sprawy.

Na przykład kiedy pracował w gabinecie przez kilka godzin bez przerwy, majstrując przy zamkach skrzyneczki zawierającej pistolety pojedynkowe. Tak, teraz, kiedy zmuszał się, by spokojnie przemyśleć rozwój wypadków, wydawało mu się niemal oczywiste, że właśnie w ten sposób musiało się to odbyć. W każdym razie Vidocq w pełni go uspokoił co do moralnego prowadzenia się Aglaé. On natomiast zachował się wobec niej jak ostatni gbur.

Zdecydowany naprawić nietakt, o ile coś takiego było jeszcze możliwe, kazał sobie przynieść papier i przybory do pisania. Drżącą ręką zredagował w pośpiechu bilecik przeznaczony dla młodej kobiety, zapewniając ją, że bardzo mu przykro, iż stracił okazję oklaskiwania jej w nowej roli. Nieprzewidziane okoliczności w ostatniej chwili nie pozwoliły mu przyjść, przeszkody tego rodzaju, które niestety są nieodłącznie związane z jego funkcją... Wyraził jednak nadzieję, że Aglaé nie ma mu tego za złe, i zapewniał ją, że obejrzy jedno z najbliższych przedstawień sztuki.

Gdy tylko złożył kartkę, dostrzegł jakiegoś nicponia, który zabijał nudę, przyglądając się, jak klienci grają w kości. Był to wychudzony, mniej więcej dwunastoletni chłopak z rozczochraną czupryną i ciekawskimi oczami. Za zanieśenie wiadomości do teatru *madame Saqui* Valentin zaoferował mu dwufrankową monetę, a ponieważ nie był całkiem naiwny, obiecał urwisowi, że dostanie jej bliźniaczą siostrę, jeśli gorliwie wywiąże się z zadania i będzie z powrotem przed trzecią po południu. Potem, ponieważ nic nie jadł od rana, a w głowie zaczynało mu się kręcić od alkoholu, zamówił solidny posiłek.

Gdy dwie godziny później Valentin wyszedł z gospody, było mu lżej na sercu, a ciężiej na żołądku. Zastanawiał się jednak, czym zająć resztę popołudnia. Flanchard stanowczo zabronił mu, aż do otrzymania nowych rozkazów, zbliżać się do bohaterów afery. Zdaniem komisarza z jednej strony nie należało ich alarmować, a z drugiej obaj musieli nabrać pewności, że przełożeni są gotowi chronić policjantów, gdyby śledztwo wymagało od nich nieco bliższego zainteresowania się wicehrabią de Champagnakiem. Skazany na bezczynność inspektor obawiał się, że będzie mu się dłużył czas do wieczora. W końcu przejazd

karawanu przez rue du Four skłonił go do skierowania kroków w stronę cmentarza Południowego⁴⁰.

Gdy dotarł do nekropolii, znów rozpadał się deszcz, gęsty i przenikliwy. Pogoda stosowna do okoliczności. To utworzone w 1824 roku nowe miejsce pochówku zachowało wiejski charakter dzięki rozległym połaciom trawy, licznym gatunkom drzew, a nawet domkowi stróża, urządzonemu w jednym z dawnych młynów na wzgórzu Parnasse. Kamienie nagrobne, jeszcze nieliczne, koncentrowały się w części północnej, jakby zmarli nie śmieli się rozgościć i odczuwali jakieś wyrzuty sumienia, które nie pozwalały im skolonizować przestrzeni zbyt pięknej jak dla nich.

Valentin przeszedł główną aleją aż do majestatycznego, choć pozbawionego liści jesionu. U stóp drzewa grób z białego marmuru wyróżniał się licznymi zdobieniami odnoszącymi się do dyscyplin naukowych. Wprawne oko mogło tam dostrzec przede wszystkim cyrkiel, ekierkę i kilka symboli chemicznych z tabeli powinowactwa przedłożonej w 1718 roku Akademii Nauk przez aptekarza Étienne'a-François Geoffroya: pierwiastki kwasowe, regulus antymonu, kwas witriolowy, spirytus octowy, ziemia absorbująca... Cały obwód płyty wypełniało sto czterdzieści pierwszych miejsc dziesiętnych liczby pi, zgodnie z wyliczeniami matematyka Jurija Vegi dokonanyymi w 1789 roku. Inskrypcja nagrobna natomiast odznaczała się prostotą. Tylko dwa nazwiska i cztery daty:

Clarisse Verne 1780–1802

Hyacinthe Verne 1774–1826

Lektura tej inskrypcji wystarczyła, żeby ożywić pamięć Valentina. Tak jak za każdym razem, kiedy przychodził tu oddawać się kontemplacji, jego umysłem zawładnął pewien obraz wyłaniający się z przeszłości. Zawsze ten sam. Była to głowa uśmiechniętego mężczyzny powielona w nieskończoność w gęstym półmroku. Jego piękną twarz okalała śnieżnobiała czupryna, chociaż był w sile wieku. Ramiona wyciągały się w geście przezornej, delikatnej zachęty, jakby bał się spłoszyć jakieś małe zabłąkane zwierzątko. Ten uśmiech, ten gest naznaczony

łagodnością były najodleglejszymi wspomnieniami, które Valentin zachował o ojcu. Miał wtedy około dwunastu lat.

Później chłopiec odkrył u tego samotnego i często milczącego ojca skarbnicę cierpliwości i miłości. Nie powierzając nikomu troski o rozbudzenie umysłu swojego jedyne dziecko, Hyacinthe Verne sam zajął się jego edukacją. Przekazał mu własną wiarę we wszechmoc rozumu i nieumiarkowane zamiłowanie do wiedzy. Po kilku latach, kiedy nastolatki w jego wieku pasjonowali się heroicznymi opowieściami lub doświadczali pierwszych wzruszeń miłosnych, młody Valentin potrafił poświęcać całe dni na lekturę pewnych haseł z *Encyclopédie* lub na studiowanie dzieł Newtona albo Lavoisiera. Potem nastąpił epizod z pokojem i odkryciem portretu Clarisse Verne, młodej małżonki Hyacinthe'a zmarłej przy porodzie lata wcześniej. Niepocieszony wdowiec uświadomił sobie wtedy, że jego syn powinien się otworzyć na świat zewnętrzny. Między piętnastym a dziewiętnastym rokiem życia Valentin dzielił swój czas między ojcowskie mieszkanie a laboratorium Josepha Pelletiera, zachwycony, że może wnieść skromny wkład w badania tego wielkiego uczonego.

Przez wszystkie te lata Hyacinthe Verne czuwał nad nim bez wytchnienia. Być może nawet nieco nadmiernie się o niego troszczył, usiłując łagodnością i miłością sprawić, żeby zapomniał o nieobecności matki. Zdarzało mu się niekiedy opuszczać ognisko domowe, ale nigdy na bardzo długo i tylko raz lub dwa razy do roku. Odwiedzał tę starą kuzynkę, która mieszkała sama na prowincji, więc nie mógł jej całkowicie zaniedbywać. Zostawiał go wtedy pod dobrą opieką swojej jedynej służącej Ernestine, przekazawszy jej mnóstwo zbędnych poleceń dotyczących roztropności i przezorności. Powroty były okazją do prawdziwego świętowania i Hyacinthe nigdy nie zapomniał przywieźć synowi prezentu. Zdrowie krewnej musiało go jednak martwić, bo z wiekiem Valentin zaczął zauważać, że ojciec zawsze wraca z tych podróży nieszczęśliwy i jakby naznaczony niewypowiedzianym smutkiem.

Jak zatem zdołał się domyślić prawdy?

Wspominając tę szczęśliwą przeszłość, Valentin poczuł, że w głębi gardła tworzy się jakaś duża gula. Mimo deszczu, który rozmoczył ziemię, opadł na trawę obok grobu i przycisnął czoło do zimnej kamiennej płyty.

Wszystko wywróciło się do góry nogami w pierwszych miesiącach 1826 roku. Hyacinthe Verne wydawał się coraz bardziej zatroskany. Choć zwykle był bardzo uważny i spokojny, stawał się roztargniony i nerwowy. Tamtej zimy co najmniej dwukrotnie wyruszył w podróż na prowincję. Kuzynka chorowała i wymagała troskliwej opieki, którą trudno było zapewnić na odległość. Podczas drugiej nieobecności ojca Valentin przeczytał w gazecie „L'Écho du soir” opis pewnego makabrycznego odkrycia. Otóż w styczniu tamtego roku w wyniku osunięcia się gruntu runął jednopiętrowy dom w gminie Belleville. Lokator był na całe szczęście tego dnia nieobecny, a zresztą potem już się nie pojawił. Chodziło o duchownego, który powiedział właścicielowi budynku, że nazywa się Martin, ale prawdopodobnie jego prawdziwe imię było zupełnie inne. Jakiś czas później ekipa robotników ziemnych zatrudniona do uprzątnięcia gruzu stwierdziła, że podczas katastrofy nie ucierpiała sklepiona piwnica. Gdy weszli do środka, powitał ich potworny widok. Wewnątrz metalowej klatki leżały nagie zwłoki mniej więcej dziesięcioletniego chłopczyka. Nieszczęśnik zmarł uduszony.

Czytając tę ponurą relację, Valentin doznał strasznego wstrząsu. Trochę jak ślepiec, który nagle cudem odzyskał wzrok i jego oczy zostały porażone światłem dnia. Albo jak śpiący człowiek, który zmaga się w nocy z koszmarem, a po przebudzeniu stwierdza, że rzeczywistość jest jeszcze gorsza niż jego sen. Wiedział, że mała ofiara była łupem Wikarego. Wszystko się zgadzało: zniknięcie duchownego, piwnica, metalowa klatka... Gdy Hyacinthe Verne wrócił do mieszkania, przekonał się, że syna dręczą najstraszniejsze męczarnie. Obaj mężczyźni długo ze sobą rozmawiali, nie udało im się jednak dojść do porozumienia w kwestii dalszego postępowania. Dla Valentina stało się to powodem ogromnego cierpienia. Wtedy po raz pierwszy spór poróżnił go z tym człowiekiem, który był samą dobrocią i którego wielbił ponad wszystko.

Kilka tygodni później, jakby los zawział się, by zniszczyć szczęście, które okazało się jedynie złudzeniem, doszło do tego strasznego wypadku z udziałem dorożki. Hyacinthe Verne, jak każdego ranka, odbywał spacer dla zdrowia nad brzegiem Sekwany. Na quai Voltaire z kariolki hodowcy ptaków spadła skrzynka i roztrzaskała się o bruk. Pechowym zbiegiem okoliczności nagłe wzbicie się w powietrze dziesiątek papużek spłoszyło konie stojące w pobliżu dorożki. Zaskoczony woźnica nie zdołał powstrzymać zaprzęgu, który puścił się galopem wprost przed siebie. Hyacinthe Verne znalazł się na trasie pędzącego na zatracenie pojazdu i został gwałtownie uderzony w skroń i w ramię. Świadkowie zdarzenia zanieśli nieprzytomnego mężczyznę do pobliskiego sklepiku antykwariusza, którego posłali pilnie po lekarza z sąsiedztwa. W międzyczasie dokumenty rannego pozwoliły go zidentyfikować i ustalić jego adres zamieszkania. Uprowadzony w ciągu następnej półgodziny, oszalały z niepokoju Valentin pobiegł natychmiast na miejsce wypadku, lecz kiedy tam dotarł, jego ojciec niestety już opuścił ten świat. Przytłoczony bólem młody człowiek, zrozpaczony na myśl, że nie zdążyli się pogodzić, stał przez długie minuty milczący i załamany nad ciałem, które już zeszytywniało na skutek śmierci, i wpatrywał się w tę szlachetną twarz okoloną białymi włosami splamionymi krwią.

Naprawdę sądził, że nigdy nie zdoła się otrząsnąć po tej okropnej stracie, na podobieństwo nieszczęsnej Ernestine zmarłej z żalu zaledwie kilka dni po śmierci swojego pana. A potem, dwa tygodnie później, gdy miał wrażenie, że pogrążył się w głębokiej otchłani, z której nigdy nie będzie mógł się wydostać, postanowił wypełnić pustkę kolejnych dni, porządkując gabinet ojca. To tam odkrył własną tajemnicę. Stara kuzynka nie istniała. Hyacinthe Verne poświęcił siedem ostatnich lat życia na bezustanne tropienie Wikarego. Z miłości do syna, bo szczęście Valentina liczyło się w jego oczach bardziej niż wszystko inne, ten łagodny człowiek, zakochany w pokoju i postępie, wbrew swojej naturze zmienił się w mściciela. Gdy wyjeżdżał na kilka dni, to tylko dlatego, że natrafił na ważny trop i chciał zweryfikować w terenie otrzymane informacje.

To odkrycie głęboko wstrząsnęło Valentinem. Jak to możliwe, że niczego nie widział? Niczego się nie domyślił? Czy był tak obojętny na innych, tak pogrążony w życiu wewnętrznym, że nie potrafił się odwzajemnić Hyacinthe'owi Verne'owi za całą tę pomoc, której ten mu udzielił? A przecież rolą syna było wspierać ojca. Mieszanka wstydu, bólu i złości skłoniła wówczas młodego człowieka do tego, żeby teraz to on rzucił się w wir walki. Potwór wciąż działał, czając się w mroku. Najwyższy czas odważyć się stawić mu czoła i wreszcie uwolnić nieszczęsnego Damiena spod jego wpływu.

Pogrążony we wspomnieniach z przeszłości Valentin początkowo nie zwrócił uwagi, że deszcz się nasilił i przeszedł w gwałtowną ulewę. Gdy w końcu otrząsnął się z zamyślenia, miał przemoczone ubranie, a jego twarz ociekała wodą. Z żalem opuścił samotny grób i dotarł do pawilonu wejściowego, pod którego okapem schroniło się kilka osób odwiedzających cmentarz. Chociaż był teraz osłonięty przed deszczem, po policzkach nadal spływały mu krople, zostawiając na jego wargach nieznaczny smak soli.

³⁹ „Bezpieczeństwo” to po francusku „*sûreté*” (przyp. tłum.).

⁴⁰ Dawna nazwa cmentarza Montparnasse.

ROZDZIAŁ 32

Pamiętnik Damiena

W ciągu tych dni – tygodni? – które nastąpiły po pojawieniu się w piwnicy innego chłopca, utrzymywałem z nim przedziwne relacje. W pierwszym okresie niewoli wyobrażałem sobie, że gdybym miał towarzystwo, pomogłoby mi to znieść uwięzienie i krzywdy wyrządzane przez Wikarego.

Urojenia!

Posłużyło temu jednak owo wsparcie moralne, którego potrafiła mi udzielać, przez pewien czas, panna Louise. Była moją towarzyszką zabaw, moją powiernicą i – ośmielę się użyć tego słowa – moją przyjaciółką. Dzisiaj, z perspektywy czasu, wydaje mi się, że uczucie, które połączyło mnie z tą maleńką ryjówką, było niewspółmierne ze skąpymi relacjami między mną a moim nowym towarzyszem niedoli. Ten co prawda w końcu przestał uporczywie milczeć, ale na pytania niemal zawsze odpowiadał półsłówkami. Jakbym mu się naprzykrzał, jakby się wzdragał przed zobaczeniem we mnie bliźniego. Podał mi swoje imię, powiedział, że jest sierotą tak jak ja i że również wpadł w sidła Wikarego, ale to było właściwie wszystko, co zgodził się wyjawić. Ani słowa o swojej przeszłości. Istota, która wyłoniła się z niebytu, sprawiała na mnie nieprzyjemne wrażenie, że mogłaby do niego wrócić, kiedy tylko jej się spodoba.

Oczywiście wcale tak nie było. *Inny* był naprawdę więźniem, skazanym na taki sam los jak ja.

Taki sam los?

Niezupełnie! Byłem w błędzie pierwszego dnia, sądząc, że Wikary postarał się o całkiem nową zabawkę i że nowo przybyły zajmie moje miejsce. Nie mogłem się bardziej mylić! Ani jeden raz mój dręczyciel nie zmusił go do aktu sprzecznego z naturą czy choćby obdarzył zwykłą pieśczołą. Nigdy go nie dotykał ani się do niego nie zbliżał. Nie odzywał się też do niego ani słowem. Gdy plugawa rżądza skłaniała Go do zejścia do piwnicy, ignorował *Innego* i robił ze mną, co Mu się żywnie podobało, jakbyśmy tam byli tylko we dwóch. Czy mam to przyznać? Z początku, mimo cierpienia, odczuwałem niemal radość z tego powodu, a przynajmniej prawdziwą ulgę. W końcu nic się nie zmieniło. Nadal byłem Jego ulubieńcem. A skoro wciąż Mu się podobałem, stanowiło to gwarancję pozostania przy życiu.

A potem, w miarę upływu czasu, gdy już ucichł lęk, że zostanę wyeliminowany, poczułem w sercu ukłucie zazdrości. Skąd to uprzywilejowane traktowanie? Dlaczego ja, a nie on? Czym sobie zasłużył, że go oszczędzano? Po co Wikary go porwał, jeśli potem go ignorował? Dręczyły mnie niezrozumienie i silne poczucie niesprawiedliwości. Przypominało to truciznę, która z wolna rozprzestrzeniała się we krwi i powodowała, że gnilem od środka. Stawałem się zawzięty, gniewny.

Inny musiał mieć jakiś szczególny dar czytania w myślach, bo pewnego dnia wieczorem po tym, jak musiałem po raz kolejny ulec zachciankom Wikarego i kulilem się na sienniku zdany na pastwę tłumionej wrogości, obserwując go kątem oka, powiedział z zaskakującą łagodnością:

– To dlatego, że zdołał cię utemperować.

Drgnąłem. Nie miał w zwyczaju się do mnie odzywać. Prawie zawsze to ja go nagabywałem, on zaś zadowalał się udzielaniem lakonicznych odpowiedzi.

– Co?... – wyjąkałem. – Co mówiłeś?

– Właśnie się zastanawiałeś, dlaczego Wikary dobiera się tylko do ciebie – odparł, podczas gdy jego wargi zdołał nieznaczny uśmiech. – Wobec tego powiedziałem ci, że to dlatego, że zrezygnowałeś ze stawiania oporu. Udało Mu się cię utemperować.

Byłem zaszokowany i zaskoczony. Jak to zrobił, że odgadł moje skryte myśli? Ponieważ mnie przejrzał, moja niechęć do niego tym bardziej się nasiliła. Mało brakowało, bym dał upust złości i rzucił się na niego, ryzykując, że zbije mnie na kwaśne jabłko, bo prawdopodobnie nie miałyby żadnego problemu z osiągnięciem nade mną przewagi fizycznej. W ostatniej chwili coś mnie jednak powstrzymało. Chodziło o jego uśmiech. Albo raczej o coś, co dało się dostrzec za zaczątkiem uśmiechu. Nie były to drwina ani pogarda, jak się obawiałem, lecz pewnego rodzaju troska.

– Jak miałbym twoim zdaniem Mu się przeciwstawić? – zapytałem z upartą miną. – To dorosły, a ja jestem tylko dzieckiem. Pobije mnie i znów zamknie w klatce. A to nie wchodzi w rachubę. Nie zniosę tego.

– Co do mnie, gdyby nasza Go ochota, żeby mnie dotknąć, dorosły czy nie, mogę cię zapewnić, że by za to zapłacił. – Kłapnął zębami, gwałtownie zaciskając szczęki. – Nie wyszedłby z tego cało, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Wzruszyłem ramionami z pogardą.

– Przechwalasz się, bo dopiero tu przybyłeś. Ja tkwię zamknięty w tej piwnicy od trzech... albo od czterech lat. Już nawet dokładnie nie wiem, bo straciłem rachubę. Ale zobaczymy, czy okażesz się taki sprytny, kiedy będziesz tu gnić równie długo!

Uśmiechnął się wyraźniej. Zobaczyłem, jak jego białe zęby błyszczą w półmroku, a szarozielone oczy pociemniały i lśniły dziwnym blaskiem. Kiedy znów się odezwał, jego głos zabrzmiał w moich uszach zadziwiająco spokojnie i stanowczo:

– Nie ma mowy, żebym był więziony w tej piwnicy dłużej niż przez miesiąc. Przy pierwszej okazji wymknę się temu wysłannikowi szatana.

W tamtym momencie nie wiedziałem, jak zareagować. Nie tylko dlatego, że zaskoczyła mnie jego spokojna pewność siebie, lecz przede wszystkim dlatego, że w niewytłumaczalny sposób w głębi mojej duszy momentalnie zrodziła się

pewność, że w jego twierdzeniu nie było ani śladu fanfaronady. Ograniczył się do zakomunikowania neutralnym tonem, co się niechybnie wydarzy.

W następnych dniach nic jednak nie mąciło naszej codzienności, której rytm nadawało pojawianie się dwa razy dziennie Wikarego przynoszącego nam marną strawę i wymieniającego wiadro z nieczystościami.

Z wyjątkiem jednego szczegółu.

Inny odzywał się do mnie odtąd znacznie chętniej. Raczej życzliwie i w każdym razie bez najmniejszego podkreślania własnej wyższości. Podczas naszych rozmów uświadomiłem sobie, że jesteśmy w tym samym wieku i że jeśli początkowo wydał mi się starszy, to wyłącznie z powodu stanowczości charakteru. Według niego popełniłem fatalny błąd, całkowicie porzucając wolę oporu. Wikaremu udało się zaszcześcić w moim umyśle wiarę w bezsilność. Nie mogłem Mu się wymknąć nie dlatego, że tak w istocie było, lecz dlatego, że zdołał mnie utwierdzić w tym przekonaniu. On natomiast, jak mówił, był pewien, że jego dozorca prędzej czy później popełni jakiś błąd. Wyczekiwał tego, twierdząc, że nic i nikt nie przeszkodzi mu wykorzystać okazji, gdy tylko się nadarzy.

Bardzo się pilnowałem, żeby nie negować jego słów, bo byłem zbyt zadowolony, znajdując w nim pokrzepiające towarzystwo, jednak im więcej czasu mijało, im bardziej zbliżaliśmy się do terminu, który on sam wyznaczył – osławionego miesiąca! – tym słabiej jego aura lśniła w moich oczach. Naprawdę wierzył w to, co mi powiedział na temat swojej bliskiej ucieczki – nigdy w to nie wątpiłem – ale po prostu całkiem się mylił. Od Wikarego się nie uciekało. Stopniowo musiał, tak jak ja, pogodzić się z losem. Byliśmy dwiema rybami schwytanymi w więcierz i nigdy nie odzyskamy wolności.

Rankiem trzydziestego dnia, po pierwszej wizycie Wikarego, *Inny* przyklęknął w rogu piwnicy najodleglejszym od drzwi i wylał na ziemię całą zawartość swojej czarki mleka. Patrzyłem oszołomiony, jak to robi. Kiedy zaczął mieszać płyn z ubitą ziemią, zapytałem go w końcu:

– Co w ciebie wstąpiło? Oszalałeś czy jak?

Jedyną odpowiedzią był wymijający uśmiech. Potem zaczął drzeć jeden ze swoich koców na grube pasy i klepać je czymś w rodzaju czarniawej glinki, którą uzyskał. Następnie ugniół to wszystko w taki sposób, że powstała kula wielkości dwóch złączonych pięści. Zadowolony z rezultatu, usiadł na sienniku i spokojnie czekał, aż błoto wyschnie i stwardnieje. Przez całą resztę dnia nie przestawał odbijać tej swego rodzaju zaimprovizowanej piłki o ścianę, którą miał naprzeciwko.

Bum! Bum! Bum!

Ten regularny odgłos w końcu zaczął mi działać na nerwy, ale nie chciałem się sprzeczać z *Innym* z tak błahego powodu, więc nie protestowałem. Zaciśnąłem tylko powieki i zatkałem pięściami uszy, żeby niczego nie słyszeć. Z czasem musiałem zasnąć, bo gdy ponownie otworzyłem oczy, zapadła noc. W piwnicy było całkiem ciemno i nie słyszałem już żadnego odgłosu ani nie dostrzegałem żadnego ruchu. Gardło ścisnął mi jakiś niewytłumaczalny lęk.

Właśnie miałem otworzyć usta, żeby krzyknąć, gdy szczęk zamka poprzedził otwarcie drzwi i na szczycie schodów pojawił się Wikary, trzymając w jednej ręce tacę, a w drugiej lampę olejową. Zgodnie z niezmiennym rytuałem umieścił światło na skrzyni, a potem zszedł niżej, żeby zostawić na ziemi między naszymi dwoma siennikami miskę zupy i kawałek czarnego chleba.

Akurat gdy pochylał się do przodu, *Inny* cisnął przed siebie piłkę, którą do tamtej pory trzymał schowaną za plecami. Doskonale wymierzonym strzałem przewrócił lampę, która spadła na ziemię, rozbiła się i pograżyła piwnicę w ciemnościach. Nastąpiła chwila ogromnego zamieszania. Usłyszałem okrzyk wściekłości Wikarego i jednocześnie odgłos pospiesznych kroków. Wiedziałem, że powinienem skorzystać z tego incydentu, żeby uciec, ale okazało się to niemożliwe. Jakaś część mnie się temu sprzeciwiała. Co by się stało, gdyby Wikary mnie złapał? Jego zemsta z pewnością byłaby straszna. Znęcałby się nade mną w najgorszy możliwy sposób. Tkwiałem zatem nieruchomo na pryczy, jak sparaliżowany.

Dostrzegłem tylko niewyraźną sylwetkę przebiegającą przez drzwi. Zaraz potem z kolei Wikary wspiał się po stopniach. Drzwi ponownie się zamknęły, trzasnął zamek.

„Nie ma mowy, żebym był więziony w tej piwnicy dłużej niż przez miesiąc”. *Inny* mówił prawdę. Umiał wykorzystać szansę, a nawet ją sprowokować. Co do mnie, biednego Damiena, pozwoliłem, żeby przeszła mi koło nosa. Mój koszmar z pewnością miał trwać bez końca.

O tym, co się stało z uciekinierem, dowiedziałem się dopiero znacznie później. Udało mu się opuścić złowieszczy dom Wikarego i zostawić Go za sobą na wstrętnym przedmieściu, wśród niezagospodarowanych terenów i rozpadających się chałup. Znalazł sposób, żeby dostać się stamtąd do Paryża. Będąc u kresu sił, przekonany, że jego prześladowca wciąż depta mu po piętach, sądził, że zdoła Go ostatecznie zgubić na place du Trône, wśród radosnego tłumu na targu piernikowym, ale wyobrażając sobie, że natrafił tam na idealne schronienie, popełnił głupstwo i wślizgnął się pod płótno pierwszego napotkanego namiotu... Tego, w którym mieścił się pałac luster.

To miejsce rozrywki zamknęło się za nim niczym jakaś diabelska pułapka. Oszalały z trwogi, zawrócił i błąkał się przez ponad godzinę w labiryncie, zderzając się nieustannie z coraz to nowymi lustrami, a potem upadł na ziemię bliski utraty przytomności. Z otępienia wyrwał go wówczas niski, łagodny głos:

– Co ty tu robisz, moje dziecko? Wyglądasz na śmiertelnie zmęczonego.

Chłopiec otworzył oczy. Pochylał się nad nim jakiś mężczyzna. Piękną twarz emanującą dobrocią okalała aureola białych włosów. Jego wargi ponownie się poruszyły.

– Jak masz na imię?

Inny wyczerpał już wszystkie rezerwy fizyczne. Ostatkiem sił zdołał jednak wyszeptać swoje imię, zanim stracił przytomność:

– Valentin... Mam na imię Valentin.

ROZDZIAŁ 33

Ucieczka

Wychodząc z cmentarza, Valentin rozglądał się początkowo za dorożką, ale w końcu zrezygnował. Ulewa stopniowo traciła na intensywności, więc wolał wrócić do domu pieszo. Ze wszystkich obrazów z przeszłości tym, który bez przerwy stawał mu przed oczami, była twarz Hyacinthe'a Verne'a pochylającego się nad nim w pałacu luster na place du Trône. Od tamtego czasu minęło jedenaście lat, lecz to wspomnienie było w nim zawsze równie żywe.

Gdy wyrwał się ze szponów Wikarego, miał niesłychane szczęście, że trafił na tego kochającego i wspaniałomyślnego człowieka. Hyacinthe Verne stracił młodą żonę Clarisse, kiedy ta w pierwszej ciąży urodziła martwego chłopca. Ujawniło się ogólne zakażenie, którego lekarze nie potrafili powstrzymać. Od tamtego czasu, przez wszystkie lata, samotny wdowiec pielgrzymował na targ piernikowy, gdzie po raz pierwszy spotkał tę młodą kobietę. Gdy znalazł Valentina w pałacu luster, ulitował się nad tym zagubionym dzieckiem, ale uderzyło go również niepokojące podobieństwo chłopca do drogiej zmarłej. Ten z gruntu wspaniałomyślny mężczyzna zabrał go wtedy do siebie. Dał mu swoje nazwisko i wychowywał tak, jakby był jego rodzonym synem, a Valentin zawsze żałował, że nie zdążył mu okazać za to wdzięczności, co odczuwał jako nieuleczalną ranę. Los spletał mu najokrutniejszego figła, najpierw ofiarując, a potem tak brutalnie odbierając tego jakże ukochanego przybranego ojca.

Inspektor dotarł na rue du Cherche-Midi wciąż pogrążony w rozmyślaniach, więc nie od razu zauważył dwóch mężczyzn w szarych surdutach, którzy stali w sieni jego kamienicy. Był zajęty przeszukiwaniem kieszeni, żeby wyjąć klucze, kiedy szorstki głos skłonił go do podniesienia głowy.

– Inspektor Verne?

Po laskach z ołowianą gałką służących za pałki oraz po jakże charakterystycznym ubiorze Valentin natychmiast poznał w tych dwóch osobnikach swoich kolegów. Pierwszy był wysoki i kościsty, a ze względu na szpetną twarz, posępną minę, worki pod oczami i wystający podbródek przypominał karawaniarza. Drugi ustępował mu wzrostem o dobre dwadzieścia centymetrów. Krępy, z pryszczatym nosem i czerwonymi policzkami, zapewne nie zaliczał się do entuzjastów wstrzemięźliwości.

To ten wyższy zagadnął Valentina i teraz wpatrywał się w niego z niemal niezdrowym zainteresowaniem.

– Tak, to ja – odparł młody człowiek. – Czego chcecie?

Jego rozmówca lekko zakaszłał i odwrócił się połowicznie do kolegi, jakby, nieco zakłopotany, szukał u niego wsparcia. Ponieważ jednak tamten został w tyle i zachowywał milczenie, w końcu rzucił:

– Przysłała nas szef Sûreté, komisarz Flanchard. Pragnie z panem porozmawiać. Valentin okazał zdziwienie.

– Czyżby komisarz już uzyskał odpowiedź prefekta? Zapewnił mnie przecież, że nie dowie się niczego nowego przed jutrzejszym rankiem.

Tyczkowaty policjant potrząsnął głową i zmarszczył nos. Jego twarz z odpychającej zrobiła się niemal szkaradna. Odnosiło się wrażenie, że czuje się nieswojo.

– Nic nie rozumiem z tego, co pan mówi – mruknął. – Jeśli inspektor Verne to rzeczywiście pan, jesteśmy w posiadaniu nakazu aresztowania wystawionego na pańskie nazwisko, podpisanego przez sędziego śledczego. Komisarz Flanchard życzył sobie osobiście pana przesłuchać.

Valentin sądził, że się przesłyszał. Nakaz aresztowania na jego nazwisko? Nie, to niemożliwe! Źle zrozumiał albo padł ofiarą jakiegoś straszego nieporozumienia.

Zaprotestował:

– Mam zostać aresztowany? Ja? Też coś, może chodzić wyłącznie o pomyłkę! Zostałem przydzielony do komisarza Flancharda w związku z niezmiernie poufnym dochodzeniem. Widzieliśmy się zaledwie kilka godzin temu.

– Nie ma sensu się spierać ani podnosić głosu – odparł wysoki policjant, rzuciwszy wpierw okiem dookoła. – My tylko wypełniamy rozkazy. Proszę pójść z nami i nie stwarzać problemów. Wyjaśni pan to z komisarzem.

Nagle Valentina ogarnęły wątpliwości. Jego oczy z zielonych zmieniły się w szare i zmierzył swoich rozmówców wzrokiem z zimną krwią, którą jednak zachowywał tylko na pozór.

– Przede wszystkim jaki mam dowód, że naprawdę jesteście tymi, za których się podajecie? – zapytał podejrziwym tonem. – Mogę zerknąć na ten osławiony nakaz?

Tym razem to policjant o czerwonej gębie poszperał pod surdudem, wyciągnął stamtąd jakiś dokument, rozłożył go i pokazał inspektorowi, nie pozwalając mu jednak wziąć go do ręki. Wyglądało, że wszystko jest w porządku. Wydrukowany formularz wydawał się autentyczny, pieczęcie były właściwe, a jego nazwisko rzeczywiście zostało wpisane piórem w wolnym miejscu pozostawionym w tym celu. Valentin miał nieprzyjemne wrażenie, że przeżywa koszmar na jawie albo jest ofiarą niesmacznego żartu.

– Możecie mi chociaż powiedzieć, czym sobie zasłużyłem na takie traktowanie? Co dokładnie mi się zarzuca?

Policjant o wyglądzie grabarza odsunął swojego kolegę. Podczas gdy tamten pokazywał nakaz aresztowania, on z kolei wyjął krótki łańcuch⁴¹ i pozwolił mu zwisać niedbale z zaciśniętej dłoni. Przybrał prokuratorski ton i wyraźnie artykułując każdą sylabę, odpowiedział Valentinowi:

– Jest pan oskarżony o zlecenie cztery lata temu zabójstwa swojego przybranego ojca. Podejrzewa się pana również o bezprawne przejęcie jego majątku i o usunięcie prawowitego spadkobiercy, niejakiego Damiena Combes’a.

Młodemu człowiekowi serce zamarło w piersi. Przymknął oczy i ciężko dyszał, robiąc krótkie, gwałtowne wdechy, jakby brakowało mu powietrza i niemal się dusił. Gdy ponownie otworzył powieki, był bardzo blady. Zdawało się, że krew odpłynęła mu z twarzy.

– Ja... Ja nic nie rozumiem – wyjąkał ze spojrzeniem zagubionym w pustce. – To jest... To jest czyste szaleństwo...

Szok był tak wielki, a Valentin do tego stopnia oszołomiony, że nawet nie zdawał sobie sprawy, iż stojący naprzeciwko niego mężczyzna krępuje mu prawy nadgarstek, okręcając wokół niego ów krótki łańcuch. Dopiero gdy drugi policjant po raz pierwszy otworzył usta, chyba otrząsnął się z osłupienia.

– Uważasz, że to naprawdę niezbędne? – zapytał tamten, wskazując brodą łańcuch. – Mimo wszystko to wciąż nasz kolega.

Wysoki chudzielec spiorunował go wzrokiem.

– Otrzymaliśmy ścisłe instrukcje. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. A Flanchard niezbyt lubi, jak się coś robi po swojemu. Wobec tego, jeśli nie chcemy narobić sobie kłopotów, w naszym najlepszym interesie jest postępować dokładnie tak, jak nam polecono.

Gwałtownym szarpnięciem pociągnął za uchwyty łańcucha, zmuszając Valentina, żeby szedł za nim krok w krok. Jego kolega ustawił się tuż za nimi, żeby móc neutralizować wszelkie próby stawiania oporu. Zapadał już zmrok i latarnik podchodził z drabiną na ramieniu do pierwszej lampy gazowej na ulicy, gdy trójka mężczyzn skierowała się w stronę służbowego powozu, który stał nieopodal.

Ledwie usadowili się w środku, szcudłowaty policjant szybkim ruchem zaciągnął zasłony na drzwiczkach, pogrążając ich w półmroku. Trzasnął bat i berlinka ruszyła powoli, ze stukotem kół, które wywoływały posępne odgłosy niosące się echem wzdłuż wąskich fasad.

Siedząc na ławce między dwoma policjantami, przybity Valentin próbował zebrać myśli. Niespodziewane aresztowanie stanowiło przykry cios, ale było niczym w porównaniu ze stawianymi mu zarzutami. Śmierć Hyacinthe'a Verne'a morderstwem? I w dodatku morderstwem, którego on miał być zleceniodawcą! To naprawdę było jakimś wyjątkowym obłędem! Prawie tak absurdalnym jak rzekome zagarnięcie spadku. Co do oskarżenia go o usunięcie nieszczęsnego Damiena, zakrawało to wręcz na śmieszność. Inspektor dochodził do kresu tego, co potrafił znieść jego mózg w stanie napięcia. Czuł się równie bezużyteczny i bezsilny jak marionetka, której odcięto sznurki.

Wzdychając przeciągle, pozwolił, by jego kark i górna część ramion dotknęły oparcia. Potem usiłował zwolnić rytm serca i opróżnić głowę z myśli. Mimo przejściowego przygnębienia jego instynkt przetrwania wciąż czuwał. Kiedy nie miał jeszcze dwunastu lat, to właśnie dzięki nadzwyczajnym zdolnościom adaptacyjnym zdołał się wyrwać ze szponów Wikarego. Sekret polegał na tym, żeby nie dać się opanować emocjom i na chłodno, wnikliwie analizować przeciwności. Teraz, gdy już przezwyciężył początkowy szok, uświadomił sobie, że w tej historii nic się nie klei. Jeśli komisarz Flanchard rzeczywiście miał mu coś do zarzucenia, jak to możliwe, że wcale nie dał tego po sobie poznać przed południem? Dlaczego nie kazał go aresztować, gdy tylko się zjawił na rue de Jérusalem? Jedyne prawdopodobne wyjaśnienie było takie, że przełożony nic jeszcze na niego nie miał, gdy udawali się razem na boulevard du Temple. Wobec tego Valentin zderzył się z innym problemem. Jak afera, która rzekomo rozegrała się cztery lata wcześniej, wypłynęła na powierzchnię w ciągu pół dnia? Nie, zdecydowanie coś tu się nie zgadzało!

Dotarł właśnie do tego punktu rozważań, gdy powóz raptownie skręcił. W rezultacie inspektor wpadł na swojego sąsiada po lewej stronie, a zasłona na drzwiczkach odchyliła się na ułamek sekundy, pozwalając mu dostrzec wieżyczkę pałacu Conciergerie. Zaprzęg skręcił właśnie na pont au Change, żeby przejechać na prawy brzeg rzeki.

– Dokąd mnie zabieracie? – zapytał z nutą złości w głosie. – Myślałem, że jedziemy na spotkanie z komisarzem Flanchardem w siedzibie Sûreté.

Policjant, który wciąż trzymał nadgarstek inspektora mocno skrzepowany, odpowiedział oschle, nie zadając sobie nawet trudu, żeby odwrócić się w jego stronę:

– Nigdy ci nie mówiłem, że zobaczysz się z nim dzisiaj wieczorem. Mamy rozkaz zabrać cię do La Force⁴². To tam zostaniesz przesłuchany przez komisarza. Jutro, albo później, jeśli tak mu się spodoba.

Valentin nie zauważył przejścia na ty, bo ta informacja podziałała na niego niczym cios pałką. Skoro nie rozmówi się z Flanchardem tego samego wieczoru, to całkiem straci możliwość szybkiego oczyszczenia się z zarzutów. Przede wszystkim jednak oznaczało to co najmniej jedną noc w więzieniu, a tego młody człowiek by nie ścierpiał. Odkąd w dzieciństwie spędził te straszne tygodnie uwięziony w piwnicy Wikarego, sama myśl, że mógłby zostać pozbawiony wolności, była dla niego nie do zniesienia.

Przez kilka następnych minut udawał, że załamał się pod ciężarem nieuchronności losu, ale kiedy jego strażnicy przestali się nim interesować, wymieniając błahe uwagi na temat możliwego awansu, przystąpił do obmyślenia planu wydostania się z tarapatów. Jedno było pewne: dysponował tylko jedną jedyną próbą i jeśli miało mu się powieść, musiał poczekać z przejściem do działania, aż berlinka opuści rue Saint-Denis i wjedzie głębiej w ciasne uliczki dzielnicy Le Marais. Skoncentrował się zatem na przemierzanej na ślepo trasie, żeby mieć pewność, że nie popełni błędu w ocenie.

Gdy nabrał przekonania, że woźnica właśnie skierował konie w wąską rue des Lombards, wziął głęboki wdech i zaryzykował, stawiając wszystko na jedną kartę. Sięgnąwszy lewą ręką do kieszeni kamizelki, wyjął z niej zegarek i upuścił go na podłogę. Potem się pochylił i wyciągnął drugą rękę, udając, że chce go podnieść. Jego gwałtowny ruch pociągnął do przodu strażnika, z którym był połączony łańcuchem. Ten szarpnął nadgarstkiem, żeby zmusić Valentina do wyprostowania się, i warknął poirytowany:

– Co ty wyprawiasz? Nie możesz usiedzieć w spokoju?

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo Valentin, przyspieszając ruch ramieniem w górę, zadał mu straszliwy cios w skroń, a ogniwa łańcucha rozorały delikatną w tym miejscu skórę. Policjant wydał z siebie zduszony odgłos przypominający czkawkę i runął na drzwiczki. W półmroku jego kompan nie od razu zauważył, co się dzieje. Zrozumiał to, dopiero gdy zobaczył osuwające się tyczkowate ciało. Zaklął i próbował wyciągnąć pistolet, ale z powodu ciasnoty i oszołomienia stracił cenne sekundy. Ledwie położył dłoń na kolbie broni, Valentin się odwrócił i wymierzył mu cios głową w środek twarzy. Chrupnęły chrząstki i funkcjonariusz zakwiczał jak świnia, a z jego długiego nochala zredukowanego do postaci kalafiora trysnął strumień krwi.

Valentin wykorzystał jego popłoch, żeby uwolnić nadgarstek z łańcucha i gwałtownym kopnięciem otworzyć drzwiczki. Potem przekroczył ciało swojej pierwszej ofiary i wyskoczył na jezdnię. Woźnica niczego nie zauważył i zaprzęg przejechał jeszcze mniej więcej dziesięć metrów, zanim w końcu zaalarmowały go wrzaski nadal przytomnego policjanta.

Inspektor nie zwlekał i zawrócił biegiem, żeby dostać się do rozwidlenia rue du Maure. Gdyby zdołał dotrzeć tam bez szwanku, miał wszelkie szanse zgubić ewentualny pościg w labiryncie uliczek, krytych pasaży i połączonych ze sobą podworców, które zajmowały znaczną część tej dzielnicy starego Paryża. Wszystko wskazywało na to, że mu się uda, i już miał skrócić za róg ulicy, gdy nagle za jego plecami rozległ się strzał. Najpierw poczuł uderzenie w ramię. Ból pojawił się dopiero w drugiej kolejności. Promieniujący, potworny.

Chociaż brakowało mu tchu, znalazł dość sił, żeby się schronić w zaułku, i przywarł do fasady pierwszej kamienicy. Po lewym ramieniu już rozchodziło się uczucie drętwienia. Uniósł rękę do obojczyka, a gdy ją cofnął, była umazana krwią. Po rue des Lombards niosło się echo pospiesznych kroków, które szybko się przybliżały. Nie mógł tam dłużej stać bez ruchu.

Z największym trudem ruszył chwiejnie do bramy najbliższego budynku i wszedł do ciemnej sieni, która cuchnęła moczem i stęchlizną.

Została mu niecała godzina na opuszczenie dzielnicy. Po upływie tego czasu wszystkie wyjścia zostaną z pewnością zamknięte i znajdzie się w matni.

⁴¹ Chodzi o tak zwany *cabriolet*, prekursora kajdanek. Był to łańcuch ze sprężynowymi ogniwami i uchwytem na każdym końcu, używany do krępowania ręki więźnia, zwłaszcza podczas transportu.

⁴² Dawne paryskie więzienie mieszczące się w dzielnicy Le Marais przy rue du Roi-de-Sicile.

ROZDZIAŁ 34

W opałach

Tamtego wieczoru Aglaé Marceau zaraz po zejściu ze sceny pospieszyła do swojej garderoby, żeby się przebrać. Dowiedziawszy się po przyjściu do teatru o bileciku od Valentina, nie mogła się powstrzymać od przeczesywania wzrokiem sali podczas całego spektaklu. Nie napisał, czy zjawi się jeszcze tego samego wieczoru, ale zbyt jej było pilno ujrzeć go ponownie, by mogła się oprzeć pokusie.

Na próżno wytrzeszczała oczy i przebiegała spojrzeniem pierwsze rzędy widzów, do tego stopnia, że traciła przez to koncentrację i pomyliła kilka kwestii, ale go nie zobaczyła. Ubierając się w pośpiechu, nadal miała jednak nadzieję, że będzie na nią czekał przy wyjściu dla artystów.

Gdy zakradła się do jego mieszkania rankiem w dniu tego głupiego pojedynku, wyczuła, że jest skrępowany jej obecnością. Nie rozumiała też niespodziewanego milczenia, które potem nastąpiło. Kiedy zlekceważył jej zaproszenie, uznała, że się pomyliła, bo wzięła własne pragnienia za rzeczywistość. Na podstawie doświadczonej wówczas przykrości oceniła, do jakiego stopnia ten posepny Apollo, którego oczy miały czasem przejrzystość widywaną zwykle jedynie u bardzo małych dzieci, umiał poruszyć jej serce. Domyślała się w nim wzruszającej wrażliwości, choć skrywanej pod pozorną pewnością siebie. Czyżby ją rozszyfrował? Czy to ze strachu, że ta sekretna rysa zostanie ujawniona, zamknął się nagle w sobie niczym jeź za zaporą z kolców?

Kiedy już Aglaé przełknęła rozczarowanie, postanowiła się w końcu upewnić, jak sprawy stoją. Nie była tego rodzaju osobą, która usuwa się w cień na paluszkach. Jeśli Valentin nic do niej nie czuł, musiał jej to powiedzieć prosto w oczy. Już zatem zdecydowała, że odbędzie szczerą rozmowę z młodym inspektorem, gdy jego niespodziewany bilecik rozwiął wszystkie wątpliwości. Chmury rozproszyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Zanim wyszła z garderoby, wciąż mając nadzieję zobaczyć go przed teatrem, po raz ostatni zerknęła w lustro. Chciała mieć pewność, że pokaże mu się w jak najlepszym świetle. Chociaż tamtego wieczoru nieszczególnie zadbała o swoją toaletę, stwierdziła z ulgą, że jej odbicie ukazuje raczej ponętny obraz. Miała na sobie suknię z adamaszku w barwie grynszpanu, pelerynkę pod kolor i pluszowy kapelusz przekrzywiony na jedno ucho, który nadawał jej przeuroczo buntowniczy wygląd.

W korytarzu zatłoczonym z powodu krzątający rekwizytorów i statystów natknęła się na swojego głównego partnera, który próbował ją przytrzymać za ramię.

– Dokąd tak szybko zmykasz? Ojciec Saqui zaprasza nas wszystkich do Burgundzkiego Winobrania, żeby uczcić sukces nowej sztuki.

– Obejdzie się beze mnie! – rzuciła, uwalniając się. – Dzięki temu chociaż raz wędrujące ręce tego starego capa zostaną na stole.

– Robisz błąd, tak się krygując. Znam niejedną, która chciałaby być na twoim miejscu.

– No to niech je zajmą! Zostawiam im je z miłą chęcią!

Wymknęła się ze śmiechem i utorowała sobie drogę do drzwi na tyłach. Wychodziły na wąski ślepy zaułek, przez który wystarczyło przejść jakieś dwadzieścia metrów, żeby dotrzeć do bulwaru.

Mimo późnej pory typowej dla sobotniego wieczoru tłum nadal tłoczył się w bocznych alejkach. Przed fasadami teatrów widzowie zwlekali z odejściem, komentując występy swoich ulubionych aktorów, a niepoprawne hulaki odwiedzały

liczne gospody albo oklaskiwały ostatnie popisy kuglarzy, których brzydka pogoda nie zniechęciła do wyjścia na estradę. Cały ten ścisk przyciągał gazeciarzy zachwalających szmatławce, te pokątnie drukowane arkusze, które w sposób sensacyjny powtarzały opisy zbrodni i rozmaitych zdarzeń ujawnionych kilka godzin wcześniej na łamach „Le Moniteur”, „Le Constitutionnel” albo „La Tribune”. Ich okrzyki mieszały się ze sobą i tworzyły coś w rodzaju permanentnej kakofonii.

– Kara śmierci dla niejakiego Auguste’a Timothéego Tiercelina, stolarza uznanego winnym zamordowania swojej kochanki za pomocą dłuta do drewna! Wszystkie szczegóły dotyczące odkrycia tragedii i trzydziestu dwóch ran znalezionych na zwłokach niewinnej ofiary!

– Skandal polityczno-finansowy: deputowany orleanista skompromitowany! Zeznania komisjonera Planchona na temat wręczania łapówek w celu uzyskania kontraktu na dostawy dla armii! Wszystko to, co do tej pory przed wami ukrywano, za skromną kwotę jednego sou!

– Ucieczka w biały dzień w stolicy: inspektor policji aresztowany za zbrodnię sprzed czterech lat wymyka się strażnikom podczas transportu do więzienia La Force! Czy należy podejrzewać współudział kolegów?!

U wylotu ślepego zaułka obojętna na wykrzykiwane w tłumie obwieszczenia Aglaé przyglądała się uważnie osobom stojącym pod kolumnadą teatru. Ani śladu Valentina. Miała sobie za złe, że czuje zawód, ale to było silniejsze od niej. Sprawiłoby jej ogromną przyjemność, gdyby spotkała się z nim jeszcze tego samego wieczoru. Trudno! Niewątpliwie dojdzie do tego nazajutrz albo dzień później.

– No, moja piękna! Szukasz kogoś? Wygląda na to, że twój galant wystawił cię do wiatru. Mylę się?

Mężczyzna, który zaczepił ją w ten sposób, musiał mieć jakieś dwadzieścia pięć–trzydzieści lat. Był ubrany z krzykliwą elegancją, począwszy od jasnego kapelusza, a skończywszy na lakierowanych czubkach butów, przez jaskrawo

haftowaną kamizelkę. Wypomadowane kosmyki włosów na skroniach, małe złote kółka w obu uszach i długi warkocz blond włosów noszony jak trofeum zamiast łańcuszka do zegarka dopełniały jego ubiór perfekcyjnego alfonsa. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa chodziło o opiekuna kilku ulicznych, które przechadzały się po bulwarze z chustą na biodrach, chcąc prowokować bogatych mieszczuchów.

Wyjścia z teatrów stanowiły dla tego rodzaju osobników idealny teren łowiecki, żeby spróbować zwerbować nowe źródło dochodów. Najbardziej uwodzicielscy, tacy jak ten, atakowali swoje cele frontalnie. Inni działali w sposób bardziej podstępny, zatrudniając w charakterze naganiaczek kobiety. Te przedstawiały się na ogół jako uczciwe sprzedawczynie strojów i nagabywały najbardziej czarujące statystki, proponując, że wypożyczą im za śmiesznie niską opłatę suknie oraz biżuterię potrzebne do wyjścia w świat. Naiwne dziewczęta, które dawały się skusić, zadłużały się w końcu do tego stopnia, że nie miały innego wyjścia, jak same się sprzedawać, by uniknąć uwięzienia w Sainte-Pélagie⁴³. Aglaé poznała kiedyś pewną śliczną debiutantkę z Tours imieniem Faustine, która w ciągu niecałego miesiąca zamieniła deski teatru de l’Ambigu-Comique na trotuar przy rue d’Anglade.

– To przechodzi wszelkie pojęcie, żeby kazać czekać takiej czarującej dziewczynie jak ty. – Fircyk nie dawał za wygraną, zbliżał się z łobuzerskim spojrzeniem i uwodzicielskim uśmiechem. – Ale mogę bez wątpienia pomyślnie zastąpić tego chama. Co byś powiedziała na przejażdżkę do La Courtille? Nie ma nic lepszego niż taniec i dzbanuszek wina z Suresnes, żeby zapomnieć o drobnych niepowodzeniach miłosnych!

– Dziękuję bardzo! – odpowiedziała Aglaé pogardliwie. – Nazbyt sobie cenię swoje włosy, żeby patrzeć, jak zwisają z kamizelki pierwszego lepszego elegancika.

Niespeszony mężczyzna podszedł w jej stronę. Wydzielał obrzydliwy zapach goździków i zimnego tytoniu. Aglaé cofnęła się odruchowo o kilka kroków w wąskim przejściu. Tamtego najwyraźniej to jednak nie zniechęciło i nadal się

zbliżał. Z uwodzicielskiego, jego uśmiech zmienił się w krwiożerczy. W półmroku widać było błysk szpiczastych zębów. Dziewczyna natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd, dając się przyprzeć do muru z dala od bulwaru. W tym ciemnym ślepych zaułku nieznajomy mógł się na nią rzucić, nie ryzykując, że ktoś go zaskoczy, i nawet gdyby krzyczała, jej wołanie najpewniej zagubiłoby się w ogólnym zgiełku.

– Daj spokój, moja śliczna – mruknął pewny siebie sutener – znasz chyba powiedzenie: „Nigdy nie mów nigdy”. Jeśli dasz mi szansę, zapewniam, że ofiarujesz mi z siebie znacznie więcej niż kilka pukli na dowód przywiązania.

W tym momencie za jego plecami rozległ się władczy głos:

– Chyba masz przytępiony słuch. Sądzę, że ta panna wystarczająco wyraźnie dała ci do zrozumienia, że nie jest zainteresowana.

Niegrzeczny chłopiec obrócił się raptownie wokół własnej osi, z inwektywą na ustach, gotów się bić, lecz to, co wówczas zobaczył, natychmiast powstrzymało jego wojownicze zapędy. U wylotu zaułka stała jakaś niepokojąca postać. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to elegancko ubrany mężczyzna, którego długi czarny płaszcz kontrastował z przerażającą bladością twarzy, jednak po bliższym przyjrzeniu się zachwycająca, niemal nierzeczywista uroda przybysza, w połączeniu z jego woskową cerą i lodowatym blaskiem oczu, sprawiała wrażenie, że ma się do czynienia z jakąś nadprzyrodzoną zjawą. Rzec by można, że to archanioł śmierci zstąpił na ziemię, by zebrać żniwo dusz.

Jakby dla wzmocnienia tego złowrogiego efektu nieznajomy wsunął rękę pod połę płaszcza i zagroził stłumionym głosem:

– Jeśli nie znikniesz w jednej chwili, palnę ci w łeb. Sam zdecyduj, ale się pospiesz. Cierpliwość nie jest moją mocną stroną.

Na sutenerze zrobiło to zdecydowanie zbyt wielkie wrażenie, by zauważył, że ta zjawą, która wyłoniła się znikąd, ledwie trzyma się na nogach. Zresztą chociaż dziewczyna wydawała się ładna, mimo wszystko nie była warta tego, żeby kusić

licho. Mężczyzna wolał niezwłocznie umknąć, starając się ominąć z daleka niepokojącą sylwetkę.

Gdy tylko alfons zniknął w tłumie, nieznajomy jęknął z bólu. Jego dłoń wsunięta pod płaszcz, żeby symulować obecność broni, opadła bezwładnie, a on zachwiał się w przyływie słabości. Aktorka, która dopiero teraz rozpoznała swojego wybawcę, podbiegła, żeby wziąć go w ramiona, zanim upadnie na ziemię.

– Valentin, mój Boże! Co się z panem dzieje?

Młody inspektor oparł się na jej ramieniu. Jego trupio blade czoło lśniło od potu, bo trawiła go gorączka. Jedynie niezwykła siła woli pozwoliła mu zmylić pościg, ale ten wyczyn do reszty go wyczerpał. Gdy w końcu zdołał otworzyć usta, jego głos sprowadzał się do ledwie słyszalnego szeptu, więc Aglaé musiała wyteńczyć słuch, żeby uchwycić strzępy zdań.

– ...źle, zbyt źle... kula w ramieniu... litości, proszę mi pomóc...

Młoda kobieta rzuciła oszołomione spojrzenie na pobliskie wejście dla artystów.

– Niech się pan na mnie oprze. Zaprowadzę pana do środka i poproszę, żeby jak najszybciej posłano po lekarza.

Valentin przewrócił oczami, a jego drżąca dłoń ścisnęła rękaw aktorki, która poczuła na szyi ciepły oddech.

– Nie... niemo... niemożliwe... ściga mnie policja... potrzebuję bezpiecznego miejsca... muszę... muszę... się ukryć...

Majaczył. Chyba że Aglaé nie potrafiła pojąć znaczenia jego urywanych słów. Jak to? On, inspektor Sûreté, jest tropiony przez siły porządkowe? To nie miało żadnego sensu! Zakrawało wręcz na szaleństwo, ale jeśli mimo wszystko taka była prawda, w jakie gniazdo os się pakowała, udzielając mu pomocy?

Odgadywała jednak w jego błagalnym spojrzeniu taką udrękę, że przestała się wahać.

– Wynajmuję pokój dwie przecznice stąd – wyszeptała. – Czy sądzi pan, że opierając się na mnie, da pan radę tam dojść?

Krzywiąc się, Valentin objął ją za szyję, więc udało mu się lekko wyprostować.

– Nie ma... innej rady.

Chwilę później na bulwarze Zbrodni pojawiło się dwoje mocno objętych młodych ludzi. Większość teatrów była już wtedy zamknięta, budy kuglarzy miały opuszczone żaluzje, a nocne marki zaczynały się rozpraszać pod latarniami, z których chłodnawy wiatr wydobywał posępne zgrzyty.

Tylko nieliczni spóźnieni przechodnie zauważyli parę idącą chwiejnym krokiem w cieniu arkad, a ci, którzy ją widzieli, nie zwracali na nią najmniejszej uwagi, sądząc, że mają do czynienia z jakimś birbantem zamroczonym alkoholem, którego nieszczęsna połowica prowadzi do domu, żeby wytrzeźwiać.

⁴³ Więzienie zarezerwowane dla spraw obyczajowych i niespłaconych długów do 1831 roku, kiedy to stało się preferowanym miejscem przetrzymywania więźniów politycznych.

ROZDZIAŁ 35

W którym Valentin decyduje się postawić wszystko na jedną kartę

Kula przebiła ramię na wylot, torując sobie drogę między obojczykiem a łopatką. Na szczęście wyszła, nie uszkadzając żadnej kości ani żadnego nerwu. Kłopot stanowiły natomiast strzępy ubrania, które mogły się dostać do rany, co groziło, że zgniją w środku. Należało ją bezzwłocznie oczyścić, żeby uniknąć zakażenia.

Położywszy półprzytomnego Valentina na swoim łóżku, Aglaé przystąpiła do tego delikatnego zadania, które jej zlecił, kiedy jeszcze szli ulicą. Rozgrzała nad płomieniem lampy drut do robótek ręcznych i dzięki ogromnej cierpliwości zdołała wydobyć z rany niewielkie kawałeczki spalonej tkaniny. Potem obficie skropiła uszkodzoną skórę wódką – z butelki podarowanej jej przez anonimowego wielbiciela, którą napoczęła z tej okazji – a następnie sporządziła opatrunek uciskowy z podartej na cienkie pasy halki i jedwabnego szala.

Podczas wszystkich tych czynności ranny miał zamknięte oczy i leżał nieruchomo. Wymknęły mu się jedynie kilka żalosnych jęków i strzępy niespójnych słów, co upewniło Aglaé, że nie zapadł w śpiączkę. Stracił jednak dużo krwi i zaledwie kwadrans po tym, jak młoda kobieta zakończyła wspomniane zabiegi, pogrążył się w głębokim śnie bez marzeń.

Przez następne dwa dni gorączka się utrzymywała i na przemian następowały długie okresy uśpienia i krótkie fazy niespokojnego przebudzenia. Aglaé, która dała znać, że jest chora, by usprawiedliwić swoją nagłą nieobecność w teatrze i móc

nieustannie przy nim czuwać, na próżno skłaniała go przy najmniejszej okazji do przełknięcia kilku łyków naparu przeciwgorączkowego, ale nic nie pomagało. Zaczęła się obawiać najgorszego i zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, że go posłuchała i zrezygnowała z wezwania lekarza. Poważnie brała pod uwagę, żeby postąpić wbrew jego poleceniom, ale w końcu, na trzeci dzień, gorączka zaczęła spadać.

Wczesnym popołudniem Valentin otrząsnął się z letargu i zdołał przełknąć cały talerz bulionu urozmaiconego paroma kawałkami smalcu. Dobrze mu to zrobiło, ale ból, który promieniował w plecach, nadal nie pozwalał mu zebrać myśli i zaplanować dalszych kroków. Udało mu się przekonać swojego anioła stróża, że nie może pozostać w takim stanie. Aktorka musiała się jak najszybciej udać do laboratorium Pelletiera, wyposażona w bilecik skreślony ręką inspektora, i zaopatrzyć się w szarpie, butelkę octu kamforowego oraz, przede wszystkim, we flakonik laudanum⁴⁴, żeby ulżyć jego cierpieniom.

Kiedy szykowała się do wyjścia z pokoju, ostrzegł ją, że ma się zwrócić do Josepha Pelletiera i do nikogo innego. Farmaceuta nie omieszka zasypać jej pytaniami, chcąc się dowiedzieć, gdzie jest Valentin, ona jednak musi za wszelką cenę zachować milczenie. Zanim wróci, powinna się również upewnić, że nie jest śledzona.

Gdy tylko Valentin został sam, spróbował przeanalizować wydarzenia ostatnich dni, żeby zrozumieć, jak wszystko wokół niego mogło się tak gwałtownie wywrócić do góry nogami. Mąciło mu się jednak w głowie, a obrazy przenikały się wzajemnie i miał wrażenie, że jest dzieckiem tkwiącym w labiryncie luster, otoczonym nieuchwytnymi mirażami i wymykającymi się cieniami. Portret Clarisse Verne oświetlony świecą, szklane spojrzenie hrabiego de Champagnaca, zaniepokojona mina komisarza Flancharda, bezwładne ciało przybranego ojca leżące w sklepieniu z antykami, enigmatyczny uśmiech Luciena Dauvergne'a w kostnicy, żelazna klatka w piwnicy pogrążonej w ciemnościach... Gdy ten wir ostatecznie się zatrzymał, inspektor był zlany potem i jakby pusty w środku. W końcu przewrócił się na bok, przywierając do poduszek. Zmęczony tą walką,

którą prowadził na ślepo, zmęczony strasznymi snami, które od tylu lat prześladowały go niemal każdej nocy, zmęczony tym obłąkanym światem, w którym wilki nigdy nie były syte, a owieczki tropiono bez wytchnienia, zmęczony kłamstwami, niesprawiedliwościami i wspomnieniami, które paliły mu mózg, zmęczony wszystkim.

W tym czasie Aglaé, przytłoczona wydarzeniami, zaniepokojona na myśl, że pod jej nieobecność może dojść do nawrotu gorączki, trapiła się kwestiami zupełnie innej natury. Owszem, martwiło ją zdrowie Valentina, lecz zastanawiała się również, w jakie gniazdo os się wpakowała. Chociaż próbowała odsunąć od siebie myśl, że bez wątplenia popełnia właśnie ogromne głupstwo, ta nie przestawała jej dręczyć. Dziewczyna zdołała jednak sprawnie i gorliwie wywiązać się z zadania. Niczym dzielny mały żołnierz.

W drodze powrotnej młodej kobiecie udało się ponadto zebrać cenne informacje. To w ogóle nie wymagało od niej wysiłku, bo gazety z poprzednich dni upiekły przy tej okazji własną pieczeń, opisując ową brawurową ucieczkę w samym środku Paryża i przytaczając oskarżenia o morderstwo wniesione przeciwko pewnemu inspektorowi Sûreté. Wielu dziennikarzy widziało w tym dowód, że pomimo zdymisjonowania dawnego szefa, sławnego galernika Vidocqa, służba ta nadal jest kryjówką krętaczy i przestępców. Niektórzy wzywali do czystki na wielką skalę, inni korzystali z okazji, aby podkreślić, że nowy reżim nie jest wcale lepszy od swoich poprzedników.

Niezależnie od tych polemik Aglaé była wstrząśnięta charakterem zarzutów ciężących na Valentinie. Wydawały jej się zdecydowanie zbyt poważne, by kryła się w nich choć odrobina prawdy. W rezultacie z całej duszy buntowała się przeciwko myśli, że przerażający zabójca może się kryć pod równie anielskimi rysami. A jednak ogólny portret Valentina malowany przez gazety – przesadnie samotnego policjanta o niejasnej przeszłości, posługującego się wątpliwymi metodami – pozwolił jej uświadomić sobie, że właściwie nic o nim nie wie. Podczas wieczoru, który spędzili razem w przededniu jego pojedynku, wypytywał ją o jej relacje z Lucienem Dauvergne'em, słuchał, jak opowiada o swoich

marzeniach młodej aktorki albo o zaangażowaniu w sprawy kobiet, bardzo się natomiast wystrzegał wyjawienia czegokolwiek na własny temat. Od tamtego czasu intrygowało ją to ogłuszające milczenie. Przypominała sobie również luksusowe mieszkanie, które zajmował przy rue du Cherche-Midi oraz jego drogie ubrania tak niepasujące do poborów skromnego funkcjonariusza. Nawet jeśli miała do niego zaufanie, czuła potrzebę usłyszenia z jego ust, kim jest naprawdę.

Valentin, którego zażyte laudanum wyrwało ze szponów bólu, dostrzegł jej wzburzenie i uznał, że koniecznie musi ją uspokoić. Nie nadeszła jednak jeszcze odpowiednia chwila, żeby mógł jej wyjawić wszystko ze swojej trudnej przeszłości. Niewątpliwie było na to za wcześnie, ale przecież ryzykowała, przychodząc mu z pomocą, więc uważał, że należy unieść dla niej część zasłony, która skrywała minione lata.

Na razie był zbyt słaby, żeby się rozwódzić nad szczegółami, ale opowiedział jej, jak w dzieciństwie wpadł w ręce potwora porównywalnego do ogra z bajek. Wspomniał o Damienie, tym swoim alter ego, z którym przez kilka tygodni dzielił niewolę i którego musiał opuścić, gdy nadarzyła się okazja ucieczki. Nie bez wzruszenia przywołał spotkanie z człowiekiem, który został jego przybranym ojcem i o którego zamordowanie obecnie go oskarżano. Zakończył, wyjaśniając, że wstąpił do policji wyłącznie po to, by kontynuować poszukiwania zapoczątkowane przez Hyacinthe'a Verne'a i położyć kres zbrodniczym machinacjom Wikarego.

W trakcie jego opowieści Aglaé przeżywała wiele emocji. Kiedy Valentin zamilkł, jej rysy odzwierciedlały mieszankę współczucia, przestraszenia i niezrozumienia.

– Jak to możliwe, że oskarża się pana o zaplanowanie śmierci człowieka, któremu wszystko pan zawdzięcza? – zaprotestowała. – Przecież pierwszy lepszy sędzia musiałby zrozumieć, że jest w tym ogromna sprzeczność.

– Nie mam pojęcia. Aż do tych ostatnich dni wierzyłem, że mój przybrany ojciec padł ofiarą tragicznego wypadku. Do tej pory ta wersja zdarzeń nigdy nie była kwestionowana. To wszystko jest całkiem zwariowane! Co mogło przekonać

policję, cztery lata po jego śmierci, że chodziło o morderstwo? Dlaczego ta stara sprawa wpływa na powierzchnię akurat teraz?

– Co chce pan przez to powiedzieć?

Gdy rozmawiali, rozłożyła na nocnym stoliku produkty przyniesione z apteki Pelletiera i przystąpiła do zmieniania Valentinowi opatrunku. Ten zaś, uspokojony przez opium, powierzył się z całkowitą ufnością troskliwym zabiegom swojej dobrodziejki.

– Uważam, że to co najmniej dziwne – odparł – iż te oskarżenia pojawiają się dokładnie w chwili, gdy śledztwo, które mi powierzono, jest bliskie zakończenia.

– Mówi pan o samobójstwie Luciena?

– Nie chodzi o odosobnioną śmierć. Jestem obecnie przekonany, że Lucien Dauvergne był tylko jedną z ofiar. Jego umysł został zmanipulowany dla celów kryminalnych, które trzeba jeszcze wyjaśnić, ale które mogą mieć związek z procesem ministrów Karola X. Jeśli dobrze rozumiem, chodziłoby o destabilizację nowej władzy.

Valentin przedstawił swojej towarzyszce wynik własnego niedawnego dochodzenia. Wyjaśnił jej zwłaszcza, jak zaczął podejrzewać, że doktor Tusseau ucieka się do magnetyzmu zwierzęcego i do oszołamiania niektórych pacjentów za pomocą luster, żeby kontrolować ich umysł. A robił to prawdopodobnie ze współudziałem Émilie de Mirande.

– Nie do wiary! – wykrzyknęła Aglaé, którą słowa młodego inspektora dotyczące tajemniczych mocy hipnozy jednocześnie fascynowały i niepokoiły. – Twierdzi pan, że można wpłynąć na każdego, żeby skłonić go do popełnienia czynów, których sobie nie uświadomi i nie zachowa o nich żadnego wspomnienia? Już sama wzmianka o takich diabelskich sztuczkiach mrozi mi krew w żyłach!

– W każdym razie teraz lepiej pani rozumie, co intrygującego może być w działaniach prowadzonych przeciwko mnie. Zapewne chce mi się przeszkodzić w ujawnieniu prawdy na temat tego spisku, skoro nie da się tego osiągnąć inaczej.

– Co zamierza pan zrobić?

Valentin przez pewien czas zbierał myśli. Marszczył czoło z wysiłku pod wpływem tych rozważań, tym razem jednak w jego głowie nabrał kształtu zarys planu.

– Przede wszystkim muszę odkryć to wszystko, co mogło przekonać sędziego do wystawienia nakazu aresztowania na moje nazwisko. W związku z tym widzę tylko jeden sposób: powinienem jak najszybciej skontaktować się z komisarzem Flanchardem.

– Czy nie oznacza to rzucenia się w paszczę lwa? – zapytała Aglaé z błyskiem niepokoju w oczach. – Z tego, co zrozumiałam, wszystkie służby policyjne padają z nóg, starając się dostać pana w swoje ręce. Gazety piszą o panu jak o parszywej owcy, którą należy zabić.

– To ryzyko, które trzeba podjąć, ale właściwie nie mam wyboru. Muszę przekonać Flancharda, żeby dał mi kilka dni wytchnienia na dokończenie śledztwa. Potem jestem gotów odpowiedzieć za wszystkie zbrodnie, o które się mnie oskarża. Będę wtedy umiał udowodnić wszystkim swoją niewinność.

Aktorka skończyła dezynfekować i bandażować ranę Valentina, pozwoliła jednak, jakby przez nieuwagę, koniuszkom swoich palców błędzić po jego karku. Złapał ją delikatnie za rękę i skłonił, żeby odwróciła się twarzą do niego.

– Chociaż wzdragam się przed mieszaniem pani w tak mroczną sprawę i choć dużo już pani dla mnie zrobiła – powiedział, przybierając poważniejszy ton – będę musiał jeszcze raz poprosić o pomoc, Aglaé. Oczywiście, ze względu na okoliczności i na potencjalne niebezpieczeństwo, doskonale zrozumiem, jeśli pani odmówi. Zapewniam, że absolutnie nie miałbym tego pani za złe.

Nieustraszona aktorka nie wahała się ani sekundy.

– Jeśli sądzi pan, że się wymigam po tym, jak czuwałam przy panu dwa dni i dwie noce, prawie nie śpiąc i ryzykując, że zostanę wyrzucona z zespołu *madame Saqui*, to się pan grubo myli! Czego właściwie pan ode mnie oczekuje?

– Jutro, kiedy będę rozmawiał z Flanchardem, chcę, żeby obserwowała pani prywatną rezydencję wicehrabiego de Champagnaca. Zapewne nie jest dziełem

przypadku, że moje kłopoty nastąpiły od razu po wizycie u niego. Widocznie bezwiednie włożyłem kij w mrowisko. Prawdopodobnie teraz wydarzenia przyspieszą. Trzeba tylko mieć nadzieję, że nie jest za późno i że trzy dni, które właśnie straciliśmy, nie zostały już wykorzystane przez naszych przeciwników. Jeśli nie, to myślę, że sprawy drgną albo w klinice w Val d'Aulnay, albo w rezydencji de Champagnaca.

– Trochę to niejasne. Gdy już będę na miejscu, co dokładnie mam robić?

– Proszę się ograniczyć do obserwowania wchodzących i wychodzących. Niech pani spróbuje zidentyfikować ewentualnych gości. A jeśli w jakimś momencie wicehrabia wyjdzie z domu, niech go pani śledzi i zobaczy, dokąd się udaje. Proszę jednak uważać, żeby pani nie zauważono! Jestem przekonany, że mamy do czynienia z ludźmi gotowymi na wszystko, aby osiągnąć swoje cele!

W pokoju robiło się coraz ciemniej, a przez okno, choć zamknięte, docierały z zewnątrz oklaski, warkot bębna i uderzenia cymbałów dochodzące z bulwaru. Zaczynały się właśnie parady mające przyciągnąć publiczność.

Valentin, zmęczony zbyt długim mówieniem, wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy. Kilka chwil później zaczęło działać opium, więc od razu wpadł w objęcia Morfeusza.

Rozczulona Aglaé przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, nie wając się nawet na najmniejszy ruch. Gdy spał, jego rysy traciły surowość, odzyskując czystość i niewinność wczesnego dzieciństwa. Młoda kobieta pochyliła się nad nim i delikatnie dmuchnęła na jego rzęsy, żeby się upewnić, czy naprawdę jest nieprzytomny. Potem, bardzo powoli, pochyliła się jeszcze niżej i złożyła pocałunek na jego rozchylonych ustach.

⁴⁴ Medykament na bazie opium stosowany do uśmierzania bólu.

ROZDZIAŁ 36

Przytłaczające dowody

Komisarz Flanchard wyszedł zamaszystym krokiem z prefektury policji, ze spuszczoną głową i czołem wysuniętym do przodu, i popędził przed siebie niczym rozwścieczony byk. Nie odzywając się do woźnicy ani słowem, wszedł do dorożki, która czekała na niego przy chodniku, i gniewnym ruchem rzucił na ławkę skórzaną teczkę. Uderzenie jego laski w sufit wprawilo całą kabinę powozu w wibracje.

Cztery dni!

Minęły już cztery dni, odkąd Valentin Verne wymknął się eskortującym go funkcjonariuszom i zapadł się pod ziemię. Prefekt policji nie przestawał się złościć. Obarczył Flancharda osobistą odpowiedzialnością za to fiasko, o którym mówiło się nawet w gabinecie ministra. A przecież komisarz próbował wszelkich sposobów, żeby wpaść na ślad podwładnego. Mieszkanie przy rue du Cherche-Midi obserwowano nieustannie dzień i noc. Ponieważ inspektor został ranny podczas ucieczki – przynajmniej to udało się oficjalnie ustalić – sprawdzono paryskie szpitale i kliniki. Na próżno. Poprzedniego dnia Flanchard polecił swoim ludziom przystąpić do kontrolowania stołecznych gabinetów lekarskich i aptek, zaczynał jednak wątpić, czy coś to da. Zdawało się, że ten diabeł wcielony Valentin Verne dosłownie rozpułnął się w powietrzu!

Komisarz zadrżał i westchnął, dając tym wyraz irytacji i znużenia zarazem. Odkąd listopad przytłaczał Paryż szronem, dni szybko się kurczyły. W dodatku,

z powodu tych ostatnich kłopotów, co wieczór wychodził z prefektury nieco później. Okropna profesja, tak czy inaczej! Wilgotny chłód przenikał nawet do powozu, a odgłos końskich kopyt odbijający się echem od fasad był niemal żalobny.

Flanchard na próżno próbował myśleć o czymś innym, ale jego rozważania nieustannie prowadziły go z powrotem do dziwnej osobowości inspektora Verne'a. Zanim przyjął go do Sûreté, zasięgnął wiele opinii na jego temat. Przejrzał raporty, wypytał kolegów. Za każdym razem pojawiały się te same słowa: samotnik, nieufny, maniery, które nie pasują do policji, niezwykajny funkcjonariusz... Podczas ich pierwszego spotkania uderzył go swoisty dystans, z jakim inspektor traktował bliźnich. Możliwe zresztą, że robił to nieświadomie. I jeszcze ten jego zbyt wyrafinowany sposób ubierania się oraz wyraz oczu, który sprawiał wrażenie, że od razu człowieka osądza. „Przedziwny typ! Prawdopodobnie wstąpił do policji z braku zajęcia” – pamiętał, że tak wtedy pomyślał.

Potem jednak był zmuszony zrewidować swoją opinię. W sprawie Dauvergne'a Verne dowiódł naprawdę zdumiewającej przenikliwości. Wpadł na trop doktora Tusseau i Émilie de Mirande, znalazł racjonalne wyjaśnienie tajemnicy luster, połączył podejrzone zgony Luciena Dauvergne'a i Michela Tirancourta z możliwym spiskiem związanym z procesem ministrów, a wszystko to w niezwykle krótkim czasie, co było nie lada wyczynem. I to właśnie niepokoiło komisarza. Doskonałe rezultaty uzyskane przez Verne'a powinny były wystarczyć, by go przekonać, że nie docenił podwładnego. Zamiast tego uznał, że panuje nad sytuacją, i gdy przystąpiono do aresztowania, nie zadbał o zastosowanie wystarczających środków. W gruncie rzeczy wiedział, że wymówki, które kierował pod jego adresem prefekt policji, są usprawiedliwione. Jeśli Verne zdołał prysnąć, to on był w znacznej mierze za to odpowiedzialny.

Doszedł właśnie do tego etapu swoich rozważań, to znaczy robił sobie milczące wymówki, gdy nagle się zorientował, że dorożka stoi. Był tak zaabsorbowany, że nawet nie zauważył, kiedy powóz przestał się kołysać na bruku. Zdziwiony, że już dojechał do celu, odchylił zasłonę w drzwiczkach. Zmrok lekko zabarwiał kamienie

głębokim fioletowym cieniem, a Sekwana rozgościła się w mroku leniwie rozmarzona. Wzdłuż brzegu uganiały się szczury, wydając krótkie przenikliwe piski, nieco niepokojące w ciemnościach.

Jasna cholera! Co my tu robimy? Ten durny dorożkarz zasnął na kozle czy co?

Komisarz dostrzegł właśnie, na przeciwległym brzegu, śluzy basenu portowego Arsenau, a zatem powóz stał na quai Saint-Bernard, dokładnie po przeciwnej stronie Île du Palais⁴⁵ niż jego dom!

Flanchard, przekonany, że zaprzęg został porzucony na łaskę losu przez śpiącego, oszołomionego alkoholem woźnicę, otworzył drzwiczki i wspiął się na stopień, zdecydowany zmyć głowę dorożkarzowi. Ten siedział skulony, zakutany w pelerynę, toteż dało się dostrzec jedynie nieruchomą, zwartą bryłę zwieńczoną mocno pogiętym brązowym cylindrem. Wydawało się, że istotnie całkiem beztrosko uciął sobie drzemkę.

Komisarz złapał go za rękaw i już miał nim bezceremonialnie potrząsnąć, gdy wbrew wszelkim oczekiwaniom mężczyzna odwrócił się energicznie i wymierzył w niego groźny i lekko rozszerzony wylot lufy pistoletu skałkowego Boutet et Fils. Gwałtowny ruch odrzucił kołnierz płaszcza i mimo półmroku Flanchard nie miał żadnych trudności z rozpoznaniem regularnych rysów Valentina Verne'a.

– Pan! To pan! A cóż to ma znaczyć?

Inspektor nie odpowiedział. Kiwnięciem lufy swojej broni nakazał przełożonemu wrócić do kabiny dorożki. Sam natomiast musiał powstrzymać grymas bólu, gdy schodził z kozła, nie przestając mierzyć z pistoletu do komisarza. Rana wciąż mu dokuczała, ale miał nadzieję, że zażył wystarczającą dawkę laudanum, żeby wprowadzić w błąd otoczenie. Istniało ryzyko, że gdyby w jakimś momencie Flanchard zdał sobie sprawę z jego rzeczywistego stanu, spróbowałby wykorzystać sytuację i role mogłyby się szybko odwrócić. Wyobrażając sobie tę konfrontację, Valentin był całkiem świadomy niebezpieczeństwa, na jakie się naraża, uważał jednak, że nie ma wyboru.

Wziął się w garść, żeby ukryć ból, i usiadł naprzeciw komisarza, który otrząsnąwszy się z zaskoczenia, patrzył na niego krzywym okiem.

– Pan oszalał, Verne! Na co się zda grożenie mi? Dokąd to wszystko miałyby pana zaprowadzić?

Młody człowiek uśmiechnął się ze smutkiem.

– Zechce mi pan wybaczyć, że posłużyłem się tak barbarzyńskimi metodami – powiedział, wskazując podbródkiem broń – ale nie jestem przekonany, czy w innym wypadku zgodziłby się pan mnie wysłuchać.

– Wszyscy policjanci w mieście depczą panu po piętach i otrzymali rozkaz strzelać bez ostrzeżenia – warknął Flanchard, potrząsając swoją lwią grzywą. – Nie ma pan żadnych szans się wymknąć. Proszę mi wierzyć, że najrozsądniej byłoby oddać mi ten pistolet i pozwolić się zaprowadzić do prokuratora. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zostało to wzięte pod uwagę w dniu pańskiego procesu.

Valentin zbył tę propozycję wzruszeniem ramion. Cały czas był w pogotowiu, zdecydowany udaremnić każdą niepożądaną próbę oporu ze strony komisarza.

– Zapewniam, że wcale nie mam zamiaru uciekać. Jeśli pozwoliłem sobie przywieźć tu pana o tej porze, w to odosobnione miejsce, to dlatego, że pragnąłem porozmawiać z panem spokojnie sam na sam.

– Spokojnie? – zakpił komisarz. – Z pukawką w ręku? Bredzi pan, Verne! Nie mam panu nic do powiedzenia poza tym: „Niech się pan podda i znajdzie dobrego adwokata, żeby zapewnić sobie obronę”.

– Łatwo powiedzieć! Wiem, że oskarża się mnie o zlecenie zabójstwa mojego przybranego ojca, przejęcie spadku po nim i zlikwidowanie Damiena Combes’a. Tylko tyle! Ale jednocześnie nie znam wszystkich elementów, na których opierają się te absurdalne pomysły.

Flanchard westchnął ciężko i przechylił się na bok.

– Spokojnie, panie komisarzu! – odparł natychmiast Valentin. – Żadnych nierozważnych ruchów! Nie chciałbym być zmuszony otworzyć ogień. Dwa

morderstwa na koncie całkiem wystarczają, nie sądzi pan?

Flanchard znieruchomiał i wskazał teczkę porzuconą na ławce.

– Mam ze sobą pańskie akta. Przekona się pan, że dowody, którymi dysponujemy, są przytłaczające.

– Śmiało! – rzucił Valentin, którego nagle ogarnęło zdenerwowanie. – Ale niech pan wyjmuje to wszystko bardzo powoli, żebym nie stracił z oczu pańskich rąk.

Flanchard zastosował się posłusznie do polecenia. Wyjął z teczki kilka dokumentów i wręczył podwładnemu pierwszy z nich, kopertę pozbawioną pieczęci. Na odwrocie nie było żadnego adresu, tylko imię zapisane dużymi literami: „Valentin”.

– Otrzymałem te papiery bezpośrednio w prefekturze policji, mniej więcej tydzień temu. Bez żadnej notatki towarzyszącej, bez żadnego wyjaśnienia. Jeśli pozwoli mi pan wyjąć z kieszeni zapalniczkę, będzie mógł pan się z nimi zapoznać.

Valentin wyraził zgodę skinieniem głowy. Poznał charakter pisma, gdy tylko Flanchard podsunął mu list przed oczy.

Z mocno bijącym sercem rozłożył kartkę i zaczął czytać w świetle płomienia trzymanego przez komisarza. Od pierwszych słów dokładnie wiedział, o co chodzi. Już wielokrotnie czytał ten list, a jednak nie potrafił się powstrzymać przed dotarciem raz jeszcze do samego końca. Każde zdanie było bolesne jak rana, którą sam sobie zadawał.

Valentinie, Moje Drogie Dziecko,

wybacz, że uciekłem się do pisania, by się dziś do Ciebie zwrócić. Być może będziesz skłonny widzieć w tym brak odwagi. Tak jednak nie jest. Wiedz, że tą decyzją kierowały wyłącznie gorące pragnienie przyjscia Ci z pomocą i nadzieja, że zdołam przyciągnąć Twoją uwagę. Czasami czuję, że kipi w Tobie taka złość, taka odraza do samego siebie i do innych, że aż się boję Twojej reakcji, a bardziej jeszcze własnej, gdybyś w ogóle nie dał sobie przemówić do rozsądku i wypominał mi decyzje, których podjęcie uważam jednak dzisiaj za konieczne. Obawiam się, że rozmawiając z Tobą

twarzą w twarz, straciłbym panowanie nad sobą i nie umiałbym kontrolować własnych emocji. Wiesz, do jakiego stopnia brzydzę się przemocą, czy to słowną, czy fizyczną, więc zdecydowanie wolę zacisze swojego gabinetu, by zebrać myśli i napisać do Ciebie tych kilka słów.

W ciągu ostatnich siedmiu lat nie upłynął nawet jeden dzień, w którym nie zastanawiałbym się nad sposobem uwolnienia Cię od Twoich wewnętrznych demonów. Któż by się domyślił, że pod tą łagodną anielską twarzą kryje się aż tak bardzo udręczona dusza? Użyłem wszystkich swoich sił, całej swojej woli, żeby wyrwać Cię z mroku. Byłbyś niewątpliwie zdziwiony, gdybyś dowiedział się, jak daleko się posunąłem, by zapewnić Ci to ukojenie, którego, jak wiem, pragniesz całym sobą. A przecież w oczach wszystkich uchodzę za cichego rentiera bez reszty oddanego swojej pasji naukowej!

Mniejsza o to! Mam nadzieję, że pewnego dnia moje wysiłki zostaną w końcu nagrodzone. Dopiero wtedy poznasz prawdę.

Chwilowo wystarczy, jeśli będziesz wiedział, że od kilku miesięcy regularnie konsultuję się z doktorem Esquirole, sławnym alienistą⁴⁶, który kieruje Domem Królewskim w Charenton⁴⁷. Przedstawiłem mu Twój przypadek. Już sobie wyobrażam Twoje niezadowolenie po przeczytaniu tej informacji. Naturalnie wolałbyś, żebym uprzednio z Tobą o tym porozmawiał, ale bądźmy szczerzy! Wyraziłbyś zgodę? Oczywiście, że nie! A jednak dzisiaj, jeszcze bardziej niż wczoraj, jestem przekonany, że postąpiłem słusznie. Esquirol to człowiek ogromnej wiedzy i niezwyklej wrażliwości. W trakcie naszych rozmów zasugerował mi drogę postępowania, nigdy nie starając się narzucać własnego punktu widzenia.

To, co ostatecznie mam Ci do powiedzenia na ten temat, wymaga bardzo niewielu słów: nadszedł czas, żebyś Ty, Valentinie, ustąpił miejsca. Wydaje mi się, że przez całe te siedem lat, które przy Tobie spędziłem, posuwałem się naprzód jak ślepiec, z ramionami wyciągniętymi w ciemność. Teraz moje oczy otworzyły się na światło. Nasze ostatnie rozmowy, choć tak przykre, również przyczyniły się do podjęcia przeze mnie decyzji. Mogę Cię uratować wbrew Tobie, a doktor Esquirol przekonał mnie, że Twój stan wymaga zbawiennego wstrząsu duchowego. Przedwczoraj unieważniłem zatem swój

testament i sporządziłem nowy akt, na mocy którego zapisuję cały majątek Damienowi Combes'owi. To zagubione dziecko, gdy już zostanie uwolnione od swoich udreń, będzie dzięki temu dysponowało odpowiednimi środkami, żeby stanąć na nogi i ponownie wyjść na świat z wysoko podniesioną głową. To konieczne!

Bardzo bym chciał, żebyś zaakceptował moją decyzję. Dobrze wiesz, że niezależnie od tego, co się stanie, na zawsze pozostaniesz moim jedynym dzieckiem. Istotą, którą kocham najbardziej na świecie i która z pewnością zajdzie znacznie dalej niż ja sam.

Twój kochający ojciec Hyacinthe Verne

Valentin, bardzo blady, z błyszczącymi oczami, opuścił rękę, w której trzymał kartkę. Po upływie czterech lat tamte emocje wciąż były obecne i niezmiernie żywe. Spór, który poróżnił go z przybranym ojcem, zbyt ostre słowa, które mu się wówczas wymknęły, wszystko to pogrążało go z nagłością fali sztormowej. Gwałtowna śmierć Hyacinthe'a Verne'a przeszkodziła mu w uzyskaniu przebaczenia, w zrobieniu pierwszego kroku, żeby wymazać różnicę zdań między nimi i spróbować zbliżyć ich punkty widzenia. Dla Valentina była to wciąż otwarta rana, o wiele bardziej paląca od tej na ramieniu, powodująca ból, którego żadne lekarstwo, choćby najsilniejsze, nie mogło uśmierzyć.

Komisarz Flanchard potrząsnął pozostałymi dokumentami, które wciąż trzymał w ręce.

– Temu listowi towarzyszył odręczny testament napisany przez tę samą osobę. Jak pana powiadomił Hyacinthe Verne, zapisał on w nim cały swój majątek Damienowi Combes'owi. Dokument jest datowany na 26 lutego 1826 roku, czyli sporządził go niecały tydzień przed rzekomym wypadkiem z udziałem dorożki, w wyniku którego poniósł śmierć. Dołączono również odpis metryki chrztu na nazwisko tego osławionego Damiena. Gdyby ów osobnik nadal żył, byłby mniej więcej w tym samym wieku co pan. Wie pan, o kogo dokładnie chodzi? To musiał być ktoś bardzo bliski pańskiemu przybranemu ojcu, skoro uczynił go jedynym spadkobiercą.

Valentin miał wrażenie, że przeżywa koszmar na jawie. Lepiej teraz rozumiał ciężące na nim zarzuty. Wszystkie te dokumenty opowiadały pewną spójną historię. Wszystko miało sens, wszystko go oskarżało. Wszystko było prawdziwe, a jednocześnie wszystko było fałszywe. Coś się zachwiało w jego spojrzeniu. W głębi źrenic pojawił się jakiś dziecięcy upór. Przez chwilę brał pod uwagę wyjawienie całej prawdy, ale to było niemożliwe. Za dużo do wyjaśniania, za dużo zawilności. Przede wszystkim musiał załatwić najpilniejszą sprawę.

– Te dokumenty należą do mnie – stwierdził w końcu. – Zostały wykradzione z mojego mieszkania mniej więcej dwa tygodnie temu. Zauważyłem, że pewne przedmioty przestawiono, ale ostatecznie uznałem, że tylko mi się wydawało. Mniejsza o to! Nie potrafię zrozumieć, jak to możliwe, że przestał mi pan ufać jedynie po przeczytaniu tych kilku kartek. Nie ma w nich choćby najmniejszego dowodu pozwalającego podtrzymać oskarżenia o morderstwo i grabież.

– Ja również nie zadowolilem się tą anonimową przesyłką – odparł spokojnie Flanchard – ale też nie mogłem jej zignorować. Jeśli rzeczywiście nie stanowiła dowodu zbrodni ani potwierdzenia winy, przynajmniej wskazywała motyw. Wobec tego wziąłem na siebie przeprowadzenie własnego dochodzenia. W archiwum zapoznałem się z różnymi raportami i protokołami powstałymi po gwałtownej śmierci pańskiego ojca. Figurowały w nich nazwisko i adres dorożkarza, który go potracił. Pod pretekstem banalnej rutynowej kontroli wezwałem tego mężczyznę do prefektury. Łatwo nie było, ale przetrzepawszy mu skórę bykowcem, zdołałem go zmusić do puszczenia farby. W końcu przyznał, że to nie żaden wypadek. Ktoś wręczył mu okrągłą sumkę, żeby udał, wspomagany przez współników, że konie z jego zaprzęgu poniosły, i żeby przejechał Hyacinthe’a Verne’a. Jak pan widzi, faktycznie chodzi o morderstwo!

Valentinowi serce mocniej zabiło w piersi. Wcześniej sądził, że jest wystarczająco silny, by stawić czoła pseudoprawdzie policji. Wyobrażał sobie, że bez większego trudu odrzuci szyte grubymi nićmi oskarżenia, a tymczasem wszystko to eksplodowało mu w twarz z gwałtownością ładunku prochowego. A więc tak wyglądała prawda! Śmierć jego ojca nie była wypadkiem! Już nie miał

pewności, czy rzeczywiście chce wysłuchać dalszego ciągu. Nagle zapragnął być gdzie indziej, skulić się na łóżku i połknąć całą buteleczkę laudanum. Już się nie zмагаć z podłością świata. Już nie walczyć, już nie uciekać w ciemnościach przed typami o paskudnych gębach podążającymi jego tropem i depczącymi mu po piętach. Wyspać się do woli, spać bez marzeń sennych, spać, by zapomnieć.

A jednak, chociaż czuł, że wzbiera w nim odraza, zdołał przezwyciężyć słabość. Postarał się, żeby wycelowany pistolet coś jeszcze znaczył, pozwalając mu grać pierwsze skrzypce i zadawać pytania.

– Czy udało się panu skłonić tego dorożkarza do wyjawienia nazwisk kompanów? – zapytał cichnym głosem.

Komisarz spojrział swojemu rozmówcy prosto w oczy. Kiedy się odezwał, jego ton nie był oskarżycielski, lecz mimo to niósł ze sobą ciężar nieubłaganego przeznaczenia.

– Podał tylko jedno nazwisko. Wskazał swojego zleceniodawcę... pana, Valentinie Vernie!

Młody człowiek ponownie doznał szoku. Przygarbił się, a uzbrojona ręka ryzykownie się rozluźniła. Flanchard wyczuł w tym okazję. Zmuszając się, żeby nie dać niczego po sobie poznać, naprężył mięśnie, gotów się rzucić na przeciwnika przy najmniejszej oznace nieuwagi. Valentin w samą porę zwietrzył niebezpieczeństwo, bo dostrzegł nieznaczne skurcze na twarzy siedzącego naprzeciwko mężczyzny. Lufa pistoletu znów się uniosła.

– Nie mam żadnych możliwości, żeby pana przekonać – powiedział z wyzywającą miną – ale ten człowiek skłamał. Jestem niewinny. Nie popełniłem zbrodni, o które się mnie oskarża, i udowodnię to!

– Lepiej niech się pan podda i zaufa królewskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Jeśli nie ma pan sobie nic do zarzucenia, proszę mi wierzyć, że leży to w pańskim interesie. Nie zdoła pan zbyt długo bawić się w uciekiniera.

Inspektor pokręcił przecząco głową. Nie miał prawa okazać słabości. W grę wchodziło już nie tylko jego własne życie. Musiał pozostać wolny, jeśli chciał,

żeby prawda wyszła na jaw i żeby mógł pewnego dnia pomścić ojca.

– Nie mam w zwyczaju oddawać swojego losu w ręce nieznajomych – odparł. – Jeśli chcę, by mnie wysłuchano, w moim interesie jest nie stawić się przed władzami z pustymi rękoma.

– Pan coś knuje. O czym pan myśli, Verne?

– Dwa dni, panie komisarzu, proszę pana tylko o dwa dni wytchnienia. O czas na dokończenie śledztwa, które mi pan powierzył, i na uzyskanie zeznań Tusseau i jego kompanów.

Flanchard się skrzywił.

– Bardzo mi przykro, mój chłopcze, ale spełnienie pańskiej prośby jest niemożliwe. Stawką jest moje stanowisko, jeśli popuszczę panu cugli.

– W takim razie nie pozostawia mi pan wyboru...

Wypowiedziawszy te słowa, Valentin wyjął z kieszeni peleryny parę ciężkich kajdanek i rzucił je komisarzowi.

– Proszę przeciągnąć łańcuch przez uchwyt drzwiczek i założyć kajdanki na przeguby. I niech pan nie oszukuje, sprawdzę zatrzaski.

– Popełnia pan poważny błąd – mruknął Flanchard, niechętnie wykonując polecenie. – Jedyne, co pan zyska, to kolejna kulka pod skórą, ale tym razem może się pan nie podnieść.

– Słowo daję, to całkiem możliwe – przyznał Valentin. – Powiedzmy zatem, że gra jest warta świeczki. A teraz proszę wybaczyć, ale tylko odbieram to, co mi skradziono.

Jak powiedział, tak zrobił. Zgarnął dokumenty leżące na ławce i odłożył je starannie do skórzanej aktówki, którą następnie wsunął pod płaszcz. Flanchard chciał zaprotestować, ale inspektor nie dał mu na to czasu. Zakneblował go dokładnie jego fularem i oddalił się od dorożki wielkimi krokami.

Gdy zniknął w ciemnościach panujących na nabrzeżu, za jego plecami rozległy się skrzypienie resorów nadwozia i stłumione jęki szefa Sûreté.

⁴⁵ Inna, ówczesna, nazwa Île de la Cité.

⁴⁶ Dawna nazwa psychiatry (przyp. tłum.).

⁴⁷ Zakład dla obłąkanych pod Paryżem (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 37

Zamtuz Thurota

Tego samego dnia, godzinę wcześniej, inna dorożka stała na zamożnej ulicy na przedmieściu Saint-Germain. Siedząca w środku Aglaé Marceau nie spuszczała z oka fasady rezydencji de Champagnaca. Spędziła tam już sporo czasu, lecz nie zauważyła niczego szczególnego. Można by powiedzieć, że dom pogrążył się w głębokim, dziwnym letargu. Żaluzje na piętrach wciąż były uporczywie opuszczone, a przed wejściem nie pojawił się żaden gość. Nikt nie pokazał się również w oknach na parterze ani w parku. Wicehrabia należał jednak do wyższych sfer, a jego pozycja para Francji zakładała tryb życia oraz obowiązki polityczne i towarzyskie zupełnie niedające się pogodzić z egzystencją pustelnika.

Młoda kobieta zaczynała się już zastanawiać, czy Valentin nie popełnił błędu, wysyłając ją, żeby tkwiła w tym miejscu, gdy w końcu przy bramie posiadłości pojawił się elegancki kocz. Zajmowały go dwie osoby. Tą, która powoziła, siedząc na zewnątrz, był mężczyzna w mieszczkańskim stroju, okryty obszerną pelisą. Jego cylinder pozwalał dostrzec okrągłą, krostowatą twarz, długie bokobrody i szerokie wyłysiałe czoło. Po nieco niezdarnym sposobie posługiwania się batem i lejcami w celu skłonienia koni do skrętu wydawało się oczywiste, że wcale nie jest przyzwyczajony do prowadzenia takiego pojazdu.

Drugą osobą jadącą powozem była kobieta. Siedząc w zamkniętym nadwoziu, wychyliła się przez okienko i rzuciła kilka słów do swojego towarzysza w chwili, gdy ten, zaciągnąwszy hamulec, zsiadał z kozła i kierował się w stronę bramy, żeby

zadzwoń. Ów ruch pozwolił Aglaé przelotnie dostrzec piękną, władczą twarz okoloną bujnymi lokami o miedzianym połysku. Jej wygląd dość dobrze odpowiadał opisowi *madame* de Mirande, który przekazał aktorce inspektor. Za to jej towarzysz wydawał się zbyt krępy i brzuchaty, żeby mogło chodzić o osławionego doktora Tusseau.

Reagując na dzwonek nieznanego, wymuskany majordomus przyszedł otworzyć bramę. Kocz wjechał na teren posiadłości, wywołując chrzęst żwiru na głównym dziedzińcu.

Aglaé poczuła przyływ ekscytacji. Ostatecznie Valentin miał chyba rację: jego adwersarze inicjowali pierwszy ruch na szachownicy. Młoda aktorka, pragnąc dostarczyć mu jak najwięcej informacji, poprosiła dorożkarza, żeby na nią zaczekał, i wysiadła z powozu, a następnie ruszyła wzdłuż muru otaczającego rezydencję, zachowując się tak, jakby spacerowała. Gdy znalazła się na wysokości bramy, przystanęła, udając, że poprawia szpilki, które trzymały jej mały kapelusik na włosach upiętych w kok, i zaryzykowała dyskretne spojrzenie w kierunku zewnętrznych stopni. Dwoje gości było widocznie oczekiwanych z niecierpliwością, bo jakiś mężczyzna w bonzurce i z cygarem w ustach stał już na szczycie schodów, żeby ich przywitać. Pochyliwszy się z wdziękiem, obdarzył kobietę pocałunkiem w dłoń. Czyżby wicehrabia de Champagnac we własnej osobie? Aglaé nie mogła mieć całkowitej pewności, ale w każdym razie było oczywiste, że nie chodzi o służącego.

Młoda kobieta w obawie, że zostanie zauważona, jeśli będzie dłużej zwlekać, kontynuowała spacer, lecz mniej więcej po dwudziestu metrach przeszła na drugą stronę ulicy i zawróciła na przeciwległym trotuarze, bardzo się pilnując, żeby pozostawać w cieniu wysokich murów. Zastanawiała się, co począć dalej, i żałowała, że Valentin jeszcze do niej nie dołączył. Poinformował ją o swoim zamiarze zaczekania na komisarza Flancharda przed wyjściem z prefektury policji, żeby spróbować wynegocjować chwilę wytchnienia. Świadoma niebezpieczeństwa, do końca próbowała mu to wyperswadować, ale jej nie słuchał. Teraz spieszo jej było znów go zobaczyć, jak wraca do niej cały i zdrowy. Co powinna zrobić, jeśli

się nie pojawi, zanim goście wicehrabiego się pożegnają? Zostać na miejscu i czekać z niepokojem, obserwując dom przypominający pałac Śpiącej Królowej? Czy też przeciwnie, zmienić strategię i śledzić powóz *madame* de Mirande? Nie potrafiła się zdecydować i modliła się w duchu, żeby nie stanąć w obliczu tego dylematu.

Gdy podchodziła do dorożki, woźnica nachylił się w jej stronę.

– No fajnie, damulko – powiedział, drapiąc się po karku – lecz zaczyna się robić późno. Pani przyjaciel zapłacił dziś rano za moje usługi na cały dzień. Proszę zauważyć, że nie narzekam. To pieniądze zarobione bez większej fatygi, ale myśli pani, że jeszcze długo mamy tak czekać? Bo robi się ciut chłodnawo.

Aglae dopiero wtedy uświadomiła sobie, że zapada wieczór. Przeszły ją nieprzyjemne dreszcze. Powietrze było wilgotne i wydobywało z okolicznych ogrodów zapachy trawy i gleby, które potęgowały uczucie zimna. Trochę tak, jakby zatrzymali się w najmroczniejszych zaroślach. Duże fioletowawe cienie kładły się na ziemi i zaczynały podgryzać dół ścian i pnie drzew. Młoda kobieta niemal miała złudzenie, że słyszy cichutkie odgłosy ssania i nieznaczne, lecz obrzydliwie żarłoczne chrupanie. Jakby gdzieś całkiem blisko przycupnął jakiś oślizły potwór, czekając tylko, aż całkiem się ściemni, żeby połknąć także ich.

Potrząsnęła głową, chcąc odpędzić niepożądane myśli. Zdecydowanie miała zbyt bujną wyobraźnię! Oto do czego prowadziło granie w okropnych melodramatach przez cały rok!

– Noc jeszcze nie zapadła, z tego, co wiem! – ofuknęła nieszczęsnego dorożkarza. – Odjedziemy dopiero wtedy, nie wcześniej. Mój przyjaciel hojnie wam zapłacił.

Mężczyzna wymruczał pod nosem jakieś niewyraźne przekleństwo i z niezadowoleniem owinał się szczelniej połami płaszcza. Kiedy jednak jego klientka wspięła się na stopień, żeby wrócić do kabiny, nie mógł się powstrzymać przed zerknięciem na błysk białej pończochy i smukłość zachwycająco kształtnej kostki. Ta mała nie gryzła się w język, ale gdyby miał dziesięć lat mniej, nie

odmówiłby sobie zalecania się do niej. Fikanie w jej pościeli musiało być warte siódmym potów i przynajmniej pozwoliłoby człowiekowi zapomnieć o niekończących się godzinach spędzanych na szczękaniu zębami z zimna.

Minęły dobre dwa kwadranse, nie przynosząc niczego nowego. Dzielnica, już i tak spokojna za dnia, pogrążyła się w swego rodzaju stłumionej ciszy. Niewielki ruch, kilka pasm mgły unoszących się w półmroku.

Nagle na zewnętrznych schodach rezydencji de Champagnaca roztańczyły się światła. Aglaé wytarła grzbietem dłoni parę, która utworzyła się na szybie drzwiczek. Dwaj służący w liberiach, z lampami olejowymi w dłoni, przyświecali trzem osobom, które schodziły po stopniach, kierując się do eleganckiego koczka. Pan domu się przebrał. Miał teraz na sobie płaszcz oraz cylinder i towarzyszył dwójce swoich gości. Wsiadł do powozu razem z kobietą, podczas gdy drugi mężczyzna ponownie zajął miejsce na koźle. Aktorka westchnęła z ulgą. Tak oto rozwiązał się jej dylemat. Wątpliwości zniknęły.

– Proszę śledzić powóz, który zaraz wyjedzie – szepnęła, wychylając się przez drzwiczki. – Ale przede wszystkim zachowajcie odpowiednią odległość! Nie mogą nas zauważyć.

Odwróciła się gwałtownie do tyłu, gdy kocz ich mijał, oddalając się w kierunku rue de l'École-de-médecine. Następnie oba zaprzęgi wjechały drobnym kłusem w rue de la Harpe, posuwając się na północ, w kierunku Sekwany. Aglaé poniekąd się uspokoiła, kiedy znaleźli się na bardziej uczęszczanych ulicach, bo zmalało ryzyko, że przyciągną uwagę pasażerów koczka, ale tej uldze towarzyszyły sprzeczne uczucia. Z jednej strony czuła, że ogarnia ją upajająca woń przygody, ponieważ wtargnięcie Valentina w jej życie wyrwało ją z rutyny i urozmaiciło zmienne koleje jej kariery bulwarowej aktoreczki, z drugiej jednak oceniała ryzyko, jakie podejmowała, obdarzając całkowitym zaufaniem zbiega i rzucając się na oślep w mroczną aferę, której szczegółów prawie wcale nie znała.

Moja droga, już chyba trochę za późno na rozterki. Trzeba było zastanowić się nad tym wszystkim wcześniej. Teraz, kiedy jesteś po szyję w bagnie, nie pozostaje ci nic innego, jak próbować za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni.

U wylotu pont au Change powozy skręciły w nadbrzeżne bulwary i jechały wzdłuż rzeki, która lśniła słabo w ostatnim blasku zmierzchu. Gdy dotarły do Luwru, musiały gwałtownie zwolnić. Młoda kobieta odchyliła zasłonkę i odważyła się na szybki rzut oka na zewnątrz. Przy nabrzeżu, w porcie Saint-Nicolas cumowały dwie barki, a tuzin tragarzy uwijał się przy ich rozładunku i prznosił ciężkie skrzynie do rzędu dwukółek, które tarasowały przejazd. Widząc to, powożący koczem w ostatniej chwili zmienił kierunek i zбочzył w rue des Poulies.

Dorożkarz wiozący Aglaé wykazał się refleksem, ale by się nie zdradzić, że śledzą powóz, nie od razu poszedł w jego ślady. Przeciwnie, powstrzymał konie, zaczekał, aż metaliczny turkot kół znacznie przycichnie, i dopiero wtedy też wjechał w wąską ulicę.

Minęli Luwr, potem rue Saint-Honoré i wjechali na place du Palais-Royal, a tam skręcili w rue de Rivoli. W tej szczególnie ożywionej dzielnicy latarnie gazowe były już zapalone, a najrozmaitsze odgłosy, z którymi mieszały się echa rozmów, zagłuszały stukot żelaznych kół o bruk. Wywoływało to u Aglaé dziwne wrażenie, bo na zewnątrz dorożki całe to zwyczajne życie płynęło własnym rytmem, a ludzie nadal zajmowali się swoimi małymi sprawami, chodzili do sklepów i kafejek, nie mając pojęcia, że ocierają się o dramat pod postacią pospolitego powozu do wynajęcia. To tak, jakby pograć się we śnie pośród tłumu rozbudzonych osób, tak bliskich, a jednak tak niedostępnych zarazem.

To osobliwe uczucie sprawiło, że w umyśle aktorki pojawiły się inne obawy. Co by się stało, gdyby *madame* de Mirande i jej towarzysze wyjechali z Paryża, żeby dotrzeć nocą na przedmieścia albo jeszcze gdzieś dalej? Było prawie pewne, że dorożkarz odmówiłby przekroczenia wałów obronnych. Szanse przekonania go sprowadzały się niemal do zera, a gdyby jakimś cudem jej się to udało, stracony czas prawdopodobnie pozwoliłby obserwowanym się ulotnić.

Co zdumiewające, chociaż kilka chwil wcześniej czuła pewien niepokój na myśl, że niefrasobliwie dała się wciągnąć w nedorzeczną eskapadę, teraz perspektywa fiaska zostawiała przykrą gorycz w kąciku jej ust. Nie wyobrażała sobie, że miałyby wracać do siebie pieszo, sama w ciemnościach, a później

przyznać się do porażki niechybnie zawiedzionemu Valentinowi. Poczwała zatem ulgę, kiedy zorientowała się, że dorożka ponownie zwalnia i w końcu całkiem nieruchomieje, skrzypiąc zawieszeniem.

– Zdaje się, że dojechaliśmy do celu, damulko – oznajmił woźnica, nachylając się w stronę drzwiczek.

Aglaé otworzyła je i ze zdziwieniem stwierdziła, że znajduje się pośrodku rozległej otwartej przestrzeni, słabo oświetlonej kilkoma latarniami olejowymi rozmieszczonymi z rzadka na słupach z kutego żelaza. Teraz już całkiem się ściemniło, ale stożki światła pozwalały dostrzec nieliczne sylwetki jeźdźców i zarysy zaprzęgów, kamiennych balustrad oraz nagich drzew w oddali.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała.

Dorożkarz wzniosł oczy ku niebu, jakby odpowiedź była oczywista.

– Na place de la Concorde. Tam, gdzie skrócili o głowę Kapeta⁴⁸ i jego Austriaczkę, w czasach kiedy lud naprawdę miał coś do powiedzenia.

– A gdzie się podział kocz? Już go nie widzę.

– Tam stanęli – odparł mężczyzna, wskazując batem w kierunku południowo-zachodniej części esplanady. – Tuż obok zamtuza Thurota, w pobliżu rowów biegnących wzdłuż Champs-Élysées. Powiedziałem sobie, że lepiej się trzymać z dala, skoro nie chciała pani, by nas zauważono.

– Dobrze zrobiliście. Mój przyjaciel będzie zadowolony, kiedy się dowie, że ściśle zastosowaliście się do jego instrukcji.

– No fajnie, ale że jest już noc, jadę odprowadzić zwierzęta do zajezdni. Jeśli będzie pani jeszcze potrzebowała moich usług, proszę się zwrócić do firmy i zapytać o Émile’a. Przyjadę z miłą chęcią. Niecodziennie zdarza się zarobić dniówkę, zbijając baki w towarzystwie takiej ślicznotki jak pani!

Woźnica zaakcentował swoją uwagę frywolnym mrugnięciem. Potem ponownie wspiął się na kozła i posługując się głosem oraz batem, zbudził konie, te zaś, jakby wyczuły bliskość stajni, parsknęły radośnie i szybko zniknęły w ciemności. Aglaé nie mogła powstrzymać lekkiego ukłucia w sercu. Została teraz sama.

Odwróciwszy się na pięcie, usiłowała sobie przypomnieć, co wie o układzie tego miejsca. Place de la Concorde, położony między tarasem Tuileries i sielankową aleją Champs-Élysées, przybrał kształt rozległego ośmiokąta otoczonego balustradami i zadrzewionymi fosami szerokości około dwudziestu metrów. W każdym z ośmiu rogów wznosił się pawilon, rodzaj dużej kamiennej budki wartowniczej, a na każdym z nich miały pierwotnie stanąć alegoryczne posągi ku chwale Ludwika XV⁴⁹. Rewolucja uniemożliwiła ukończenie tego projektu i w kolejnych latach owe puste cokoły zostały przekształcone w mieszkania. Niektórzy z lokatorów nie zawahali się prowadzić tam drobnych interesów: dostawca jedzenia na zamówienie, handlarz winem, pisarz publiczny...

Te niezwykle lokale miały w rzeczywistości pewną rzadką zaletę: otóż schody umożliwiały dostęp, przez podziemia, do odrębnych parceli znajdujących się na dnie fos. Przy pięknej pogodzie te cudownie zacienione ogrody rekreacyjne przyciągały wielu paryżan zauroczonych wiejską scenerią. Mimo to dwa lata wcześniej większość lokatorów, mieszkających tam bez prawdziwego tytułu własności, została siłą eksmitowana. Mówiło się potem o wznowieniu prac nad upiększeniem placu, który stał się ulubionym miejscem spacerów bogatej burżuazji.

Zorientowawszy się w swoim położeniu, Aglaé ruszyła ostrożnie w stronę krańca esplanady wskazanego jej przez dorożkarza. Podchodząc tam, widziała ciemniejszą bryłę koczka. Oba konie były przywiązane do pierścienia osadzonego w ścianie jednego z pawilonów, ale chociaż wytrzeszczała oczy, nie dostrzegła nikogo w pobliżu. Kobieta i dwaj mężczyźni zniknęli.

Czyżby byli wewnątrz kamiennego domku? Aby się upewnić, Aglaé zaryzykowała i idąc po otwartej przestrzeni, zbliżyła się do wejścia do pawilonu. Już miała przystawić ucho do drzwi, gdy odgłos stłumionej rozmowy skierował jej uwagę na tył budynku. W tym miejscu kamienna balustrada graniczyła z jedną z fos wyznaczających krawędź placu. Szmer głosów dochodził właśnie stamtąd. Młoda kobieta nachyliła się ostrożnie i zobaczyła poniżej, między drzewami i krzewami zadbanego ogrodu, blask latarni i jasną plamę kobiecej sukni. *Madame*

de Mirande i jej dwaj towarzysze przechodzili przez fosę, kierując się do skromnej drewnianej szopy. Zanim zniknęli w środku, jeden z mężczyzn się odwrócił i uniósł wzrok w stronę górnej części balustrady.

Tłumiąc okrzyk zaskoczenia, Aglaé szybko się cofnęła. Z mocno bijącym sercem odczekała nieruchomo kilka długich sekund, klęcząc przy balustradzie i czatując na najmniejszy podejrzanym odgłos, który mógłby oznaczać, że odkryto jej obecność. Najwyraźniej tak się jednak nie stało. To miejsce znów było ciche i spokojne, pogrążone w ciemnościach nocy.

Widok drewnianej szopy pozwolił młodej kobiecie zrozumieć, do czego robił aluzję dorożkarz, gdy wspomniał o „dawnym zamtuzie Thurota”. Przypomniała sobie, że zanim pawilony na placu stały się miejscami służącymi rekreacji, miały złą reputację. Wszystko dlatego, że podczas rewolucji niejaki Joseph Thurot przekształcił jeden z nich w tajny dom publiczny. Wykorzystując naturalną ochronę fos, zbudował w swoim ogrodzie chatkę, która miała służyć do sprzedaży napojów. W rzeczywistości ukrywała jednak dostęp do podziemi wykopanych pod placem, a tam prostytutki zajmowały się bardzo dyskretnym zadowalaniem klientów. W wyniku donosu lukratywny interes musiał się zwinąć w pierwszych latach restauracji⁵⁰. Niewątpliwie to w tej jaskiniowej scenerii, sprzyjającej tajnym spotkaniom, zniknęła właśnie ta trójka.

Aglaé zastanawiała się przez jakiś czas, co począć. Czekanie na ponowne pojawienie się *madame* de Mirande i jej towarzyszy nie miało większego sensu. Najprawdopodobniej znów wsiedliby do kocza, a ona już nie miała żadnych możliwości, żeby ich śledzić. Nie mogła się też zdecydować na powrót do swojego mieszkania, żeby spotkać się tam z Valentinem. Tak niewiele informacji mogłaby mu przekazać! Była natomiast przekonana, że gdyby zdołała odkryć, co się tam święci, tuż pod jej stopami, udzieliłaby mu decydującej pomocy w śledztwie.

Nie zastanawiając się nad niebezpieczeństwem, na jakie się naraża, nieustraszona aktorka postanowiła wejść do budki strażniczej w rogu. Duży kamień wystarczył, by nadwyrężyć stoczone przez robaki drewno drzwi i wyłamać zamek. Znalazła się w jedynym pomieszczeniu budynku. Było puste, zimne, wilgotne

i odarte z tynku. Na gwoździu wbitym w ścianę wisiała lampa sztormowa. Jej płomień tańczył i kocił w przeciągu, bo powietrze wpadało przez wąskie otwory strzelnicze umieszczone po czterech stronach.

Aglaé zdjęła lampę z gwoźdźcia i uniosła rękę, żeby oświetlić mroczne kąty. Zobaczyła drzwi wychodzące na wąskie strome schody prowadzące do podobnego pomieszczenia jak poprzednie. Dostała się stamtąd do fosy, gdzie nieprzenikniona ciemność była niemal namacalna, a potem do szopy, której rozchwiane deski zdradzały stan zaawansowanej ruiny. W środku, tak jak się spodziewała, znalazła klapę w podłodze. Zaczęła ją podnosić i zadrżała, gdy usłyszała skrzypnięcie zawiasów. W świetle lampy pojawiły się inne stopnie. Wydawały się mniej regularne od poprzednich. Zostały wycięte bezpośrednio w skale i zagłębiały się pod ziemię.

Aktorka ponownie przystanęła, nadstawiając uszu, ale nie usłyszała żadnego dźwięku. Zeszła po schodach i znalazła się w korytarzu podstemplowanym grubymi balami. Zatrzymała się tam raz jeszcze i wsłuchiwała w ciszę, żeby wykryć ewentualne zagrożenie. Nadal nic. Lochy rozciągały się zarówno w lewo, jak i w prawo. Ufając swojemu instynktowi, postanowiła podążać wzdłuż pochyłości, by jeszcze bardziej zagłębić się w paryskie podziemia. Po przejściu około trzydziestu metrów dotarła do rozwidlenia. Miała przed sobą trzy kolejne korytarze i bardzo trudno byłoby jej zdecydować, którą drogę wybrać, gdyby nie to, że jakiś niewyraźny szmer skłonił ją do wejścia do tunelu po lewej stronie.

Ten po pewnym czasie znacznie się obniżał. Mężczyzna średniego wzrostu nie mógłby nim iść, nie zginając się w pół. Co do kredowych ścian, były przesiąknięte wilgocią i wydzielały silną woń saletry. Aglaé wywnioskowała z tego, że nie może być już zbyt daleko od koryta Sekwany. Po około trzydziestu metrach słaby szmer usłyszany przy rozwidleniu korytarzy stał się znacznie wyraźniejszy i do młodej poszukiwaczki przygód dotarł niski głos mężczyzny, który mówił coś jednostajnym tonem w wyjątkowo wolnym tempie. Jeszcze nie była w stanie zrozumieć słów, ale ów dziwny monolog w tym ciemnym tunelu wydzielającym fetor grobowca przyprawił ją o nieprzyjemny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

Po pokonaniu zakrętu korytarza Aglaé natknęła się na drzwi z zakratowanym judaszem. Tego się nie spodziewała, ale wykazała się na tyle świetnym refleksem, że natychmiast zasłoniła blask swojej lampy drugą ręką. Uważając, żeby nie potknąć się w niemal całkowitej ciemności, podeszła bliżej, ostrożnie wspięła się na palce i zaryzykowała zerknięcie przez otwór.

Zobaczyła piwnicę dość okazałych rozmiarów. Sądząc po archaicznym murze, musiała zostać zbudowana w bardzo dawnych czasach. Możliwe, że był to tajny magazyn, który służył niegdyś do przechowywania przemyconych towarów transportowanych rzeką. Wnętrze oświetlały cztery pochodnie przymocowane do ściennych wsporników. Ich falujące światło pozwoliło Aglaé obserwować naprawdę zadziwiającą scenę. *Madame* de Mirande oraz mężczyzna, który służył jej za woźnicę, czekali cierpliwie bez ruchu i w milczeniu w jednym z rogów pomieszczenia. Pośrodku, na krześle z koślawym słomianym oparciem, osobnik o dystyngowanym wyglądzie, który powitał ich w rezydencji de Champagnaca, siedział sztywno niczym posąg. Jego przystojna, biała jak marmur twarz była nienaturalnie nieruchoma, skierowana w stronę lustra na podstawie, które wydawało się tam zupełnie nie na miejscu. Za jego plecami stał czwarty człowiek, w brązowym surducie. Musiał już tam być, gdy przyszła pozostała trójka. Jego wychudzone rysy i szpiczasta broda pasowały do opisu doktora Tusseau, który Valentin nakreślił dla Aglaé. To on mówił pięknym basowym głosem, głębokim i grobowym:

– Czujesz się ciężki, tak jak to sklepienie, które jest ciężkie i skłania cię do zapadnięcia w ciężki sen. Stopniowo, niepostrzeżenie pozwalasz sobie odejść. Wpatrujesz się w światło. Jest ono gwiazdą świecącą w ciemnościach nocy. To czarna gwiazda, która prowadzi cię przez noc. Ale gdzie jest noc? Gdzie jest dzień? Gdzie jest biel? Gdzie jest czerń?

Recytując tę posępną litanie, mężczyzna w surducie przesunął powoli lampę olejową tam i z powrotem nad głową swojego pacjenta, który śledził wzrokiem odbicie płomienia na gładkiej powierzchni lustra.

– Czujesz się coraz lepiej. Twój oddech staje się coraz wolniejszy. Mięśnie się rozluźniają. Słyszysz już tylko mój głos. Widzisz już tylko gwiazdę. Mój głos i gwiazda. Gwiazda i mój głos. Są twoimi przewodnikami, żebyś mógł wyjść z mroku. One wskazują ci drogę.

Aglae wstrzymała oddech. Fascynacja wywoływana tym dziwnym skandowaniem, powtarzaniem pewnych słów, zaczynała oddziaływać na nią samą. Czuła, że niemal unosi się w powietrzu w stanie paradoksalnej błogości. Jakby głos doktora zastępował balsam i usypiał jej czujność. Była tak pochłonięta tym, co widzi i słyszy, że nie zwróciła uwagi na odgłos kroków za sobą.

Gdy zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, było już za późno. Lufa pistoletu opierała się o jej żebra, a ciepły oddech szeptał jej ironicznie do ucha:

– Po co tak stać przy drzwiach, moja śliczna? Będzie pani znacznie lepiej słyszeć, gdy dołączy pani do naszych przyjaciół.

Zdjęta trwogą, obróciła górną część ciała i bezwiednie się wzdrygnęła, rozpoznając człowieka, który groził jej bronią. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Pan? Tutaj? Ja... Ja już nic z tego nie rozumiem.

⁴⁸ Chodzi o Ludwika XVI (przyp. tłum.).

⁴⁹ Są to w gruncie rzeczy kamienne cokoły, wciąż istniejące, na których stoi obecnie osiem posągów kobiet symbolizujących największe miasta Francji.

⁵⁰ Ta anegdota jest całkowicie autentyczna.

ROZDZIAŁ 38

Spisek

– Coś takiego! Dobra przyjaciółka inspektora Verne’a! Niech mnie diabli, jeśli spodziewałem się panią tu spotkać! Nigdy pani nie nauczono, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła?

Komisarz Flanchard od razu rozpoznał bezczelną młodą kobietę, która dwa tygodnie wcześniej odwiedziła go z samego rana na rue de Jérusalem, żeby wyciągnąć od niego adres swojego rzekomego kochanka. Nie mógł jednak zrozumieć, co ta dziewczyna tu robi, a przede wszystkim, jak odkryła ich tajną kryjówkę.

Gdy nakazał jej ruchem uzbrojonej ręki wejść do piwnicy, poczuł, że ogarnia go niepokój. Spotkanie z Valentinem Verne’em wciąż stało mu kością w gardle, bo tkwił w dorożce skuty kajdankami przez ponad godzinę, zanim przyszedł go uwolnić strażnik miejski zaintrygowany porzuconym na brzegu Sekwany powozem. A teraz ta dziewczyna szpiegująca jego współników... Czy to wszystko stanowiło część jakiegoś uzgodnionego planu? Czyżby Verne odegrał przed nim komedię, prosząc o chwilę wytchnienia? Jeśli istotnie tak było, oznaczało to, że inspektor go podejrzewał. Flanchard nie mógł trwać w niepewności. W ten czy inny sposób musiał skłonić tę pannicę do wyznania, co wie.

Kiedy Aglaé i komisarz przekroczyli próg piwnicy, na twarzach trojga ze znajdujących się w niej osób odmalowało się zdumienie. Jedynie mężczyzna siedzący przed lustrem zdawał się nieświadomy niczego. Tkwił skamieniały na

krześle, a jego umysł był ewidentnie zaćmiony przez odbicie lampy, chociaż doktor Tusseau przestał już nią kołysać.

Gdy aktorka kierowała się w stronę nieznanego, którego uważała za wicehrabiego de Champagnaca, Flanchard wymierzył jej kuksańca w plecy, żeby zmusić ją do dołączenia do pary trzymającej się w rogu łukowato sklepionego pomieszczenia. *Madame* de Mirande ze złością i z pogardą w oczach patrzyła, jak aktorka podchodzi, a jej dumna twarz wykrzywiła się pod wpływem trudnych do opanowania emocji, przez co stała się niemal pospolita.

– Co to za jedna? – zapytała lodowatym głosem. – I co tu robisz?

– Mam wszelkie powody, by sądzić, moja droga, że po prostu was śledziła – odparł Flanchard z niezadowoleniem. – Co, nawiasem mówiąc, wcale nie jest uspokajające. Ostrzegałem was przecież, że musimy wzmocnić środki ostrożności. Ale o tym wszystkim porozmawiamy później i nie w tym miejscu. Na razie liczy się tylko to, żeby nasz pacjent nie był niepokojony tego rodzaju niedogodnościami.

– Co pan radzi?

– Przerwijmy na tym ten ostatni seans sugestii. Stawka jest zbyt wysoka, by podejmować choćby najmniejsze ryzyko. Doktor i pani wykorzystacie to, że trans już trwa w najlepsze, i odwieziecie wicehrabiego do jego rezydencji. Do jutra rana o wszystkim zapomni. – Komisarz zwrócił się do towarzysza *Émilie* de Mirande: – Pan zostanie tutaj ze mną. Porozmawiamy sobie z tą wścibską osobką. Musi nam powiedzieć, kto ją przysłał i czy inspektor Verne dowiedział się o nas czegoś, o czym jeszcze nie mamy pojęcia.

Kurtyzana skinęła posłusznie głową, lecz kiedy mijala *Aglaé*, jej usta rozciągnęły się w okrutnym uśmiechu. Grzbietem rękawiczki uniosła podbródek uwięzionej kobiety i utkwiała w jej źrenicach spojrzenie ostre jak szpilka.

– Szkoda – szepnęła, przesuwając czubkami palców po jej szyi, a potem jeszcze niżej, w stronę piersi. – Chętnie zajęłabym się osobiście twoim przypadkiem. Jestem przekonana, że zdołałabym wydobyć cudowne jęki z tak pięknego gardła.

Aglaé podejrzewała, że czeka ją straszny los, ale słysząc, jak się to potwierdza w taki sposób, tym spokojnym, lecz sadystycznym głosem, zamarła z przerażenia. Miała ochotę krzyknąć, żeby zbudzić się z tego koszmaru, ale trwoga niemal ją sparaliżowała i odjęła jej mowę.

Niezdolna do najmniejszej reakcji, zobaczyła, jak Émilie de Mirande wspólnie z doktorem Tusseau próbuje pomóc wstać wicehrabiemu. Champagnac wykonywał każdy ruch z niezwykłą sztywnością, co przypominało młodej aktorce owe pokazy automatów, które niedawno miała okazję oglądać na bulwarze Zbrodni.

Gdy tych troje wyszło, Flanchard posadził uwięzioną kobietę na krzesło i kazał wspólnikowi związać jej ręce za plecami. Aglaé wykorzystała tę krótką chwilę wytchnienia, żeby spróbować uspokoić oddech i zebrać myśli. Nikt nie wiedział, gdzie jest, więc mogła polegać tylko na sobie, jeśli chciała wyjść żywa z tych podziemi. W tym celu bezwzględnie musiała zyskać na czasie i postarać się im wmówić, że wie o nich więcej niż w rzeczywistości. Gdyby poczuli się zagrożeni, być może zachowaliby ją przy życiu, żeby móc jej użyć jako karty przetargowej. Było to diabelnie ryzykowne i niepewne, ale w rozpaczliwej sytuacji, w której się znalazła, stanowiło jedyny atut, jaki jej jeszcze pozostał.

Gdy powzięła to postanowienie, podniosła głowę, wcześniej zwieszoną na piersi, i próbowała przybrać pyszałkową postawę wobec dwóch wpatrujących się w nią mężczyzn.

– I na co czekacie? – rzuciła, modląc się, by jej zmieniony głos nie zdradził strachu. – Musicie się przecież domyślać, że nie działałam sama. Inspektor Verne wie już teraz wystarczająco dużo o waszych machinacjach, żeby was wszystkich aresztowano w ciągu najbliższych godzin. Gra skończona.

Ubrany po mieszczańsku mężczyzna z krostowatą twarzą i wyraźną tuszą odwrócił się w stronę komisarza, marszcząc brwi. Ze wszystkich porów jego niezdrowej skóry sączyły się tchórzostwo i niepokój.

– Co ona opowiada? – warknął. – Zapewnił nas pan, że sytuacja jest pod kontrolą i że znalazł pan skuteczny sposób, by zamknąć gębę temu przekłętemu

inspektorowi.

– Spokój, Grisselanges! – odparł Flanchard. – Mam wystarczająco wysokie stanowisko, by wiedzieć, że nakaz aresztowania Verne’a nadal obowiązuje. Jak pańskim zdaniem miałyby zyskać posłuch u władz? Jeśli wyściubi czubek nosa, zostanie natychmiast pojmany, a ja pierwszy się o tym dowiem.

– A jeśli nie o wszystkim pana poinformował? Bądź co bądź dotarł do Émilie i doktora Tusseau. Domyślił się również, że zastosowaliśmy hipnozę, żeby kontrolować umysł Champagnaca. Mógł odkryć coś jeszcze... a jeśli nic o tym nie powiedział, to może dlatego, że panu nie ufał.

Flanchard wzruszył masywnymi ramionami i nie raczył odpowiedzieć. Zawsze wiedział, że adwokat jest słabym ogniwem w ich małym stowarzyszeniu. Jeśli chodzi o dostarczanie ludzkich królików doświadczalnych doktorowi Tusseau, to właśnie on popełnił fatalny błąd, kierując ich uwagę na syna Dauvergne’a. Uznał, że skoro ten młody człowiek, który od pewnego czasu odwiedzał Bazanty w Koronach, zerwał z rodziną, jego nagłe zniknięcie nie powinno wywołać poruszenia. Stanowił zatem idealny obiekt, żeby sprawdzić, czy hipnoza pozwoli skłonić szlachetnie urodzoną osobę do popełnienia ekstremalnego czynu. Według doktora Tusseau rezultat byłby o wiele bardziej przekonujący niż w przypadku tego Tirancourta, który został znaleziony przez samego Flancharda, ale należał do klasy niższej. Gdyby się powiodło, można by było zacząć pracę z ich prawdziwym celem: wicehrabią de Champagnakiem odpowiedzialnym za przygotowanie procesu ministrów.

Z kolei Tusseau doskonale się wywiązał ze swojej części umowy i wpłynął na młodego Luciena, żeby odebrał sobie życie. Wybór Grisselanges’a okazał się jednak katastrofalny. Deputowany Dauvergne bynajmniej nie pogodził się z samobójstwem zbuntowanego syna i wywołał zamieszanie. Wykorzystał koneksje z wysoko postawionymi ludźmi, żeby doprowadzić do wszczęcia oficjalnego śledztwa. Flanchard zdołał zareagować na czas i postarał się, by dochodzenie powierzono samotnemu policjantowi, nietypowemu i stosującemu

niekonwencjonalne metody, a zatem łatwo byłoby go skompromitować, gdyby zaszła taka potrzeba. On przynajmniej miał szczęśliwą rękę!

Jeśli się dobrze zastanowić, nie był to jedyny błąd popełniony przez Grisselanges'a. Gdyby adwokat okazał się zręczniejszy, los inspektora Verne'a zostałyby rozstrzygnięty podczas próby przeniknięcia do Odnowy Jakobińskiej. Jego egzekucja umożliwiłaby zakończenie śledztwa w sprawie śmierci syna Dauvergne'a. Cała odpowiedzialność spadłaby na tę zgraję idealistów o ustach pełnych frazesów, którzy spędzali czas na paplaniu, zamiast działać. Zadowolono by w ten sposób deputowanego, nie narażając się niepotrzebnie, ale ten nieudacznik Grisselanges pozwolił Verne'owi ujść z życiem z podziemi gospody, i oto teraz adwokat stał tu, przed Flanchardem, robiąc w spodnie na myśl, że ktoś może być na ich tropie. Komisarz chętnie by mu przyłożył, żeby przywołać go do porządku, powstrzymał się jednak, bo były pilniejsze sprawy do załatwienia.

Flanchard stanął naprzeciwko Aglaé, wsunął pistolet za pas i strzelił stawami palców.

– Nie sądzę, żeby była pani na tyle głupia, by mieć nadzieję ujść stąd z życiem – powiedział, nie zadając sobie nawet trudu, żeby w jego głosie zabrzmiała groźba – ale istnieją różne sposoby na opuszczenie tego świata, powiedzmy mniej lub bardziej bolesne. Jeśli odpowie pani uprzejmie na wszystkie moje pytania, obiecuję szybką śmierć bez cierpienia. W przeciwnym razie...

Aglaé wierciła się na krześle, a sznur zawiązany wokół nadgarstków wrzynał się jej w skórę. Próbowała przewidzieć, co się stanie, i poczuła, że ogarnia ją fala paniki. Będą ją przesłuchiwać, bić, a może jeszcze gorzej, ona zaś wiedziała o wiele za mało, żeby ich wykiwać. Bardzo szybko uświadomiła sobie, że zjawiała się tu sama i nie ma obawy, że ktoś przyjdzie jej na ratunek. Wystarczyłoby więc, żeby ją zlikwidowali i ukryli ciało w tych podziemiach, gdzie nikt nigdy go nie znajdzie.

– Pierwsze pytanie – oznajmił Flanchard, przyklękając, by znaleźć się twarzą w twarz z uwięzioną dziewczyną. – Czy ktoś pani towarzyszył do tego miejsca? Może inspektor Verne...

Młoda kobieta zamrugwała, jakby chciała go przepędzić ze swojego pola widzenia. Znaleźć w sobie siłę, by przezwyciężyć strach i odważyć się stawić opór.

– Nie potrafię zrozumieć – powiedziała powoli – jak pan, funkcjonariusz odpowiedzialny za zapewnienie bezpieczeństwa publicznego, mógł współuczestniczyć w takim przestępczym przedsięwzięciu.

W jej głosie zabrzmiała wyzywająca nuta. Flanchard czegoś tu nie rozumiał. Zwykle, gdy zdarzało mu się przesłuchiwać kobiety, groźby wystarczały. Strach przed zgwałceniem rozwiązywał języki nawet najbardziej opornych. Nie mógł pojąć, dlaczego ta dziewczyna, całkowicie zdana na jego łaskę, najwyraźniej się uparła, by mu się przeciwstawić.

Za plecami komisarza Grisselanges rozłożył już ostrze noża. Jego rozchylone wargi odsłoniły zaciśnięte zęby, a na skroni pulsowała duża żyła niczym żmija gnieźdząca się pod skórą.

– Proszę mi pozwolić odciąć jej nos albo dźgnąć ją w oko – wtrącił się adwokat. – Obiecuję panu, że wkrótce będzie potulna jak baranek.

– Spokój, Grisselanges! – warknął Flanchard po raz drugi, odwracając się, by spiorunować wzrokiem współnika.

Perspektywa oddania tej dzielnej dziewczyny w łapy swojego miernego kompana nagle go zirytowała. Bez wątpienia były inne sposoby uzyskania tego, czego chciał. Jego duże doświadczenie policjanta nauczyło go, że korzystne może się okazać odkrycie najpierw własnych kart. Zwierzenia wymagały zwierzeń.

Wstał i zrobił kilka kroków, chodząc w kółko, a potem ponownie podszedł do krzesła i położył swoje szerokie łapy na ramionach uwięzionej dziewczyny.

– Chylę przed panią czoło, moja mała – powiedział ze szczerym podziwem. – Nie brak pani odwagi. Ale to na nic. Za dwa dni wicehrabia de Champagnac ma się udać do fortu Vincennes, żeby przeprowadzić pierwsze przesłuchanie byłych ministrów tego łajdaka Karola X. Upewniliśmy się, że cela księcia de Polignaca jest wyposażona w lustro podobne do tego, które widzi pani tutaj. Domyśla się pani ciągu dalszego? W przypiływie szaleństwa wicehrabia bestialsko zamorduje byłego

przewodniczącego rady ministrów. Oczywiście ta wersja nie usatysfakcjonuje ani obozu republikańskiego, który uzna to za machinacje władz w celu uniknięcia ujawnienia kompromitujących rewelacji, ani obozu karlistów, który oskarży króla, że wolał zabójstwo od uczciwego procesu. Śmierć Polignaca rzuci iskrę na beczkę prochu.

– To najwyraźniej pana cieszy – zauważyła cierpko Aglaé. – Tak bardzo żał panu rzezi z czasów rewolucji i Cesarstwa?

Flanchard potrząsnął głową, jakby przygnębiała go taka naiwność.

– Pytała mnie pani przed chwilą, dlaczego współuczestniczyłem w przestępczym przedsięwzięciu. Oznacza to popełnienie dwóch błędów. Po pierwsze nie współuczestniczyłem, lecz wszystkim kierowałem. To ja zawarłem znajomość z doktorem Tusseau, kiedy zazdrośni koledzy go szykanowali. I to ja wymyśliłem nasz mały spisek w najdrobniejszych szczegółach. Po drugie nazwanie naszego słusznego przedsięwzięcia przestępczym stanowi odwrócenie pojęć. Przestępcami i złoczyńcami są ci, którzy odebrali władzę ludowi po rewolucji lipcowej. Księżę Orleanu i cała ta jego klika bankierów oraz wielkich właścicieli ziemskich. Byłem w lipcu na barykadach. Widziałem, jak lud Paryża powstaje przeciwko uciskowi. I co w końcu na tym zyskał? Tylko zmianę władcy na tronie. Rządzą zawsze bogacze. Otóż my zamierzamy to wszystko zmienić!

– Ponownie pogrążając kraj w chaosie?

– Powiadają, że nie da się zrobić omletu bez rozbijania jajek. Mądrość ludowa jest więcej warta niż wszystkie przemówienia tych oferm, które zasiadają w Izbie Deputowanych. No dalej! Dość marnowania czasu! Jest pani gotowa odpowiedzieć na moje pytania? Tak czy nie?

Aglaé zdawała sobie sprawę, że przegrała, ale duma nie pozwalała jej przyznać się do porażki. Zebrała w sobie resztki odwagi i splunęła komisarzowi w twarz.

– Jeszcze czego!

Rysy Flancharda wykrzywił grymas. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i bez pośpiechu wytarł się starannie, nie spuszczać wzroku z aktorki. Potem się

wyprostował i cofnął o kilka kroków, żeby zrobić miejsce kompanowi.

– Bardzo dobrze – westchnął. – Sama się pani o to prosiła. Jest pańska, Grisselanges. Niech się pan postara tym razem mnie nie zawieść i zmusi ją do wyznania wszystkiego, co wie!

W źrenicach adwokata pojawił się złowrogi błysk. Wysuwając nóż przed siebie, podszedł do swojej ofiary. Aglaé chętnie by wstała i usiłowała walczyć, rzucać się na wszystkie strony, ale widok długiego ostrza zmroził ją do szpiku kości. Nogi miała jak z waty. Bała się, że upadnie, jeśli spróbuje wykonać najmniejszy ruch.

Grisselanges złapał ją za kok i gwałtownie szarpnął jej głowę do tyłu.

Jego ręka uzbrojona w nóż zbliżała się już do lewego oka aktorki, gdy nagle dał się słyszeć trzask łamanego drewna. Drzwi prowadzące do podziemnego przejścia rozpadły się na kawałki i do piwnicy wtargnęły dwie ciemne postacie. Zanim Flanchard i Grisselanges zdążyli zrozumieć, co się dzieje, rozległa się głucha eksplozja, a całą przestrzeń wypełniła woń prochu.

Grisselanges wydał z siebie nieartykułowany okrzyk, upuszczając nóż. Potem uniósł rękę do klatki piersiowej, obrócił się wokół własnej osi i runął jak kłoda.

Tymczasem Flanchard już się otrząsnął z zaskoczenia. Wyciągnąwszy zza paska pistolet, zanurkował, żeby ukryć się za krzesłem Aglaé, objął młodą kobietę wolną ręką i wycelował lufę w jej skroń.

Bojąc się zranić uwięzioną dziewczynę, zaskoczeni szybkością reakcji komisarza dwaj napastnicy nie odważyli się wystrzelić ponownie, żeby udaremnić jego desperacki manewr. Stali teraz po obu stronach lustra z rozstawionymi nogami i obaj ściskali pistolety w każdej dłoni.

– Verne! Vidocq! – wykrzyknął Flanchard, rozpoznając z niedowierzaniem dwóch przybyszów. – Jak, do diabła, udało wam się tu dostać?

– Po prostu śledząc pana, Flanchard. Myślał pan bez wątplenia, że jest pan poza wszelkimi podejrzeniami, ale jak większość przestępców popełnił pan błąd. Nikt nie może uniknąć powszechnego losu.

– Chętnie się dowiem, jaki to błąd – powiedział komisarz, którego oczy przeskakiwały szybko z jednego mężczyzny na drugiego, bo chciał uprzedzić ewentualny nowy atak.

– Przed chwilą, kiedy zostawiłem pana skutego w tamtej dorożce, próbował pan wzywać pomocy pomimo knebla. Odchodząc, usłyszałem, jak pański głos przechodzi w wysoki rejestr. Właśnie wtedy od razu wszystko zrozumiałem. Cztery dni temu, gdy zabrał mnie pan ze swoim oddziałem, żebym uczestniczył w aresztowaniu Lastours'a, czyjś krzyk w tłumie podniósł alarm i mało brakowało, by kosztował mnie życie. Miałem przemożne wrażenie, że znam ten głos, ale nie potrafiłem go zidentyfikować. I nie bez powodu! Zmienił pan tembr, żeby nie zostać rozpoznanym, ale tam, kilka kroków od dorożki, w której właśnie odmówił mi pan pomocy, nie miałem już najmniejszych wątpliwości. To był ten sam przenikliwy ton.

– Chce pan przez to powiedzieć, że gdybym nie próbował wołać...

– ...nadal nic bym nie wiedział o roli, którą odegrał pan w tej ponurej tragedii. Błahe przyczyny miewają dalekosiężne skutki! Wychwalał pan przed chwilą mądrość ludową, więc myślę, że doceni pan ironię sytuacji. Kiedy zrozumiałem, że zastawił pan na mnie pułapkę, ponownie przeanalizowałem całą sprawę. Jeśli wykluczyć Aglaé, był pan obok prefekta policji jedyną osobą, która została poinformowana o moim pojedynku z Fauvetem-Dumesnilem, mógł pan zatem wykorzystać moją nieobecność w mieszkaniu, przeszukać je i ukraść mi te dokumenty otrzymane rzekomo od anonimowego nadawcy. Również jako jedyny wiedział pan, że odkryłem ohydny intrygę, której ofiarą padł wicehrabia de Champagnac, co usprawiedliwiało próby uciszenia mnie.

Flanchard skinął głową i mimowolnie gwizdnął z podziwem.

– Moje gratulacje, Verne. Przyznaję, że pana nie doceniałem. Wciąż jednak nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak się panu udało tak szybko wezwać tego drania Vidocq'a, żeby zjawił się tutaj uzbrojony.

Valentin czuł się nieswojo. Odkąd on i Vidocq wyważyli drzwi do piwnicy i zorientowali się, w jak krytycznym położeniu jest Aglaé, nie mógł się pozbyć okropnego poczucia winy. Przecież to przez niego aktorka wzięła na siebie całe to ryzyko, więc gdyby przydarzyło jej się nieszczęście, nigdy nie zdołałby sobie tego wybaczyć. Właśnie dlatego chętnie odpowiadał na pytania Flancharda, licząc, że w końcu czujność komisarza osłabnie, co pozwoliłoby im interweniować bez narażania na niebezpieczeństwo życia młodej kobiety.

– Jeszcze nie wiedziałem, jaka dokładnie jest pańska rola u boku *madame* de Mirande i doktora Tusseau – wyjaśnił – ani czy ma pan innych współników. Nie chciałem też ryzykować, demaskując pana bez namacalnego dowodu, dlatego musiałem poddać pana inwigilacji w nadziei, że w ten sposób zdołam rozbić całą szajkę. Nie mogłem jednak działać sam, ale szczęście mi sprzyjało. Przypomniałem sobie, że pan Vidocq ma zwyczaj spotykać się z dawnymi członkami swojej brygady w każdą środę wieczorem w pewnym szynku w Dzielnicy Łacińskiej. Popędziłem tam zatem, błagając niebiosa, żebym zdążył wrócić na czas i żeby jeszcze się pan nie ulotnił. Przybyliśmy w samą porę, by być świadkami pańskiego uwolnienia, i deptaliśmy panu po piętach aż dotąd.

Podczas gdy Valentin usiłował przykuć w ten sposób uwagę komisarza, były skazaniec niepostrzeżenie przesunął się w bok. Zamierzał zejść z pola widzenia Flancharda i uzyskać taki kąt strzału, by nie zagroził życiu uwięzionej kobiety. Myślał, że już prawie mu się to udało, ale jego następcą w Sûreté nagle odebrał mu wszelką nadzieję.

– Jeszcze jeden krok, Vidocq, a rozwalę głowę temu rozkosznemu dziecku!

– Lepiej niech pan się podda, Flanchard! – wtrącił się Valentin. – Przechwyciliśmy pańskich współników w podziemiach. Ludzie Vidocqą trzymają ich pod strażą, a wszystkie wyjścia są pilnowane. Co do Champagnaca, właśnie w tej chwili jest zabierany do doktora Bertranda, specjalisty od magnetyzmu zwierzęcego i hipnozy. Gdy tylko usunie on mentalne bariery ustanowione przez Tusseau, wicehrabia będzie mógł potwierdzić nasze oskarżenia. Przegrał pan. Po co dręczyć niewinną kobietę? Niech pan ją puści, Flanchard!

Komisarz zdawał się rozważać wszystkie za i przeciw, ale bynajmniej nie rozluźnił uścisku. Zmusił Aglaé, żeby wstała, a następnie zasłonił się nią jak tarczą i idąc tyłem, pociągnął ją w głąb piwnicy, w pobliże dużej skały wystającej ze ściany.

– Przykro mi pana rozczarować, mój chłopcze – rzucił chełpliwie pod adresem Valentina – ale Flanchard nie da się tak łatwo złapać! Wybrałem to miejsce, bo ma podwójne wyjście. Tuż za nim jest inny korytarz, który prowadzi do Sekwany. Wyjdę tamtędy i zabiorę ze sobą tę małą, na której najwyraźniej tak bardzo panu zależy. Jeśli zrezygnuje pan ze ścigania mnie, damę panu słowo, że ją uwolnię, gdy tylko będę bezpieczny, ale jeśli woli pan za wszelką cenę zgrywać mściciela i nadal deptać mi po piętach, ona pierwsza za to zapłaci. Czy wyraziłem się jasno?

Valentin wściekał się z bezsilności. Widział w oczach Aglaé przerażenie i wołanie o pomoc, które bezgłośnie do niego kierowała, ale co mógł zrobić? Złoczyńca był górą i dyktował warunki.

– W porządku – zgodził się z ciężkim sercem. – Tym razem pan wygrał, Flanchard. Dajemy panu dziesięć minut. Ani jednej więcej!

Dotkliwszy ból niż triumfalny uśmiech komisarza sprawiła inspektorowi milcząca udręka, którą wyczytał w spojrzeniu aktorki. Z żalem opuścił lufę pistoletu i zrezygnowanym gestem dał znak swojemu towarzyszowi, żeby zrobił to samo.

Flanchard ponownie się cofnął, nie spuszczając z nich wzroku, i pociągnął Aglaé w cień wystającej skały. Chwilę później oboje zniknęli, jakby wtopili się w kamień.

ROZDZIAŁ 39

Starcie

Valentin poczuł, że Vidocq zbliża się za jego plecami.

– Chyba mu pan nie zaufał i nie uwierzył, że odda panu przyjaciółkę! Znam tego rodzaju osobników, jak pan wie. Są gotowi na wszystko, żeby ratować własną skórę, poczuwając się od wyparcia się danego słowa.

– Myślę dokładnie tak jak pan, ale nie mogliśmy postąpić inaczej, jak tylko zostawić mu nieco swobody. Gdyby nie miał nic do stracenia, nie zawahałby się zabić Aglaé. A teraz, Vidocq, proszę mi dać jeden ze swoich pistoletów. Spróbuję ich dogonić i go zaskoczyć. Pan niech weźmie dwóch ze swoich ludzi i dotrze nad Sekwanę od zewnątrz.

– Nie wolałby pan, żebym poszedł z panem? W ciemności może zastawić na pana pułapkę. Lepiej we dwóch niż w pojedynkę.

Vidocq miał oczywiście rację, ale Valentin postanowił pójść sam. Dlatego, że to była jego walka. Dlatego, że to wciąż była ta sama walka ze Złem, która powtarzała się nieustannie. Zaczęła się wiele lat wcześniej, w tej ohydnej piwnicy, kiedy dwunastoletni chłopak odważył się rzucić swoją zaimprovizowaną piłką w lampę olejową. Poza tym Valentin wiedział, że nawet gdyby zdołał uratować Aglaé i unieszkodliwić Flancharda, niczego by to właściwie nie rozwiązało. Walka skończy się dopiero wtedy, gdy pomści śmierć ojca i powstrzyma intrygi Wikarego... Może nawet nigdy nie będzie miała końca... Ta straszna myśl próbowała do niego przeniknąć po raz pierwszy, przełamać jego mentalne bariery,

ale odtrącił ją z wściekłością i całym tym gniewem, który przepełniał go od tak wielu lat. Nie miał innego wyboru, jak tylko walczyć aż do kresu sił.

Ruchem głowy odrzucił propozycję Vidocq'a, przybierając zdecydowany wyraz twarzy, który nie znosił sprzeciwu.

– Nie ma mowy! – wykrzyknął. – We dwóch bylibyśmy zbyt łatwo zauważalni. Jeśli zdoła mi uciec, liczę, że pan go złapie.

Mężczyźni przeprowadzili zatem wymianę broni i Valentin skierował się do zakątka piwnicy, w którym zniknął Flanchard z Aglaé. Wydobywała się stamtąd woń zgnilizny, tak że można by pomyśleć, że to jedno z tajnych wrót piekła.

Młody inspektor wzgardził oferowaną mu przez Vidocq'a pochodnią, bo uczyniłaby z niego łatwy cel, i ostrożnie pogрузzył się w nicości.

Już po kilku krokach poczuł, że serce bije mu coraz szybciej, a na czoło i pod pachami wystąpił niezdrowy pot. Również jego dłonie ściskające wykonane z drewna orzechowego kolby broni nieprzyjemnie zwilgotniały. Dostał czegoś w rodzaju zawrotów głowy i przed oczami zaczęły mu wirować purpurowe motyle. Wsunął jeden z pistoletów do kieszeni surduta i uniósł rękę do skroni. To była ta sama dolegliwość, którą odczuwał, gdy Grisselanges i jego kamraci z Odnowy Jakobińskiej zaciągnęli go do piwnicy Bażantów w Koronach albo gdy wszedł do kryjówki Wikarego w sercu dzielnicy Saint-Merri. Nie mógł nic na to poradzić. Za każdym razem, kiedy znajdował się w ciemnych, zamkniętych przestrzeniach przesyconych ziemistą wonią, powracały do niego obrazy z dzieciństwa, z czasów jego straszego uwięzienia. Tłoczyły się i nakładały na siebie niczym w jakimś przerażającym kalejdoskopie. Potrzebował zawsze paru minut na aklimatyzację, żeby przewyciężyć te zaburzenia i ponownie ruszyć przed siebie.

Tym razem to wizja więzionej Aglaé wyrwała go jego wewnętrznym demonom. Otarł czoło brzegiem rękawa i wznowił powolny marsz naprzód.

Korytarz był tak wąski, że inspektor mógł dotknąć jego wilgotnych ścian, po prostu rozkładając ramiona. Nierówna posadzka zrobiła się śliska z powodu nagromadzonego mchu i licznych strużek spływających po skale. Musiał iść

niezwykle ostrożnie, żeby nie zdradzić swojej obecności. W tym ciasnym tunelu najcichszy nawet dźwięk zostałyby spotęgowany i byłby słyszalny z daleka. Zresztą z przodu dochodziły do niego odgłosy pluskania i stłumionych jęków. W tej ograniczonej przestrzeni zanurzonemu w atramentowym mroku Valentinowi trudno było dokładnie ocenić odległości, ale uznał, że od Aglaé i Flancharda dzieli go najwyżej około stu metrów.

Zatrzymał się na chwilę. Efekt zażycia późnym popołudniem laudanum zaczynał słabnąć i ból w lewym ramieniu odezwał się ponownie, toteż Valentin musiał szybko przystąpić do działania, póki jeszcze mógł. Jego plan był prosty. Podejść jak najbliżej do obojga bez zwracania na siebie uwagi, pozwolić komisarzowi odzyskać nadzieję na ucieczkę, a potem czyhać na odpowiednią chwilę, by go zaatakować, nie narażając życia młodej aktorki. Minęło mniej więcej dziesięć minut, odkąd wznowił marsz po omacku, gdy twarz musnął mu powiew cuchnącego powietrza. Śmierdziało zgnilizną i gównem. Valentin zdał sobie sprawę, że tunel, którym podąża, musi się łączyć ze ściekiem, a ten z kolei wpada do rzeki. Potwierdziło się to kilka metrów dalej, gdy jego podeszwy zanurzyły się w kałuży stojącej wody. Na jej powierzchni unosiły się bezkształtne odpadki.

Nagle w ciemności dało się słyszeć przekleństwo. Całkiem blisko. Kilka sekund później nastąpiły powtarzające się uderzenia. Rzec by można, że jakiś obłąkaniec tłucze w nagłym napadzie szału w coś metalowego.

Valentin zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć. Wydawało mu się, że dostrzega szarawy owal w odległości około trzydziestu kroków przed sobą. Zachowując jeszcze większą ostrożność, zbliżył się do niego, a tymczasem hałas się nasilił i towarzyszyły mu teraz pełne irytacji pomruki. Owa jaśniejsza aureola oznaczała koniec tunelu, który prowadził do szerokiego prostopadłego korytarza.

Dotarłszy do skrzyżowania, Valentin zobaczył mur oraz rów wypełniony błotnistą wodą. Omal się nie udusił z powodu fetoru. Jego domysły okazały się słuszne. Właśnie doszedł do jednego z tuneli ściekowych wykopanych w ostatnich latach w celu odprowadzania nieczystości z nowych dzielnic na prawym brzegu.

Odgłosy maltretowanego metalu odbijały się od sklepienia i dochodziły chyba z lewej strony. Valentin odważył się ostrożnie zerknąć w tamtym kierunku. Ostatnie metry kanału oświetlała blada poświata. Dzięki blaskowi księżycy młodzieniec stwierdził, że podziemny korytarz rzeczywiście prowadzi na brzeg Sekwany, ale wyjście blokuje masywna krata. Flanchard, uczepiony obiema rękami prętów, potrząsał nią rozpaczliwie w nadziei, że uda mu się zerwać kłódkę i łańcuch, które uniemożliwiały obrócenie tej zapory na zawiasach. Jego wściekłe okrzyki przeplatały się ze zgrzytem opornego metalu. Na posadzce, tuż za komisarzem, leżała nieszczęsna Aglaé. Zemdlona lub po prostu wyczerpana z nadmiaru emocji.

Ten widok głęboko poruszył Valentina. Igrał z ogniem, lecz to ona się sparzyła. Czy to jakaś klątwa? Czy wszystkie istoty, które okazywały mu przywiązanie, były skazane na cierpienie z jego powodu? Wszystko zaczynało mu się mieszać w głowie, połączenie próżnych wyrzutów sumienia, lęku i fizycznego bólu. Mimo to musiał wytrzymać. Jeszcze trochę. Tylko tyle, by dać sobie szansę na ponowne ujrzanie światła. Ale w tym celu trzeba było wydostać się z tego szamba z całą i zdrową Aglaé.

Opierając się o ścianę, ponownie chwycił oba pistolety. Nie odważył się jednak zrobić z nich natychmiastowego użytku, bo za bardzo się bał, że chybi z powodu coraz mocniejszego pulsowania rany, które groziło zakłóceniem celności strzału. Jeśli zaś chodziło o próbę podejścia bliżej, oznaczałoby opuszczenie kryjówki w cieniu i wystawienie się na niebezpieczeństwo. Flanchard mógł się w każdej chwili odwrócić i wymierzyć w niego broń. Zostało mu zatem tylko jedno wyjście. Postawić wszystko na jedną kartę!

– Flanchard?! – zawołał. – To ja, Valentin Verne! Nie ma sensu się upierać! Dobrze pan wie, że znalazł się pan w pułapce!

Masywna postać natychmiast się odwróciła i zanurkowała z kocią zwinnością i szybkością, żeby ukryć się za porwaną kobietą.

– Verne? Przecież ostrzegałem, że jeśli pójdzie pan za mną...

– Proszę się zastanowić, panie komisarzu – przerwał mu Valentin. – Ma pan w pistolecie tylko jeden nabój. Jeśli strzeli pan do Aglaé, co pan przez to osiągnie? Będzie pan zdany na moją łaskę. A jeśli użyje pan broni do rozbicia tej kłódki, to Vidocq bez trudu złapie pana po drugiej stronie. Jak pan widzi, jedyne wyjście to się poddać.

Na chwilę zapadła cisza, zanim Flanchard raczył odpowiedzieć:

– Wydaje się pan bardzo pewny siebie, ale przecież mógłbym zechcieć się zemścić, rozbijając głowę pańskiej dobrej przyjaciółce. Co pan na to?

– Mógłby pan, ale pan tego nie zrobi – odparł inspektor, modląc się jednocześnie, żeby jego słowa nie zostały brutalnie zweryfikowane. – Do tej pory działał pan z pobudek politycznych. Być może sędziowie wezmą to pod uwagę, lecz jeśli popełni pan morderstwo z zimną krwią, to gilotyna murowana! No dalej, Flanchard, niech się pan zastanowi! Nie jest pan zwykłym mordercą.

Komisarz, który już wcześniej zmusił Aglaé, żeby uklękła, a teraz wykręcił kobiecie rękę za plecami, cały czas grożąc jej bronią, zaśmiał się sarkastycznie.

– W przeciwieństwie do pana, co, Verne? Czy powiedział pan tej niewinnej duszyczce, że jest pan mordercą? Czy ona wie, kim pan naprawdę jest? Wyjaśnił jej pan, Verne?

– Bredzi pan, Flanchard! – zaprotestował Valentin.

– Daj pan spokój! Nie oszuka mnie pan. Nie mnie, mój chłopcze! Kiedy wybrałem pana do poprowadzenia tego śledztwa, myślałem, że jest pan po prostu policjantem nierespektującym zasad, wyalienowanym osobnikiem, którego łatwo byłoby zdyskredytować, ale to nie ja umieściłem te dokumenty w pańskim mieszkaniu. Nie wymyśliłem też woźnicy, który przyznał, że sownie mu zapłacono za potrącenie Hyacinthe’a Verne’a.

W miarę mówienia Flanchard coraz bardziej się ekscytował. Całkowicie zapominając o ostrożności, wstał, żeby zmusić Aglaé do zwrócenia się do niego twarzą. Oczy płonęły mu dziwnym blaskiem i nie tyle artykułował słowa, ile je z siebie wyrzucał.

– Ojacobójca! Oto prawdziwe oblicze człowieka, którym jest pani zauroczona, moja mała! Oblicze zwyczajnego oszusta, który zabił z najniższych pobudek: dla pieniędzy! Dlatego, że przybrany ojciec zamierzał go wydziedziczyć na rzecz kogoś innego, tego Damiena Combes’a, więc jego prawdopodobnie również zabił. A zatem który z nas dwóch jest prawdziwym potworem?

Valentin, korzystając z tego, że komisarz przestał zwracać na niego uwagę, by dręczyć biedną Aglaé, posunął się naprzód w tunelu. Bez wątpienia nieprędko znalazłby lepszą okazję. Wstrzymując oddech, wyciągnął przed siebie prawą rękę, wycelował i pociągnął za spust.

Strzał huknął niczym grom, rozbrzmiewając echem w tunelu, a kula odbiła się rykoszetem od ściany, kilka cali od głowy Flancharda. Aglaé krzyknęła.

– Pudło! – Komisarz nie posiadał się z radości. Puścił młodą kobietę i wyprostował się z triumfalnym uśmiechem na ustach, by stanąć twarzą w twarz ze swoim przeciwnikiem. – Ho, ho, ho! Wygląda na to, że szczęście się odwróciło. Miał pan dwa pistolety, a zatem dwie kule. Pierwsza zakatrupiła tego tumana Grisselanges’a, a pan właśnie głupio zmarnował drugą.

Udając zucha, szedł w stronę Valentina, pewny siebie, i trzymał niedbale pistolet w wyprostowanej ręce, przy udzie. Inspektor pozwolił mu się zbliżyć, nie wykonując najmniejszego gestu.

Gdy dzieliło ich od siebie zaledwie kilka kroków, Flanchard powoli podniósł rękę. Wystarczyło spojrzeć w jego płonące źrenice, by zrozumieć, jaką chorobliwą rozkosz odczuwa na myśl o tym, że przeciwnik jest zdany na jego łaskę. Valentin nie dał mu czasu na delektowanie się radością. Wycelowawszy niezwłocznie broń, na którą wymienił się z Vidocqiem, strzelił niemal całkiem z bliska.

Komisarz otworzył szeroko oczy z niedowierzania, a potem zgiął się w pół, skurczony jak pęcherz, z którego uchodzi powietrze. Chwilę później leżał martwy w ścieku, z twarzą zanurzoną w błocie szybko zabarwiającym się na czerwono.

Nie tracąc czasu na oględziny zwłok swojego wroga, Valentin podbiegł do Aglaé. Młoda kobieta, która doznała poważnego wstrząsu, ponownie się skuliła

i drżała w wyniku gwałtownych spazmów nerwowych. Kiedy inspektor uklęknął przy niej i chciał ją wziąć w ramiona, nie potrafiła powstrzymać mimowolnego ruchu spowodowanego odrazą.

– Ależ Aglaé – próbował ją uspokoić – to ja, Valentin. Niech się pani opanuje. Już po wszystkim. Jest pani bezpieczna.

Aktorka spuściła głowę, toteż jej wybawca musiał wyteżać słuch, żeby zrozumieć urywane słowa, które z trudem przechodziły jej przez usta. Głos Aglaé był przytłumiony, bez życia, włosy splątane i brudne, a wyraz twarzy okropny.

– Czy to prawda... czy to prawda, wszystkie... wszystkie te okropne rzeczy, które mówił ten człowiek... wszystkie te oskarżenia powtarzane w gazetach?

Nie wiedząc, co począć, Valentin ujął jej lodowate dłonie i mocno ścisnął.

– Mogę panią zapewnić, że Flanchard albo kłamał, albo oszukiwał sam siebie. Nie zabiłem ojca, żeby zagarnąć jego majątek. Nie ograбіłem też ani nie usunąłem Damiena Combes'a. To nie tylko sprzeczne z prawdą, lecz także po prostu całkiem niemożliwe.

Aglaé spojrzała na Valentina swoimi wielkimi złotawobrazowymi oczami, w których malowało się zaskoczenie i niezrozumienie.

– Co... Co chce pan przez to powiedzieć?

– Nie mogłem popełnić tych zbrodni z jednego bardzo dobrego powodu – odparł Valentin nieco łamiącym się głosem. – Bo Damien Combes to ja!

ROZDZIAŁ 40

W którym Valentin usuwa się na drugi plan

– Tak, Damien Combes to ja. Udało mi się jednak zapomnieć o tej prawdzie na siedem lat.

Valentin zwlekał do czasu, aż zostanie z Aglaé sam w dorożce, żeby udzielić jej wszystkich wyjaśnień, których miała prawo oczekiwać. Aktorka dopiero co otarła się o śmierć z jego powodu, było zatem słuszne, aby dowiedziała się tego, co młodzieniec wyjawiał dotąd tylko jednej osobie. Człowiekowi, którego kochał najbardziej na świecie i ubóstwiał aż do jego nagłej śmierci: przybranemu ojcu, Hyacinthe'owi Verne'owi.

– Miałem osiem lat, gdy wpadłem w szpony Wikarego, i dwanaście, gdy udało mi się od niego uciec, ale jakaś część mnie pozostała zamknięta w tamtej piwnicy. Uświadomiłem to sobie dopiero siedem lat później, kiedy przeczytałem w „L'Écho du soir” artykuł o przypadkowym odkryciu w Belleville jednej z kryjówek potwora.

– Nic już z tego nie rozumiem – szepnęła Aglaé, która stopniowo odzyskiwała kolory. – Myślałam, że Damien to imię tego drugiego dziecka, z którym przez kilka tygodni dzielił pan los w niewoli.

Dwoje młodych ludzi wyszło z podziemnych korytarzy przy place de la Concorde około drugiej w nocy. Byli wykończeni i przytłoczeni ciężkimi przeżyciami. Na szczęście Vidocq wziął sprawy w swoje ręce. Dawny szef Sûreté przekonał ich, że wciąż ma pewne wpływy na rue de Jérusalem i zajmie się

usunięciem wszelkich przeszkód. Zanim noc dobiegnie końca, Émilie de Mirande i doktor Tusseau znajdą się za kratkami, a na biurko prefekta policji trafi szczegółowy raport dotyczący tej sprawy. Według Vidocqa reszta mogła poczekać do następnego dnia, a w każdym razie łatwiej było udzielić wyjaśnień, gdy wicehrabia de Champagnac całkiem odzyska jasność umysłu i zdoła potwierdzić ich zeznania.

Uspokoiwszy w ten sposób Valentina co do dalszego rozwoju wypadków, były policjant kazał mu myśleć już tylko o tym, żeby odprowadzić Aglaé do domu i odpocząć. Co więcej, odgrywając do samego końca rolę dobrego Samarytanina zdołał – Bóg jeden wie jak, o tak późnej porze! – wynająć dla nich powóz i tym samym oszczędzić im długiego marszu przez uśpiony Paryż.

Valentin, mimo cierpienia, którego przysparzało mu zranione ramię, nie chciał dłużej odwlekać chwili, w której zwierzy się Aglaé. W ciągu ostatnich kilku godzin targało nim tak wiele emocji, że ich nadmiar domagał się wyładowania. Poza tym inspektor obawiał się, że jeśli nie opowie jej wszystkiego od razu, potem nie będzie już w stanie znaleźć odpowiednich słów. Jego umysł przypominał zbyt długo zamknięty pokój, który należało szybko przewietrzyć, zanim ponownie na wszystkim osiadzie kurz. Trzeba było wykorzystać tę chwilę zawieszenia, kiedy dokuczala mu rana, co zmuszało go do opuszczenia gardy. Teraz albo nigdy. Jeśli chciał zerwać z samotnością, musiał podjąć ryzyko, że się obnaży, że obudzi inne cierpienia...

– To, co pani teraz wyznam – wyjaśnił inspektor, który miał zapadnięte policzki i rozgorączkowane spojrzenie – wiem od słynnego lekarza, doktora Esquirola. Mój przybrany ojciec konsultował się z nim bez mojej wiedzy. Był przekonany, że pomoc mi może alienista. Z pewnością będzie jednak najprościej, jeśli opowiem całą historię od początku.

Jak już pani mówiłem, zostałem porzucony po urodzeniu i nie wiem prawie nic o swoich prawdziwych rodzicach. Gdy miałem zaledwie miesiąc, umieszczono mnie w domu małżeństwa leśników w masywie Morvan. To tam w lipcu 1815 roku, kiedy skończyłem siedem lat, przyszedł po mnie Wikary. Potem

zamknął mnie w piwnicy swojego domu, na przedmieściach w pobliżu rogatki de Montreuil. Bynajmniej nie wyobrażałem sobie wtedy, że spędzę w tamtym odrażającym miejscu cztery długie lata, uwięziony jako ofiara sprzecznych z naturą żądz tego drapieżcy w sutannie.

Twarz Aglaé ściągnęła się na wzmiankę o męczarniach jej towarzysza. Pewna wstydlivość powstrzymywała ją przed odwróceniem się w jego stronę, ale jej wzburzenie było oczywiste. Wyrażało się krótszym, niemal urywanym oddechem, który coraz szybciej unosił jej piękną pierś.

– Kiedy jest się tak małym dzieckiem – kontynuował Valentin – właściwie jeszcze się nie wie, co oznaczają wielkie słowa takie jak „Zło” czy „Fatum”. Szukałem zatem wytłumaczenia tego, co się ze mną działo, i wmawiałem sobie, że to wszystko moja wina. Musiało być we mnie coś złego, co wymagało sprawiedliwej kary. Niewątpliwie to właśnie było najtrudniejsze do zniesienia, ta pewność, która zakorzeniła się w moim umyśle, że zasługuję na wszystko, co mnie spotyka. Nawet gorsze niż przemoc fizyczna. To i samotność!

– Nie próbował pan wcześniej uciec?

– Choć wydaje się to niedorzeczne, w końcu pogodziłem się z losem. Wikary zdołał unicestwić we mnie wszelkie pragnienie oporu, uczynić mnie swoim zwierzątkiem domowym. Potulnym i niemal wdzięcznym za tę odrobinę czasu, który mi poświęcał. Aż pewnego pięknego dnia, po miesiącach i latach niewoli, zmusił mnie do zrobienia czegoś jeszcze straszniejszego niż cała reszta.

Valentin przerwał na chwilę, by na nowo przeżywać w myślach potworną śmierć panny Louise. Zaparło mu dech w piersiach. Dawny żal czający się w głębi duszy podszedł mu do gardła niczym szlam wzburzony na dnie stawu, wypływający powoli i mącący powierzchnię. Aglaé zrozumiała, że musi uszanować jego milczenie, i zadowolila się położeniem dłoni na jego przedramieniu, by go uspokoić.

– Paradoksalnie to ten akt nieuzasadnionego okrucieństwa mnie ocalił – kontynuował, gdy znów był w stanie mówić. – Szok wywołał we mnie coś

w rodzaju wewnętrznego wstrząsu. Jak to wyjaśnił znacznie później mojemu ojcu doktor Esquirol, zamiast zaakceptować coś, co było nie do zniesienia, mój mózg poniekąd podzielił się na dwie części. W ten oto sposób Valentin dołączył w piwnicy do Damiena. Począwszy od tamtego dnia stało się nas dwóch. Damien, uległa istota, całkowicie niezdolna do buntu, i Valentin, jego nieposłuszny sobowtór, silniejszy, bardziej zdeterminowany. Tylko jeden z nich dysponował odpowiednimi przymiotami, żeby uciec Wikaremu...

Aglae się wzdrygnęła, a jej powieki zatrzepotały nerwowo.

– Chce pan przez to powiedzieć, że... Nie, to przecież niemożliwe!

– Ależ tak! – stwierdził Valentin, który odgadywał myśli swojej towarzyszki. – Żeby się wyrwać ze swojego więzienia, ten nieszczęsny, zamurowany żywcem chłopiec musiał amputować część siebie. Damien nie dysponował koniecznymi cechami charakteru, by odważyć się rzucić wyzwanie Wikaremu. Tylko Valentin był do tego zdolny. Kiedy Hyacinthe Verne znalazł wyczerpane dziecko w pałacu luster na place du Trône, był to rzeczywiście Valentin, i to jego wziął w ramiona. Damien natomiast pozostał więźniem gdzieś w nocy bez końca. Tylko śmierć Wikarego mogłaby uwolnić go z łańcuchów.

– Pański przybrany ojciec wiedział o tym wszystkim?

– Długo znał jedynie część prawdy. Dzięki łagodności i cierpliwości nakłonił mnie w pierwszych dniach naszego wspólnego życia, żebym opowiedział mu swoją historię, ale nie mogłem mu wspomnieć o Damienie. Mój umysł po prostu go wymazał, tak samo jak później wymazał wszystkie wspomnienia o mojej niewoli. To Hyacinthe Verne podjął się po kryjomu zrekonstruowania mojej drogi życiowej. Na podstawie moich skąpych wskazówek odnalazł dom, w którym mieszkałem w masywie Morvan, a następnie skontaktował się w Paryżu z siostrami miłosierdzia, które umieściły mnie tam wkrótce po urodzeniu. Dzięki temu w końcu ustalił moją prawdziwą tożsamość, a nawet zdobył świadectwo chrztu na nazwisko Damien Combes.

Odtworzywszy w ten sposób przeszłość, którą ukryłem, zrozumiał, że schwywanie Wikarego jest kluczem pozwalającym otworzyć zaryglowane drzwi mojego mózgu. Nic mi nie mówiąc, całą swoją energię w ciągu ostatnich siedmiu lat życia poświęcał na wytropienie tego potwora. Aż do tamtego dnia w 1826 roku, kiedy zwykły artykuł w gazecie wreszcie otworzył mi oczy. Odkrycie, że Wikary wciąż żyje i nadal dręczy niewinnych, wywołało kolejny szok, który dorównał skutkami pierwszemu. Przypomniałem sobie, kim jestem. Mój przybrany ojciec był wtedy poza domem. Po jego powrocie odbyliśmy długą i bolesną rozmowę. Wyznał mi podczas niej, że już od dawna zna prawdę. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że przedstawił mój przypadek doktorowi Esquirolowi, ale to właśnie za jego radą bezskutecznie próbował mnie przekonać, że muszę odzyskać swoją prawdziwą tożsamość i że nie mogę dłużej żyć, wypierając z umysłu to, co się wydarzyło. Wkrótce potem zmienił testament, zastępując nazwisko Valentina Verne'a nazwiskiem Damiena Combes'a. W tym samym czasie napisał również ów list, który komisarz Flanchard znalazł w moim mieszkaniu i którego prawdziwej treści oczywiście nie potrafił zrozumieć.

Policzki Aglaé poczerwieniały z zakłopotania.

– I pomyśleć, że przed chwilą, w tym okropnym kanale, omal nie przestałam panu ufać!

– Jak mogłaby się pani o to obwiniać? Pozory zdawały się przemawiać przeciwko mnie. Zresztą nadal nie potrafię sobie wytłumaczyć wyznania woźnicy, który przejechał mojego ojca. Skoro jestem niewinny, wciąż stanowi to tajemnicę, którą trzeba będzie wyjaśnić!

Aglaé puściła jego ramię i pogłaskała go delikatnie po policzku.

– Niech pan na chwilę zapomni o zbrodniach i tajemnicach – szepnęła. – Jutro nadal tu będą, kiedy się pan obudzi. A tymczasem, chociaż ta noc już nie potrwa długo, czy nie może pan w końcu pozwolić sobie na odrobinę odpoczynku?

Nie mówiąc już ani słowa, przytuliła się do jego piersi i zamknęła oczy. Przystał na to, ale nie odważył się objąć jej ramionami.

ROZDZIAŁ 41

Biuro do spraw tajemnych

Tydzień później Valentin Verne po raz pierwszy po przerwie postawił stopę na rue de Jérusalem, w siedzibie prefektury policji. W ciągu tych siedmiu dni korzystał z nadzwyczajnego urlopu przyznanego mu przez przełożonych w uznaniu jego decydującej roli w unieszkodliwieniu Flancharda i jego współników, ale także, żeby umożliwić mu wyleczenie rany. Młody człowiek zrobił użytek z wolnego, ponownie spotykając się z Félicienne Dauvergne w kaplicy ekspiacyjnej na skwerze Ludwika XVI. Dotrzymując obietnicy, którą złożył nastolatce, wyjawiał jej całą prawdę o śmierci brata. Dzielna dziewczyna odetchnęła z ulgą, dowiedziawszy się, że w rzeczywistości nie chodziło o samobójstwo, a Valentin był głęboko wzruszony, gdy gorąco mu podziękowała.

Poza tym młody inspektor niemal codziennie spotykał się z Aglaé. Ich związek ograniczał się, za milczącą zgodą obojga, do czułej przyjaźni i wzajemnego zrozumienia, ale nawet dla Valentina, tak mało obeznanego z zawłościami kobiecej psychiki, było oczywiste, że śliczna aktorka widzi w nim kogoś więcej niż tylko dobrego kolegę. Jeśli starała się niczego nie dać po sobie poznać, to jedynie z szacunku dla jego dawnego cierpienia i żeby go nie ponaglać. On sam był zdezorientowany pogmatwanymi uczuciami, które targały nim za każdym razem, gdy znalazł się w jej obecności. Jego mózg nieustannie wysyłał mu sprzeczne sygnały. Czuł, że Aglaé go pociąga, ale nie był w stanie nawet jej objąć ani pocałować. Czasami się zastanawiał, co by zrobił, gdyby spróbowała wykonać

pierwszy krok, ale nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Po prostu nie wiedział, jak zachowałyby się jego ciało. A ponieważ wątpił w swoją umiejętność zareagowania na požądanie zakochanej kobiety, nie robił nic, by usunąć z ich związku dwuznacznośc.

Valentina niepokoiła również inna sprawa. Nie otrzymał jeszcze żadnej gwarancji co do swojej przyszłości w policji. Nie wiedział, czy zostanie na stałe przeniesiony do Brygady Bezpieczeństwa, odesłany do Wydziału Obyczajowego, gdzie mógłby wznowić walkę z Wikarym, czy całkiem po prostu zwolniony, złożony w ofierze na ołtarzu uzdrawiania policji przeprowadzanego we wszystkich wydziałach. Dlatego rankiem siódmego dnia z nadzieją zabarwioną niepokojem odebrał w końcu u siebie oficjalne wezwanie na następny dzień rano.

Na razie młody mężczyzna, który wciąż jeszcze był inspektorem Sûreté, wystawał pod gabinetem nowego prefekta policji. Otóż na miejsce niekompetentnego Giroda de l'Aina został właśnie mianowany Achille Libéral Treilhard⁵¹. Złośliwi twierdzili jednak, że dwa imiona nominata symbolizują nieudolność rządu⁵², który nie potrafi wybrać między twardą linią a pojednawczą polityką, żeby wygasić niepokoje na ulicach. Szeptano nawet, że po korytarzach ministerstwa już krąży nazwisko jego przyszłego następcy.

Daleki od tych trywialnych rozważań Valentin był pochłonięty obserwowaniem korowodu kancelistów i sekretarek, trwała bowiem nieustanna wymiana personelu, akt i mebli, jakby mianowaniu nowego prefekta koniecznie musiały towarzyszyć gra w gorące krzesła i reorganizacja wszystkich biur.

Płynęły minuty i Valentin w końcu przestał się interesować całym tym zamieszaniem wokół siebie, bo wrócił myślami do najnowszych wydarzeń związanych z „afetą Morfeusza”, jak ją ochrzcili w ostatnich dniach dziennikarze, w nawiązaniu do greckiego boga snu i marzeń sennych. Ostatecznie tylko jedna osoba zamieszana w ten niesłychany spisek miała odpowiedzieć za swoje czyny przed sądem. Chodziło o doktora Tusseau, który, zaślepiony pychą i ambicją, widział w tym przestępczym przedsięwzięciu wyłącznie sposób na ekstremalne wykorzystanie potencjału hipnozy. Ponieważ Flanchard i Grisselanges nie żyli,

Émilie de Mirande była jedyną bohaterką tej sprawy mogącą ujawnić ewentualne powiązania spiskowców z licznymi tajnymi stowarzyszeniami republikańskimi. Tuż po zatrzymaniu została osadzona w areszcie Pałacu Sprawiedliwości i umieszczona pod silną strażą, zniknęła jednak w ciągu nocy w nadal niewyjaśnionych okolicznościach. Ta uwodzicielka mająca na koncie niezliczone podboje zdołała uśpić czujność dozorców lub, co bardziej prawdopodobne, zapewnić sobie współudział jednego z nich.

Z kolei Valentin został szybko oczyszczony z ciężących na nim zarzutów. Dokumenty skradzione przez Flancharda, a następnie odzyskane przez młodzieńca, jak również inne oficjalne pisma zgromadzone z biegiem czasu przez Hyacinthe'a Verne'a pozwoliły ustalić jego prawdziwą tożsamość. Oznaczało to obalenie oskarżeń o zagarnięcie i sprzeniewierzenie spadku, a także brak jakiegokolwiek poważnego motywu zabójstwa przybranego ojca. Ten ostatni zarzut upadł po przesłuchaniu w sądzie woźnicy odnalezionej przez Flancharda. Okazało się, że chociaż ów mężczyzna rzeczywiście przyznał, że został przekupiony, aby przejechał swoją dorożką Hyacinthe'a Verne'a, nigdy nie podał nazwiska zleceniodawcy. A to z tej prostej przyczyny, że go nie znał, bo spotkał się z nim tylko raz, o zmroku, w jakiejś opuszczonej ruderze na równinie Ivry. Komisarz Flanchard, przekonany, że inspektor jest winny, co bardzo mu odpowiadało, po prostu skłamał w tej kwestii, żeby pogrozić swojego podwładnego.

Usłyszawszy tę wiadomość, Valentin poczuł ulgę, że został oczyszczony z zarzutów, a co do samej zbrodni, którą definitywnie potwierdzono, szybko zidentyfikował jedyne go możliwego winowajcę. Hyacinthe Verne był prawym człowiekiem, poważanym i kochanym przez wszystkich, którzy się z nim zetknęli, a zatem jedną jedyną osobą zapewne pragnącą jego śmierci musiała być ta, którą daremnie tropił przez siedem lat. Wikary! To odkrycie wstrząsnęło Valentinem. Bardziej niż kiedykolwiek był zdecydowany odnaleźć tego potwora i ukarać go za całe zło, które wokół siebie rozsiewał.

Kipiał ze złości, rozmyślając o swoim odwiecznym wrogu, gdy podszedł do niego kancelista, by dać mu znać, że prefekt policji jest w końcu gotów go przyjąć.

Został wprowadzony do gabinetu o dość wysokim sklepieniu, częściowo wyłożonego woskowaną boazerią i wyposażonego w ciężkie aksamitne kotary. Piec węglowy wydzielał przyjemne ciepło, które kontrastowało z chłodem i wilgocią panującymi w reszcie gmachu. Siedzący w fotelu z czasów Pierwszego Cesarstwa prefekt Treilhard, wyposażony w lupę i szczypczyki, badał wnętrze biurkowego zegara. Małe trybiki były starannie uszeregowane na podkładce. Gdy Valentin wszedł, prefekt uniósł głowę, nadal trzymając lupę przyklejoną do oczodołu, i to tak dokładnie, że młody policjant miał wrażenie, iż jest obserwowany przez ogromne oko cyklopa.

– Inspektor Verne! – wykrzyknął, racząc wreszcie odłożyć przyrząd optyczny i dając swojemu gościowi znak, żeby usiadł. – Wie pan, że z wielką niecierpliwością czekałem, kiedy pana poznam?

Przezorny Valentin odezwał się neutralnym tonem:

– Czy wolno mi zapytać, co usprawiedliwia takie zainteresowanie?

– Odziedziczyłem po swoim poprzedniku grube akta na pana temat – odparł prefekt, muskając aktówkę, w której najwyraźniej zgromadzono liczne dokumenty. – Poczesne miejsce zajmują w nich nakaz aresztowania wystawiony na pańskie nazwisko oraz raport sporządzony w związku z tym przez komisarza Flancharda.

Valentin już miał zaprotestować, lecz Treilhard odwiódł go od tego, natychmiast unosząc dłoń uspokajającym gestem. Prefekt miał ciemnobrązowe włosy i zadziwiająco życzliwą, niemal dobrotliwą twarz zupełnie niepasującą do jego nowych obowiązków, a także niebieskie oczy, których klarowność nadawała całej jego osobie wygląd dyletanta i marzyciela.

– Przez tę kanię Flancharda, powinienem był raczej powiedzieć – poprawił się z uśmiechem. – Doskonale wiem, że został pan oczyszczony z tych oszczerczych zarzutów. W rezultacie jedyne istotne pytanie brzmi następująco: Co mamy teraz z panem zrobić?

Ponieważ zawiesił głos, Valentin poczuł się w obowiązku wypowiedzieć kilka wiernopoddańczych słów skierowanych do nowego prominenta francuskiej policji.

– Jestem do dyspozycji pana prefekta. Po tej nieprzyjemnej sprawie pragnę jedynie wrócić do normalnych obowiązków w ramach swojej służby.

– Oczywiście, oczywiście – odparł Treilhard przymilnym głosem, cały czas obracając w palcach jeden z małych mechanizmów zegarmistrzowskich, które przed nim leżały – ale widzi pan, instytucja taka jak prefektura policji nieco przypomina skomplikowaną maszynę. Żeby zapewnić jej sprawne funkcjonowanie, ważne jest, by nawet najmniejszy trybik znajdował się w odpowiednim miejscu i idealnie pasował do innych elementów, które go otaczają. Zręczność, z jaką udaremnił pan spisek Flancharda i jego szajki, usprawiedliwiłaby raczej pozostawienie pana w Brygadzie Bezpieczeństwa, zdaje pan sobie jednak sprawę, że jest ona przedmiotem szczególnego zainteresowania ministra. Chodzi o to, żeby zerwać z godną pożałowania reputacją, na którą niegdyś sobie zasłużyła z powodu, powiedzmy, niezbyt fortunnych nominacji. Tymczasem cały ten szum wokół pańskiego nazwiska wywołany w ostatnich dniach przez gazety nie przemawia na pana korzyść. Za dużo hałasu, za duży rozgłos. Nawet jeśli to wszystko dzieje się wbrew panu, z czego doskonale zdaję sobie sprawę... Zostawałaby naturalnie możliwość przywrócenia pana do służby w drugim biurze, wydziale obyczajowym, ale pański dawny szef, komisarz Grondin, bynajmniej nie jest temu przychylny. Zwraca uwagę na pańskie nieortodoksyjne metody i skłonność do nieco zbyt łatwego ignorowania otrzymywanych poleceń.

Oto do czego sprowadzała się ta osobliwa rozmowa. Prefekt wezwał go tylko po to, by mu zakomunikować, że zostaje wydalony. Valentin był wstrząśnięty, ale zmusił się, żeby nie dać niczego po sobie poznać. Miał w głowie już tylko jedną myśl: jak najszybciej wyjść z tego gabinetu, bo urzędujący w nim człowiek, z tymi swoimi afektowanymi manierami, irytował go w najwyższym stopniu.

– Jeśli to może ułatwić sprawę – rzucił oschle – zobowiązuję się jeszcze przed południem dostarczyć panu list rezygnacyjny.

Treillard nie zareagował od razu. Zamyślił się i obracając w palcach jedną z zębatek zegara, przyglądał się w milczeniu młodemu inspektorowi. Potem pozwolił, by jego twarz rozpromienił złośliwy uśmiech.

– Czasy się zmieniają, inspektorze Verne! Odkrycia naukowe i postęp techniczny wkrótce radykalnie przeobrażą nasz stary świat, lecz większość ludzi jeszcze sobie tego nie uświadamia, a ich łatwowierność jest słabością, której część osób nie zawaha się wykorzystać. Bo przestępczość również ewoluuje. Jak wykazało pańskie niedawne dochodzenie, metody naszych przeciwników zdecydowanie zmieniają się w przyszłości. Musimy się przystosować. Postanowiłem zatem utworzyć, w ramach prefektury policji, specjalny wydział odpowiedzialny za tropienie owych złoczyńców nowego rodzaju. Długo się wahałem, jak nazwać ten nowy wydział, ale ponieważ pańska specjalność wydaje się niewiarygodna i niepojęta, będzie się nazywał „biuro do spraw tajemnych”. Zresztą „wydział” to zbyt duże słowo, ponieważ ograniczy się, przynajmniej na początku, do tylko jednego funkcjonariusza. Pana! Naturalnie pod warunkiem że zgodzi się pan podjąć tego zadania. Nie chcę pana do niczego zmuszać.

Valentin otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Ale dlaczego ja?

– Jak już panu powiedziałem, dysponuję tu licznymi informacjami na pański temat. Wiem, że jest pan zaznajomiony z różnymi dyscyplinami naukowymi i że w szczególności uczył się pan chemii i farmacji u słynnego profesora Pelletiera. Jestem przekonany, że takie kompetencje mogłyby być niezmiernie użyteczne do zapewniania porządku w przyszłości. – Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej: – Nie musi mi pan już teraz udzielać odpowiedzi. Jeśli potrzebuje pan czasu do namysłu, możemy równie dobrze spotkać się ponownie za dzień czy dwa.

Valentin nie wierzył własnym uszom. Czas do namysłu? Przecież prefekt dawał mu na tacy swobodę i środki konieczne do ścigania Wikarego, do zwalczania zła na jego własny sposób i do kontynuowania tym samym niedokończonego dzieła przybranego ojca! Już dokonał wyboru.

Zgodził się, wypowiadając pełnym wdzięczności głosem słowa, na które czekał prefekt Treilhard.

⁵¹ Do tej nominacji doszło w rzeczywistości kilka dni wcześniej, 7 listopada 1830 roku.

⁵² Achille – Achilles, symbol siły, Libéral – liberalny, tolerancyjny (przyp. tłum.).

EPILOG

Pamiętnik Damiena

Jaki sens ma przelewanie tego wszystkiego na papier? Czego mogę oczekiwać, skrzypiąc gęsim piórem w ciszy swojego pokoju? Dokąd mogą mnie zaprowadzić ścieżki atramentu przecinające biel kartki? Czy to jest wyjście, którego szukam? Droga z mroku do światła? Z nicości do życia?

Te zdania, które przed chwilą ponownie przeczytałem, otwierają pamiętnik Damiena. *Mój pamiętnik*. Napisałem je w kwietniu 1826 roku. Smutna wiosna...

Tamtego roku tak naprawdę jej nie było. Jakby pogoda się popsowała, by współgrać z naszymi zagubionymi duszami. Wiosna wyglądała ponuro. Szarość i łzy. Przede wszystkim w mojej biednej głowie. W ciągu kilku tygodni odzyskałem pamięć i prawdziwe imię, a potem straciłem raz za razem ojca i dzielną Ernestine. Wywołało to zawieruchę pod moją czaszką. Hałaśliwe porywy jesiennych wiatrów, które w jedną noc odzierają z liści cały las. Byłem jak pijany z powodu całego tego szaleństwa, z uszami pełnymi trzasków i jęków. Nie sposób zmrużyć oka. W nocy nie mogłem zasnąć. W dzień snułem się żałośnie po pustym mieszkaniu, dręczony wyrzutami sumienia.

Nie mogłem przestać myśleć o ostatniej rozmowie z ojcem. Wciąż roztrząsałem naszą zbyt gwałtowną wymianę zdań. Zastanawiałem się, co moglibyśmy zrobić, żeby do tego nie dopuścić. Odkąd zdał sobie sprawę, że wróciła mi pamięć, nie przestawał nalegać. Mówił, że doktor Esquirol wyraził się kategorycznie. Dopóki Valentin będzie miał we mnie przewagę nad Damienem, dopóty nie zdołam się

pogodzić ze swoją przeszłością. Należało przystać na rozbicie skorupy i zapoczątkować proces, który doktor nazwał pompatycznie zabliznianiem pamięci.

Tylko że to było niemożliwe. W głębi duszy byłem przekonany, że dopóki Wikary sieje spustoszenie, dopóty Damien nie zdoła się wydostać z ciemnej piwnicy, w której go porzuciłem. Nie udawało mi się znaleźć odpowiednich słów, żeby wyjaśnić to ojcu. Uważałem, że to ponad moje siły. Co do niego, chociaż uosabiał dobroć i cierpliwość, nie potrafił zaakceptować tego daremnego uporu. Jako zwolennik postępu wierzył w możliwości medycyny i czułem, że ma mi za złe, iż odrzucam rozwiązanie, które mi proponuje.

Kiedy poinformowano mnie o jego śmierci, robiłem sobie straszne wyrzuty. Ten człowiek dał mi wszystko: dach nad głową, ognisko domowe, nazwisko, wykształcenie. Zawdzięczałem mu swoje obecne życie, ale gdy po raz pierwszy oczekiwał czegoś w zamian, nie umiałem go zadowolić. Wtedy – ostatnim razem, kiedy widzieliśmy się przed jego nagłą śmiercią – rozstaliśmy się niemal skłócenii. Nie chciałem go jednak zranić. Nie bardzo wiem, czego wówczas pragnąłem i czego być może pragnę jeszcze teraz. Niewątpliwie wyobrażałem sobie, że wznowię bieg swojej prawdziwej egzystencji, gdy ten, który był przyczyną zła, zostanie ukarany.

W następnych dniach po pogrzebie na cmentarzu Południowym, który on sam wybrał, żeby przenieść tam szczątki swojej ukochanej Clarisse, naprawdę myślałem, że i ja bezpowrotnie pogrążam się w wiecznym mroku. W końcu okazało się jednak, że nie. Nicość mnie nie chciała, a może to ja ją odtrąciłem. Trzeba wierzyć, że mam jakąś siłę witalną, której nawet najgorsze przeciwności losu nie są w stanie pokonać. Niczym nurek, który opada na dno i jest bliski utonięcia, lecz odbija się piętą, by wypłynąć na powierzchnię, zdołałem się wyrwać z ciemności, które groziły pogrzebaniem także mnie.

Valentin miał jeszcze jedno zadanie do wykonania. Należało położyć kres zbrodniom Wikarego i podjąć nagonkę tam, gdzie Hyacinthe Verne był zmuszony ją porzucić, ale ze względu na pamięć po nim i żeby odkupić swoje winy, musiałem również odbyć tę długą wędrówkę przez własną przeszłość. Chociaż nie mogłem

ponownie przyjąć tożsamości Damiena Combes'a, wolno mi było przynajmniej spisywać jego historię, prowadzić dziennik jego zstępowania do piekieł. Musiałem znaleźć wyjście wewnątrz labiryntu, odkryć drogę z mroku do światła.

Ten dziennik leży dziś przede mną. Gruby plik kartek, z których najstarsze już pożółkły. Kreślę te ostatnie linijki z mocną nadzieją, że nie wszystko pójdzie na marne. Za chwilę, gdy odłożę pióro, zamknie się pewien rozdział mojego życia. Ostatecznie to mój ojciec miał rację: musiałem znaleźć w sobie odwagę, by ponownie zejść do tamtej piwnicy i podać dłoń Damienowi. Było to konieczne, ponieważ od dawna nosiłem w sobie niejasne wyrzuty sumienia. A jest to uczucie, w którym można w końcu znaleźć upodobanie i które może doprowadzić do szaleństwa. Teraz mam to wszystko już za sobą. Wiem, co jeszcze muszę zrobić. Prędzej czy później na drodze Wikarego stanie pewien mężczyzna i w gruncie rzeczy to bez znaczenia, czy ma na imię Valentin, czy Damien. Zrobi, co zrobić należy!

Za chwilę dołączę tę ostatnią stronę do innych, związę je razem, wyjdę z mieszkania i udam się do Aglaé. Jeszcze nie wiem, czy między nami coś jest możliwe, czy moje ciało potrafi zaakceptować pieszczoty i uściski, nie buntując się, ale myślę, że warto przynajmniej spróbować. Żeby się z nią spotkać, będę musiał przekroczyć Sekwanę. Zabiorę dziennik ze sobą. Albo po to, by skłonić ją do przeczytania, albo po to, by wrzucić go do rzeki.

Nie wiem. Wciąż się waham...

Nota autora

Kiedy zacząłem wymyślać przygody policjanta odpowiedzialnego za wyjaśnianie spraw tajemnych, które dostarczyłyby mi pretekstu do przywoływania licznych odkryć i wynalazków XIX wieku, szybko przyszedł mi do głowy okres monarchii lipcowej (1830–1848). Te lata były pod wieloma względami decydujące, ponieważ rozkwit nauki i rozwój techniki przyczyniły się do wywołania znacznej ekspansji gospodarczej, która miała nastąpić w czasach Drugiego Cesarstwa. Jednocześnie ubóstwo klas mniej uprzywilejowanych i różnorodność stronnictw opozycyjnych powodowały ogromną niestabilność polityczną i doprowadziły do erozji instytucji odziedziczonych po *ancien régime*. Znalazłem tam zatem grunt wyjątkowo sprzyjający beletrystyce.

Jak to zresztą pokazuje historyczne tło powieści, monarchia lipcowa rozpoczęła się od okresu niepokojów społecznych i zamieszek. Dochodziło do strajków, demonstracji i rozruchów ulicznych. Próbując sobie z nimi poradzić, Ludwik Filip i jego rząd wahali się między polityką dwóch stronnictw: Oporu i Ruchu. Z tego punktu widzenia proces byłych ministrów Karola X stanowił pierwsze poważne wyzwanie, z którym musiała się zmierzyć nowa władza.

Z wyjątkiem roli, jaką przypisuję wicehrabiemu de Champagnacowi (postać fikcyjna), wszystkie inne odniesienia do tej polityczno-sądowniczej sprawy są zgodne z rzeczywistością historyczną. Na przykład w październiku 1830 roku faktycznie doszło do rozruchów, podczas których republikanie pomaszerowali na Vincennes z mocnym postanowieniem zlinczowania więźniów. W trakcie całego procesu, który rozpoczął się 15 grudnia przed Izbą Parów w pałacu Luksemburskim, powstanie wisiało na włosku i trzeba było uciec się do podstępu,

żeby przed ogłoszeniem wyroku ewakuować czterech byłych ministrów, którym zagrażał uzbrojony motłoch. Ostatecznie uratowali głowy i zostali skazani na dożywotnie więzienie oraz utratę praw obywatelskich w wypadku księcia de Polignaca, byłego szefa rządu. Władza Ludwika Filipa ostatecznie wyszła z tej próby wzmocniona.

Prawdziwe są również wszystkie uwagi dotyczące historii magnetyzmu zwierzęcego i hipnozy. Postacią autentyczną jest w szczególności doktor Alexandre Bertrand, którego Valentin spotyka w siedzibie „Le Globe”. Jak wspomniano w powieści, był on jednym z pierwszych, którzy odrzucili głoszone przez Mesmera teorie „fluidu”, faworyzując rolę wyobraźni i sugestii w doświadczeniu „świadomego snu”. Należy jednak zaznaczyć, że chociaż szkocki lekarz James Braid rzeczywiście zapoczątkował stosowanie terminu „hipnoza” i jest całkiem prawdopodobne, że mógł prowadzić korespondencję z Bertrandem, to zasadniczy wkład w nowe techniki indukcji wniósł on później (mniej więcej dziesięć lat), niż napisano tutaj ze względu na wymogi fabuły.

Na koniec, jak zawsze, podaję poniżej kilka odniesień bibliograficznych, żeby umożliwić zainteresowanemu lub rozmiłowanemu w historii czytelnikowi dogłębniejsze poznanie monarchii lipcowej, którą kanclerz Pasquier (1767–1862) nazwał „jednym z najbardziej pouczających i intrygujących tematów badań, z jakimi można się spotkać”.

Abensour L., *Le féminisme sous la monarchie de Juillet. Les essais de réalisation et les résultats*, „Revue d’histoire moderne et contemporaine” 1911, n° 15–2, s. 153–176.

Adler L., *Życie codzienne w domach publicznych w latach 1830–1930*, tłum. R. Wilgosiewicz-Skutecka, Poznań 1999.

Aubert J., Eude M., Goyard C. i in., *L’État et sa police en France, 1789–1914*, Genève 1979.

Barrucand D., *Histoire de l’hypnose en France*, Paris 1967.

- Beaulieu H., *Les Théâtres du boulevard du Crime. Cabinets galants, cabarets, théâtres, cirque, bateleurs, de Nicolet à Déjazet (1752–1862)*, Vanves 2013.
- Berlière J.-M., *La Police des mœurs*, Paris 2016.
- Berlière J.-M., Lévy R., *Histoire des polices en France. De l’Ancien Régime à nos jours*, Paris 2011.
- Berthier Ph., *La Vie quotidienne dans La Comédie humaine de Balzac*, Vanves 1998.
- Bordonove G., *Louis-Philippe, roi des Français, 1830–1848*, Paris 1990.
- de Broglie G., *La Monarchie de Juillet*, Paris 2011.
- Castelot A., *Louis-Philippe, le méconnu*, Paris 1994.
- Charlély S., *Histoire de la monarchie de Juillet (1830–1848)*, Paris 2018.
- Chauvaud F., *Les Experts du crime. La médecine légale en France au XIXe siècle*, Paris 2000.
- Chevalier L., *Classes laborieuses et classes dangereuses*, Paris 2002.
- Darnton R., *La Fin des Lumières. Le mesmérisme et la Révolution*, Paris 1984.
- Dorvault F.-L.-M., *L’Officine, ou répertoire général de pharmacie pratique*, Vanves 2013.
- Gascar P., *Le Boulevard du crime*, Paris 1980.
- Gast R., Rateau G., *Album secret de Paris*, Rennes 2019.
- Gronfier A., *Dictionnaire de la racaille. Le manuscrit secret d’un commissaire de police parisien au XIXe siècle*, Paris 2010.
- Jardin A., Tudesq A.-J., *Nouvelle histoire de la France contemporaine, tome 7: La France des notables, la vie de la nation, 1815–1848*, Paris 1973.
- Martin-Fugier A., *La Vie élégante ou la formation du Tout-Paris, 1815–1848*, Paris 1990.
- Michaux D., *Le magnétisme animal. Constitution d’un phénomène et de sa représentation*, „Bulletin de la Société française d’hypnose”, janv. 1986, n° 2–3, s. 361–403.

- Myatt F., *Broń strzelecka XIX wieku. Ilustrowana encyklopedia*, tłum. W. Głębowicz, T. Nowakowski, Warszawa 1995.
- Perreux G., *Au temps des sociétés secrètes. La propagande républicaine au début de la monarchie de juillet (1830–1835)*, Vanves 1931.
- Robert H., *La Monarchie de Juillet*, Paris 2017.
- Roy-Henry B., *Vidocq, du bagne à la préfecture*, Paris 2001.
- Tardy J.-N., *L'Âge des ombres. Complots, conspirations et sociétés secrètes au XIXe siècle*, Paris 2015.
- Tolédano A.-D., *La Vie de famille sous la Restauration et la monarchie de Juillet*, Paris 1943.
- Tulard J., *La Préfecture de police sous la monarchie de Juillet*, „Annuaire de l'École pratique des hautes études” 1964, s. 427–431.
- Vidocq E.-F., *Pamiętniki*, tłum. J. Jedliński, Kraków 2015.
- Vidocq E.-F., *Les Voleurs*, Paris 1957.

Tytuł oryginału
LE BUREAU DES AFFAIRES OCCULTES
Volume 1

Copyright © Editions Albin Michel – Paris 2021

Copyright © for the translation by Łukasz Müller

Spolszczenie okładki
Katarzyna Bućko @booka.kasia.bucko

Fotografia na okładce i skrzydle
© Lyn Randle / Trevillion Images
© Leonard Cotte / Unsplash

Redaktorka nabywająca
Eliza Kasprzak-Kozikowska

Redaktorka prowadząca
Agnieszka Narębska

Projekt typograficzny i skład
Robert Oleś

Opieka redakcyjna
Natalia Hipnarowicz

Opieka promocyjna
Paulina Sidyk

ISBN 978-83-240-9524-7

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2024

Na zlecenie Woblink


woblink.com

plik przygotowała Angelika Kuler-Duchnik